

David Morrell

Czarny wieczór

*Dla Philipa Klasa i Williama Tenna  
raz jeszcze*

Aby najbardziej banalne wydarzenie mogło się stać przygodą, trzeba i wystarczy zacząć je opowiadać. Na to właśnie nabierają się ludzie: człowiek jest zawsze opowiadaczem zdarzeń, żyje otoczony swoimi zdarzeniami i zdarzeniami innych, wszystko, co się z nim dzieje, widzi po przez nie; i usiłuje przeżywać swoje życie tak, jakby je opowiadał.

Trzeba jednak dokonać wyboru: żyć czy opowiadać.

Jean Paul Sartre

*Mdłości*

przekł. Jacek Trznadel

## Przedmowa

Zasiadając do ponownego czytania opowiadań zawartych w tym zbiorze, nie spodziewałem się potężnej lawiny wspomnień, którą wyzwoliły. Nieoczekiwanie przypominałem sobie okoliczności, w jakich pisałem te utwory: gdzie wówczas mieszkałem, co czułem, co mnie skłoniło do napisania tego czy innego opowiadania. Te przesycone emocjami wspomnienia sięgają ponad trzydzieści lat wstecz, a mimo to mam wrażenie, że nie dalej niż tydzień temu studiowałem literaturę amerykańską na Uniwersytecie Stanu Pensylwania.

Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy. Miałem dwadzieścia cztery lata, zabierałem się do pisania pracy magisterskiej i myślałem o studiach doktoranckich. Ciągłe jednak nie mogłem uwolnić się od pragnienia, które nurtowało mnie od czasów liceum: chciałem zostać pisarzem. Katedra anglistyki mojej uczelni nieco wcześniej zatrudniła do nauki kompozycji autora powieści fantastyczno-naukowych Philipa Klassa (publikującego pod pseudonimem William Tenn). Był pierwszym pisarzem, którego poznałem, więc z niewinną bezczelnością właściwą młodości spytałem, czy zechce pracować ze mną indywidualnie. Grzecznie wyjaśnił, że jego plan już pęka w szwach, a jeśli chcę u niego studiować, mogę się zapisać na zajęcia. Odparłem, że więcej skorzystałbym na spotkaniach w cztery oczy. On na to, że każdy student skorzystałby w ten sposób więcej, ale niestety nie ma na to czasu. Wyczuł jednak we mnie uparciucha, dodał więc, że jeśli będę przynosił jedną pracę tygodniowo, może się zastanowi. Przez ile tygodni? – spytałem. Przez tyle, ile będzie trzeba, odparł.

Klass oczywiście starał się mnie zniechęcić. Jedno opowiadanie na tydzień przy i tak niemałej ilości zajęć, to dużo. Myślał pewnie, że szybko się

zmęczę i dam za wygraną. W końcu nawet gdybym dostarczał mu jedno opowiadanie tygodniowo (nie powiedział, jak długo miałyby to trwać), i tak nie dawał mi gwarancji, że będzie mnie uczył. Obiecał tylko jeszcze raz się zastanowić.

Ale mama nauczyła mnie, że nie wolno się poddawać bez walki. Przez sześć tygodni przynosiłem po jednym opowiadaniu, i w końcu Klass zaprosił mnie do swojego gabinetu. Oto moja wielka szansa, pomyślałem. Powie, że spodobały mu się moje opowiadania i postara się o ich publikację. Tymczasem Klass oznajmił, że są słabe i że powinienem dać mu spokój.

– Tematyka pańskich opowiadań jest nieciekawa – stwierdził. – Wszyscy wybitni pisarze mają własne spojrzenie, tworzą niepowtarzalne światy. Proszę zajrzeć w siebie. Musi pan dowiedzieć się, kim jest, a to oznacza zazwyczaj odkrycie, czego się pan najbardziej boi. To właśnie będzie tematem pańskiego pisarstwa, przynajmniej do czasu, gdy zmieni się charakter lęku, który pana dręczy.

– Nie mówię o czymś takim jak lęk wysokości, strach przed wodą lub ogniem – ciągnął. – To są tylko powierzchowne symptomy głębszych niepokojów. Pański prawdziwy strach jest jak fretka nurkująca w ciemne tunele psychiki, drżąca ze strachu, że ktoś ją odkryje.

Skiąłem poważnie głową.

– Chyba rozumiem.

– To dobrze.

Ale nie rozumiałem. Wyszedłem i zrobiłem dokładnie to, przed czym przestrzegał mnie Klass: napisałem kilka opowiadań o lęku przestrzeni, strachu przed wodą i ogniem. Na moje szczęście nie pozwoliłem się zwieść samemu sobie. Wiedziałem, że brakuje im tej szczególnej iskry odróżniającej przeciętne historie od tych, które zapadają w pamięć. Mimo to nie dałem za wygraną.

I nagle poczułem, że załamała się moja siła woli. Pisanie jest aktem wiary. A jeśli utracisz wiarę w siebie, jeśli uzmysłowisz sobie, jakie to nienaturalne – siedzenie w samotności i zapisywanie kartek papieru, poświęcanie czasu, który mógłbyś spędzić z żoną i córką, odbieranie sobie wolnych chwil i liczenie wbrew rozsądkowi na to, że zostaniesz jednym z nielicznych pisarzy w Stanach Zjednoczonych, którzy utrzymują się z pisania (a jest ich nie więcej niż dwustu) – wtedy naprawdę tracisz nadzieję.

Zacząłem żałować, że nie jestem kimś innym. Dawno temu, w okolicy, gdzie znajduje się Uniwersytet Stanu Pensylwania, była kopalnia rudy żelaza zwana Barrens. Szeroka odkrywka zamieniła się w jezioro, gdy wybuch dynamitu uwolnił podziemną rzekę. Chodziłem tam czasem, żeby cieszyć oczy urodą lasów. Zniechęcony moimi próbami pisarskimi, postanowiłem wybrać się na długą przechadzkę. Było gorące sierpniowe popołudnie. Las, gęsty i ciemny, falował od letniego upału. Idąc wąską ścieżką, rozglądając się uważ-

nie, żeby nie nastąpić na węża, których nie brakuje w poszyciu, usłyszałem za sobą trzask gałęzi. Wiewiórka zeskoczyła z drzewa, pomyślałem. Maszerowałem dalej, ocierając pot z czoła. Nagle rozległ się trzask kolejnej gałęzi i chrzęst stopy na ściółce.

Uświadomiłem sobie, że oprócz mnie w lesie jest ktoś jeszcze, kto tak jak ja wyszedł odpocząć wśród drzew. Nie zatrzymałem się. Ale kiedy znowu usłyszałem trzask gałęzi, zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Pierwotny, prymitywny odruch zawładnął mną bez ostrzeżenia. To było niewytłumaczalne. Doznałem nagłego przeczucia, że ten człowiek, kimkolwiek jest, chce zrobić mi coś złego. Ta irracjonalna obawa nasiliła się jeszcze, kiedy dobiegł mnie trzask następnej łamanej gałęzi i kolejny chrzęst liści, tym razem bliżej. Odwróciłem się i rozejrzałem uważnie, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu.

Przyspieszyłem kroku. Z ulgą zauważyłem, że odgłos kroków ustał. Zaraz jednak przestałem oddychać, kiedy usłyszałem trzask gałęzi, tym razem gdzieś z przodu. Zamarłem. Poczułem przyływ adrenaliny do krwi i cofnąłem się. I znowu znieruchomiałem, gdy dźwięk dogonił mnie z tyłu. Rozglądałem się na wszystkie strony, przygotowany na atak...

Zamrugałem, zaskoczony widokiem biurka i maszyny do pisania. To był prerażliwie realistyczny, intensywny sen na jawie – albo raczej koszmar. Psychiczne przeżycie pochłonięta mnie tak bardzo, że straciłem kontakt z otoczeniem. Wyobraźnia wzięła górę nad rzeczywistością. Nic podobnego nie zdarzyło mi się nigdy wcześniej. Przypomniałem sobie słowa Klasa: „Pański prawdziwy strach jest jak fretka nurkująca w ciemne tunele psychiki, drżąca ze strachu, że ktoś ją odkryje”.

Zrozumiałem jednak, że czasem można się zbliżyć do tego strachu. To, czego przed chwilą doświadczyłem, przeraziło mnie. Co się jeszcze stanie? Jaki będzie koniec? Pragnienie poznania dalszego ciągu uświadomiło mi, jak bardzo moim wcześniejszym opowiadaniom brakowało rozmachu. Siły, suspense, świeżości. Nie słyszałem nigdy o zdarzeniu podobnym do tego, które przed chwilą ujrzałem w wyobraźni. James Dickey miał opublikować *Wybawienie* dopiero trzy lata później. Ta powieść o koszmarnej podróży kajakiem w leśnej głuszy zaskoczyła czytelników nowym spojrzeniem na strach. Ja jednak doświadczyłem czegoś podobnego w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Bezradny wobec trapiącego mnie problemu, jak zostać pisarzem, zgodnie z założeniami filozofii *zen* zrezygnowałem z działania i pozwoliłem, aby problem rozwiązał się sam.

W przyływie energii natychmiast usiadłem, aby napisać to opowiadanie i poznać zakończenie historii. Zatytułowałem je *Strzelec*. Bohaterem jest mężczyzna, który wychodzi do lasu, żeby poćwiczyć strzelanie do celu, ale wkrótce zauważa, w lesie obecność kogoś, komu także chodzi o strzelanie do celu, ale... żywego. Opowiadanie powstało na długo, zanim twórcy litera-

tury sensacyjnej zaczęli pisać o seryjnych mordercach i „myśliwych”. Kiedy wręczałem utwór Philipowi Klassowi, pisarz z pewnością wyczuł moje podniecenie, bo przeczytał go znacznie szybciej niż poprzednie. Telefonicznie zaprosił mnie na kawę o czwartej po południu, i tak zaczął się jeden z najbardziej niezwykłych wieczorów mojego życia, który przeciągnął się do późnej nocy.

Klass zaczął od tego, że moje ostatnie opowiadanie, tak różne od poprzednich, zaintrygowało go. Następnie spytał, czy czytałem utwory Geoffreya Householda. Jakiego Geoffreya? Brytyjskiego autora powieści sensacyjnych, wyjaśnił Klass. Jego dwie najbardziej znane powieści to *Rogue Male* (1939) i *Watcher in the Shadows* (1960). Ta ostatnia opowiada o brytyjskim myśliwym, któremu w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej udaje się podkraść z bronią do Hitlera. Później przeczytałem utwory Householda i rzeczywiście dostrzegłem pewne podobieństwo. Household wznosił się na wyżyny, opowiadając o zagrożeniach ze strony nieznanymi sił. Im bardziej przerażeni i bezbronni byli jego bohaterowie, tym łatwiej się z nimi utożsamiałem. Fretka w zakamarkach mojej psyche.

Nieznajomość pisarstwa Geoffreya Householda obnażyła moją kolejną słabość: nigdy nie czytałem literatury sensacyjnej ani popularnej. Jako nastolatek zapragnąłem zostać pisarzem, bo fascynowały mnie scenariusze Stirlinga Silliphanta do serialu telewizyjnego *Route 66* (Trasa 66) o dwóch młodych ludziach, którzy chevroletem corvette wybrali się na poszukiwanie Ameryki i własnej tożsamości. Pisarstwo Silliphanta łączyło wartką akcję z koncepcjami myślowymi. Jednak pragnienie naśladowania go pchnęło mnie bardziej w stronę koncepcji niż akcji. Po latach studiowania literatury na uczelni tak bardzo przesiąknąłem Hawthorne’em, Melville’em, Faulknerem i innymi klasykami, że moje własne opowiadania stały się jałowe, wtórne i „literackie” w najgorszym sensie tego słowa. Na szczęście zdołałem się od tego uwolnić. Przypomniałem sobie, co czułem oglądając *Route 66* i dlaczego chciałem zostać pisarzem. Postanowiłem przeczytać jak najwięcej literatury popularnej, zaczynając od Householda; wiedziałem, że jeśli chcę napisać coś oryginalnego, powinienem zapoznać się z utworami najlepszych twórców, żeby nie powtarzać tego, co oni już osiągnęli.

Zaczęliśmy o tym rozmawiać z Klassem w kawiarni i niepostrzeżenie minęły trzy godziny. Była siódma i powinienem pójść do domu na kolację, ale Klass spytał, czy mam ochotę go odwiedzić, poznać jego żonę i kontynuować rozmowę. Od kilku miesięcy starałem się zwrócić na siebie uwagę wykładowcy, więc serce zabiło mi mocniej. Zadzwoiłem szybko do mojej żony i przedstawiłem sytuację. Udaliśmy się do mieszkania Klassa, gdzie nasza dyskusja rozwinęła się i stała jeszcze intensywniejsza.

Klass twierdził, że najlepsze utwory literackie powstają wtedy, gdy pisarz czuje potrzebę przelania na papier swoich dramatycznych doświadczeń.

Czasem są one tak mocno stłumione, że twórca nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie jest źródło siły, która pcha go do pisania. Jednak bez względu na to, czy ta twórcza psychoanaliza podejmowana jest świadomie, czy nie, to właśnie ona czyni dzieło pisarza unikalnym, ponieważ psychologiczne skutki bolesnych doświadczeń są inne dla każdego człowieka. Bez trudu można odróżnić słabego twórcę od dobrego, bo słabi piszą dla pieniędzy i z innych egoistycznych pobudek, wybitni zaś uprawiają swoje rzemiosło dlatego, że muszą być pisarzami – po prostu nie mają innego wyboru. Coś w ich świadomości (ta nieuchwytna fretka) nie daje im spokoju, nęka wyobraźnię, dlatego muszą uwolnić się od napięcia. Klass stwierdził, że czasem przejawem tej siły są marzenia na jawie, spontaniczne sygnały ukrytych w podświadomości historii, które domagają się opowiedzenia.

Czym są siły, które mnie dręczą? Odkryje je twoje pisarstwo, powiedział Klass. I tak się stało. Ze zdumieniem patrzę wstecz na to, czego się o sobie dowiedziałem z moich utworów: mój ojciec zginął w czasie drugiej wojny światowej wkrótce po tym, jak się urodziłem, dlatego wychowałem się w okropnym lęku przed wojną; matka musiała mnie na pewien czas umieścić w sierocińcu, więc później nigdy nie byłem pewien, czy kobieta, która się po mnie zgłosiła, była tą samą, która mnie tam zostawiła; ciągle czułem nieobecność ojca, a lęk wobec przemocy pchnął mnie do tego, aby zmierzyć się z nim, wstępując w szeregi ulicznego gangu... Mógłbym ciągnąć tę listę, ale nie jest dobrze mówić o swoich zmorach wprost. Nie chcę pozbyć się przymusu pisania o nich.

O tym wszystkim rozmawialiśmy z Klassem w jego mieszkaniu. Czas płynął i ze zdziwieniem zauważyliśmy, że jest już dziesiąta. Żona Klasa, Fruma, która uczestniczyła w dyskusji, zaprosiła mnie na spóźnioną kolację. Do północy jedliśmy pieczeń, nie przerywając rozmowy. Potem pozmywaliśmy, a Klass rozłożył na stole kartki mojego opowiadania. Przeanalizował je zdanie po zdaniu, tłumacząc, dlaczego ten zabieg literacki okazał się skuteczny, a ten nie. Tłumaczył, jak budować sceny, jak pisać dialogi i podnosić tempo akcji; uczył, co zrobić, aby nadać opisowi dynamikę.

Wreszcie dotarł do ostatniego zdania, podsumował swoje uwagi, wręczył opowiadanie i rzekł: „To wszystko, czego mogę cię nauczyć”. Niebo za oknem zaczynało szarzeć, słychać było śpiew ptaków. Dniało. Oczarowany wiedzą i przenikliwością mojego nauczyciela, straciłem rachubę czasu. Poczulem wyczerpanie. Ale kiedy mu podziękowałem i ruszyłem w stronę domu, ogarnęło mnie podniecenie, które zdawało się unosić moje ciało nad ziemią. To wspomnienie jest we mnie ciągle żywe: tej nocy uwierzyłem, że będę pisarzem.

Co się stało z opowiadaniem, które nazwałem *Strzelec*? Nigdy nie zostało opublikowane. Wydawcy czasopism, którym je proponowałem, uważali, że za dużo w nim przemocy (dzisiaj pewnie by tego nie powiedzieli). Próbo-



wałem przez rok. Jedna redakcja trzymała je tak długo, że już nabrałem nadziei, ale pewnego dnia rękopis wrócił: pomięty, poplamiony kawą, z notką, że czasopismo zbankrutowało i ktoś znalazł tekst w szufladzie. Nie zniechęciłem się, ale odłożyłem opowiadanie, bo byłem już zajęty pisaniem powieści o komandosie, weteranie wojny wietnamskiej, który w małym miasteczku toczy walkę na śmierć i życie z komendantem policji, również byłym komandosem, weteranem wojny koreańskiej. Tematem był konflikt pokoleń, różnica między latami pięćdziesiątymi a sześćdziesiątymi, między wojną w Korei a wojną w Wietnamie, a także – w nieco innym planie – zagadnienie politycznych „jastrzębi i gołębi” oraz problem sterowania świadomością. Nadałem mu tytuł *Pierwsza krew* i zadedykowałem Philipowi Klassowi i Williamowi Tennowi, „każdemu z osobna”, ponieważ wielkoduszny nauczyciel i utalentowany pisarz w jednej osobie przekazał mi tyle bezcennej wiedzy. Wysłałem jeden egzemplarz Geoffreyowi Householdowi. Napisał mi życzliwy list z jedną krytyczną uwagą: że w powieści jest zbyt wiele przemocy.

*Strzelca* nie zamieściłem w niniejszym zbiorze. Pozostaje dla mnie ważnym opowiadaniem, ale uważam je za niedojrzałe. Niektórzy czytelnicy mogliby nawet uznać utwór za wtórny wobec *Wybawienia*, choć w gruncie rzeczy powstał wcześniej niż powieść. Wolę go więc zachować dla siebie. Opowiadania, które znalazły miejsce w tej książce, zdają się dobrze wytrzymywać próbę czasu. Różnią się od moich thrillerów, które zostały przetłumaczone na wiele języków i wydane w wielu krajach. Czytelnicy nie znajdują w nich szpiegów i wielkich globalnych spisków. Znajdą natomiast emocje kryjące się za intrygą: niepewność i lęk przed nieznanym. Fretka ciągle przemyka w ciemnych zakamarkach mojej psychiki. Oto jej ślady.

# Krople

*Krople były moim pierwszym opublikowanym utworem i dlatego – mimo przerażającej treści – opowiadanie to ma dla mnie dużą wartość sentymentalną. Zacząłem pisać powieść Pierwsza krew na Uniwersytecie Stanu Pensylwania w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, ale zajęcia naukowe, wykłady i dysertacja z utworów Johna Bartha opóźniły pracę nad nią. Jej tempo spadło jeszcze bardziej, gdy przeprowadziłem się do Iowa City, gdzie większość czasu zajmowały mi wykłady, konferencje, spotkania naukowe i inne zajęcia wiążące się z obowiązkami adiunkta na wydziale literatury amerykańskiej Uniwersytetu Stanu Iowa. Powieść skończyłem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Nie czułem się jednak zmęczony, lecz tryśkałem energią, więc natychmiast zacząłem pisać poniższe opowiadanie. Jest ono jednym z niewielu, które ukazały mi się we śnie. Po przebudzeniu usiadłem do maszyny i napisałem je za jednym razem.*

**T**ej jesieni mieszkamy w domu na wsi, domu mojej matki, w którym się wychowałem. Byłem już we wsi i uderzyło mnie, że nic się nie zmieniło, a mimo to wszystko wydaje się inne, bo jestem starszy i patrzę inaczej. Czuję się tak, jak gdybym był tutaj teraz i wtedy, miał jednocześnie umysł chłopca i mężczyzny. To dziwne wrażenie rozdwojenia, tak intensywne i niepokojące, popchnęło mnie znów do pracy, aby je uchwycić w kształty i barwy. Próbuję namalować studium sklepu żelaznego, beczek z ziarnem stojących przed nim, bliźniaczych kolumn podtrzymujących zapadający się balkon, na którym mężczyźni i kobiety o woskowych twarzach z hotelu dla starców na piętrze siadywali w bujanych fotelach, by patrzeć na ulicę. Wydaje mi się, że to

ci sami ludzie, których widywałem jako chłopiec, a drewno kolumn i balkonu jest tak samo splekane.

Przy ciężkiej pracy zapomniałem o upływie czasu, więc kiedy ruszam wreszcie w długą powrotną drogę do domu, jest już bardzo późno; zapada zmierzch. Dzień był upalny, ale teraz chłód łatwo przedziera się przez flanelową koszulę. Zaskakuje mnie nagła ulewa; schodzę ze zwirowej drogi i szukam schronienia pod ogromnym drzewem, którego liście zdążyły pożółknąć i zbrązowieć. Deszcz przechodzi w ulewę; strugi wody siekają na ukos, przenikają ubranie. Ściskam górną część płóciennej torby, żeby osłonić obraz i przybory malarskie, i rzucam się do biegu. Mokre skarpetki lepia się nieprzyjemnie, gdy docieram wreszcie do alejki prowadzącej do domu i stodoły.

Dom i stodoła. Tylko one i moja matka się zmieniły, jak gdyby ich stawy i wiązania były ze sobą połączone; szarość włosów mamy i starych desek tak różnią się od jasnych barw, które pamiętam z dzieciństwa. To miejsce odbiera jej siły. Ona żyje z nim w jednym rytmie, chyli się do upadku razem z nim. Dlatego tutaj zamieszkaliśmy. Żeby przywrócić życie. Kiedyś zdawało mi się, że możemy ją skłonić do przeprowadzki. Ale ona spędziła tutaj czterdzieści ze swoich sześćdziesięciu pięciu lat i upiera się, żeby spędzić jeszcze te, które jej pozostały.

Deszcz wzmaga się, gdy przemykam pospiesznie wzdłuż ściany domu. W kuchni pali się światło, więc chyba spóźniłem się na kolację. Dom i stodoła są połączone, tworzą literę L, której dom stanowi podstawę. Wejście, z którego zawsze korzystałem, znajduje się w miejscu połączenia; dyszę ciężko, moje ubranie lepi się do ciała, jest mi zimno. Drzwi do stodoły mam po lewej stronie, drzwi do kuchni naprzeciwko. Od strony schodów do piwnicy po prawej stronie słyszę kapanie kropel.

– Przepraszam za spóźnienie, Meg – wołam do żony, odkładając płócienną torbę błyszczącą tysiącami kropelek wody. Otwieram drzwi do kuchni. Nikogo nie ma. Stół nie zastawiony, na kuchence nic się nie gotuje. Pod sufitem pali się sześćdziesięciowatowa żarówka. Mama woli taką od stuwattowej, dla niej zbyt jasnej. Mówi, że łagodniejsze światło przypomina jej blask świecy.

– Meg – wołam jeszcze raz. I znów nikt nie odpowiada. Pewnie usnęły. Zapadł zmrok, zaczęło padać, więc pewnie postanowiły się zdrzemnąć, zanim wrócę.

Nadal słyszę kapanie. Dom jest stary, stodoła od dawna nie używana, sufit się zapada, ale nie myślałem, że wszystko jest tak zaniedbane, że woda może zacząć przeciekać na kamienną posadzkę piwnicy. Zapalam światło i ruszam w dół po skrzypiących schodach, które skręcają w lewo. Schodzę do końca i już wiem, że to nie woda kapie. Mleko. Wszędzie mleko. Na bel-

kach, na ścianach, na kamieniach i w szczelinach między nimi. Na całej podłodze. Od ściany do ściany.

To sprawka Sary, mojej córki. Od dawna fascynował ją duży domek dla lalek, który ojciec zbudował dla mnie, kiedy byłem mały. Wyciągnęła to wszystko z wiklinowego kufra w kącie piwnicy i zostawiła na samym środku: gry planszowe, ołowiane żołnierzyki, klocki. Mleko kapie na nie z belek, spływa strugami po ściankach domu dla lalek, ścieka po kufrze i zabawkach.

Dlaczego to zrobiła? Skąd wzięła tyle mleka? Co jej strzeliło do głowy?

– Sara – wołam. – Meg! – Zły, wbiegam po schodach do kuchni.

– Sara! – krzyczę głośno. Będzie musiała to wszystko posprzątać i nie wyjdzie z domu do końca tygodnia.

Przemierzam kuchnię i wchodzę do pokoju. Mijam krzesła i sofę z kwiecistym obiciem, wyblakłym od czasów mojego dzieciństwa, kilka namalowanych przeze mnie jeszcze w szkole kolorowych widoczków pastwisk i lasów i parę nowych, utrzymanych w sepiowej tonacji pejzaży miejskich, przypominających stare fotografie. Biegnę do sypialni, pokonując po dwa stopnie naraz; mokre buty syczą na chodniku przykrywającym schody, ręka przesuwana się po gładkiej, wypolerowanej poręczu z klonowego drewna.

Widzę otwarte drzwi pokoju Sary. Jest ciemno, więc zapalam światło. Sara nie ma na łóżku. Satynowa kapa leży nie naruszona, krople deszczu wpadają przez otwarte okno, niesione podmuchami chłodnego, świeżego powietrza. Pełen złych przeczuć wchodzę do naszej sypialni. Tu też panuje ciemność. Skurcz ściska mi żołądek. Gdzie one mogą być? Czyżby wszystkie poszły do pokoju mamy?

Nie. Stojąc w otwartych drzwiach, w żółtym blasku lampy, którą zapaliłem w holu, widzę, że mama jest tutaj. Sama. Jej drobna sylwetka leży rozciągnięta na łóżku.

– Mamo – zaczynam. Chcę spytać, gdzie są Meg i Sara, ale słowa zamierają mi na ustach. Jeden but spadł z jej nogi, drugi tkwi na stopie, dziwnie wykrzywiony. Oba zablocone. Na podartej bawełnianej sukience i twarzy czerwieni się krew, włosy są potargane, usta sine i spuchnięte.

Przez kilka sekund nie mogę wydobyć słowa.

– O Boże, mamo – udaje mi się wreszcie wykrztusić. Wyciągam rękę, żeby ją obudzić. Jej otwarte oczy skierowane są w sufit, żywe, lecz niewidzące; każdy oddech przychodzi jej z trudem.

– Mamo, co się stało? Kto ci to zrobił? Gdzie Meg i Sara?

Ona jednak patrzy w sufit, nie widzi mnie.

– Rany boskie, mamo, odpowiedz! Spójrz mi w oczy! Co ci się stało?

Cisza. Oczy pozostają nieruchome. Między jednym a drugim oddechem wygląda jak nieruchomy posąg.

Moje myśli szamocą się bezładnie. Muszę znaleźć Meg i Sarę. Na pewno są gdzieś w pobliżu, pobite tak jak moja mama. Albo coś jeszcze gorszego. Trzeba je znaleźć. Gdzie? Nie mogę teraz zostawić matki. Kiedy się ocknie, poczuje ból, wpadnie w histerię. Jak dotarła do łóżka?

W pokoju nie widać śladów walki, którą z pewnością stoczyła. To musiało się stać gdzie indziej, a mama przyczołgała się stamtąd do pokoju. Spozstrzegam krew na podłodze. Czerwone smugi prowadzą do holu, a później na schody. Kto to zrobił? Gdzie jest? Kto mógł pobić siwowłosą, pomarszczoną, skrzywioną artretyzmem staruszkę? I dlaczego, na Boga, miałyby to zrobić? Wyobrażam sobie jej ból, kiedy się broniła.

Może ten człowiek nadal jest w domu i czai się na mnie.

Do mojego skurczonego żołądka wdziera się gorący, pulsujący strach. Półprzytomny, chwytam laskę, którą mama trzyma zawsze koło łóżka. Zapalam nią światło, otwieram drzwi garderoby i charcząc, wściekle młóczę na oślep wyblakłe sukienki.

Nie ma nikogo. Pod łóżkiem też nie. Ani za drzwiami.

Sprawdzam w ten sposób wszystkie pokoje na górze; przerażony, co chwila oglądając się za siebie, ściskam w dłoni laskę i tłukę nią ubrania w szafach i za drzwiami z siłą, która z pewnością strzaskałaby ludzką czaszkę. Nikogo.

– Meg! Sara!

Nikt nie odpowiada, nawet echo. Ten dom umie pochłaniać dźwięki.

Nie ma tu mieszkalnego poddasza, tylko odrobina przestrzeni pod dachem, tak niska, że trzeba się czołgać. Ale wejście dawno zostało zabite gwoździami. Nie widać śladów otwierania, więc i tam nikogo nie ma.

Zbiegam po schodach, śledząc smugi krwi na dywaniku. Wyobrażam sobie, z jakim bólem mama się tutaj czołgała. Przeszukuję pomieszczenia na parterze z taką samą desperacką dokładnością. Zaglądam do garderoby, za kanapę, fotele i zasłony.

Nikogo.

Zamykam drzwi wejściowe, żeby napastnik nie wszedł do środka, jeśli czai się gdzieś tam w szalejącej burzy. Zaciągam dokładnie każdą zasłonę i firankę na wypadek, gdyby mnie obserwował z zewnątrz. Deszcz siecze wściekle o szyby.

Raz po raz wykrzykuję imiona Meg i Sary. Policja, mama, lekarz. Chwytam słuchawkę starego telefonu na ścianie przy schodach. Powoli podnoszę ją do ucha. Boję się, że odciął linię. Ale w słuchawce odzywa się sygnał. Dzwonię po policję, nie przestając machać laską.

Podobno zaraz przyjadą. Z lekarzem. Każą mi nie ruszać się z miejsca. Ale ja nie mogę tu zostać. Muszę znaleźć Meg i Sarę. Wiem, że nie ma ich

w piwnicy, gdzie kapie mleko – wszystko widać tam bardzo dokładnie. W zeszłą sobotę wyprzątnęliśmy pudła, beczki i półki – wszystko oprócz moich starych zabawek.

Zapomniałem o schowku pod schodami. Zbiegam na dół i stoję przerażony, z nogami w mleku. Ale widzę tylko pajęczyny, które pozrywaliśmy w sobotę. Podnoszę głowę i spoglądam na klamkę. Mój wzrok ogniskuje się, jakbym patrzył przez teleskop. Zdaje mi się, że klamka zaczyna drgać. Wyobrażam sobie intruza wdzierającego się do piwnicy. Rzucam się, żeby zamknąć drzwi do piwnicy i stodoły.

I wtedy przychodzi mi na myśl, że jeśli Meg i Sary nie ma w domu, to prawdopodobnie są w stodole. Ale nie mogę zmusić się do otwarcia drzwi i wejścia do środka. On też musi tam być. Nie w ulewie szalejącej na zewnątrz, lecz w ciepłym zaciszu stodoły. A tam nie ma żadnych świateł, które można zapalić.

Ale skąd w takim razie wzięło się mleko? Czy on je rozlał? A jeśli tak, to skąd je wziął? I po co? A może Sara zrobiła to wcześniej? Nie, mleko jest zbyt świeże. Zostało rozlane niedawno. Jego ręką. Tylko dlaczego? Kim jest ten człowiek? Włóczęgą? Zbiegłym więźniem? Uciekinierem ze szpitala psychiatrycznego? Nie, niemożliwe. Najbliższe więzienie znajduje się co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. A więc przyszedł z miasta. Albo z pobliskiej farmy.

Wiem, że stawiam sobie te pytania, żeby odwlec wejście do stodoły. Ale w końcu muszę to zrobić. Wyjmuję latarkę z szuflady w kuchni i otwieram drzwi. Zmuszam się, żeby wejść szybko. W jednej ręce trzymam zapaloną latarkę, a w drugiej łaskę. Przegrody są tam nadal, pogrążone w ciszy, a obok wialnie i inne urządzenia, zardzewiałe, brudne, pokryte pajęczyną. Powietrze wypełnia duszny zapach zmuszającego drewna i gnijącego siana, zmieszany ze świeżą wonią deszczu, która wdziera się przez szpary w ścianach.

Staram się opanować strach, kierując snop światła na ściany i boksy; wsłuchuję się w skrzywienie podłogi. Pamiętam z dzieciństwa krowy czekające, aż ojciec je wydoi; pamiętam, że stodoła była kiedyś szczelna i ciepła, i nie miała połączenia z domem, bo ojciec nie chciał, żeby woń zwierząt wdzierała się do kuchni, gdzie mama przygotowywała posiłki.

Posuwam się w stronę przegród, rozpraszając ciemność strumieniem światła z latarki. Mimo woli przypominam sobie tę jesień, gdy śnieg przyszedł wcześniej niż zwykle; rano było go pół metra, a zamieć nadal szalała. Ojciec wyszedł do stodoły wydoić krowy i nie wrócił ani na obiad, ani na kolację. Nie mogliśmy wezwać pomocy, bo wicher zerwał przewody telefoniczne; nie mogliśmy też przedostać się przez szalejącą zawieruchę. Czekaliśmy z mamą całą noc, wsłuchując się w cichnące wycie wiatru. Następnego

ranka wichura ustała. Wyszliśmy w oślepiającą biel poranka. Krowy ryczały z bólu, nie wydojone, a ojciec leżał zamrożony na kość w śniegu na środku pola, gdzie pewnie zabłądził, zgubiwszy w zamieci drogę.

Jakiś lis wgrzył się w ciało ojca pod śniegiem; jego twarz była tak zmasakrowana, że trzeba było ją zakryć przed złożeniem do trumny. Kilka dni później śnieg stopniał, podwórko przed stodołą zamieniło się w morze błota; wróciła jesień, a mama kazała wstawić drzwi łączące dom ze stodołą. Ojciec powinien był przewiązać się w pasie liną, żeby nie zgubić drogi. Na pewno o tym wiedział. Ale on zawsze był taki, ciągle się spieszył. Miałem wtedy dziesięć lat.

Przypominam sobie to wszystko, kierując snop światła na tonące w mroku boksy. Ani na chwilę nie opuszcza mnie przy tym strach, że zobaczę tam Meg i Sarę... albo jego. Szukam żony i córki, a myślę o tym, jak z mamą szukaliśmy ojca. Próbuje przywołać wspomnienie przyjemnego ciepła, które tu kiedyś panowało, gdy gawędziliśmy z ojcem podczas dojenia krów; pachniało świeżym sianem, zbożem i krowim łajnem. Ojciec i matka nigdy nie mogli zrozumieć, że lubię tę woń. Wiem, że jeśli przestanę teraz wspominać tamte dobre czasy, z pewnością oszaleję na myśl o tym, co mogę znaleźć w którejś z przegród. Modłę się do Boga, żeby Meg i Sara jeszcze żyły.

Co mógł im zrobić? Zgwałcić pięcioletnią dziewczynkę. Rozerwać jej wnętrze. Umarłaby od samego krwotoku.

I wtedy słyszę wołanie matki. Wyrzucam sobie, że czuję ulgę, wychodząc ze stodoły. Chcę znaleźć Meg i Sarę, chcę je ocalić, ale ciągnie mnie do wyjścia. Mam nadzieję, że matka powie mi, co się stało i gdzie ich szukać. Tak się usprawiedliwiam, kiedy wychodzę ze stodoły, zataczając koła latarką. Oglądam się i zamykam za sobą drzwi na klucz.

Mama siedzi sztywno na łóżku. Mam ochotę nią potrząsnąć, domagać się odpowiedzi na pytania, zmusić do pomocy, ale wiem, że tylko bym ją przestraszył, że jej świadomość umknęłaby w rejony, gdzie nie mógłbym jej dosięgnąć.

– Mamo – odzywam się cicho, dotykając jej ramienia. – Co się stało? – Z coraz większym trudem opanowuję zniecierpliwienie. – Kto to zrobił? Gdzie są Meg i Sara?

Uśmiecha się do mnie; widocznie moja obecność ją uspokoiła. Nie odpowiada.

– Mamo, proszę. Wiem, że to było straszne, ale musisz mi pomóc. Powiedz mi, gdzie one są. Trzeba je znaleźć.

– Lalki.

Nieruchomieję.

– Jakie lalki, mamó? Czy był tu jakiś mężczyzna z lalkami? Czego chciał? A może wyglądał jak lalka? Miał maskę na twarzy?

Za dużo pytań naraz. Mama tylko mruga oczami.

– Mamó, błagam cię. Musisz się postarać. Gdzie są Meg i Sara?

– Lalki – powtarza.

Złe przeczucia ogarnęły mnie już na widok nie naruszonej pościeli na łóżku Sary. Teraz zaczynam powoli rozumieć, ale nie chcę dopuścić do siebie tej przeraźliwej myśli.

– Tak, mamó, lalki. – Nie chcę przyznać przed sobą, że rozumiem. – Mamó, powiedz, gdzie są Meg i Sara?

– Jesteś już dorosły. Powinieneś przestać się bawić jak dziecko. Ojciec nie wróci. Teraz ty musisz go zastąpić. Musisz być dzielny.

– Nie, mamó. – Ból dławi mi piersi.

– Teraz będzie dużo pracy, więcej niż dziecko może sobie wyobrazić. Ale nie mamy wyboru. Musisz pogodzić się z tym, że Bóg postanowił nam go odebrać, że jesteś jedynym mężczyzną, który może mi pomóc.

– Nie, mamó.

– Jesteś teraz mężczyzną, musisz zostawić dziecięce zabawki.

Prostuję się i opieram o drzwi; łzy spływają mi na koszulę. Ocieram twarz i widzę, że matka wyciąga do mnie rękę z uśmiechem, chce mnie dotknąć. Cofam się i zbiegam po schodach do salonu, przez kuchnię do piwnicy. Rozchlupując mleko, zbliżam się do domu dla lalek. Sara jest w środku, zwinięta w pół. Meg leży w wiklinowym kufrze. Mama wyrzuciła zabawki z kosza na podłogę, żeby zrobić miejsce na ciało Meg. Z rozprutych brzuchów Meg i Sary wysypują się trociny. Oczy świecą białkami jak oczy lalek.

Policjanci walą pięściami do drzwi, krzyczą, ale nie mam siły im otworzyć. Włamują się w końcu i wpadają do środka. Krople wody ściekają z ich gumowych płaszczy, gdy stają nade mną i kierują spojrzenia na kufer.

– Mleko – mówię.

Nie rozumieją. Stoję bez ruchu w mleku i wsłuchuję się w krople deszczu walące o szyby. Zbliżają się w końcu do domu dla lalek i kufra, oglądają zwłoki Meg i Sary. Wchodzą na górę, do matki; po chwili wracają.

– Mleko – powtarzam, ale oni nadal nie pojmują.

– Zabiła ich, to jasne – mówi jeden. – Ale po co rozlała mleko?

Dopiero od sąsiadów na drodze dowiadują się, że przyszła do nich i poprosiła o bańki z mlekiem; nie chciała pomocy, przeniosła je sama, uginając się pod ciężarem. Znajdują w stodole nóż i puste bańki.

– Mleko. I krew – mówię. – Było tyle krwi. Mama nie chciała jej widzieć, musiała ją jakoś ukryć. Zalała krew mlekiem, żeby piwnica znów wyglądała jak mleczarnia. Było za dużo krwi.



Tej jesieni mieszkamy w domu na wsi, domu mojej matki, w którym się wychowałem. Byłem już we wsi i uderzyło mnie, że nic się nie zmieniło, a mimo to wszystko wydaje się inne, bo jestem starszy i patrzę inaczej. Czuję się tak, jak gdybym był tutaj i teraz, i wtedy, miał jednocześnie umysł chłopca i mężczyzny.

# Wspólnik

*Przez następnych dziesięć lat pisałem wyłącznie dłuższe utwory literackie. Po ukończeniu Pierwszej krwi w 1971 roku wydałem jeszcze powieści Testament i Ostatnia szarża. Akcja pierwszej z nich osnuta jest wokół pościgu, drugą można by określić mianem horroru pozbawionego elementów nadprzyrodzonych, a trzecią – westernu historycznego. Jednocześnie zajmowałem się nauczaniem literatury, więc nie miałem czasu na pisanie opowiadań. A może raczej należałoby powiedzieć, że brakowało mi twórczej energii... Ilekroć siadałem do maszyny, żeby napisać opowiadanie, wydawało mi się to tak trudne, że zaraz rezygnowałem. Przetamałem tę niemoc dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, pisząc Wspólnika. Jest to utwór o absolwencie wyższej uczelni, który staje wobec problemu znalezienia pracy. W końcu osiąga swój cel, ale w sposób nieco zaskakujący. Punktem wyjścia do napisania tego utworu była myśl, że niektórzy młodzi ludzie gotowi są posunąć się do skrajności, aby zdobyć dobrą posadę.*

**N**ie miał innego wyjścia. Przez kilka miesięcy rozważał różne możliwości. Próbował wykupić wspólnika, ale Dolan odmówił. Właściwie trudno to nazwać zwykłą odmową. Roześmiał się i powiedział: „Nie dałbym ci tej satysfakcji”. MacKenzie nalegał, więc Dolan rzucił: „Jasne, możesz mnie wykupić. Wystarczy milion dolarów”. Gdyby zażądał dziesięciu milionów, nie byłoby żadnej różnicy. MacKenzie nie zebrałby ani miliona, ani pół, ani nawet ćwierć, i Dolan dobrze o tym wiedział.

To było typowe. Dolan sprzeciwiał się nawet wtedy, gdy MacKenzie powiedział „dzień dobry”. Kiedy MacKenzie kupował samochód, Dolan kupował sobie większy, droższy, a żeby mu dopiec jeszcze bardziej, chełpił się, że dostał go za pół ceny. Jeśli MacKenzie wyjeżdżał z żoną i dziećmi na Bermu-

dy, Dolan natychmiast oznajmiał, że Bermudy to pestka w porównaniu z Meksykiem, gdzie właśnie spędził z rodziną wakacje.

Ciągle się kłócili. Kibicowali innym drużynom piłkarskim. Lubili inne potrawy (baranina kontra wołowina). Kiedy MacKenzie zaczął grać w golfa, jego wspólnik raptem polubił tenisa i orzekł, że golf to tylko zabawa, a tenis wyśmienicie poprawia kondycję. Ale Dolan i tak miał nadwagę. MacKenzie był szczupły, za to Dolan wyżywał się, docinając mu z powodu peruki.

To stało się nie do zniesienia. Jako Szkot próbujący ubić interes z Irlandczykiem, MacKenzie powinien był wiedzieć, że to się nie może udać. Z początku rywalizowali ze sobą. Prowadzili dwie firmy budowlane i ciągle się licytowali, tracąc przy tym pieniądze. Postanowili więc połączyć firmy i razem szło im znacznie lepiej. Nadal ze sobą konkurowali, wymyślając coraz lepsze sposoby zarobienia pieniędzy. Obniżali koszty dokładając więcej żwiru do cementu, wykorzystując gorszej jakości rury i materiały ocieplające. Księga przychodów i rozchodów, którą pokazywali w urzędzie skarbowym, miała niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Spółka MacKenzie-Dolan. A jakże, była to spółka co się zowie. Współpracowali ze sobą, ale nie mogli się nawzajem znieść. Próbowali rozwiązać problem, dzieląc się obowiązkami: MacKenzie prowadził biuro, a Dolan zajął się usuwaniem usterek w oddanych do użytku budynkach. Przez jakiś czas ta metoda się sprawdzała, ale w końcu i tak musieli się spotykać, żeby podejmować decyzje. I wtedy napięcie, które w sobie zbierali, eksplodowało.

Na domiar złego ich żony bardzo się zaprzyjaźniły. Ciągle organizowały przyjęcia w ogrodzie i na basenie. Dolan i MacKenzie nie ośmielali się kłócić podczas tych spotkań. Jeśli im się to zdarzało, żony dawały im później mocno w kość.

– Nie cierpię tego faceta. Działa mi na nerwy w biurze, a na przyjęciach nie mogę na niego patrzeć.

– Posłuchaj – powiedziała żona MacKenziego. – Vickie Dolan jest moja przyjaciółką i nie pozwolę tego zepsuć przez wasze szczeniackie fochy.

Więc siedzieli obaj gapiąc się bezmyślnie wokół albo w dno kieliszków (szkocka whisky kontra irlandzka), a żony wymieniały przepisy kulinarne.

W końcu Dolan przebrał miarę: zaczął grozić.

– Ciekawe, co zrobiliby faceci z urzędu skarbowego, gdyby ktoś zawiadomił ich o tym, jak prowadzisz księgi?

– A rury nie spełniające norm i żwir w cemencie? To twoja zasługa.

– Sąd po prostu wymierzyłby mi grzywnę – odparł szybko Dolan. – Ale urząd skarbowy to całkiem inna para kaloszy. Gdyby oni się o tym dowiedzieli, zamknęliby cię w ciemnych lochu i więcej nie musiałbym oglądać twojej facjaty.

MacKenzie popatrzył na Dolana i uznał, że nie ma wyboru. Próbował postąpić właściwie w takiej sytuacji, ale wspólnik nie zgodził się sprzedać swojego udziału. A teraz zamierza donieść na MacKenziego i przejąć firmę. Nie ma innego sposobu. To samoobrona, nic więcej.

Mężczyzna czekał koło klatek z małpami. Był młody, wysoki i chudy, miał jasne włosy i sprawiał przyjemne wrażenie. Nosił jasnoniebieski garnitur szyty na miarę i jadł orzeszki ziemne.

MacKenzie schylił głowę, żeby napić się wody z fontanny i rozejrzeć. Był słoneczny weekend, w ogrodzie zoologicznym roiło się od ludzi. Jedni siedzieli na ławkach, jedząc kanapki, inni przechadzali się wzdłuż klatek. Dzieci spacerowały z matkami, starsi mężczyźni grali w warcaby. MacKenzie słyszał muzykę dobiegającą z niewidocznej katarynki, szmer rozmów, wesołe głosy dzieci i świergot ptaków. Gdy uznał, że nikt nie zwraca na niego uwagi, otarł twarz z wody i podszedł do klatki.

– Pan Smith?

Blondyn nie odwrócił się. Włożył do ust kolejnego orzeszka. MacKenzie przestraszył się, że zaczepił niewłaściwego faceta. W zoo spacerowało wielu mężczyzn i wielu z nich nosiło garnitury. Wbrew temu, co piszą w gazetach, nie jest łatwo znaleźć kogoś, kto wzięłyby taką robotę. MacKenzie spędził parę wieczorów w knajpach, gdzie spotykają się typy z półświatka, nim wreszcie trafił na właściwy trop. Ktoś nawet wzięł go za gliniarza i zagroził, że połamie mu nogi. Ale studolarówka to mocny argument, więc w końcu złapał kontakt. Rozmawiali przez telefon. Wyjaśnił, że zrobiliby to sam, ale potrzebuje alibi; później przyznał, że brakuje mu odwagi.

A teraz pomylił się i podszedł do niewłaściwego człowieka. Pewnie tamten uznał, że to pułapka i nie przyszedł. MacKenzie odwrócił się, żeby odejść.

– Chwileczkę, Bob.

MacKenzie zamrugał.

– Pan Smith?

– Mów mi John. – Młody mężczyzna uśmiechnął się promiennie, podsuwając torebkę. – Chcesz orzeszka, Bob?

– Nie, chyba nie...

– No, weź – zachęcił blondyn.

MacKenzie połknął orzeszka, nawet nie czując smaku.

– No właśnie. Wyluzuj się trochę. Nie masz nic przeciwko temu, że będę cię nazywał Bob?

– Jeśli tylko załatwisz tę sprawę. Myślałem, że wyglądasz inaczej.

Mężczyzna skinął głową ze zrozumieniem.

– Spodziewałeś się faceta w czarnym kombinezonie, z blizną na pół twarzy.

– Nie, ale...

– A tymczasem stoi przed tobą młody gość, który wygląda, jakby wybie-  
rał się posurfować na desce. Wiem dokładnie, co masz na myśli. Jesteś roz-  
czarowany. – Pokiwał głową. – Ale dzisiaj nic nie jest tym, na co wygląda.  
Uwierzyłbyś, że skończyłem uczelnię ekonomiczną? Nie mogłem znaleźć  
pracy na kierowniczym stanowisku, chociaż bardzo się starałem. Więc posta-  
nowiłem zająć się czymś innym.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz doświadczenia?

– Spokojnie, Bob. Tego nie mówiłem. Zrobię, co do mnie należy, nie ma  
obawy. Widzisz te małpy?

– Nie rozumiem...

– Przyjrzyj się im.

MacKenzie odwrócił głowę. Jeden z samców siedział na drzewie i ona-  
nizował się.

– Nie to miałem na myśli. Patrz.

Rzucił do klatki kilka orzeszków. Małpy rzuciły się, by o nie walczyć.

– Widzisz, są takie same jak my. Wszyscy bijemy się o orzeszki.

– To z pewnością bardzo ciekawe, ale...

– Ach, tak, niecierpliwisz się. Chciałem po prostu trochę pogadać. Ale  
nie będę ci zabierać czasu – westchnął. – A więc co cię gryzie, Bob?

– Mój wspólnik.

– Podbiera kasę?

– Nie.

– Przystawia się do twojej żony?

– Nie.

Młody człowiek skinął głową.

– Rozumiem, Bob.

– Czyżby?

– Oczywiście. To bardzo proste. Ja to nazywam syndromem małżeńskim.

– Co takiego?

– To tak, jakbyście byli po ślubie ze swoim wspólnikiem. Ty go nienawi-  
dzisz, a on nie chce się rozwieść.

– Nie do wiary.

– Słucham?

– Masz rację. Naprawdę rozumiesz.

Młody człowiek wrzucił ramionami i rzucił orzeszka onanizującej się  
małpie.

– Bob, ja to wszystko już widziałem. Ludzka natura to moja specjał-  
ność. A więc nie obchodzi cię, jak to zrobię.

– Jeśli tylko będzie wyglądać na...

– Wypadek. Dokładnie. Pamiętasz cenę, jaką podałem ci przez telefon?

– Dziesięć tysięcy dolarów.

– Połowa teraz, a połowa później. Przyniosłeś pieniądze?

- Mam w kieszeni.
- Nie dawaj mi teraz. Włóżysz kopertę do tamtego kosza. Za kilka sekund podejde do kosza i wrzucę tę pustą torebkę. Wtedy zabiorę pieniądze.
- Nazywa się Patrick Dolan.
- Szczegóły są w kopercie z pieniędzmi?
- Tak jak chciałeś.
- Nie martw się, Bob. Skontaktuję się z tobą.
- Zaczekaj. Później nie będę miał żadnej gwarancji, że...
- Szantaż? Naprawdę boisz się, że zrobiłbym coś takiego? Zdziwiasz mnie, Bob. To nie byłby dobry interes.

Dolan wyszedł ze sklepu żelaznego. Popołudniowe słońce przygrzewało mocno. Otarł pot z czoła i zmrużył oczy.

W jego pikapie siedział młody, przystojny blondyn w sportowym ubraniu i zjadał chipsy.

– Co jest, do diabła...

Podszedł do wozu i szarpnął drzwi.

– Hej, kolego, siedzisz w moim samochodzie...

Blondyn odwrócił się z rozbijającym uśmiechem.

– Sie masz, Pat. Chcesz chipsa?

Dolan otworzył usta. Pot spływał mu strumieniami z czoła.

– Co?

– Poczisz się, twój organizm potrzebuje soli, Pat. No, poczęstuj się.

Dolan zacisnął szczęki.

– Spływaj.

– Słucham?

– Wynoś się, zanim cię wyrzucę.

Młody człowiek westchnął z rozczarowaniem. Powoli odsunął zamek bluzy, odsłaniając duży pistolet wystający z kabury zawieszony na ramieniu.

Dolan poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zbladł i cofnął się odruchowo.

– Co to ma...

– Uspokój się, Pat.

– Słuchaj, stary, mam przy sobie tylko dwadzieścia dolarów.

– Nic nie rozumiesz. Wskakuj do samochodu, pogadamy.

Dolan rozejrzał się w panice. Nikogo nie było w pobliżu. Przemknęła mu myśl, żeby uciec.

– Tylko nie próbuj zwiewać, Pat.

Dolan ucieszył się w duchu, że nie musi podejmować tej decyzji. Szybko wsiadł do samochodu. Przeżuł kilka chipsów, ale jakoś nie poczuł smaku

soli. Przepełniona koszula przykleiła się do siedzenia. Raz po raz zerkał nerwowo na wyrzucenie bluzy.

– Rzecz w tym, Pat – powiedział młody człowiek – że mam cię zabić.

Dolan wyprostował się tak gwałtownie, że wyrznął głową w dach samochodu.

– Co?

– Twój wspólnik mnie wynajął. Jesteś wart dziesięć tysięcy dolarów.

– Jeśli to ma być żart...

– Interes, Pat. Zapłacił pięć tysięcy z góry. Chcesz zobaczyć pieniądze?

– To jakieś wariactwo!

– Nie powinieneś tego mówić, Pat. – Blondyn sięgnął pod bluzę.

Dolan wzdrygnął się.

– Poczekaj! Nie to miałem na myśli!

– Chcę ci tylko pokazać kartkę, którą dał mi twój wspólnik. Proszę. Chyba poznajesz jego charakter pisma.

Dolan wlepił wzrok w kartkę.

– Tu jest tylko moje nazwisko i adres.

– A także rysopis i rozkład dnia. On chce, żeby to wyglądało na wypadek.

Wreszcie Dolan zrozumiał, że to nie żart. Jego pierś uniosła się gniewnie, twarz poczerwieniała.

– A to parszywy drań! Wydaje mu się, że jest taki cwany! Ciągłe się mnie czepia, bydlak!

– Nie denerwuj się, Pat.

– Nosi tę frajerską peruczkę i chce mnie wykupić, ale nie dam mu tej satysfakcji!

– Rozumiem, Pat. To jest tak, jakbyście byli małżeństwem, a ty chcesz zadać mu ból.

– O tak, chcę! Wytrzymałem z nim przez dwadzieścia lat! A jemu się zdaje, że może kazać mnie zabić i przejąć interes? Podstępny sukinsyn...

– Bob, mam dla ciebie złe wieści.

MacKenzie omal nie rozlał scotcha, odwracając się gwałtownie. Blondyn stał koło niego przy barze i chrupał prażoną kukurydzą.

– Tylko mi nie mów, że spartaczyłeś robotę! – zawołał. Otworzył szeroko oczy i rozejrzał się nerwowo, jakby się bał, że za chwilę ktoś założy mu kajdanki.

– Nawet nie miałem okazji zacząć, Bob – powiedział blondyn dłubiąc w zębach.

– Rany boskie, co się stało?

– O mało nie złamałem zęba. Nie wszystkie ziarna się uprażyły. Powiniennem zażądać...

– Miałem na myśli Dolana!  
– Nie krzycz tak, Bob. Wiem, że o niego pytałeś. Nikt nie dba o to, że ktoś inny łamie sobie ząb. Każdy myśli tylko o sobie. Wstyd. Jesteś zwoleńnikiem wolnego rynku?

– Co?

– Czy popierasz zasadę nieskrępowanej przedsiębiorczości, która uczyniła ten kraj wielkim?

MacKenzie poczuł, że kolana się pod nim uginają. Oparł się o bar.

– Popieram – wymamrotał słabym głosem.

– A więc powinieneś mnie zrozumieć. Kiedy udałem się do twojego wspólnika...

– Rany boskie, ty mu powiedziałeś!

– Przecież nie mogłem go tak po prostu zabić, nie dając żadnej szansy. To nie byłoby w amerykańskim stylu.

MacKenzie zaczął się trząść.

– Jakiej szansy?

– Nie denerwuj się, Bob. Doszliśmy do wniosku, że on mi zapłaci, a ja go nie zabiję. Ale ty pewnie nastąpiłbyś kogoś innego. Więc ustaliliśmy, że zapłaci mi za to, żebym zabił ciebie. Przelicytował cię dwukrotnie. Zapłacił dziesięć tysięcy z góry i zgodził się dołożyć drugie tyle po pogrzebie.

– Nie mógł tego zrobić!

– Ale zrobił. Nie wściekaj się na mnie. Powinieneś być widzieć jego twarz. Facet się naprawdę wkurzył, słowo daję.

– A ty przyjąłeś jego propozycję! Przecież zawarliśmy umowę!

– Ustna umowa do niczego nie zobowiązuje, Bob. Tak czy owak, działaliśmy w warunkach wolnego rynku. Mój towar jest teraz więcej wart.

– Oszust!

Blondyn zrobił smutną minę.

– Przykro mi, że tak to odbierasz.

– Nie, zaczekaj. Nie to miałem na myśli.

– Zraniłeś mnie, Bob.

– Przepraszam. Sam nie wiem, co plotę. Jak tylko pomyślę o tym draniu...

– Rozumiem, Bob. Wybaczam ci.

– Pat, nigdy nie zgadniesz, co zrobił Bob.

Dolan drgnął. Oparty o barierkę, obserwował konie zbliżające się do mety. Odwrócił się. Blondyn stał koło niego, żując hotdoga.

– Chyba mu nie powiedziałeś?

– Musiałem, Pat. Jak uczciwość, to uczciwość. Zaproponował dwa razy więcej. Dwadzieścia tysięcy od razu i dwadzieścia po wykonaniu roboty.



– A ty przyszedłeś, żeby podnieść cenę?  
– Konie idą łeb w łeb! – zawołał spiker.  
– Inflacja, Pat. Ona nas wszystkich wykańcza – blondyn wytarł usta z musztardy.

– Uważasz mnie za głupca? – spytał Dolan.  
Blondyn zmarszczył czoło.  
– Za idiotę?  
– Co powiedziałaś, Pat?  
– Jeśli przelicytuję MacKenziego, pójdziesz do niego, a on da jeszcze więcej. Wtedy wrócisz do mnie, a ja znów pobiję stawkę... Mam tego dość, nie zapłacę!

– W porządku, Pat. Miło było cię widzieć.  
– Zaczekaj!  
– Coś się stało?  
– Pewnie, że tak! Przecież ty mnie zabijesz!  
– Wybór należy do ciebie.  
– Zwycięzcą jest!... – zaczął spiker.

Konie przebiegły obok, dudniąc kopytami. Dżokeje unieśli się w siodłach, żeby je uspokoić. Nad widownią zawisł tuman kurzu.

– Zapłacę ci, pal licha – mruknął Dolan. – Ale zrób to tym razem. Nie mogę spać po nocach, tracę na wadze. Dostałem wrzodów żołądka.

– Gonitwa się skończyła, Pat. Obstawiałś jakiegoś konia?  
– Szóstkę.  
– A to pech. Ta klacz przyszła na końcu. Gdybyś mnie zapytał, podpowiedziałbym ci, że trzeba postawić na trójkę.

– Bob, w życiu nie zgadniesz, co zrobił Pat.

– Pat, w życiu nie zgadniesz, co zrobił Bob.

Dolan przystanął koło MacKenziego, rozejrzał się i z westchnieniem usiadł koło niego na ławce w parku.

– A więc wymyśliłeś, żeby mnie zabić – odezwał się Dolan.

Twarz MacKenziego pozostała nieruchoma.

– Ty też nie byłeś daleki od tego.

Dolan rozłożył ręce.

– W obronie własnej.

– A ja miałem siedzieć spokojnie i czekać, aż mnie zadenuncjujesz w urzędzie skarbowym?

- Żartowałem.
  - Niezły żart. Kosztował mnie fortunę.
  - Mnie też.
  - A więc mamy ten sam problem.
- Skinęli głowami. MacKenzie rzucił gołębiom garść okruchów.
- Coś mi mówi – zaczął Dolan – że jedyne, co nam pozostaje, to...
  - ...zabić go.
  - Nie mamy innego wyjścia.
  - Inaczej osuszycie nam kieszenie do cna.
  - Jeśli zlecimy robotę komuś innemu, tamten też może wykręcić nam podobny numer.
  - Zrobimy to razem. W ten sposób nie będziesz mógł zwalić winy na mnie.
  - I nawzajem.
  - O co ci chodzi? Nie ufasz mi?
- Zmierzyli się spojrzeniem.

- Cześć, Bob. Jak leci?
- Blondyn uśmiechnął się zza biurka. Gryzł *taco*, przeglądając księgi podatkowe.
- Co to ma znaczyć?
  - Ten pan powiedział, że jest umówiony – wyjaśniła sekretarka.
  - Mniejsza z tym. Zajmiemy się tą sprawą.
  - Zamknij drzwi.
- Dolan i MacKenzie wbili w nieproszonego gościa groźne spojrzenia.
- Pozwoliłem sobie rzucić okiem na wasze księgi, koledzy. Niezły bałagan. Rządki beton, lewe materiały izolacyjne. Coś mi się zdaje, że czeka nas dużo pracy.
- Kropla czerwonego sosu spadła na księgę.
- Nas?
  - Tak. Jesteśmy teraz współnikami.
  - My?
  - Wziąłem od was pieniądze. A później je zainwestowałem.
  - W co?
  - W ubezpieczenie. Pamiętacie, że wspominałem o swoich studiach ekonomicznych? Uznałem, że dawne zajęcie mi nie odpowiada, więc poszedłem do specjalisty. Czego to biedny absolwent musi się chwycić, żeby w tych czasach dostać pracę.
  - Specjalisty?
  - Od mokrej roboty. Jeśli przyjdzie wam do głowy mnie sprzątnąć, podpiszecie na siebie wyrok.

MacKenzie westchnął boleśnie. Dolan poczuł, że bola go wrzody.  
– A więc zostaliśmy współnikami. Przygotowałem nawet wizytówki.  
Rzucił na stół umazaną sosem pomidorowym karteczkę.  
Napis brzmiał:

MACKENZIE-DOLAN-SMITH.  
WSPÓLNICY KONTRAKTOWI

# Czarny wieczór

*Nieczęsto wykorzystuję humor w moim pisarstwie. Poprzednie opowiadanie jest jednym z wyjątków. W tym zbiorze będzie ich jeszcze kilka. To, które zatytułowałem Czarny wieczór, jest całkowicie pozbawione humoru. Jego mroczny, niepokojący nastrój przypomina Krople. Opowiadanie ukazało się po raz pierwszy jako część serii poświęconej niesamowitym domostwom w antologii Horrors (Horror) pod redakcją Charlesa L. Granta, z którym od tej pory często współpracuję. Charlie, który sam jest świetnym pisarzem, zredagował kilka spośród najbardziej znanych antologii dreszczowców lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, między innymi wysoko cenioną serię Shadows (Cienie). Jednym z powodów, dla których nie pisałem opowiadań między tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym rokiem było to, że nie widziałem rynku dla takich utworów, jakie chciałem tworzyć. Dopiero po przeczytaniu antologii Charliego Granta zrozumiałem, że oto znalazłem bratnią duszę. Wiele z opowiadań, które Państwu tutaj przedstawiam, ukazało się w zbiorach opracowanych przez Charliego. Jestem zatem jego dłużnikiem, tak samo jak wielu innych twórców niesamowitych, mrocznych opowieści.*

**W**ięc pojechaliśmy tam wszyscy. Czuję, że się boicie, tak samo jak my wtedy, i od razu wam powiem, że słusznie. Budynek był w najgorszej dzielnicy miasta. Powiedziano mi, że w latach dwudziestych był to jeden z najlepszych domów, ale okiennice dawno odpadły, w deskach ganku ziały dziury, a farba popękała i złuszczyła się; o zmroku wyglądała na szarą, choć można się było domyślić, że kiedyś lśniła nieskazitelną bielą. Dom miał dwa piętra, kryty gontami dach z dwuspadowymi oknami i obszerne balkony. Nikt teraz nie ma pieniędzy na budowę tak dużych domów; z pewnością ten, kto go

postawił, musiał należeć do ludzi zamożnych. Oto prawdziwy dworek w stanie starczego zdziecinnienia. Ze smutkiem wyobraziłem sobie dumę pierwszych właścicieli i ich żal, gdyby ujrzeli, w jakim jest teraz stanie. Ale oni już dawno nie żyją, więc to i tak nie ma znaczenia. Dla nas w tej chwili znaczenie miał tylko ten smród.

Powiedziałem, że pojechaliśmy tam wszyscy. To znaczy mój zastępca, doktor i ja. Stanęliśmy koło radiowozu, wpatrując się w ciemną, cichą sylwetkę zapuszczonego domu. Widzieliśmy ludzi na gankach sąsiednich zaniedbanych, niegdyś wspaniałych willi, których sylwetki rysowały się na tle gasnącego zachodu słońca. Wstrzymując oddech, ruszyliśmy w stronę drewnianej furtki, z której przy pierwszym dotknięciu odpadła jedna sztacheta. Zbliżyliśmy się do schodów. Spomiędzy kamieni chodnika wystawały kępy trawy, podwórko zarosło chwastami. Słońce znikło za horyzontem, owionęło nas chłodne, prawie wilgotne powietrze; snopy światła z naszych latarek skakały po ciemnym murze, gdy wspinaliśmy się po stopniach na ganek. Musieliśmy ominąć kilka zapadniętych desek i stos gazet. Przez witrażowe okna zajrzeliśmy w czarną jak smoła ciemność panującą wewnątrz. Nacisnąłem dzwonek. Rozległ się głuchy, przytłumiony dźwięk. Nie odpowiedziało mu żadne echo. Nie zapaliło się światło, nie usłyszeliśmy szurania butów. Zadzwońnię jeszcze raz. Czekaliśmy.

- I co teraz? – spytał nerwowo mój zastępca.
- Dajmy im czas, są starzy – odparłem. – Może nie ma ich w domu.
- Tam jest tylko jedna osoba – sprostował doktor.
- Co takiego?
- W tym domu mieszka tylko jedna kobieta. Agnes. Ma co najmniej osiemdziesiąt lat.
- Może śpi.
- Chyba sam w to nie wierzysz. Gdyby tak było, nie musielibyśmy przyjeżdżać.

Nacisnąłem dzwonek jeszcze raz. Zamieszkałem w tym miasteczku niedawno, a wcześniej wiele lat spędziłem w dużym mieście; pewnie zbyt wiele, dlatego zdawało mi się, że przeprowadzam się do lepszego świata. Jako młody stażem szef policji nie zamierzałem zrażać do siebie mieszkańców, zakłócając spokój starej kobiety.

Tak czy owak, smród był nie do wytrzymania. W żołądku mi się przewracało, a nozdrza rozszerzały się mimo woli. Telefony sąsiadów nie dawały nam spokoju, więc w końcu musieliśmy zareagować.

- No dobrze, wchodzimy.

Nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Popchnąłem. Ustąpiły lekko, z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje łamana tektura. Żadnego trzasku, tylko miękki, cichy chrzęst. Drewno pod moimi stopami ugięło się, od dawna spróchniałe.

– Jest tu kto?

Cisza.

Spojrzeliliśmy po sobie i weszliśmy do środka. W holu unosił się kurz. Smród stał się jeszcze silniejszy.

Zapaliliśmy latarki. Domyśliłem się, że pokój stołowy, albo raczej salon, znajduje się za łukowatym wejściem po naszej prawej stronie. Wypełniały go stosy gazet sięgające powyżej mojej głowy. Prowadził między nimi zaimprovizowany korytarz, którym posuwaliśmy się powoli.

– Może to po prostu gazety – powiedziałem zwracając się do doktora. – Mokra, zbutwiałe gazety...

– Chyba sam w to nie wierzysz.

Przekroczyliśmy następne wejście.

– Jest tu kto?

Światło latarki przemknęło po pajęczynach oplatających fortepian, który niemal utonął pod stosami gazet.

– Ale tego jest. Ci starzy ludzie... – zaczął mój zastępca, lecz zakrztusił się i nie dokończył.

– Trzeba będzie sprawdzić wszystkie pokoje, jeden po drugim – powiedziałem.

Zaczeliliśmy od poddasza. Wszędzie gazety; rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty, trzydziesty szósty, czterdziesty drugi i pięćdziesiąty ósmy. Każdy pokój poświęcony jednej dekadzie. Na drugim piętrze znaleźliśmy sypialnię, która przypominała normalną, bo przynajmniej nie była zapchana śmieciami. Nie znam się specjalnie na meblach, ale odniosłem wrażenie, że pokój nie zmienił się od lat dwudziestych. Baldachim nad łóżkiem, witraże, grube obicia krzesel – wszystko to pochodziło z innej epoki.

W łóżku od dawna nikt nie spał. Spróbowaliśmy zapalić światło. Nie działało.

– Coś mi się zdaje, że nie zapłaciła rachunku za prąd – zauważył mój zastępca, pokaszując.

Kurz, pajęczyny, wszechobecny smród. Z zapalonymi latarkami zeszliśmy na parter. W takich przypadkach zawsze należy zaczynać od piwnicy, ale człowiek mimo woli zostawia ją na sam koniec.

Stanęliśmy w spiżarni na parterze. Fetor przybrał jeszcze na sile. Naprzyłem mięśnie i pociągnąłem drzwi. Smród uniósł się i spadł na nas jak ciężka zasłona. Ruszyliśmy w dół, ostrożnie stawiając kroki na skrzypiących stopniach.

Jestem wyćwiczony w sztuce obserwacji. Nauczono mnie panować nad emocjami i akceptować to, co widzę. Ale nie jest to łatwe, zwłaszcza gdy w świetle latarki dostrzegasz tylko jeden przedmiot. Twoje przerażenie narasta, aż wreszcie staje się nie do wytrzymania.

Najpierw bezgłowe ciało kobiety na podłodze; unosił się z niego odór jak z kartofli zgniłych na papkę, która wylewa się spod skórki. Trudno było powstrzymać wymioty.

Wtedy, nie wiedząc czemu, przesuwasz snop światła i spostrzegasz jej głowę wiszącą na pętli, z białymi włosami, płatom mięsa odpadającymi z policzków i rozkładającymi się gałkami ocznymi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bo oto znów bez przyczyny, jakbyś wiedział, że to musi być właśnie tam, kierujesz strumień światła w kąt, w stronę maleńkiego stolika dla lalek z zastawą do herbaty, gdzie przywiązane do zabawkowego krzeselka zwisa jeszcze jedno ciało... Samotne, martwe ciało małej dziewczynki. Poznajesz, że to dziewczynka, po długich włosach, kokardzie i sukience, bo z jej twarzy owady zrobiły sobie żerowisko. Ale i to jeszcze nie wszystko, to jeszcze nie koniec. Ubranie, które ma na sobie, pochodzi sprzed wielu dziesięcioleci. Słomkowy kapelusz, buciki z guzikami, żółta kokarda, podziurawiona przez mole sukieneczka. Wygląda to tak, jakby zmuszono ją do włożenia kostiumu i odegrania roli, której nie chciała grać. Kokardę na szyi dziewczynki ktoś zacisnął tak mocno, że poczerniały język wysunął się z ust.

– Jezu Chryste – jęczy zastępca. Żółć wezbrana w moich ustach zaczyna nieznośnie palić.

– No więc pomóż mi to zrozumieć.

Siedzimy w moim biurze w centrum; ostre światło razi w oczy. Chociaż na dworze jest zimno i wieje porywisty jesienny wiatr, otworzyłem wszystkie okna i włączyłem wentylator, żeby tylko uwolnić się od smrodu.

– Zabiła dziecko, potem się powiesiła, to jasne – mówię. – Ale dlaczego? Jestem tu nowy, nie wszystko rozumiem. Dlaczego to zrobiła?

Słyszę tylko szum wentylatora.

Doktor odchrząkuje.

– Agnes mieszkała w tym domu od początku. Zbudowali go z mężem.

– Zdawało mi się, że...

– Wtedy nie brakowało im pieniędzy – ciągnie doktor słabym głosem, nie przerywając. – On był bankierem. Dobrze im się wiodło.

– Mąż?

– Miał na imię Andrew. To było w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Świat należał do nich. Mieli dziecko, trzyletnią córkę. Umarła jesienią. Na dyfteryt. Wiem od ojca, który bardzo się zainteresował tą sprawą. Nie mógł uratować córki, a potem patrzył, jak jej rodzice załamują się pod ciężarem rozpaczy. Andrew odszedł pewnego dnia, żona odizolowała się od ludzi. Jak łatwo to teraz zrozumieć. Widzisz, od czasu do czasu zdarzały się tutaj zaginięcia dzieci; zazwyczaj jesienią, tak jak teraz. Na przykład ta dziew-

czynka, którą znaleźliśmy. Wszyscy jej szukali. Wkrótce będziesz musiał zawiadomić jej rodziców. Nie zazdroszczę ci. Domyślam się, że z biegiem lat Agnes coraz bardziej odsuwała się od ludzi, aż w końcu zwariowała. Próbowwała znaleźć coś zamiast tego, co utraciła. Porywała dzieci, ale nie mogła wypuszczać ich żywych, bo opowiedziałyby o tym, co zrobiła. Zabijała je, wierząc, że nadal żyją, że każda z tych dziewczynek jest jej córką.

– Udawała, jak dzieci bawiące się lalkami?

– Można tak powiedzieć. Jej szaleństwo było tak dziwaczne i potworne, że na samą myśl o nim rozum się miesza. Co robiła ze zwłokami dzieci? Może kiedy zaczynały gnić, trudno jej było dalej wierzyć, że żyją. Może tym razem dotarło do niej, co zrobiła, czym się stała, i dlatego się powiesiła.

– To pasuje – odzywa się mój zastępca. Twarz ma nadal białą jak papier. – To ma sens.

– No właśnie – odpowiada doktor. – Szaleniec zawsze postępuje logicznie, tylko że jego logika jest potwornie skrzywiona.

Pozostało mi dużo do zrobienia. Na razie postanowiłem nie dzwonić po ambulans. Chciałem ułożyć to sobie w głowie, zanim na miejscu zbrodni zarozi się od ludzi, zanim zginie jakiś ważny dowód. Jednocześnie wiedziałem, że muszę działać od razu: wezwać karetkę, zawiadomić rodziców. Właśnie sięgałem po słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak? – Po chwili już wiedziałem, jak bardzo się wszyscy myliliśmy.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na moich towarzyszy.

– To nie Agnes.

– Co? – Doktor i mój zastępca wbili we mnie wzrok.

– To Andrew – wyjaśniam idąc do drzwi.

– On wyjechał w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym – mówi doktor.

– Nigdy stąd nie wyjechał.

Biegniemy do radiowozu.

– On ciągle tam jest.

– Przecież sprawdziliśmy cały dom – dziwi się zastępca.

– A on tam był cały czas. Nie zauważyliśmy go, jakbyśmy byli ślepi.

Wskakujemy do samochodu. Zapalam silnik i ruszamy z piskiem opon.

– Nadal nic nie rozumiem – mówi doktor.

Nie mam czasu ani ochoty tłumaczyć. Ostro wchodzę w zakręty, pędzę bocznymi uliczkami. Wjeżdżamy w starą, zaniedbaną dzielnicę willową. Wybiegam z samochodu, rzucam się do furtki, na ganek i do środka domu.

– Wiem, że tam jesteś, Andrew! Wychodź! I tak cię znajdę!

Moje kroki dudnią groteskowo w ciemnym wnętrzu domu. Z zapaloną latarką wpadam do salonu.

– Andrew, jeśli jej coś zrobiłeś, przysięgam, że cię ukarzę. Zapłacisz mi za te wszystkie dzieci.

Gwałtownymi szarpnięciami przewracam stosy gazet.



– Szefie, niech się pan uspokoi – woła zastępca.

Ani myślę. Słupy papieru wałą się jeden po drugim. Przedzieram się na drugą stronę salonu.

– Pomóżcie mi! – krzyczę.

W końcu znajdujemy Andrew w saloniku z fortepianem, a raczej w zakątku o ścianach z gazet. Siedzi tam, stary, zwiotczały, a zarazem dziwnie żwawy. Podnosi na mnie szeroko otwarte oczy; bije od niego zatęchła woń starych gazet. W zaciśniętych ramionach kryje swoją tajemnicę, ale ja łapię go za koszulę i rozwieram ręce. Mała dziewczynka w ubranku z lat dwudziestych, związana i zakneblowana, spogląda na mnie oczami rozszerzonymi z przerażenia. To Andrew porywał dzieci. Wcale nie wyjechał, tylko zwariował. Agnes ukryła męża, żeby go ochronić. Jednak z każdym kolejnym zabitym dzieckiem jej lojalność słabła, aż w końcu, postawiona wobec tak straszego wyboru, nie wytrzymała i popełniła samobójstwo.

Odgadłem, że Andrew tam jest, bo odebrałem telefon z informacją o kolejnym zaginionym dziecku. Włosy tego dziecka posiwiały z przerażenia i już na zawsze miały takie pozostać. Skoro Agnes nie mogła go porwać, mógł to zrobić tylko Andrew. Ta dziewczynka, teraz już dorosła, ma nadal białe włosy. Mogę o tym zaświadczyć, bo jest moją córką. Czasem nawet mnie rozpoznaje, kiedy odwiedzam ją w weekendy.

# Niewidzialny śmiech

*Ostatnia opowieść z cyklu o niesamowitych domostwach, Niewidzialny śmiech, została opublikowana w tym samym roku co Czarny wieczór, czyli tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Podczas kursu poezji współczesnej na uniwersytecie poznałem poemat T. S. Eliota Cztery kwartety i od tej pory utwór ten nie daje mi spokoju. Zwłaszcza jego pierwsza część, zatytułowana Burnt Norton, której osobliwy, jakby nie z tego świata nastrój stwarza wrażenie pozaczasowości. Kiedy przeprowadziłem się z rodziną do Iowa City, zamieszkaliśmy na ranczu, w małym, uroczym domku, który w końcu stał się dla nas za mały. Ale później, po przeprowadzce do dużego domu w innej dzielnicy miasta, często spacerowaliśmy tamtędy, aby wspominać sześć cudownych lat, które spędziliśmy w naszej chatce. Domek stał się dla nas symbolem naszej młodości tuż po skończeniu studiów, dreszczu podniecenia towarzyszącego przeciężaniu trudności związanych z rozpoczynaniem samodzielnego życia. Zaczęłam się zastanawiać, czy w pewnych warunkach można pokochać dom tak bardzo, że powstaje swoista mistyczna więź z nim, nie pozostawiająca miejsca dla żadnych innych uczuć. Ten dom, który nadal czule wspominam, opisany jest w niniejszym opowiadaniu.*

**W**poemacie Eliota *Burnt Norton* jest wers mówiący o niesłyszalnej muzyce i liściach, w których kryją się dzieci, wesole, z trudem powstrzymujące się od śmiechu. Wyczuwałem tę muzykę, prawie widziałem dzieci, jednak nie w listowiu, ale w domu, gdzie mieszkałem. Było to tak dawno temu, że teraz myślę o mnie samym w trzeciej osobie. Mówię więc, że to „on” ujrzał ją idącą w jego stronę. Wyglądała na bardzo czymś zdziwioną. „Jest coś niesamowitego w tym domu, który sprzedaliśmy, powiedziała.

Wszyscy sąsiedzi opowiadają o dzieciach, które śmieją się tam w środku”.

I to właśnie było dziwne, bo on przecież zamknął drzwi na klucz, kiedy się wyprowadzali; poza tym w sąsiedztwie mieszkało niewiele dzieci i żadne nie zaginęło. „Chyba powinnam tam zajrzeć”, dodała. Miała klucz, bo nowi lokatorzy jeszcze się nie wprowadzili; lubiła ten dom, w którym wzięła ślub, chciała więc zobaczyć go po raz ostatni. On nie uważał tego za dobry pomysł, ale nie udało mu się jej odwieść od tego zamiaru. Majstrował właśnie przy półkach na książki, więc powiedział jej tylko, że z niecierpliwością czeka na relację o tajemniczym śmiechu, który zapewne nie istnieje, bo powstał w czyjejs wyobraźni. Wyszła więc i nigdy więcej jej nie zobaczył.

To się stało rano. Czekał na nią z lunchem, ale w końcu zjadł sam. Pomyślał, że pewnie postanowiła przy okazji odwiedzić dawnych sąsiadów. W końcu ich małżeństwo było związkim wolnych ludzi, więc nie miał się czym martwić. Nadszedł wieczór, czas kolacji, a ona nadal nie wracała; wtedy się zaniepokoił. Nakarmił dzieci i usiadł przy telefonie. Jednak okazało się, że żaden z sąsiadów nie widział jej po lunchu.

Dowiedział się, że weszła do domu i tak jak się spodziewał, niczego nie znalazła. Później – znów zgodnie z jego przewidywaniami – odwiedziła znajomych. Po lunchu wróciła do domu, żeby po raz ostatni rzucić na niego okiem, a sąsiedzi zajęli się swoimi sprawami. Ale ktoś sobie przypomniał, że jej samochód nadal stał na podjeździe, więc pewnie rzeczywiście poszła do kogoś z wizytą. Wykonał kilka kolejnych telefonów i dowiedział się, że nikt inny jej nie widział, co jeszcze bardziej go zmartwiło. Pomyślał, że może miała jakieś kłopoty z samochodem i zostawiła go. Ale w takiej sytuacji na pewno by zadzwoniła, to jasne. Sprowadził opiekunkę do dzieci i wsiadł do samochodu.

Dom wyglądał mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy się wyprowadzali. Może tylko trawa nieco za bardzo urosła, krzewy wymagały przycięcia i na parapetach zebrało się trochę kurzu; ale poza tym nic się nie zmieniło. Kiedy tak stał na krawężniku i przyglądał się ich starej chatce, poczuł ogarniającą go tęsknotę: za młodością, za chwilami, gdy wszystko zaczynali. Tylko sobie nie wyobrażajcie, że był to jakiś imponujący dom. Ot, zwyczajny, parterowy domek, nic więcej. Z bujnym klonem po prawej stronie, przygarbioną śliwą po lewej i gankiem pośrodku. Nazywali to kiedyś budownictwem niskobudżetowym; na prawdziwy dom mogli sobie wtedy pozwolić ambitni ludzie, którzy potrafili oszczędzać. Dużo się od tamtych czasów zmieniło: przybyło pieniędzy, ale i życie się skomplikowało. Wróciły do niego wspomnienia dawnych, niewinnych czasów.

Zbliżył się do drzwi, zamkniętych na klucz. Oczywiście. Tak bardzo lubiła ten dom, że nigdy nie zostawiłaby go bez zabezpieczenia. Ale on też

miał klucz, który włożył teraz do zamka i przekręcił. Szczęk metalu odbił się echem od pustych ścian i podłogi. Schowki, które razem budowali, podłogi z drewna sekwoi, które smarowali pokostem – wszystko to przywołało w jego pamięci szereg przelotnych obrazów, wspomnień z początków ich małżeństwa.

Czekał i słuchał. „Kochanie?” – zawołał cicho, nie licząc właściwie na odpowiedź. Przeszedł z pokoju stołowego do kuchni, szukając jakichś śladów jej pobytu. W kuchni wszystko było na swoim miejscu, więc skierował się do piwnicy. Może się przewróciła i spadła ze schodów. Zacerpnął powietrza i otworzył drzwi, ale zobaczył tylko gołą posadzkę. Omal nie zrezygnował z zejścia na dół, ale wiedział, że musi sprawdzić dokładnie każdy zakamarek. Obejrzał wszystko, zerkając za piec, pralkę i suszarkę, które sprzedali wraz z domem. Schylił się i zajrzał nawet do niszy, gdzie nie dało się wejść inaczej niż na czworakach. Wrócił na górę, sprawdził schowki, sypialnię, mniejszą łazienkę, ale jej nigdzie nie było. Nie wiedział, co dalej robić. Zbliżając się do drzwi wejściowych, przypomniał sobie o poddaszu i nie wiedzieć czemu zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

W pierwszej chwili zlekceważył nieprzyjemne przecucie i pomyślał, że nie miała żadnego powodu, aby tam wchodzić. Ale przecież zamierzał sprawdzić każdy zakątek domu i rozumiwał, że jeśli nie wejdzie na strych, myśl o tym nie da mu spokoju. Wrócił więc do holu i zbliżył się do kłapy prowadzącej na poddasze. Z trudem dosięgnął pierścienia, ale w końcu udało mu się go uchwycić i pociągnąć. Składane schody rozsunęły się, sięgając aż do podłogi. Odczekał chwilę. Dobiegało stamtąd coś w rodzaju gruchania gołębi, cichego i niewyraźnego, które ludzie wzięli pewnie za śmiech. W gruncie rzeczy dźwięk ten należało raczej nazwać chichotem. Nagle zapadła cisza.

Oczywiście. Na strychu zagnieździły się ptaki, które teraz usłyszały człowieka i ucichły. Ona pewnie tam weszła i zraniła się. Dopiero później uzmysłowił sobie, że zostawiłaby kłapę otwartą. Wtedy wiedział tylko, że musi zajrzeć na strych, i to jak najszybciej. Wdrapał się więc na górę, ale zobaczył tylko warstwy izolacji cieplnej, przewody i pajęczyny. Ani śladu jej, ptaków, śmiejących się dzieci. W nieruchomym powietrzu wisiała woń stęchlizny. Spocony, zajrzał we wszystkie kąty, ale i tam jej nie znalazł. Raptem uświadomił sobie, że wszedł na strych nie zwracając uwagi na to, czy kurz nie został wcześniej poruszony. Teraz, gdy jego kolana zostawiły na podłodze nieregularne smugi, nie sposób było stwierdzić, czy ktoś wchodził wcześniej na poddasze. Znieruchomiał, żeby lepiej słyszeć. Gdy pot zaczął zalewać mu oczy, wycofał się.

Kiedy znalazł się przed domem, ogarnęło go zdziwienie. Poszedł jeszcze raz do sąsiadów. Ktoś przypomniał sobie, jak rozmawiała z jakimś mężczyzną, ale wszyscy byli pewni, że do domu wróciła sama. Spytał, czy może skorzystać z telefonu. Zadzwoił do znajomych, potem do szpi-

tala i pod wpływem impulsu – na policję. Nikt jej nie widział, nikt nie mógł mu pomóc. Policjanci nie zgodzili się przyjechać, ponieważ nic nie wskazywało na to, że stało się coś złego. „Proszę spokojnie czekać. Żona na pewno wróci”.

Wyszedł od sąsiadów i skierował się do domu. Jednak tym razem, w zapadającym już zmierzchu, uświadomił sobie, że z wnętrza domu dobiega jakiś dźwięk, a właściwie nawet nie dźwięk, lecz jakby jego echo. Zrobił jeszcze krok. Wrażenie znikło, ale po chwili znów się pojawiło, tym razem bliższe, silniejsze. Prawie czuł, że to coś znajduje się tuż, tuż. Zbliżał się do domu. Muzyka, niewidzialna, niesłyszalna, jakby wesołe pobrękiwanie, odległe, a mimo to bliskie. Gdy stanął u drzwi, rozpoznał gruchanie gołębi i usłyszał perlisty, dziecięcy śmiech, lecz gdy wkroczył raptownie do środka, otoczyła go ciemność i pustka. Śmiech znikł, jakby nigdy nie istniał. To była tylko gra jego wyobraźni.

Jednak od tamtego dnia wsłuchiwał się w śmiech wiele razy. Wracał tam często, stawał i czekał, aż się pojawi. Tak bardzo pragnął go słyszeć, że odkupił dom. Mieszka tam teraz z dziećmi, które jej nie pamiętają. Upłynęły lata. Czasem coś im się przypomina jak przez mgłę, ale trudno to nazwać prawdziwymi wspomnieniami. I nie słyszą śmiechu.

Co się stało? Policja w pierwszej chwili podejrzewała go o morderstwo, lecz zdołał ich przekonać o swojej niewinności. Rzadko się z nią kłócił i wydawało się, że dobrze się między nimi układa. Nie było w jego życiu innej kobiety, a motyw majątkowy w rodzaju polisy ubezpieczeniowej także nie wchodził w grę. On jednak nie przestaje dociekać. Wiedząc, że myśli czasem o sobie jako o „tamtym”, że rozróżnia między sobą teraz i wtedy, zastanawia się, czy przypadkiem nie ma rozdwojenia jaźni. Być może ją zabił jako ten drugi i nic o tym nie wie. Ale nie znajduje żadnej przyczyny, dla której chciałby coś takiego zrobić.

No dobrze, została uprowadzona. Nie otrzymał jednak żadnej wiadomości z żądaniem okupu, a nie potrafił znieść myśli o tym, co mogłyby z nią zrobić porywacz, któremu nie chodzi o okup. Wyobrażając sobie swoją żonę, bezsilną, drżącą z przerażenia, wolał ludzić się, że pewnego dnia wróci. Miał nawet nadzieję – choć w normalnych warunkach byłaby to bolesna myśl – że odeszła od niego, że później nie było jej tak dobrze jak na początku ich małżeństwa, że mężczyzna, z którym ją widziano, był jej sekretnym kochankiem i zapewnił jej szczęśliwsze życie.

Dreczy go żal i tęsknota, i w samotności wyobraża sobie, że ona jest ciągle z nim, wokół niego, że nie odeszła, lecz tylko wróciła.

Dokąd? – pyta i sam sobie odpowiada: do czasu młodości i niewinności.

Ma swoją teorię, fantastyczną, lecz kojącą: że w życiu każdego człowieka jest takie miejsce, do którego można wpaść niechcący lub nawet przeniesie się świadomie; że ona mieszka tam obok śmiechu, w lepszym czasie i prze-

strzeni. Pośród śmiechu dzieci słyszy czasami śmiech kobiety, która być może bawi się z nimi, albo po prostu śmieje się ot, tak. Przypomina sobie wtedy słowa Eliota. O tym, co było. Co mogło być. Moje słowa odbijają się echem śmiechu.

# Maszyna

*Cztery opowiadania w ciągu dziesięciu lat. Trudno mnie nazwać płodnym pisarzem. Czy płodni pisarze mają jakiegoś tajnego sprzymierzeńca, który podnosi ich wydajność... na przykład specjalną maszynę do pisania? Następne opowiadanie, łączące mroczny nastrój z humorem, przedstawia ciemną stronę pisarskiej ambicji. Jest dłuższe niż poprzednie opowieści i można je uznać za zapowiedź cyklu nowel – tak więc kolejne utwory, z wyjątkiem kilku opowiadań, będą dłuższe. Liczne odniesienia literackie w tym opowiadaniu – do Trumana Capote, Johnny’ego Carsona i programu telewizyjnego Tomorrow – wydają się dziś przestarzałe, lecz kiedy spróbowałem je uaktualnić, straciły siłę oddziaływania. W końcu zrozumiałem, że Truman i Johnny muszą mieć swoje miejsce w moim opowiadaniu, które zostało opublikowane w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Żeby uczynić je zupełnie aktualnym, musiałbym napisać o komputerze, a nie o maszynie do pisania.*

**R**ęka zaswędziała, jakby dotknął zepsutego kontaktu albo nastąpił na węża. Eric poczuł chłód na skórze i zadrzał.

Szukał krzesła kuchennego. Jego stare – naprawdę stare – a przy tym jedyne kuchenne krzesło uległo zniszczeniu ostatniej nocy, strzaskane przez pijaną poetessę, która straciła równowagę i upadła na nie całym ciężarem swojego zbyt obfitego ciała. Prawdę powiedziawszy, określenie „poetessa” było dla niej niezасłużonym komplementem. Ta bezwstydnie zaprzędana komercji samozwańcza muza wywołała niesmak gości na przyjęciu Erica w Greenwich Village wersami o kotach, deszczu i światłach przystani: „Słyszcie to, co widzicie. Widzę, co słyszycie”. Rod McKuen w spódnicy. Zgroza, pomyślał Eric wzdrygając się ze wstrętem.

A przecież jego przyjęcia literackie były klasą dla siebie; powinien dbać o swoją reputację. Wydawnictwo Subway Press właśnie opublikowało jego najnowszy zbiór opowiadań, *Po narodzinach*. Wzbogacony grą słów tytuł Eric uznał za prawdziwy majstersztyk. Napisał też swój comiesięczny esej dla „Village Mind”, w którym przedstawił analizę metanarracji i surrealizmu w prozie postmodernistycznej. Kiedy zatem ten surogat poetessy zjawił się na przyjęciu bez zaproszenia, Eric omal jej nie wyprosił. Przeprowadził ją jednak redaktor z „Village Mind”, więc Eric musiał zapomnieć o stylu w zamian za możliwość publikowania swoich esejów w gazecie. Wśród znaczącego pokasływania, które rozległo się po recytacji utworów nieproszonego gościa, Eric uniósł się majestatycznie z wytartej poduszki na podłodze i uratował sytuację, odczytując swoje najnowsze opowiadanie, *Koci skat*. Dopiero później, gdy stanął nad szczątkami ostatniego kuchennego krzesła, zrozumiał, jak wielki popełnił błąd postępując wbrew swym zasadom.

Lamus był niedaleko, tuż przed stacją metra. Słowo „rupieciarnia” pasowało do niego znacznie lepiej. Studenci kupowali od pomarszczonego sklepikarza łóżka i stoły. Czasem trafiały się jednak wśród rupieci rzeczy całkiem wartościowe, a poza tym Eric nie miał wielkiego wyboru. Bo prawdę mówiąc, niewiele zarobił za swoje opowiadania. Utrzymywał się ze sprzedaży koszulek przed kinami i z tego, co dostawał od matki.

Eric wszedł do sklepu, zostawiając za sobą gorące, parne popołudniowe powietrze.

– Coś dla pana? – spytał staruszek.

– Niewykluczone – odparł wyniośle Eric, ocierając pot z czoła. – Rozejrzę się trochę.

– Jak pan sobie życzy, przyjacielu. – Staruszek zaciągnął się półcentymetrową resztką papierosa, zerkając na formularz z rozkładem gonitw wyścigów konnych. Jego poźółkłe paznokcie wyraźnie domagały się obcięcia.

Długie, wąskie pomieszczenie zawalone było produktami odpadowymi czyichś klęsk. Na przykład to strzaskane lustro na toalecie. Albo tamten omszały od pleśni materac. Promienie słońca z trudem docierały do wnętrza sklepu, więc Eric posuwał się niemal po omacku.

Dotknął poplamionego stolika z rozkraczonymi nogami, który przysiadł na pękniętej sofie. Z otworu wyzierały kłęby brudnej pianki. Ostra woń uderzyła w nozdrza Erica.

Stoły kuchenne. Znalazł się nawet jeden zlewozmywak. Ale nigdzie krzesła.

Eric przedarł się odważnie do samego końca labiryntu. Potknął się o kabel lampy i upadł na toaletkę ze śladami plam od wody. Potarł bok i ściągnął pajęczyny z czoła; w tym momencie jego wzrok padł na przysadzisty kształt wystający zza stosu zakurzonych gazet. Zadrzał, jakby dotknął gniazda pajaka lub usłyszał grzechotanie kościotrupa.



Była więcej niż brzydka – wręcz szkaradna. Te gałki i kanciaste krawędzie, metalowe zakrętas i dźwignie. Czemu one mogą służyć? Są chyba tylko groteskowym przejawem złego smaku, jak gdyby właściciel uznał, że ten model wymaga upiększenia i przyspawał do niego mnóstwo zbędnych kawałków metalu. Imitacja sztuki kinetycznej w wydaniu szalonego mechanika. Istna otchłań brzydoty, pomyślał Eric. A waży co najmniej z pięćdziesiąt kilo. Kto mógłby chcieć pisać na takim brzydactwie? Ale w jego głowie już uruchomił się ciąg skojarzeń. Baudelaire. *Kwiaty zła*. Oscar Wilde. Aubrey Beardsley. Tak, *Żółta księga!*

Poczuł przyływ natchnienia. Brzydka aż do granic możliwości maszyna do pisania. Mimo bólu skrzywił wargi w uśmiechu. Jak cudownie będzie usłyszeć, co powiedzą przyjaciele. Oznajmi im, że postanowił kontynuować tradycję Baudelaire’a. Zostanie dekadentem. Będzie przerażał i bulwersował. Przesiąknięte złem opowieści z potwornej maszyny do pisania. Może nawet zapoczątkuje nowy trend literacki.

– Ile za to paskudztwo? – rzucił mimochodem.

– Że co? – Właściciel podniósł głowę znad tabel.

– Za ten rozklekotany złom, który wygląda jak karykatura maszyny do pisania.

– A, o to chodzi. – Skóra starego miała piaskowy odcień, a jego włosy przypominały pajęczynę. – Ma pan pewnie na myśli ten bezcenny, unikalny antyk.

– Nie. Mam na myśli ten sakramencki szmelc.

Stary zmierzył klienta wzrokiem, po czym skinął ponuro głową.

– Czterdzieści dolców.

– Czterdzieści? To zdzierstwo! Dam dziesięć!

– Czterdzieści. I nie jest to żadne zdzierstwo, kolego, tylko biznes. Ten kawał żelastwa leży u mnie od ponad dwudziestu lat. Nigdy bym nie kupił, ale właściciele sprzedawali ją razem ze stertą porządnych rzeczy i nie chcieli odpuścić. Dwadzieścia lat. Liczę dwa dolary za każdy rok, kiedy tu leżała i zajmowała miejsce. Hojny jestem. Powinienem wziąć sto. Boże, jak ja nienawidzę tej kupy złomu.

– Więc powinien mi pan dopłacić, żebym ją stąd zabrał.

– I pójść na zasilek. Ale nie zamierzam. Czterdzieści. Tylko dzisiaj, dla ciebie, kolego. Za pół darmo. Jutro będzie kosztować pięćdziesiąt.

Eric był wysoki i przystojny, a przy tym wyjątkowo chudy. Artysta powinien wyglądać ascetycznie, powtarzał sobie, ale prawda była taka, że nie miał wyboru. Jego szczupłość nie brała się z zamiłowania do estetyki, ale po prostu z niedojadania. Eric na własnym żołądku przekonał się, że sztuka nie popłaca. Nie nagradza się tych, którzy mówią prawdę. Jak mógł oczeki-

wać, że System będzie sprzyjał takim jak on bezkompromisowym buntownikom?

Mieszkanie Erica znajdowało się zaledwie o jedną przecznicę dalej, ale miał wrażenie, że pokonał już co najmniej kilometr. Wystające części maszyny gniotły go w żebra, dźwignie wpijały się w pachwiny. Kolana uginały się pod Erikiem, nadgarstki ledwo utrzymywały się w stawach. Wielki Boże, po co ja kupiłem tę cholerną maszynę? Ona nie waży pięćdziesiąt kilo, ale tonę.

A jaka jest wstrętna! W bezwzględnym świetle dnia wyglądała jeszcze gorzej. Gdyby ten stary handlarz zapalił od czasu do czasu światło w swojej rupieciarni, klienci zobaczyliby, co kupują. Straszny ze mnie głupiec, pomyślał Eric. Powinienem wrócić i odebrać pieniądze. Ale kiedy płacił za maszynę, stary sklepikarz podniósł palec i skierował go na wiszącą na ścianie tabliczkę z napisem: TOWARY ZAKUPIONE NIE PODLEGAJĄ WYMIANIE.

Spocony Eric wspinał się na upstrzone ptasimi kupami schody prowadzące do mieszkania. Zamek w pękniętych drzwiach frontowych był zepsuty. Płaty tynku zwisały z sufitu, a farba łuszczyła się na ścianach. Podłoga się wybrzuszyła, schody zapadły, a balustrada wygięła jak pałak. W nozdrza wdzierał się kwaśny odór kapusty, cebuli i uryny.

Stare deski schodów uginały się ze skrzypieniem przy każdym kroku. Eric obawiał się, że nie wytrzymają ciężaru, który dźwiga. Trzy kondygnacje. Cztery. Chyba łatwiej zdobyć Mount Everest. Grupa nastolatków w szerokich jak worki spodniach – gwałciciele, złodzieje samochodów i bandyci, jak podejrzewał Eric – zachichotała na jego widok, pędząc w dół. Stary pijak otworzył szerzej nabiegłe krwią oczy, jakby pomyślał, że przedmiot w rękach chudzielca jest kolejnym zwidem alkoholowym.

W końcu Eric dowlóknął się na siódme piętro; zatoczył się i omal nie przewrócił. Nogi uginały się pod nim, gdy ruszył korytarzem. Jęknął nie z wysiłku, lecz z przerażenia na widok mężczyzny walącego w drzwi jego mieszkania.

Był nim właściciel budynku, niejaki Simmons „Twardy Kuper”. Przydomek nie bardzo do niego pasował, bo dwie olbrzymie półkule pośladków pana Simmonsa trzęsły się przy każdym kroku niczym galareta. Miał nabrzmiały od piwa brzuch, a policzki wystające spod rzadkiej szczeciny przypominały dwa tłuste robaki.

Eric zatrzymał się i o mało nie wypuścił z rąk maszyny. Z grymasem odwrócił się w stronę schodów.

Ale Simmons jeszcze raz wałnął pięścią w drzwi, po czym wykonał koszykarski zwód obrzydliwie tłustymi biodrami. Dzięki temu manewrowi natychmiast zauważył zwierzyne na drugim końcu holu.

– A, jesteś – powiedział celując w Erica palcem jak pistoletem.

– Miło mi pana widzieć, panie Simmons.  
– Gówno prawda. Mnie wcale nie jest miło. Wolałbym zobaczyć pieniądze.

Eric powtórzył słowo „pieniądze”, jakby usłyszał je pierwszy raz w życiu.

– Czynsz – wyjaśnił właściciel. – Czyli to, czego zapomniałeś mi zapłacić w zeszłym miesiącu. Gotówka. Szmal. Kapucha.

– Ależ ja już zapłaciłem.

– Tak, w epoce kamiennej. A ja nie prowadzę działalności charytatywnej – rozwścieczył się Simmons. – Zalegasz mi za trzy miesiące.

– Moja matka jest ciężko chora. Musiałem zapłacić za jej leczenie.

– Nie wciskaj mi kitu. Widujesz matkę tylko wtedy, gdy czołgasz się do niej skamleć o pożyczkę. Na twoim miejscu znalazłbym jakiś sposób zarabiania na życie.

– Panie Simmons, zdobędę te pieniądze.

– Kiedy?

– Za dwa tygodnie. Jak tylko sprzedam trochę koszulek z nadrukiem Star Trek.

– Postaraj się, bo jak nie, to przekonasz się na własnej skórze, czym są podróże międzygwiazdne. Poświęcę trzymiesięczny czynsz za przyjemność zrzucenia cię ze schodów. A to wysoko.

– Obiecuję. Niedługo nadejdzie czek za mój esej w gazecie.

– Pisarz – sarknął Simmons. – Boki zrywać. Skoro jesteś takim niby wielkim pisarzem, to czemu nie masz pieniędzy? I co to za paskudztwo tak czule obejmujesz? Rany boskie, aż oczy bołą. Chyba znalazłeś na śmietniku.

– Nie, kupiłem – odparł nieco wzburzony Eric, prostując się dumnie. Ale zaraz się przygarbił pod ciężarem. – Potrzebowałem nowej maszyny.

– Jesteś głupszy niż myślałem. Chcesz powiedzieć, że kupiłeś tęinę złomu zamiast zapłacić mi za czynsz? Powinienem wykopać cię od razu. Dwa tygodnie. Lepiej postaraj się o gotówkę, bo będziesz pisał swoje arcydzieła w rynsztoku.

Simmons przetoczył się obok Erica i postawił stopę na skrzypiących schodach.

– Pisarz. Śmiechu warte. A ja jestem królem Anglii. Arthur Hailey, ten jest pisarzem. Harold Robbins, owszem. Judith Krantz i Sidney Sheldon też. Ale ty, mój przyjacielu, jesteś obibokiem, i tyle.

Słuchając gromkiego śmiechu dudniącego na schodach, Eric wahał się, czy odpowiedzieć Simmonsowi jakąś ciętą ripostą, czy odstawić maszynę. Ból ramion okazał się bardziej przekonujący. Eric otworzył ze złością drzwi mieszkania. Poczł zakłopotanie, gdy odwrócił się, żeby spojrzeć na swój nowy nabytek. Nie mogę jej tak po prostu zostawić w holu, pomyślał. Sapiąc, dźwignął maszynę, wtoczył się do środka i kopnięciem zamknął drzwi. Rozejrzał się po pokoju. Sfatygowane meble przywozidyły na myśl rupieciar-

nię, w której kupił maszynę. Ale się wpakowałem, powiedział do siebie w myślach. Nie miał pojęcia, skąd wziąć pieniądze na czynsz. Wątpliwe, żeby matka udzieliła mu kolejnej pożyczki. Ostatnio, gdy odwiedził ją w mieszkaniu przy Piątej Alei, rozsierdziła się nie na żarty.

– Ten twój romantyczny wizerunek ubogiego, głodującego artysty... Kiedy popełniłam błąd, Eriku? Wiem, zepsułam cię. Po prostu cię rozpieściłam, dawałam ci wszystko. Nie jesteś już młodzieniaszkiem. Masz trzydzieści pięć lat. Powinieneś być odpowiedzialny. Musisz znaleźć pracę.

– I pozwolić się wykorzystywać? – odparł wzburzony Eric. – Poniżać? System kapitalistyczny jest zdegenerowany.

Matka potrząsnęła głową z rezygnacją.

– Ale z tego systemu pochodzą pieniądze, które ci pożyczam. Gdyby twój ojciec zszedł do nas z góry i zobaczył, co z ciebie wyrosło, umarłby po raz drugi na atak serca. Nie postępowałam z tobą uczciwie. Mój psychoanalityk powtarza, że ograniczam twój rozwój. Pisklęciu trzeba pozwolić wylecieć z gniazda, mówi. Muszę cię z niego wypchnąć. Nie dostaniesz więcej pieniędzy.

Eric westchnął, przetaszczył maszynę do kuchni i postawił na popękany, bezbarwnym blacie szafki. Na stole nie mógł, bo wiedział, że załamię się pod ciężarem. Wstrzymał oddech, gdy gruby blat ugiął się ze skrzypnięciem. Dopiero po chwili wypuścił powietrze.

Zerknął na wodę ciekącą z zardzewiałego kuchennego kranu, a potem przeniósł wzrok na hałaśliwy zegar, który mimo częstego regulowania zawsze spieszył się o pół godziny. Eric odjął te pół godziny i obliczył, że jest w pół do trzeciej. Było nieco za wcześnie na drinka, ale miał dobrą wymówkę. I to niejedną. Z przyjęcia została butelka taniej whisky. Nalał sobie pół szklanki, przełknął i zachłysnął się; ciepło rozlało się po pustym żołądku.

Przecież i tak nie ma nic do jedzenia, powiedział sobie nalewając drugiego drinka. Ten lekki jak skrzydło albatrosa cud techniki pochłonał wszystkie pieniądze, które zaoszczędziłem na żywność. Eric miał ochotę kopnąć potwora, ale maszyna nie stała na podłodze, więc musiał poprzestać na uderzeniu pięścią. O mało nie złamał sobie przy tym palców. Krzywiąc się i przeklinając, zakręcił się po pokoju z zaciśniętą dłońią. Dla uspokojenia nalał sobie kolejnego drinka.

Chryste Panie, jutro mam oddać esej, a nawet jeszcze nie zacząłem. Jeśli nie napiszę na czas, stracę jedyną stałą pracę, jaką mam.

Zdesperowany, wkroczył do pokoju, gdzie na podobnym do ołtarza biurku naprzeciwko drzwi stała jego stara, wierna olimpia. Była pierwszą rzeczą, jaką zauważali goście wchodzący do mieszkania. Rano Eric próbował zacząć pisać esej, ale złamane krzesło w kuchni tak go rozproszyło, że nie mógł znaleźć słów. A trzeba powiedzieć, że wiele rzeczy rozpraszało Erica.

Teraz znów musiał spojrzeć na białą pustkę kartki papieru. Lecz słowa nie przychodziły, tak samo jak przedtem. Eric aż spocił się z wysiłku, próbując zmusić się do myślenia. Może trzeba wypić jeszcze jednego drinka. Wrócił do kuchni po szklankę. Zapalił papierosa. A słów nadal nie było. To mój odwieczny problem, uznał. Przelknął whisky. Sztuka musi boleć. Gdyby nie cierpiał, jego praca nie miałaby żadnej wartości. Joyce cierpiał, podobnie jak Kafka i Mann. Przejmujący ból, błogosławieństwo i klątwa geniuszy.

W kuchni Eric poczuł, że whisky zaczyna robić swoje. Światło pobladło, pokój się zakołysał, policzki lekko zdrętwiały. Niezdarnie przesunął palcami po gęstych, spadających na szyję włosach.

Zerknął z niesmakiem na ciężar przygniatający kuchenny blat.

– Hej, ty tam – rzucił w stronę maszyny. – Założę się, że te twoje klawisze nie działają. – Złapał kartkę papieru. – No, masz.

Ku zaskoczeniu Erica papier gładko wsunął się na rolkę.

– Dobrze, że choć tyle potrafisz. – Wypił kolejnego scotcha, zapalił jeszcze jednego papierosa.

Mimo wszystko nie mógł w sobie wzbudzić zainteresowania dla eseju. W końcu jak długo można teoretyzować na temat współczesnej literatury? Zajmowało go teraz tylko jedno: co się stanie za dwa tygodnie, kiedy Simons zgłosi się po czynsz. To niesprawiedliwe. Przeklęty System wziął się na mnie, pomyślał Eric.

To zdanie go zainspirowało. Tak, napisze opowiadanie. Wygarnie światu, co o nim naprawdę myśli. Tytuł miał już gotowy. Wystukał na maszynie pięć liter: „Bagno”.

Klawisze chodziły płynniej niż oczekiwał. Naprawdę leciutko. Ale zdumienie Erica było jeszcze silniejsze niż poczucie satysfakcji – klawisze poruszały się dłużej niż stukał w nie palcami.

Otworzył lekko usta i pochylił się, że zobaczyć, jakie znaki zostawiła taśma na papierze. Zamrugał oczami. Wystukał „Bagno”, a tymczasem na kartce było wyraźnie napisane: „Fletcher’s Cove”.

Zmarszczył czoło ze zdziwienia. Czyżby wypił aż tyle, że nie kontroluje tego, co pisze? Czy palce uderzają beładnie w klawisze? Nie, bo gdyby stukały na oślep, powstałby bełkot, a „Fletcher’s Cove” z pewnością nie jest bełkotem, choć co innego zamierzał napisać.

Wyobraźnia płata mi figle, pomyślał Eric. Zdaje mi się, że piszę jedno, ale nieświadomie piszę coś zupełnie innego. To pewnie przez alkohol.

Żeby sprawdzić swoją teorię, skupił się na kontrolowaniu palców. Kilka razy uderzył w klawisze. Litery pojawiły się na papierze, ale Eric czuł, że coś jest nie tak. Przyjrzał się kartce, marszcząc brwi. Chciał napisać „opowiadanie”, ale na kartce widniało słowo „powieść”.

Otworzył szeroko oczy. Wiedział, że tego nie napisał. Poza tym zawsze tworzył tylko opowiadania. Nigdy nie próbował pisać powieści, bo nie umiał

narzucić sobie koniecznej dyscypliny. Co się dzieje, do cholery? Ze złością wystukał: „Szybki brązowy lis przeskoczył nad leniwym psem”.

Ale na kartce widniało czarno na białym: „Miasteczko Fletcher’s Cove przetrwało wściekłą zimę nad Atlantykiem, tak jak zawsze”.

To okropne mrowienie. Jakby dotykał bryły lodu. Ależ to jakieś szaleństwo, pomyślał Eric. Nigdy nie słyszałem o miasteczku Fletcher’s Cove, a ten zbędny równoważnik zdania przyczepiony na końcu brzmi okropnie.

Zebrawszy się w sobie, Eric zaczął stukać bezładnie w klawisze. Miał nadzieję, że ujrzy szereg przypadkowych liter, wręcz modlił się o to. Może jednak nie postradał zmysłów.

Ale zawiódł się, bo po chwili przeczytał: „Powierzchność mieszkańców miasteczka była równie surowa jak poszarpane wybrzeże Nowej Anglii. Mieli charaktery z granitu, zdolne oprzeć się wściekłym porywom przyrody, jak gdyby nauczyli się sztuki przetrwania od twardych skał na brzegu, które w milczeniu stawiają czoło naporowi przypływu”.

Eric zadrzał. Był pewien, że tego nie napisał. Nawet nie zmusiłby się do napisania czegoś tak okropnego. Mnogość zbędnych słów, tanie, komercyjne efekciarstwo przedstawionych obrazów. Zdania jakby żywcem wyjęte z typowego bestsellera schlebiającego najtańszemu gustowi.

Poczuł ogarniającą go złość. Walił w klawisze jak opętany, z mocnym postanowieniem, że musi się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Twórcza niemoc prysła. Skojarzenie z bestsellerami natchnęło Erica do zaczęcia eseju, w którym bezpardonowo rozprawi się z cyniczną dekadencją twórców masowo produkujących bezwartościowe czytała, obliczone na zaspokojenie niewyrobionych gustów rzeszy naiwnych czytelników.

Tymczasem na kartce przeczytał: „Głęboki grudniowy śnieg okrył białym całunem miasteczko Fletcher’s Cove. Ziemia zasnęła pod dotknięciem mrozu. Styczeń, potem luty. Ludzie schronili się w zaciszu swych domostw, wokół kuchenek i kominków. Raz po raz zerkali na zbyt dobrze znane twarze przymusowych towarzyszy. Przy wtórze zawodzeń wichru za oknami mężowie i żony wkrótce znudzili się sobą. Marzec przyniósł wczesną odwilż. Nadszedł kwiecień, a wraz z nim zbudziła się ziemia. Lecz gdy ciepłe wiosenne powietrze rozniecało na powrót iskry życia w przyrodzie, w mieszkańcach Fletcher’s Cove z nową mocą zaczynały się tlić z dawna tłumione emocje”.

Eric chwiejnym krokiem ruszył w stronę butelki scotcha. Tym razem nawet nie nalewał alkoholu do szklanki. Wzdrygnął się, śmiertelnie przerażony. Myśli kotłowały mu się w głowie, gdy pozbawiona smaku whisky spływała do żołądka. Kurczowo chwycił się blatu. Tylko trzy wyjaśnienia wchodziły w rachubę. Po pierwsze, mógł oszaleć. Po drugie, urznął się jak tamten pijaczyna na schodach i ma halucynacje. Trzecia możliwość, być może najtrudniejsza do przyjęcia, jest taka, że nie pisze na zwykłej maszynie.

Powinienem był się tego domyślić, jak tylko na nią spojrzełam, pomyślał. Wielki Boże.

Eric podskoczył na dźwięk telefonu. Omal nie stracił równowagi, mimo że trzymał się blatu. Zataczając się, ruszył do pokoju. Telefon to kolejna rzecz, którą niebawem straci. Wiedział o tym, bo od dwóch miesięcy nie płacił rachunków. Pamiętając o fatalnej passie, która go ostatnio prześladowała, mógł się spodziewać, że operator dzwoni właśnie, żeby poinformować o odłączeniu linii.

Niezgrabnie podniósł słuchawkę. Chciał powiedzieć „halo”, ale zdołał wymówić tylko drugą sylabę. „...lo”. Spróbował się poprawić, ale powtórzył to samo jeszcze raz: „...lo?”

– To ty, Eric? – spytał rozmówca wysokim, nosowym głosem. – Twój głos brzmi jakoś dziwnie. Jesteś chory? Przeziębłeś się? – Był to wydawca „Village Mind”.

– Nie, właśnie pisałem esej. – Eric starał się zapanować nad głosem. – Twój telefon mnie zaskoczył.

– Ach, ten esej. Słuchaj, Eric. Mógłbym powiedzieć to jakoś łagodniej, ale wiem, że masz dość siły i przyjmiesz tę wieść spokojnie. Zapomnij o eseju. Nie będę go już potrzebował.

– Co, rezygnujesz z mojego eseju?... – Eric poczuł, że serce mu zakolało.

– Nie tylko z twojego eseju. Z gazety. Zamykam „Village Mind”. Bankructwo. Kaput. Nie ma co owijać w bawełnę. To koniec.

Erica zawsze irytowały banalne powiedzonka tego faceta, ale tym razem był zbyt oszołomiony, żeby poczuć niesmak.

– Koniec? – spytał sparaliżowany strachem.

– Nieodwołalny. Fiskus nie zgadza się, żebym odpisał sobie straty. Twierdzą, że mam ten magazyn tylko po to, żeby unikać płacenia podatków.

– Faszyści!

– Szczegze mówiąc, mają rację. Właśnie po to wydawałem tę gazetę. Powinieneś zobaczyć, jaką żonglerkę uprawiam w rachunkach.

Eric był teraz pewien, że postradał zmysły. To przecież nie może dziać się naprawdę. „Village Mind” oszustwem, sposobem na wymiganie się od płacenia podatków?

– Nie mówisz poważnie!

– Hej, nie bierz tego do siebie. To tylko biznes. Znajdziesz inny magazyn. No, muszę kończyć, stary. Na razie.

W słuchawce rozległ się szum, który zamienił się w dudnienie w głowie Erica. Żołądek podszedł mu do gardła. A więc System znów zaatakował. Czy nic nie jest święte, nawet Sztuka?

Upuścił słuchawkę na widełki i potarł bolące czoło. Jeśli nie dostanie jutro czeku, odłączą mu telefon. Później właściciel domu wyrzuci go z miesz-

kania. Policjanci znajdują jego wychudzone zwłoki w rynsztoku, jeżeli nie postara się – tu Eric zadrżał i z trudem przełknął ślinę – o stałą posadę.

Ogarnęła go panika. Może pożyczyć pieniędzy od znajomych? Zaraz jednak wyobraził sobie ich kpiący śmiech. Błagać matkę o kolejną pożyczkę? Wyrzeknie się go w końcu.

To niesprawiedliwe! Poświęcił swoje życie Sztuce, gotów przymierać głodem, a ci bezczelni grafomani wysmażają jeden szmirowaty bestseller po drugim i kasują miliony! Nie ma sprawiedliwości!

Nagle w głowie Erica zakołatała osobliwa myśl. Grafomani, którzy wysmażają bestsellery? Przecież w kuchni na blacie stoi urządzenie, brzydkie jak noc, które jeszcze parę minut temu robiło dokładnie to, co tamci grafomani, i to w opętającym tempie.

Znów to słowo. Opętające tempo? Chyba on sam, Eric, jest opętany, jeśli wierzy w to, co ujrzał w pijanym widzie.

Powinienem pójść do psychiatry, powiedział do siebie.

Ale czym mu zapłacę?

Zniechęcony powlókł się w stronę kuchni, gdzie stała butelka scotcha. W takiej sytuacji najlepiej urznąć się do końca. Nie ma innej recepty.

Skierował wzrok na groteskową maszynę i słowa zapisane na papierze. Litery zamazywały mu się wprawdzie przed oczami, ale były czytelne, a co najważniejsze – w ogóle były. Pociągnął z butelki i zaczął stukać w klawisze, już nie dziwiąc się, że litery układają się w słowa i zdania. Oto właśnie ostateczny dowód mojego szaleństwa, myślał Eric. Stoję przy kuchennym blacie, uderzam bezmyślnie w klawisze i nie dziwię się temu, co widzę na kartce. Bez względu na to, jaka była tego przyczyna i wyjaśnienie, zupełnie bez wysiłku, mimo woli pisał szmirowatą sagę mieszkańców Fletcher's Cove.

– Tak, Johnny – rzekł Eric z nieśmiałym uśmiechem do gwiazdy telewizyjnego dziennikarstwa. – Powieść *Fletcher's Cove* stworzyłem w jednym potężnym przypiływie natchnienia. Szczerze mówiąc, trochę mnie to przeraziło. Czekałem całe życie, aby opowiedzieć tę historię, ale nie byłem pewien, czy mam dość talentu. Pewnego dnia zaryzykowałem. Usiadłem przy mojej starej, wiernej maszynie do pisania, którą kupiłem w lamusie. Możesz sobie wyobrazić ubóstwo, w jakim żyłem. Ale okazało się, że Przeznaczenie, Fortuna albo coś jeszcze innego tym razem jest po mojej stronie. Zdawało się, że moje palce tańczą po klawiaturze. Opowieść spływała na kartkę jak rzeka. Każdego dnia dziękuję Bogu za to, że tak mnie pobłogosławił.

Johnny zastukał długopisem w biurko wystudiowanym gestem, który tak doskonale udawał spontaniczność. Zapaliły się światła. Eric pocił się pod



garniturem ze skóry rekina, wartym tysiąc dolarów. Włosy sterczały mu sztywno od lakieru; za ułożenie tej fryzury zapłacił dwieście dolarów. Zmrużył oczy, ale w blasku reflektorów nie dojrzał publiczności. Wyczuwał jednak, że przemawia do nich opowieść o jego sukcesie, o przemianie żebraka w milionera. Ameryka poczuła się znów umocniona w wierze w swój najpotężniejszy mit. Pewnego dnia powstanie kaplica ku czci Horacego Agera, amerykańskiego świętego numer jeden.

– Ależ Erik, przesadza pan ze skromnością. Jest pan nie tylko najbardziej podziwianym powieściopisarzem w naszym kraju. Jest pan również szanowanym krytykiem, nie mówiąc o tym, że pańskie opowiadanie zdobyło prestiżową nagrodę literacką.

Prestiżową? Eric skrzywił się nieznacznie. Ostrożnie, Johnny. Takimi słowami wystraszysz mi publiczność. A ja chcę sprzedać książkę.

– Tak. – Eric z podziwem przypatrywał się subtelnej siwiznie włosów gospodarza programu. – To były złote dni „Village Mind”. Stare, dobre czasy w Greenwich Village. Sukces ma też swoje ciemne strony. Nigdy nie przestanę tęsknić za ferajną z Washington Square. Brak mi kawiarenek i wieczornych spotkań z czytaniem najnowszych utworów, wymianą myśli i poglądów, z rozmowami aż po świt.

Akurat, brakuje mi tego wszystkiego jak cholera. Tej nory, w której musiałem się gnieździć. Tłustego Simmonsa. Kolonii karaluchów i bandy pijaków na klatce schodowej. „Village Mind”? Nazwa „Village Idiot” byłaby bardziej na miejscu. A nagroda literacka? Subway Press przyznaje taką nagrodę co miesiąc. Można za nią wypić kawę w knajpie.

– Ale przyzna pan, że sukces ma również swoje plusy – powiedział Johnny.

– Trudno zaprzeczyć – zgodził się Eric.

– Jest pan zamożnym człowiekiem.

A jakże, pomyślał Eric. Dwa miliony dolców za wydanie w twardej okładce. Za wydanie broszurowe – cztery miliony. Dwa miliony za film i milion z klubu książki. Do tego honorarium za prawa autorskie w Wielkiej Brytanii i dwudziestu innych krajach. Razem piętnaście milionów. Dziesięć procent dla agenta, pięć dla pełnomocnika do spraw kontaktów z mediami. Po reszcie wyciągnie łapę urząd skarbowy. Ale Eric umiał się zabezpieczyć. Ropa i bydło, nieruchomości... Nisz podatkowych nie brakuje. Podróże do Europy odpisał jako koszty zbierania materiałów. Tak samo posiadłość, samolot, jacht. W końcu pisarz z jego pozycją musi mieć odrobinę prywatności, żeby zarabiać pieniądze, które trafią później do państwowej kiesy. W ten sposób jego zysk netto wyniósł dziewięć milionów. Nie najgorzej jak na inwestycję za czterdzieści dolarów. Przydałoby się jeszcze parę milionów jako zabezpieczenie przed szalejącą inflacją. Ale nie ma co narzekać.

– Tak, Johnny, tylko że pieniądze to nie wszystko. Oczywiście, gdyby ktoś chciał mi podarować jakąś sumkę, z pewnością nie wyrzuciłbym jej do

naszej pocziwej rzeki Hudson. – Eric roześmiał się. Publiczność zawtórowała dobroduszenie. Oni też nie pogardziliby paroma dolarami. – Prawda jest jednak taka, Johnny, że największą nagrodą dla mnie są listy od moich wiernych czytelników. Świadomość, że czytanie *Fletcher's Cove* sprawiło im przyjemność, to dla mnie satysfakcja, której z niczym nie sposób porównać. Właśnie oni nadają sens pisarstwu. Czytelnicy.

Eric zawiesił głos. Wywiad przebiega zbyt gładko. W ten sposób nie sprzedaje książki. Ludzie woleliby usłyszeć coś ostrzejszego, bardziej kontrowersyjnego.

Czuł, jak poci się pod pachami. Przestraszył się, że plamy potu zniszczą garnitur, ale zaraz przypomniał sobie, że stać go na następny.

– Pamiętam słowa Trumana Capote, który stwierdził, że *Fletcher's Cove* nie jest dziełem pisarskim, lecz maszynopisarskim. Ale on powtarzał to już wcześniej wiele razy przy innych okazjach. Jeśli mam być szczery, to zdarzyło mu się powiedzieć jeszcze parę innych rzeczy, równie niepotrzebnych.

Publiczność w studiu zarechotała, lecz tym razem był to złośliwy śmiech.

– A ja nadal czekam na tę powieść, którą od tak dawna obiecuje. Dobrze, że nie wstrzymałem oddechu, bo już od dawna leżałbym w grobie.

Śmiech publiczności stał się jeszcze bardziej szyderczy. Gdyby Truman Capote znalazł się teraz w studiu, gotowi byłiby go ukamienować.

– Prawdę mówiąc, Johnny, mam wrażenie, że Truman stracił kontakt z czytelnikami. Z prawdziwą Ameryką. Ja też poznałem smak współczesnej prozy, i stanęła mi kością w gardle. Ludzie pragną wartkiej akcji, suspense, wspaniałych, romantycznych historii. Takich, jakie pisał Dickens.

Publiczność odpowiedziała oklaskami.

– Eriku – odezwał się Johnny. – Wspomniał pan o Dickensie. Mnie jednak przychodzi na myśl inny pisarz, którego książki cieszyły się popularnością w latach pięćdziesiątych. Winston Davis. Gdybym nie wiedział, że to pan napisał *Fletcher's Cove*, przysiągłbym, że powieść ta wyszła spod ręki Davisa. Ale to niemożliwe, oczywiście, ponieważ ten autor od dawna nie żyje. Zginął w tragicznym wypadku na morzu u wybrzeży Long Island, o ile mnie pamięć nie myli.

– Cieszę się, że wspominał pan o Davisie. Porównanie z nim to dla mnie komplement. Nie jest pan jedynym czytelnikiem, który dostrzegł podobieństwo. Winston Davis to jeden z najbardziej podziwianych przez mnie pisarzy. On uwielbiał tworzyć postacie, splatać wątki. Potrafił tak cudownie malować klimat małych miasteczek Nowej Anglii. Bogactwo jego prozy jest doprawdy niezmiernie. Przeczytałem wszystkie utwory Davisa. Staram się kontynuować zapoczątkowaną przez niego tradycję, bo głęboko wierzę, że czytelnicy oczekują prawdziwych, rzetelnie opowiedzianych historii o zwykłych ludziach.

Eric nawet nie słyszał o Winstonie Davisie, dopóki czytelnicy nie zaczęli porównywać jego książki z utworami nieżyjącego pisarza. Zaintrygowany, poszedł do jednej z nowojorskich bibliotek publicznych. Powieści Davisa wywołały w nim taki niesmak, że czytając je wiercił się na krześle. Nie zdołał doczytać do końca żadnej z nich. Pozbawiona wszelkiego smaku, wyprana z treści szmira. Kompletna chała. Ale rozpoznał styl. Porównanie okazało się ze wszech miar trafne. Powieść *Fletcher's Cove* rzeczywiście przypominała książki Winstona Davisa. Opuszczał bibliotekę ze zmarszczonym czołem. Znowu poczuł mrowienie. Nigdy nie lubił zbiegów okoliczności, mimo że tak wiele ich przewijało się na kartach *Fletcher's Cove*.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Johnny. – Pańscy sympatycy z niecierpliwością oczekują następnej powieści. Czy zechce pan zdradzić, o czym będzie?

– Chętnie bym to zrobił, Johnny, ale jestem przesądny. Boję się opowiadać o książce, nad którą pracuję. Coś jednak mogę powiedzieć. – Rozejrzał się podejrzliwie, jak gdyby obawiał się, że w studiu czai się gromada szpiegów z konkurencyjnych wydawnictw. Zaraz jednak parsknął śmiechem, wzruszając ramionami. – To chyba mogę zdradzić. Kto ośmieliłby się ukraść mi tytuł po tym, jak ogłosiłem go wobec kilku milionów ludzi? Moja nowa powieść będzie nosić tytuł *Parson's Grove*. – Publiczność westchnęła, oczarowana. – Akcja toczy się w małym miasteczku w stanie Vermont... No cóż, więcej nie powinienem mówić. W końcu każdy będzie mógł ją przeczytać, kiedy się ukáže.

– Wypadłeś rewelacyjnie – stwierdził agent Erica. Nazywał się Jeffrey Amgott. Był po trzydziestce, ale włosy posiwiały mu i przeredziły się od zmartwień. Bez przerwy marszczył brwi i wiecznie miał kłopoty z żołądkiem, a gestykulował tak szybko, jakby nieustannie zażywał kokainę. – Po prostu znakomicie, a to, co powiedziałeś o Trumanie Capote, zapewni nam sprzedaż dodatkowych stu tysięcy egzemplarzy.

– Tak też mi się zdawało – odparł Eric, gdy wyszli ze studia i wsiedli do limuzyny. – Ale ty nie wyglądasz na zadowolonego.

Program Carsona nagrywany był po południu, ale gęsty smog sprawiał, że miasto wyglądało, jakby zapadał zmierzch.

– Mamy sporo problemów – powiedział Jeffrey.

– Ja nie widzę żadnych. Masz, napij się. Od razu się lepiej poczujesz.

– A mój żołądek? Nie, dzięki. Rozmawiałem z twoim doradcą finansowym.

– Tak, oczywiście. Obaj lubicie się zamartwiać.

– Eric, wydajesz pieniądze, jakbyś je drukował. Samolot, jacht, wielka posiadłość. Nie możesz sobie na to wszystko pozwolić.

– Stary, zarobiłem dziewięć milionów dolarów. Dajcie mi trochę za to pożyc.

– Nie masz dziewięciu milionów.

– Co takiego? – Eric wlepił w niego wzrok.

– Nie masz tyle. Podróże do Europy, dom na plaży w Malibu, drugi na Bimini...

– Zainwestowałem w ropę i hodowlę bydła.

– Szyby wyschły, bydło pozdychało na nosaciznę.

– Chyba żartujesz.

– Mój żołądek nie żartuje. Posiadłości są obciążone hipoteką. Ferrari nie zapłacone, podobnie zresztą jak samolot. Nie masz ani grosza.

– Przyznaję, że zachowywałem się nieco rozrzutnie.

– Rozrzutnie? Szastałeś pieniędzmi, jakbyś rozum postradał.

– Jesteś moim agentem. Załatw mi następną umowę.

– Już to zrobiłem. Co z tobą? Straciłeś pamięć razem z rozsądkiem? Za tydzień masz oddać wydawcy nową książkę. Daje trzy miliony za prawa do wydania w twardej okładce. Bierze książkę, wypłaca pieniądze. Taką zawaraliśmy umowę. Zapomniałeś?

– No więc w czym problem? Trzy miliony wystarczy na zapłacenie rachunków.

– Ale gdzie jest ta książka, do jasnej cholery? Nie dostaniesz ani dolara, dopóki nie dostarczysz rękopisu.

– Pracuję nad nią.

Jeffrey jęknął.

– Rany boskie, chcesz przez to powiedzieć, że jej jeszcze nie skończyłeś? Prosiłem cię, błagałem: Eric, skończ z balangami, weź się do roboty. Napisz tę cholerną książkę i wtedy baw się, ile wlezie. I co? Czy te wszystkie baby pozbawiły cię nie tylko sił, ale i rozumu?

– Dostaniesz książkę od dzisiaj za tydzień.

– Och, Eriku, chciałbym mieć twoją pewność siebie. Wydaje ci się, że pisanie to coś takiego jak odkręcenie kranu? To ciężka praca. Przypuśćmy, że utkniesz, że zabraknie ci pomysłów. Albo zachorujesz na gripę. Jak można napisać powieść w ciągu tygodnia?

– Dostaniesz książkę. Obiecuję, Jeffrey. A nawet jak się spóźnię parę dni, to co z tego? Dla wydawcy jestem wart dużo pieniędzy. Przesunie mi termin.

– Cholera, ty mnie wcale nie słuchasz. Książka została już dawno zapowiedziana. Miała wyjść parę miesięcy temu. Powinna się ukazać razem z miękkim wydaniem *Fletcher's Cove*. Księgarnie czekają na obie książki, drukarnie też. Kampania reklamowa jest już gotowa. Jeśli nie dostarczysz powieści na czas, wydawca pomyśli, że zrobiłeś z niego głupca. Stracisz terminy w programach telewizyjnych. Klub książki się wkurzy, nie mówiąc o zagranicz-

nych wydawcach, którzy zapowiedzieli książkę w swoich katalogach. Oni liczą na ciebie, Eric. Ale ty ciągle nie chcesz pojąć, że masz do czynienia z wielkim biznesem. A wielcy gracze nie lubią, kiedy się ich robi w konia.

– Nie ma powodu do obaw – powiedział Eric z uśmiechem. – Wszystko będzie w najlepszym porządku. Dziś wieczorem, po kolacji z Robertem Evansem, biorę się do pracy.

– Oby tak było, Eric. Zaczynj wreszcie stukać w te cholerne klawisze.

Samolot oderwał się od pasa międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Eric zerknął przez okno na łunę nad miastem.

Właściwie nie mam na co czekać, pomyślał z niechęcią.

Przy wtórze łagodnego pomruku silników sięgnął do szafki i wydobył olbrzymią maszynę, którą zabierał ze sobą wszędzie z obawy, że coś może jej się stać, jeśli ją zostawi bez opieki.

Z trudem umieścił maszynę na stole. Wcześniej polecił pilotowi, żeby nie wchodził do kabiny pasażerskiej. Od kokpitu oddzielała Erica gruba ścianka. Mógł tutaj pisać równie spokojnie jak w willi nad rzeką Hudson.

Praca była doprawdy nużąca. Kończąc pisanie *Fletcher's Cove* nawet nie patrzył na klawiaturę. Przez tydzień oglądał telewizję, w ogóle nie kontrolując palców. I tak nie miało żadnego znaczenia, w jakie klawisze stukał. Ta dziwna maszyna sama snuła opowieść. Między jednym programem telewizyjnym a drugim zerkał na kolejną kartkę z nadzieją, że ujrzy słowo „Koniec”. I wreszcie pojawiło się pewnego dnia.

Po sukcesie *Fletcher's Cove* zasiadł znów do pisania. Odczytał tytuł *Parson's Grove* i cierpliwie, bez krzty entuzjazmu wystukał dwadzieścia stron. Dzięki maszynie Eric rozumiał, że nigdy nie lubił pisać – lubił mówić o pisaniu i lubił, kiedy nazywano go pisarzem, ale trud tej pracy nie sprawiał mu przyjemności. A w ten sposób, gdy umysł nie musiał się angażować, pisanie pociągało go jeszcze mniej. Szczerze powiedziawszy, pomyślał Eric, powinienem urodzić się księciem.

Odkładał więc pisanie *Parson's Grove* najdłużej, jak to było możliwe. Pieniądze przychodziły tak łatwo, że nie miał ochoty znosić tej mitregi nawet przez tydzień – bo tyle, jak obliczył, powinno zająć ukończenie rękopisu.

Ale słowa Jeffreya zaniepokoiły go. Nie mam pieniędzy? W takim razie trzeba wrócić do żyły złota. Kura znosząca złote jaja. Jak po łacinie nazywano pomocnika pisarza? *Amanuensis*\*. Tak właśnie cię nazwę, powiedział Eric zwracając się do osobliwej maszyny. Od tej pory będziesz moim *amanuensis*. Ciągle nie mógł uwierzyć, że jest milionerem – przynajmniej na papierze – lecącym własnym odrzutowcem do Nowego Jorku, gdzie wy-

---

\* Amanuensis (łac.) – pisarz, sekretarz (przyp. tłum.).

stąpi w programie „Today”, następnie w programie „Tomorrow”, a później jeszcze w „Good Morning, America”. To chyba nie dzieje się naprawdę.

A jednak. I jeśli chce dalej rozkoszować się tym słodkim życiem, to przez tydzień musi stukać w klawisze jak opętany, żeby skończyć drugą książkę.

Odrzutowiec mknął przez ciemność, mrucząc cicho silnikami. Eric założył na rolkę kartkę papieru. Znudzony nieco, nalał sobie lampkę dom perignon. Znalazł kasetę z filmem *Halloween* i wsunął w kieszeń magnetowidu. Obserwując chłopca dźgającego nożem starszą siostrę, zaczął stukać w klawisze.

Rozdział trzeci. „Ramona poddała się rozkoszy, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła. Ani mąż, ani kochanek nie doprowadzili jej do takiej ekstazy. Dopiero ten mleczarz”...

Eric ziewnął. Na ekranie jakiś wariat uciekał ze szpitala psychiatrycznego, a równie szalony lekarz próbował go odszukać. Opiekunka do dzieci darła się wniebogłose. Szalenięc został zabity co najmniej pięć razy, ale żył dalej, bo najwyraźniej okazał się niezniszczalnym monstrem.

Nie spoglądając na klawiaturę, Eric stukał dalej. Stos kartek papieru rósł. Wypił piątą lampkę dom perignon. Film się skończył. Włączył *Obcego*. Ponętna kobieta w bieliźnie zamknęła się w ciasnym promie kosmicznym, nie wiedząc, że wcześniej ukrył się w nim krwiożerczy potwór. Eric dopiero później uzmysłowił sobie, że to stało się gdzieś nad stanem Kolorado. Właśnie wtedy zerknął na zapisaną przed chwilą kartką papieru i osłupiał na widok gąszczy przypadkowych znaków, które nawet nie układały się w słowa.

Przerzucił gorączkowo stos kartek i zrozumiał, że od pół godziny wystukuje bezładny ciąg liter.

Zbladł, otworzył usta i omal nie zwymiotował.

– Chryste, co się stało?

„Mała pastreczka pogubiła owieczki”, napisał.

I dokładnie te słowa ukazały się na papierze.

„Szybki brązowy lis”, wystukał.

To samo było na kartce.

Uderzył kilka razy na oślep w klawisze. Na kartce widniał szereg przypadkowych liter.

Nim wylądowali na lotnisku LaGuardia, przed Erikiem piętrzył się kilkucentymetrowy stos kartek zapisanych bez ładu i składu, a co gorsza, maszyna się zacięła. Usłyszał jakiś nieprzyjemny chrobot w środku i klawisze znieruchomiały na dobre. Teraz już niczego nie mógł napisać. Zablockowała się, pomyślał i jęknął. Zepsuła się. Klops. Już po niej.

I po mnie też.

Walił w maszynę pięściami, żeby się odblokowała, ale tylko pokaleczył dłonie. Chryste Panie, powinienem bardziej uważać. Mogę ją popsuć jeszcze bardziej. Zataczając się, przykrył maszynę kocem i przetaszczył z samolotu do czekającej tuż obok limuzyny. Wywiad w telewizji był umówiony na jutro. Eric potarł się po nie ogolonych policzkach.

– Na Manhattan. Znajdź mi warsztat naprawy maszyn do pisania – polecił szoferowi z paniką w głosie.

Poszukiwanie warsztatu na zatłoczonych ulicach pełnych objazdów zajęło dwie godziny. Wreszcie limuzyna zaparkowała na Trzydziestej Drugiej ulicy. Eric wygramolił się z samochodu i ruszył w stronę wystawy z maszynami Olivetti.

– Nie umiem jej naprawić – stwierdził młody człowiek za kontuarem.

– Musi pan – jęknął Eric.

– Widzi pan tę klamrę w środku? Jest pęknięta. Nie mam części zamiennych do tego dziwoląga. – Mechanik aż się skrzywił na widok maszyny. – Musiałbym zespawać klamrę. Ale widzisz, kolego, taki stary grat jest jak przetarta koszulka. Załatasz łokieć, to materiał pęknie obok. Załatasz następną dziurę, a koszulka podrze się gdzie indziej. Jak skończysz, okazuje się, że nie masz koszulki, tylko łąty. Jeśli zespawam tę klamrę, wysoka temperatura osłabi stary metal, który pęknie w innym miejscu. W końcu zostanie więcej spawów niż metalu. A w ogóle to wolałbym nie dotykać tego złomu. Bo muszę przyznać, kolego, że nie rozumiem zasady jej działania. Powinieneś znaleźć faceta, który zaprojektował tę maszynę. Może on umie ją naprawić. Może ma jakieś części zamienne. Zaraz, czy ja cię przypadkiem skądś nie znam?

– Słucham? – spytał Eric marszcząc brwi.

– Czy ty czasem nie jesteś sławny? Wystąpiłeś w programie Johnny’ego Carsona?

– Pomylił mnie pan z kimś – rzucił wymijająco Eric. Zerknął na tarczę swojego złotego roleksa. Dochodziło południe. Stracił prawie cały ranek. – Przepraszam, ale nie mam czasu.

Eric chwycił zepsutą maszynę, wybiegł z warsztatu i skierował się do limuzyny. Uliczny zgiełk ranił uszy.

– Greenwich Village – burknął do znużonego kierowcy. – Jak najszybciej.

– W takim ruchu? Proszę pana, jest południe. Godziny szczytu.

Eric drżał i pocił się. Gdy dotarli do Village, zaczął wykrzykiwać szoferowi wskazówki. Około czternastej dwadzieścia przysłała mu do głowy straszna myśl. A jeśli sklep jest zamknięty? Sklepikarz mógł już umrzeć albo zlikwidować interes.

Wyjrzał przez szybę. Zakurzona wystawa rupieciarni majaczyła nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy. Eric wyskoczył z samochodu, zanim szofer zdążył zaparkować. Chwycił masywną maszynę, i choć adrenalina doda-

wała mu sił, kolana ugięły się pod nim. Popchnął skrzypiące drzwi lamusa i zajrzał do wąskiego, przesiąkniętego wonią stęchlizny wnętrza.

Sklepiarz stał dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, gdy Eric wychodził ze sklepu po kupieniu maszyny: przygarbiony za obdrapaną ladą, z półcentymetrowym niedopałkiem papierosa w pożółkłych palcach, zerkając na tabelę wyścigów konnych. Miał na sobie ten sam postrzępiony sweter z pourywanymi guzikami. Pajęczynowate włosy, piaskowa cera.

Podniósł wzrok znad gazety.

– Towary zakupione nie podlegają wymianie. Nie umiesz pan czytać?

Zataczając się pod ciężarem, Eric spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Pan mnie jeszcze pamięta?

– A jakże. Nigdy nie zapomnę tej kupy szmelcu. Powiedziałem, nie przyjmuję zwrotów.

– Nie po to przyszedłem.

– Więc po co pan targasz to draństwo? Rany boskie, ale szkarada. Aż w oczy kłuje.

– Zepsuła się.

– Coś podobnego.

– Nigdzie nie mogę naprawić. Facet w warsztacie nie chciał jej nawet dotknąć. Bał się, że do reszty się rozleci.

– No to wywal ją pan na śmietnik. Albo sprzedaj na złom. Nie można powiedzieć, swoje waży. Dostaniesz pan kilka dolców.

– Ale ona mi się podoba!

– Pozazdrościć gustu.

– Mechanik zasugerował, że może ten, kto zbudował maszynę, wie jak ją naprawić.

– Gdyby krowy miały skrzydła...

– Proszę mi powiedzieć, skąd pan ją wziął!

– Ile jest dla pana warta ta informacja?

– Sto dolarów!

Sklepiarz zerknął na rozmówcę podejrzliwie.

– Czeka nie wezmę.

– W gotówce! Na Boga, pospiesz się pan!

– Gdzie pieniądze?

Poszukiwanie adresu trwało kilka godzin. Eric maszerował w tę i z powrotem, palił papierosy i pocił się. Wreszcie sklepiarz wynurzył się z piwnicy, mamrocząc coś pod nosem. W dłoni ścisnął skrawek papieru.

– Posiadłość na Long Island. Facet zginął, utopił się czy coś w tym guście. Co my tu mamy? – Stary ledwie mógł odczytać swoje bazgroły. – Nazywał się Winston Davis.

Eric złapał się krawędzi kontuaru. Coś ścisnęło go w żołądku. Serce skakało mu w piersi jak opętane.



– To niemożliwe.  
– Zna pan tego Winstona Davisa?  
– Słyszałem o nim. Był pisarzem – powiedział Eric chrapliwym głosem.  
– Mam nadzieję, że nie pisał powieści na tej maszynie. Przecież panu mówiłem. Nie chciałem wziąć tego szmelcu, ale właściciele się uparli, że sprzedadzą wszystkie rzeczy nieboszczyka naraz. Za nic nie chcieli odpuścić maszyny. Wszystko albo nic.

– Mieszkał na Long Island?

– Adres jest na kartce.

Eric porwał wymięty skrawek papieru, chwycił ciężką maszynę i ruszył w stronę drzwi.

– Czy ja gdzieś pana nie widziałem? – spytał sklepikarz. – Był pan może w programie Carsona wczoraj wieczorem?

Słońce już zachodziło, gdy Eric wreszcie dotarł do celu. Przez całą drogę do Long Island drżał z przerażenia. Wiedział już, dlaczego tak wielu czytelników porównywało jego powieść z książkami Winstona Davisa. On też pisał na tej maszynie, a właściwie – ona sama pisała. Dlatego ich utwory zdradzały tyle podobieństw. Powieści Erica i Winstona Davisa miały tego samego twórcę. Eric trzymał wszystko w tajemnicy, tak samo jak Davis, który najwyraźniej także nie powiedział o niczym ani przyjaciółom, ani rodzinie. Po śmierci pisarza krewni uznali, że stara maszyna nadaje się tylko na złom i sprzedali ją wraz z innymi rupieciami walającymi się po domu. Gdyby znali jej sekret, z pewnością zatrzymaliby tę żyłę złota.

Ale teraz maszyna nie była kopalnią złota. Zamieniła się w niekształtną masę złomu.

– To ta willa, proszę pana – poinformował Erica zbity z tropu szofer.

Eric z obawą spojrzął na wielką otwartą bramę, szeroki, równo przystrzyżony trawnik i długi czarny podjazd skracający przed olbrzymim domem, który wyglądał jak zamek.

– Proszę podjechać bliżej – polecił niepewnym tonem.

A jeśli nikogo nie ma w domu? Czy pamiętają tę starą maszynę? Jeśli w ogóle tu jeszcze mieszkają.

Zostawił maszynę w samochodzie. Rozgorączkowany, a zarazem oniesmielony, wspiął się na marmurowe schody i stanął przed wysokimi dębowymi drzwiami. Palce mu drżały. Nacisnął guzik i usłyszał dzwonek w środku; ze zdumieniem spojrzął na otwierające się drzwi.

Stała w nich siwowłosa pani po sześćdziesiątce. Miała miły wyraz twarzy i była dobrze ubrana.

Uśmiechając się, słabym głosem spytała, w czym może pomóc.

Eric zająknął się, ale łagodne spojrzenie gospodyni ośmieliło go. Po chwili spokojnym już głosem wyjaśnił, że zna książki męża i bardzo je podziwia.

– Jak to miło słyszeć, że nie wszyscy o nim zapomnieli – ucieszyła się kobieta.

– Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że może nie sprawię pani kłopotu wstępując na chwilę. Chciałem powiedzieć, że bardzo cenię powieści męża.

– Ależ skąd, jaki kłopot. Bardzo się cieszę. Tak niewielu czytelników pamięta. Zechce pan wejść do środka?

Dom przypominał mauzoleum. Tchnął chłodem, a każdy dźwięk odbijał się echem od wysokich ścian i sufitu.

– Ma pan ochotę zobaczyć gabinet męża, w którym pisał swoje powieści? – spytała starsza pani.

Przeszli długim marmurowym holem, zimnym jak śnieg. Gospodyni otworzyła ozdobne drzwi prowadzące do sanktuarium pisarza.

Gabinet był olśniewający. Przestronny, z bezcennymi obrazami na ścianach, półkami pełnymi książek... Gruby miękki dywan zakrywał całą podłogę aż do okien, z których rozpościerał się widok na ocean z białymi grzywami fal. Trzy żaglówki czerwieniejące w promieniach zachodzącego słońca przemykały lekko w oddali, niesione wiatrem.

Ale największa atrakcja gabinetu stała na samym środku: połyskujące biurko z drewna tekowego, na którym niczym monsterczka lśniła piękna maszyna do pisania marki Smith-Corona z lat pięćdziesiątych.

– To właśnie tutaj mój mąż tworzył swoje książki – wyjaśniła z dumą starszka. – Każdego ranka od ósmej do południa. Potem był lunch, wycieczka po zakupy na wieczór, pływanie lub żeglowanie. Zimą urządzaliśmy sobie długie spacery brzegiem morza. Winston uwielbiał ocean zimą. On... Ach, zaczynam pleść głupstwa. Proszę mi wybaczyć.

– Ależ skąd, rozumiem, co pani czuje. Pisał na tej maszynie?

– Codziennie.

– Pytam, ponieważ parę dni temu kupiłem pewną starą, rozklekotaną maszynę do pisania. Wyglądała tak dziwnie, że aż mnie zaciekawiła. Sprzedawca twierdził, że należała kiedyś do pani męża.

– Nie sądzę...

Eric poczuł ściskanie w piersi. Ogarnęła go rozpacz.

– Chwileczkę, coś sobie przypominam – odezwała się nagle starsza pani. Eric wstrzymał oddech. – Była okropnie brzydka.

– Można tak powiedzieć.

– Winston trzymał ją w szafie. Ciągle mu powtarzałam, żeby wyrzucił to niepotrzebne żelastwo, ale mąż twierdził, że jego przyjaciel nigdy by mu tego nie wybaczył.

– Przyjaciel? – spytał Eric. To słowo stanęło mu w gardle niczym rybia ość.

– Tak, Stuart Donovan. Często razem żeglowali. Pewnego dnia Winston przyniósł do domu to dziwadlo. „Antyk, wyjaśnił. Dostałem ją w prezencie od Stuarta”. Od razu wiedziałam, że niepotrzebnie się nadźwigał, ale cóż, przyjaźń to przyjaźń, więc Winston zatrzymał maszynę. Po śmierci męża... – Głos starszej pani zadrżał. – No cóż, po prostu ją sprzedawałam razem z kilkoma innymi niepotrzebnymi rzeczami.

Eric wysiadł z samochodu kilka minut po zachodzie słońca. Zmrok otoczył go ze wszystkich stron. Powietrze nadbrzeżnej wioski pachniało słoną morską wodą. Uniósł głowę, by spojrzeć na szyld nad drzwiami warsztatu: MASZYNY DO PISANIA. NOWE I UŻYWANE. NAPRAWA I RENOWACJA. DONOVAN. Eric zamierzał odszukać warsztat i wrócić rano, kiedy będzie otwarty, ale ku swemu zdumieniu spostrzegł smugę światła między zasłonami w oknie. Na drzwiach wisiała kartka z napisem „Zamknięte”, ale w oknie majaczyła przesuwająca się ludzka sylwetka.

Zapukał do drzwi. Cień zbliżył się. Starszy mężczyzna odsunął zasłonę i zerknął na Erica.

- Zamknięte – rzucił nie otwierając drzwi.
- Muszę z panem pomówić. To ważne.
- Zamknięte – powtórzył mężczyzna.
- Winston Davis.

Właściciel warsztatu odwrócił się już, by odejść, ale na dźwięk nazwiska znieruchomiał. Odciągnął zasłonę i wyjrzał przez szybę.

- Powiedział pan: Winston Davis?
- Muszę o nim z panem porozmawiać. Bardzo proszę.

Eric usłyszał szcęknięcie zamka. Drzwi uchyliły się powoli. Starszy człowiek przyglądał się gościowi z zaciekawieniem, marszcząc brwi.

- Pan Stuart Donovan?

Staruszek skinął głową.

- Przyjaźniłem się z Winstonem wiele lat.
- Właśnie dlatego chcę z panem porozmawiać.
- Proszę wejść – zaprosił mężczyzna, spoglądając ze zdziwieniem na niespodziewanego gościa. Był niski i szczupły; opierał się na drewnianej łasce. Miał na sobie dwurzędowy garnitur i wąski jedwabny krawat. Kołnierzyk koszuli odstawał od jego wychudzonej szyi. Pachniał miętą.

– Muszę panu coś pokazać – powiedział Eric. Popędził do limuzyny i po chwili wtoczył się do warsztatu z maszyną do pisania.

- Ależ to... – Staruszek otworzył szeroko oczy ze zdumienia.
- Tak, wiem. Podarował ją pan Winstonowi.
- Skąd pan ją...
- Kupiłem w lamusie.

Mężczyzna jęknął z żalu.

– Zepsuła się – wyjaśnił Eric. – Przyniosłem do naprawy.

– A więc pan wie...

– Trzymam to w najgłębszej tajemnicy. Potrzebuję tej maszyny. Jeśli jej pan nie naprawi, wpadnę w poważne tarapaty.

– Jakbym słyszał Winstona. – Oczy staruszka zamglily się od wspomnień. – Kilka razy się psuła, a wtedy on zjawiał się tutaj zawsze z tym samym przerażeniem w oczach. „Umowy, honoraria. Jeśli jej nie naprawisz, będę zrujnowany”, powtarzał. A ja zawsze naprawiałem.

Mężczyzna roześmiał się nostalgicznie.

– Czy zrobi to pan dla mnie? Zapłacę każdą cenę.

– Od każdego biorę tyle samo. Właśnie miałem wychodzić. Żona czeka na mnie z kolacją. Ale ten model to moje arcydzieło. Obejrzę ją. Ze względu na pamięć Winstona. Proszę postawić na kontuarze.

Eric postawił maszynę na blacie i potarł zbolące ramiona.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego pan jej nie zatrzymał. Przecież ona jest warta fortunę.

– Miałem inne.

Eric znieruchomiał, zdziwiony.

– Nigdy nie narzekałem na brak pieniędzy. Bogaci ludzie mają za dużo zmartwień. Na przykład Winston. Pod koniec życia stał się kłębkim nerwów. Drepczył go lęk, że maszyna się zepsuje i nie będzie można jej naprawić. To go zniszczyło. Zacząłem żałować, że mu ją w ogóle dałem. Ale dobrze mnie traktował. Zawsze oddawał mi dziesięć procent swoich zarobków.

– Ja zrobię to samo, tylko proszę ją naprawić. Niech mi pan pomoże.

– Już widzę, co się stało.

Staruszek mrucał coś pod nosem, stukał, pukał, klepał. Wyjmował jakieś pręty i sprawdzał dźwignie.

Eric zagryzł wargi.

– Wiem, co się stało – powtórzył staruszek.

– Ta kłamra pękła.

– O, to drobiazg. Mam ich dużo, mogę wymienić.

Eric odetchnął z ulgą.

– A więc jeśli byłby pan tak uprzejmy...

– Klawisze nie poruszają się, bo kłamra pękła – ciągnął staruszek. – Ale zanim się zacięły, maszyna nie pisała sama, choć tak się panu zdawało. Ona nie tworzyła.

Ericowi zbierało się na wymioty. Skinął powoli głową.

– Widzi pan, maszynie zabrakło słów. Wykorzystała wszystkie, które miała w sobie.

Eric z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć. To nie dzieje się naprawdę, pomyślał.

– A więc niech pan jej doda słów.  
– Pewnie, że bym chciał. Ale kiedy słowa się wyczerpią, nie mogę dodać nowych. Nie wiem dlaczego. Próbowałem nieraz, ale nigdy mi się nie udało. Musiałem budować nowy model.

– Proszę więc to zrobić. Zapłacę, ile pan zechce.

– Przykro mi, ale nie potrafię. Straciłem wprawę. Zrobiłem pięć, które działały bez zarzutu. Szósta i siódma szybko się popsowały. A ósma okazała się katastrofą. Więc w końcu przestałem próbować.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz.

– Nie mogę. Nie wyobraża pan sobie, ile wysiłku mnie to kosztuje. Zawsze potem czuję pustkę w głowie. A teraz potrzebuję wszystkich słów, jakie mi zostały.

– Spróbuj pan chociaż, do licha ciężkiego!

Starzec potrząsnął głową.

– Współczuję panu.

W głębi warsztatu, za kontuarem, Eric spostrzegł podobną maszynę. Te same odstające dźwignie, pokrętła, spirale.

– Zapłacę milion dolarów za tamtą.

Mężczyzna odwrócił się powoli.

– Ach, rozumiem. Przykro mi, ale ta należy do mnie. Zbudowałem ją dla moich dzieci. Teraz, kiedy mnie odwiedzają, wnuki lubią się nią bawić.

– Podwajam sumę.

Eric pomyślał o dworku nad rzeką Hudson, posiadłościach w Malibu i na Bimini, jachcie, odrzutowcu, podróżach do Europy i o ferrari.

– Pal diabli, zapłacę trzy razy więcej.

Zostało sześć dni. Muszę skończyć książkę w ciągu sześciu dni. Może zdąży, jeśli będę stukał w klawisze dzień i noc.

– Musi pan się zgodzić.

– Nie potrzebuję pieniędzy. Jestem starym człowiekiem. Na co mi pieniądze? Przykro mi.

Eric stracił panowanie nad sobą. Wskoczył na blat i rzucił się do maszyny. Staruszek próbował powstrzymać Erica, ale ten go odepchnął. Mężczyzna przewrócił się, chwytając Erica za nogę.

– Ona jest moja! – zawołał. – Zbudowałem ją dla dzieci! Nie może jej pan wziąć!

– Cztery miliony! – krzyknął Eric. – Zapłacę cztery miliony!

– Nie oddam maszyny za żadne pieniądze!

Staruszek wczepił się palcami w nogawki spodni Erica.

– Niech to szlag! – zaklął Eric, stawiając maszynę na blacie. Chwyć laskę starca i dzielił go w głowę. – Ja jej potrzebuję, rozumiesz?!

Uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz.

Ciałem staruszka wstrząsnął dreszcz. Laska zaczerwieniła się od krwi.

W warsztacie zapadła cisza.

Eric wiedział, że zabił starca. Cofnął się, upuścił laskę i zakrył usta dłonią.

I wtedy uzmysłowił sobie coś.

„Jest moja”.

Stał swoje odciski ze wszystkiego, czego dotykał. Zamienił maszyny, zostawiając starą na stole. Szofer nie będzie wiedział, co się stało. I pewnie nigdy się nie dowie. Zabójstwo staruszka w malutkiej wiosce na Long Island... Kto by chciał coś takiego nagłaśniać? Pani Davis może sobie przypomnieć wieczorną wizytę Erica, ale czy połączy ją z morderstwem? A poza tym i tak nie wie, z kim rozmawiała.

Eric wykorzystał swoją szansę. Chwycił zdobycz w ramiona i mimo ciężaru maszyny pobiegł.

Na biurku w gabinecie stał komputer IBM. Na pokaz. Eric nigdy go nie używał, ale wolał, żeby goście nie wiedzieli, jak pisze swoje książki. Prawie nie słyszał szumu silnika limuzyny. Otworzył drzwi gabinetu, włączył światło i pędem rzucił się do biurka. Jednym ruchem zrzucił komputer na podłogę i postawił na blacie maszynę, która miała go ocalić. Tylko sześć dni. Powinno wystarczyć. Dużo szampana i telewizja. Palce sztywniały w stawach od stukania bez przerwy w klawisze. Ale jakoś wytrzyma.

Nalał sobie drinka aż po brzeg szklanki. Potrzebował tego. Włączył telewizor, gdzie właśnie nadawano „Late Show”. Zapalił papierosa i w chwili, gdy na ekranie pokazały się napisy, zaczął stukać w klawisze.

Jeszcze drżał lekko po tym, co się stało. Był przerażony i bał się. Ale miał maszynę. Nie straci jachtu, samolotu i trzech posiadłości. Nadal będzie mógł urządzać przyjęcia. Właściwie, jeśli się zastanowić, to zaoszczędził cztery miliony dolarów, które musiałby zapłacić za nowy model.

Zerknął z zaciekawieniem na to, co wyszło spod jego palców. I wrzasnął na całe gardło.

Na kartce widniały słowa, ale nie był to ciąg dalszy tandetnej sagi mieszkalców Parson's Grove. Było to coś zupełnie innego.

„Patrzcie, tam biegnie Jack. Tam biegnie Jill. A Spot goni za piłką”.

(Zbudowałem ją dla moich dzieci. Teraz, kiedy mnie odwiedzają, wnuki lubią się nią bawić.)

Eric zawył tak głośno, że zagłuszył stukanie klawiszy.

„Patrzcie, Spot pędzi po wzgórzu. Jill goni Spota. A Jack goni Jill”.

Wrzask Erica zbudził mieszkających o pół kilometra dalej sąsiadów. Przestraszyli się, że ktoś go napadł, więc zadzwonili na telefon ratunkowy. Przy-

jechała policja. Gdy funkcjonariusze wbiegli na górę, Erica nadal walił w klawisze maszyny.

Nie wiedzieli, który widok jest gorszy: Erica czy maszyny. Kiedy jednak zdołali go wreszcie od niej oderwać, jeden z nich spojrział na zapisaną kartkę papieru.

„Patrzcie, Jill włązi na drzewo. Jack włązi na drzewo. A Spot warczy na Jacka”.

A nieco niżej (choć wówczas nie rozumieli jeszcze, co to znaczy): „Patrzcie, Eric morduje pana Donovana. Eric zabija staruszkę laską. Patrzcie, Eric mnie kradnie. Eric pójdzie za kratki”.

Może to było złudzenie optyczne, a może skutek osobliwego układu klawiatury. Tak czy inaczej, jeden z policjantów przysięgał później przed żoną (nikomu innemu nie pisał o tym ani słowa), że ta piekielna maszyna zdawała się szczyrzyć klawisze jak zęby w uśmiechu.

# Pułapka na nieostrożnych

*Dennis Etchison jest utalentowanym pisarzem i cenionym redaktorem antologii. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, zestawiając trzeci tom serii Masters of Darkness (Mistrzowie ciemności), zwrócił się do mnie i kilku innych pisarzy – między innymi Clive’a Barkera, Stephena Kinga, Deana Koontza i Joyce Carol Oates – o wybranie swoich ulubionych opowiadań. Poprosił również o uzasadnienie dokonanego wyboru. Oto, co napisałem.*

**W** jaki sposób pisarz może ocenić, którym spośród wielu opowiadań najlepiej spełnił swoje pisarskie zamierzenia? Zanim wybrałem *Lecz za plecami zawsze słyszę...*, przeczytałem powtórnie kilka innych. Postanowiłem je wybrać nie dlatego, że jest najbardziej przerażające (owszem, skóra mi ścierpła przy czytaniu, ale nie tak jak przy *Za te i wszystkie inne grzechy* oraz środkowej części powieści *Testament*) i nie dlatego, że jego styl można nazwać eksperymentalnym (tak samo jak styl *Niewidzialnego śmiechu*), ale właśnie dlatego, że jest to moje typowe opowiadanie, wykorzystujące tematy i techniki pisarskie, do których tak często sięgałem w swojej twórczości.

Zacznijmy od techniki. Podobnie jak dla wielu powieściopisarzy, dyscyplina narracji, którą narzuca forma opowiadania, stanowi dla mnie trudne wyzwanie. Jest w tym pewna ironia. Przygodę z pisarstwem zacząłem tak naprawdę na początku lat siedemdziesiątych powieścią *Pierwsza krew*; niedługo po wysłaniu jej do wydawcy przyśnił mi się koszmarny sen, który natychmiast dokładnie zapisałem. W ten sposób powstało opowiadanie *Krople*, zakupione przez „Ellery Queen’s Mystery Magazine”. Dwa tygodnie przed telefonem mojego agenta z informacją, że wydawca przyjął do druku powieść



*Pierwsza krew*, dostałem... mój pierwszy w życiu czek właśnie za to opowiadanie! Trzeba być pisarzem, aby zrozumieć, co wtedy czułem. *Krople* darzę więc szczególnym sentymentem, dzięki temu bowiem utworowi po raz pierwszy spełniły się moje marzenia.

Jednak podczas pracy nad drugą książką (syndrom drugiej powieści: czy potrafię to zrobić jeszcze raz?) koszmary nadające się do spisania jakoś przestały mnie nawiedzać. A ponieważ ta powieść – był nią *Testament* – sprawiała mi coraz to nowe problemy i potęgowała moją i tak dokuczliwą już niepewność, tym bardziej zapragnąłem napisać jakiś krótki utwór, który pozwoliłby mi utwierdzić się w przekonaniu, że jednak potrafię być hipnotyzerem, magiem, gawędziarzem...

Pracowałem wówczas jako wykładowca literatury na Uniwersytecie Iowa; całkiem przypadkowo podczas przygotowywania się do zajęć wpadł mi w rękę wiersz Roberta Browninga *My Last Duchess* i doznałem wrażenia, że odkryłem coś niezwykłego. *Krople* są utworem opowiedzianym w pierwszej osobie, a ja zawsze traktowałem narrację w pierwszej osobie z pewną rezerwą. Dlaczego? Ano dlatego, że zawsze żywiłem olbrzymi podziw dla Henry'ego Jamesa i jego twórczości.

W komentarzu do swojego arcydzieła powieści grozy *W kleszczach lęku* mój mistrz napisał, że jest to „pułapka na nieostrożnych”, ponieważ narracja w pierwszej osobie uniemożliwia rozpoznanie, czy narratorka mówi prawdę o duchach, które ujrzała, czy też należy ją uznać za osobę niepoczytalną. W istocie James pogardzał narracją w pierwszej osobie, uważając ją za sztuczkę, dzięki której zainteresowanie czytelnika ogranicza się do rozstrzygnięcia, czy narrator ulega złudzeniu, kłamie, czy też postradał zmysły. Jak więc mogłem czuć się usprawiedliwiony w podążaniu za instynktem, który kazał mi kontynuować technikę wykorzystaną w *Kroplach*, skoro jeden z moich literackich idoli z taką mocą ją odrzucał?

Odpowiedź znalazłem w poemacie Roberta Browninga *My Last Duchess*. Uważa się, że to on właśnie po raz pierwszy zastosował technikę narracyjną zwaną monologiem dramatycznym nie w sztuce – tam bowiem monolog jest od dawna przyjętą konwencją – lecz w wierszu! Poemat zaczyna się słowami narratora: „Oto ma ostatnia księżna malowidłem na ścianie”. Od razu zadałem sobie pytanie: do kogo się zwraca? Jak odbierze to zdanie czytelnik? Technika wydaje się nieuprawniona, sztuczna, ale okazuje się niesłychanie efektywna. Mniej więcej w tym samym okresie zakochałem się w powieściach Jamesa M. Caina. „Koło południa zrzucili mnie z odkrytej przyczepy ciężarówki, którą przewozili siano”. Tak zaczyna się powieść *Listonosz dzwoni zawsze dwa razy*, i jest to jedno z najlepszych pierwszych zdań w całej literaturze, otwierające jeden z najlepszych thrillerów, jakie kiedykolwiek powstały. Ale narrator Caina nie zwraca się do istniejącej w jego wyobraźni widowni obserwującej scenę w teatrze. Nie – ten skazany przez los agresor, a zarazem

ofiara, opowiada swoją historię spokojnie, z zimną krwią, czekając na egzekucję za morderstwo.

Musiałem więc zadać sobie kolejne pytanie: a może udać, że nigdy nie czytałem Jamesa? Może skupić się na Browningu i Cainie? I ta właśnie decyzja pomogła mi przełamać niemożność pisania opowiadań. Z ochotą uległem pragnieniu pisania w pierwszej osobie. Jest tak bezpośrednio, bliskie, pełne życia i werwy. I pozwala pisarzowi osiągnąć zwieżłość formy. Udręczony narrator jednym ciągiem wyrzuca z siebie opowieść o swoim lęku. Niemal całe opowiadanie *Lecz za plecami...* powstało z inspiracji Brownin-giem. Ale gdy bohater-ofiara w hotelowym pokoju bierze do ręki pióro i papier i ujawnia, że przez cały czas spisywał swoją opowieść jako dokument, dzięki któremu ci, co znajdują jego ciało, będą mogli pojąć kierujące nim wyroki losu – to już jest Cain. I niech mu Pan Bóg błogosławi, bo to właśnie on wskazał mi drogę.

Tematyka mojego pisarstwa? Z powodów, których nie sposób dokładnie opisać w tak krótkim wstępie, mam obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Wątek ten przewija się we wszystkich moich utworach. Najstraszniejszą rzeczą, jaką mogę sobie wyobrazić, byłaby utrata mojej rodziny, choćby jednego jej członka, rozłąka z tymi, których kocham. Ten lęk przybrał rzeczywisty kształt dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, gdy mój wspaniały syn Matthew zmarł na raka kości po sześciu miesiącach potwornych męczarni. Opisałem ten koszar w książce *Fireflies* (Świetliki). Lecz ten najokropniejszy z lęków prześladował mnie jeszcze przed śmiercią Matthew, podczas pisania *Kropel* i wielu innych opowiadań. Narrator w *Lecz za plecami...* traci wszystko, co jest dla niego ważne. Nie z własnej winy, ale dlatego, że tak chciało przeznaczenie. Dlatego, że czasem coś się nie udaje tak jak chcemy. Bo życie – niech mi Bóg wybaczy – nie jest sprawiedliwe.

W jednej z moich grup na uniwersytecie znalazła się studentka, która utrzymywała, że wysyłam do niej telepatyczne sygnały o treści erotycznej. Wydzwaniiała, groziła i straszyla... Tak więc opowiadanie *Lecz za plecami...* jest prawdziwe. Z tą tylko różnicą, że o ile mi wiadomo, ta studentka nadal żyje i nikt nie wie, co jeszcze może jej wpaść do głowy.

Po przeprowadzce z Kanady, gdzie się wychowałem, do Pensylwanii i wreszcie do stanu Iowa, zakochałem się w błękitcie tamtejszego nieba i bujnej urodzie przyrody. Nazywam ten stan, który stał się moją ojczyzną, egzotycznym. Przyszło mi na myśl, że akcja niesamowitych opowieści nie musi się rozgrywać w odkrytym dla literatury przez Hawthorne'a posepnym krajobrazie Nowej Anglii lub w strasznych gettach wielkich miast, lecz może się dziać w świetle słońca, w otoczeniu piękna natury. Pamiętacie Cary'ego Granta uciekającego przed pociskami karabinowymi sypiącymi się z niewinnego na pozór samolotu rolniczego w filmie Alfreda Hitchcocka *Północ – północny*

*zachód*? Wyobraziłem sobie opowiadania, których akcja toczy się na pre-riach Środkowego Zachodu, ciągnących się wzdłuż autostrady numer osiemdziesiąt, w niewymiernej fizycznie, lecz tym bardziej groźnej przestrzeni działającej małe społeczności. Wykorzystałem ten pomysł w opowiadaniach takich jak *Burza*, *Za te i wszystkie inne grzechy* oraz w kilku innych. Nawet w zmianie strefy czasowej może czaić się zagrożenie.

Jeśli więc rozpaczliwie łakniesz poczucia bezpieczeństwa (tak jak bohater opowiadania *Lecz za plecami zawsze słyszę...* oraz jego autor), to z pewnością wybrałbyś ten utwór jako reprezentatywny dla swojej twórczości. Profesor, który jest moim *alter ego*, poświęca życie i duszę dla rodziny. To porządny człowiek. Rozumiem go aż za dobrze. Bo gdybym ja dostał taką szansę, bez wahania poświęciłbym za mojego syna i życie, i duszę.

# Lecz za plecami zawsze słyszę...

Zadzwoiła znowu wczoraj w nocy. O trzeciej, jak zwykle. Jestem śmiertelnie przerażony. Nie mogę dłużej uciekać. W recepcji hotelu podałem fałszywe nazwisko, adres i zawód. Jestem teraz w Johnstown w Pensylwanii, ale pochodzę z Iowa City w Iowa. Wykładam – a właściwie wykładałem jeszcze trzy dni temu – literaturę amerykańską na uniwersytecie. Nie mogę zaryzykować powrotu tam. Ale nie mogę się też ukrywać. Ona zbliża się każdej nocy.

Bałem się jej od samego początku. Przychodziłem na uczelnię o ósmej, żeby przygotować się do zajęć. Mój gabinet znajdował się w budynku angiłstyki na drugim piętrze i oddzielały go od pozostałych pomieszczeń drzwi przeciwpożarowe. Koledzy żartowali, że zostałem wygnany, ale nie przejmowałem się tym, bo w swoim zakątku mogłem się lepiej skoncentrować. Nie wielu studentów zakłócało tam mój spokój. Gdyby nie szum za drzwiami, mogłoby się wydawać, że jestem w budynku całkiem sam. I rzeczywiście, o ósmej rano byłem jedyną osobą na uczelni.

Tego dnia było jednak inaczej. Wspinałem się po schodach, ściskając ciężką aktówkę. Szuranie moich stóp odbijało się echem od bładoczerwonych cegieł i schodów z imitacji zielonego marmuru. Parter, pierwsze piętro, drugie piętro. Fluorescencyjne lampy świeciły zimnym blaskiem. Zauważyłem ją, gdy byłem jeszcze na schodach. Siedziała na krześle naprzeciwko mojego gabinetu. Poczulem się nieswojo.

Dla was ósma rano nie jest pewnie wczesną porą. Wstaliście może jeszcze wcześniej, żeby zdążyć do pracy albo wyprawić dzieci do szkoły. Ale dla

studentów ósma rano to środek nocy. Nie znoszą porannych zajęć. Jeśli już plan zmusza ich do przyścia na wykład, zwlekają się z łózek w ostatniej chwili i pojawiają się w sali, kiedy zacznym zajęcia.

Zdziwiłem się więc, widząc tę dziewczynę półtorej godziny przed wykładem, siedzącą sztywno na krześle. Miała matowe, kasztanowe włosy, za duży sweter i wyblakłe džinsy z latami na kolanach, postrzępione u dołu. W jej ciemnych, głęboko osadzonych oczach czaiło się coś dziwnego.

Wspiąłem się na schody i zatrzymałem przed nią.

– Przyszła pani na konsultacje przed zajęciami?

Skinęła głową obojętnie.

– Nie jest pani zadowolona z oceny, którą pani wystawiłem?

Tym razem potrząsnęła głową z bolesnym wyrazem twarzy.

Zmieszany, wydobyłem z kieszeni klucz i otworzyłem gabinet. W niewielkim, wąskim pomieszczeniu mieściło się biurko, dwa krzesła i półka z książkami koło okna. Siadając za biurkiem, obserwowałem ją wchodzącą powoli do środka. Rozejrzała się niepewnie i zamknęła drzwi.

To mnie bardzo zaniepokoiło. Gdy studentka zamyka drzwi, natychmiast zaczynam się denerwować, że któryś z kolegów lub studentów wchodzący po schodach może usłyszeć kobiecy głos i zaciekawić się, czemu nie siedzimy przy otwartych drzwiach. Powinienem był poprosić, żeby otworzyła je z powrotem, ale jej niespokojne oczy wzbudziły we mnie tyle współczucia, że postanowiłem dziś odstąpić od zasady. Zdawało mi się, że jej cierpienie jest zbyt prywatną sprawą, aby rozmawiać o nim bez niezbędnej izolacji.

– Proszę usiąść – powiedziałem z uśmiechem, starając się ją uspokoić, choć sam czułem się niespokojny. – Co panią sprowadza, panno... Przepraszam, ale nie pamiętam nazwiska.

– Samantha Perry. Ale nie podoba mi się Samantha, więc wolę krótszą wersję...

– To znaczy?

– Sam. Jestem w grupie, która ma zajęcia we wtorki i czwartki o dziewiętej trzydzieści. – Zagryzła wargę. – Przemawiał pan do mnie.

Zmarszczyłem brwi, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Chce pani przez to powiedzieć, że mój wykład był przekonujący?

– Nie, panie Ingram. Chcę powiedzieć, że pan zwracał się do mnie. Patrzył pan na mnie podczas wykładu, nie zwracając uwagi na pozostałych studentów. Mówił pan do mnie. Kiedy pan opowiadał o Hemingwayu, o tym, że Frederic Henry pragnie pójść do łóżka z Catherine... – Przełknęła ślinę. – Pytał mnie pan, czy ja chcę pójść do łóżka z panem.

Otworzyłem usta ze zdziwienia. Aby ukryć szok, szybko zapaliłem papierosa.

- Myli się pani.
- Ale ja słyszałam. Patrzył mi pan prosto w oczy. Czulałam, że pozostali studenci wiedzą, co pan robi.
- Ja tylko prowadziłem wykład. Często patrzę studentom w twarz, aby sprawdzić, czy uważają. Odniosła pani mylne wrażenie.
- A więc nie pytał mnie pan, czy chcę pójść z panem do łóżka? – spytała z niepokojem.
- Nie. To nie mój zwyczaj stawiać oceny za seks.
- Ależ ja nie dbam o stopnie!
- Jestem żonaty. I szczęśliwy. Mam dwoje dzieci. Przypuśćmy jednak, że próbowałem złożyć pani propozycję. Uważa pani, że zrobiłbym to podczas wykładu? Musiałbym być głupcem.
- A więc nie chodziło panu o... – Znów zagryzła wargę.
- Przykro mi.
- Ale pan do mnie przemawia! Słyszę pański głos na korytarzu, na ulicy! Mówi pan do mnie, kiedy śpię! Powtarza pan, że chce ze mną iść do łóżka!
- Poczułem gęsią skórkę. Znieruchomiałem.
- Pani się myli. To tylko urojenia pani wyobraźni.
- Ależ ja słyszę pański głos tak wyraźnie! Kiedy się uczę albo...
- W jaki sposób? Przecież nie ma mnie wtedy przy pani.
- Wysyła pan swoje myśli! Koncentruje się pan i sprawia, że słyszę pański głos w mojej głowie!
- Przyływ adrenaliny był tak silny, że poczułem skurcz w żołądku. Gorączkowo szukałem jakiegoś argumentu, który przekonałby ją, że ulega złudzeniu.
- Mówi pani o telepatii? Nie wierzę w nią. Nigdy nawet nie próbowałem wysyłać do pani swoich myśli.
- A jeśli robi to pan nieświadomie?
- Potrząsnąłem zdecydowanie głową. Nie mogłem się jednak zmusić, żeby jej to powiedzieć wprost: ze wszystkich studentek w tej grupie była ostatnią, z którą chciałyby się przespać, nawet gdybym nie był żonaty.
- Za dużo się pani uczy – stwierdziłem. – Tak bardzo zależy pani na ocenach, że mimo woli skupiła pani na mnie swoją uwagę. Dlatego wydaje się pani, że słyszy mój głos, nawet gdy nie ma mnie w pobliżu. A ja staram się, aby moje wykłady były przekonujące. Dlatego ulega pani złudzeniu, że mówię wyłącznie do pani.
- Więc nie powinien pan uczyć w ten sposób! – zawołała ze łzami w oczach. – To nie w porządku! To jest okrutne i wyzywające! Zrobił pan ze mnie idiotkę!
- Nie chciałem.

- Ale pan to zrobił! Wprowadził mnie pan w błąd, oszukał!
- Nie.

Wstała tak szybko, że aż drgnąłem; przeraziłem się, że rzuci się na mnie lub zacznie wzywać pomocy, a kiedy ktoś się zjawi, powie że próbowałem ją zgwałcić. Te cholerne drzwi. Zacząłem żałować, że nie nalegałem, aby została je otwarte.

Pochlipując, ruszyła szybko w stronę drzwi. Niezdarnie przekręciła klamkę, wyszła na korytarz i zaczęła zbiegać po schodach.

Wstrząśnięty, zgasilem papierosa i sięgnąłem po następnego. Coś ścisnęło mi serce, gdy wsłuchiwałem się w jej cichnące łkania, szuranie butów na schodach i wreszcie odległy łoskot zatrzaskiwanych drzwi.

Zapadła cisza.

Godzinę później zastałem ją w klasie. Zdążyła wytrzeć łzy. Tylko jej zapuchnięte, czerwone oczy zdradzały, że płakała. Siedziała skupiona, trzymając długopis nad zeszytem. Starannie unikałem jej spojrzenia, a ona rzadko podnosiła głowę znad notatnika.

Po zajęciach spytałem asystenta, czy zna tę studentkę.

– Ma pan na myśli Sam? Tak, oczywiście, że ją znam. Przeważnie dostaje dwójki. Zgłosiła się na konsultacje, ale zamiast rozmawiać o tym, jak poprawić oceny, wypytywała mnie o pana. Chyba się w panu zadurzyła. Biedna dziewczyna.

– Czemu?

– Jest nieatrakcyjna, nie ma przyjaciół. Pewnie rzadko wychodzi w towarzystwie. Ma chyba jakieś problemy z ojcem. Nie mówiła o nim zbyt chętnie, ale wyczułem, że jej trzy pozostałe siostry są ładne, więc tatuś traktuje ją jak brzydkie kaczątko. Bardzo jej zależy, żeby sprawić mu przyjemność, ale on ją ignoruje. Praktycznie się jej wyrzekł. Pan jej go przypomina.

– Kogo? Ojca?

– Sam przyznaje, że ojciec jest dziesięć lat starszy, ale wygląda pan dokładnie tak samo jak on.

Poczułem nieprzyjemne ukłucie w piersi.

Dwa dni później znów zastałem Sam przed drzwiami mojego gabinetu o ósmej rano.

Sztywnymi palcami otworzyłem drzwi. Tym razem ich nie zamknęła, jakby usłyszała moje myśli. Nie wierciła się na krześle, tylko wpatrywała we mnie.

– To się znów stało – zaczęła.

– W sali nawet na panią nie patrzyłem.  
– To było później, kiedy poszłam do biblioteki. – Zaczerpnęła tchu. – I wieczorem w akademiku, przy kolacji. Słyszałam pański głos tak wyraźnie. Byłam pewna, że pan tam jest.

– O której godzinie?

– Wpół do szóstej.

– Piłem wtedy koktajl z dziekanem. Sam, niech mi pani wierzy, nie wysłałam do pani myśli. Nawet o pani nie myślałem.

– Niemożliwe, żebym to sobie ubzdurała! Chciał pan iść ze mną do łóżka!

– Właśnie wtedy próbowałem przekonać dziekana, żeby przydzielił mi fundusze na badania. O niczym innym nie myślałem. Mój umysł zajęty był tylko tym. Kiedy okazało się, że nie dostanę tych pieniędzy, za bardzo się zirytowałem, żeby myśleć o czymkolwiek poza upiciem się.

– Pański głos...

– To nie jest mój głos. Gdybym wysyłał do pani myśli, czy nie przyznałbym się, że to robię? Czy nie potwierdziłbym wiadomości, którą rzekomo wysyłałam? Czy zaprzeczyłbym?

– Boję się.

– Źle się pani układa z ojcem.

– Słucham?

– Mój asystent powiedział, że utożsamia mnie pani ze swoim ojcem.

Sam pobladała.

– To miała być tajemnica!

– Zapytałem go o to. Nie mógł skłamać.

– Jeśli pan przypomina mi ojca, a ja chcę z panem pójść do łóżka, to wynika z tego, że chcę pójść do łóżka z...

– Sam!

– ...z ojcem! Na pewno czuje pan do mnie odrazę!

– Nie, wydaje mi się tylko, że jest pani bardzo zagubiona. Powinna pani zwrócić się do kogoś o pomoc. Mam na myśli...

Nie pozwoliła mi dokończyć. Zanosząc się płaczem, wybiegła z gabinetu tak jak za pierwszym razem.

Wtedy widziałem Sam po raz ostatni. Godzinę później, gdy zacząłem wykład, nie było jej w sali. Kilka dni potem dostałem z dziekanatu karteczkę z wiadomością, że zrezygnowała ze wszystkich zajęć.

Szybko o niej zapomniałem.

Nadeszło lato, a później jesień. Listopad. W deszczowy wtorkowy wieczór siedzieliśmy z żoną do późna przed telewizorem, żeby poznać dokładne



wyniki wyborów prezydenckich. Oboje martwiliśmy się o wynik naszego kandydata.

O trzeciej nad ranem odezwał się telefon. Nikt nie dzwoni tak późno, chyba że...

Wymowałem właśnie piwo z lodówki i na dźwięk dzwonka drgnąłem gwałtownie, uderzając się w głowę. Potarłem się po skórze i odwróciłem. Jean, moja żona, weszła do kuchni i zerknęła na aparat.

– Może to ktoś ze znajomych – powiedziałem. – Pewnie chce pogadać o wyborach.

Zaraz jednak pomyślałem z obawą o rodzicach. Może któreś zachorowało albo...

Z niepokojem obserwowałem, jak Jean podnosi słuchawkę.

– Halo? – Zmarszczyła brwi i zakryła dłonią mikrofon. – To do ciebie. Jakaś kobieta.

– Co?

– Młoda kobieta. Powiedziała, że chce mówić z panem Ingramem.

– Do licha, to pewnie któraś ze studentek.

– O trzeciej w nocy?

Stojąc ciągle przy otwartych drzwiach lodówki, ze złością otworzyłem puszkę piwa. Moje małżeństwo jest szczęśliwe. Przyznaję, że mieliśmy problemy, jak każda para. Ale poradziliśmy sobie i teraz jest nam dobrze razem. Jean ma trzydzieści pięć lat, jest atrakcyjna, inteligentna i wyrozumiała. Ale jej zaufanie do mnie zostało w tej chwili wystawione na ciężką próbę. Kobieta, która dzwoni o trzeciej nad ranem, musi mnie bardzo dobrze znać.

– Ciekawe. O co chodzi? – rzuciłem szorstko, żeby przekonać Jean o swojej niewinności.

– Słyszałam pana – odezwała się kobieta po drugiej stronie drżącym, błagalnym głosem.

– Kto mówi? – spytałem ze złością.

– To ja.

Usłyszałem w słuchawce niewyraźne pokasływanie.

– Kto mówi? Proszę się przedstawić.

– Sam.

Kolana ugięły się pode mną. Oparłem się o ścianę.

Jean przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Co się stało?

– Sam, jest trzecia w nocy. Co jest tak cholernie ważne, że nie może poczekać do rana?

– Trzecia? Niemożliwe. Jest dopiero pierwsza.

– Jest trzecia. Rany boskie, Sam, ja wiem, która jest godzina.

– Proszę, niech się pan nie denerwuje. W radiu właśnie podawali, że minęła pierwsza.

– Gdzie pani jest?

– W Berkeley.

– W Kalifornii? Sam, to inna strefa czasowa. Na Środkowym Zachodzie jest dwie godziny później. Trzecia rano...

– Chyba zapomniałam.

– Ależ to absurd. Piła pani coś? Jest pani pijana?

– Nie, raczej nie.

– A więc co ma znaczyć ten telefon?

– Wzięłam jakieś tabletki. Nie wiem dokładnie, jakie.

– O Boże.

– A potem pana usłyszałam. Mówił pan do mnie.

– Nie, Sam. Rozmawialiśmy o tym przecież. To nie jest mój głos. To pani wyobraźnia...

– Zawołał mnie pan, a potem powiedział, że chce iść ze mną do łóżka. Mówił pan, żebym do pana przyjechała.

– Do Iowa? Nie. Musi to pani wreszcie zrozumieć. Proszę nie przyjeżdżać. Nie wysyłam do pani żadnych myśli.

– Kłamie pan! Proszę powiedzieć, dlaczego pan kłamie?

– Nie chcę iść z panią do łóżka. Cieszę się, że jest pani w Berkeley. Proszę tam zostać. Niech pani zwróci się do kogoś o pomoc. Czy pani naprawdę nie rozumie? To przez te tabletki. To dzięki nim słyszy pani mój głos.

– Ja...

– Proszę mi wierzyć, Sam. Nie wysyłam do pani myśli. Nawet nie wiedziałem, że wyjechała pani do Berkeley. Dzieli nas dwa tysiące mil. To, co pani sugeruje, jest niemożliwe.

Nie odpowiedziała. Usłyszałam szum w słuchawce.

Oszołomiony, jeszcze przez chwilę trzymałem słuchawkę przy uchu. Przelknąłem ślinę i odłożyłem ją na widelki.

Jean wpatrywała się we mnie badawczo.

– Kto to był? Jaka Sam? Chce z tobą iść do łóżka o trzeciej w nocy? Co to ma znaczyć?

– Nic. – Upiłem łyk piwa, ale moje gardło pozostało suche. – Usiądź. Przyniosę ci piwo.

Jean objęła się ramionami.

– To nie jest tak, jak sobie wyobrażasz. Nie śpiam z nikim na boku. Ale jest źle. Boję się.

Podąłem Jean piwo.

– Właściwie nie wiem, jak do tego doszło. Któregoś dnia wiosną poszedłem o ósmej rano do pracy...

Jean słuchała z zatroskanym wyrazem twarzy. Uspokoila się nieco słysząc, że Sam jest mało atrakcyjną dziewczyną i ma poważne problemy.

– Czy to prawda? – spytała.

– Daję słowo.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Nie zachęcałeś jej w żaden sposób?

– Ręczę za to. Nawet nie wiedziałem, że ma na imię Sam, dopóki nie zastałem jej wtedy przed gabinetem.

– Może nieświadomie?

– Sam zadała mi to samo pytanie. Staralem się prowadzić wykład najlepiej jak umiem.

Jean skinęła głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– A więc ma zaburzenia psychiczne i nic nie możesz dla niej zrobić. To dobrze, że przeniosła się do Berkeley. Na twoim miejscu bałabym się jej.

– I tak właśnie jest. Ona mnie przeraża.

Podczas kolacji w następną sobotę opowiedziałem naszym gospodarzom o tym, co się stało. Chciałem podzielić się z kimś moimi obawami, a poza tym żona gospodarza, mojego kolegi z uczelni, jest psychiatrą. Chciałem zasięgnąć rady specjalisty.

Aż do pewnego momentu Diane słuchała bez większego zainteresowania. Nagle wyprostowała się i spojrzała na mnie z uwagą.

– Co się stało? – spytałem niepewnie.

– Mów dalej.

Dokończyłem ze zmarszczonym czołem, czekając na reakcję gospodyni. Diane naląła mi wina i zaproponowała dokładkę pizzy.

– Coś cię zaniepokoiło.

Poprawiła długie, czarne włosy.

– Może to nic ważnego.

– Chcę wiedzieć.

Diane skinęła ponuro głową.

– Nie potrafię postawić diagnozy wyłącznie na podstawie twojego opisu. To byłoby nieodpowiedzialne.

– Ale możesz sformułować hipotezę...

– I tylko hipotezę. Ona słyszy twój głos. To symptom poważnych zaburzeń psychicznych. Paranoja, schizofrenia. Zabójca Johna Lennona słyszał głos. Tak samo jak Manson. I Syn Sama.

– O Boże – odezwała się Jean, upuszczając widelec na talerz. – Sam. Przecież ona ma tak na imię.

– Takie skojarzenie też mi przyszło na myśl – powiedziała Diane. – Chuck, jeśli ona utożsamia cię ze swoim ojcem, może być niebezpieczna dla Jean i waszych dzieci.

– Dlaczego?

– Z zazdrości. Może chce zadać ból odpowiednikom swojej matki i sióstr, które uważa za rywalki.

Straciłem resztę apetytu. Wino nabrało kwaśnego smaku.

– Jest jeszcze inna możliwość, ale wcale nie lepsza. Jeśli nadal będziesz ją odrzucał, może stać się niebezpieczna dla ciebie. Zamiast spróbować radzić sobie z ojcem, Sam może skierować swoją złość i zazdrość przeciwko tobie. Mogłaby spróbować pozbyć się frustracji związanej z ojcem, zabijając ciebie.

– Pociuszające.

– Nie zapominaj, że to tylko hipotezy. Możliwe, że ona kłamie mówiąc, że słyszy twój głos. Albo ma halucynacje po lekach, które bierze. Przyczyny mogą być różne. Nie odważyłabym się ocenić symptomów bez spotkania z nią, bez przeprowadzenia badań. Robię to dla ciebie, bo jesteśmy przyjaciółmi. Nie można wykluczyć, że ona posunie się nawet do morderstwa.

– Powiedz, co mam robić.

– Najlepiej trzymać się od niej z daleka.

– Staram się. Ta dziewczyna telefonowała z Kalifornii, ale zagroziła, że tu wróci, żeby się ze mną spotkać.

– Spróbuj ją odwieść od tego zamiaru.

– Nie jestem psychologiem. Nie wiem, co jej powiedzieć.

– Zasugeruj pomoc profesjonalisty.

– Próbowałem.

– Spróbuj jeszcze raz. Ale jeśli zastaniesz Sam przed gabinetem, nie wchodź razem z nią do środka. Poszukaj kogoś. Będziesz bezpieczniejszy w obecności innych ludzi.

– Ale o ósmej rano w budynku nikogo nie ma.

– Wymyśl jakąś wymówkę, żeby wyjść. Jean, jeśli ona zjawi się przed drzwiami waszego domu, nie wpuszczaj jej.

Moja żona pobladła.

– Nigdy nie widziałam Sam. Jak mam rozpoznać tę dziewczynę?

– Chuck ją opisał. Nie ryzykuj. Uważaj na każdą kobietę, która przypomina ją z wyglądu. I dobrze pilnuj dzieci.

– W jaki sposób? Rebeka ma dwanaście lat, a Sue dziewięć. Nie mogę trzymać ich ciągle w domu.

Diane zakreśliła winem w kieliszku.

– O Boże – jęknęła Jean.

W ciągu kilku następnych tygodni nasze życie zamieniło się w piekło. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, Jean i ja podskakiwaliśmy. Ale zawsze okazywało się, że dzwonią znajomi, ich dzieci lub ktoś z działu reklamy takiej czy innej firmy. Codziennie musiałem zbierać się na odwagę, żeby wejść na schody prowadzące do gabinetu. Modliłem się w duchu, żeby nie ujrzeć Sam. Na szczęście nie było jej tam. Powoli napięcie ustępowało. Uwierzyłem, że Sam pozbyła się obsesji na moim punkcie.

Nadeszło Święto Dziękczynienia, mój ostatni spokojny dzień. Wybraliśmy się do kościoła. Nasi rodzice mieszkają zbyt daleko, żeby świętować razem z nami, ale zaprosiliśmy do domu przyjaciół. Obejrzelśmy mecz w telewizji. Pomogłem Jean przygotować sos do indyka, upiekłem ciasto z dynią. Gościliśmy mojego kolegę z uczelni i jego żonę, która jest psychiatrą. Diane spytała, czy była studentka dalej mnie napastuje. Z uśmiechem potrząsnąłem zdecydowanie głową i podniosłem kieliszek w dziękczynnym geście.

Goście zostali do późna, żeby obejrzeć film. Jean i ja czuliśmy się przyjemnie zmęczeni, rozleniwieni dobrym jedzeniem i pić, rozmową z przyjaciółmi. Po północy pozmywaliśmy naczynia, poszliśmy do łóżka, kochaliśmy się i wreszcie zasnęliśmy.

Obudził mnie telefon. Po omacku podniosłem słuchawkę. Jean otworzyła szeroko oczy z przerażenia. Chwyciła mnie za rękę i wskazała gestem zegarek. Była trzecia w nocy.

Telefon nie przestawał dzwonić.

– Nie odbieraj – powiedziała Jean.

– A może to ktoś inny?

– Przecież wiesz, że to ona.

– Jeśli to Sam, a ja nie odbiorę, może jej przyjść do głowy, żeby się do nas wybrać, zamiast dzwonić.

– Na miły Bóg, zrób coś, żeby przestała.

Podniosłem słuchawkę, ale nie mogłem wydobyć słowa.

– Przyjadę do ciebie – powiedziała zawodzącym głosem.

– Sam?

– Słyszałam cię. Nie zawiodę cię. Wkrótce tam będę.

– Nie, poczekaj. Chcę ci coś powiedzieć.

– Słyszałam cię. Słyszę ciągle. W twoim głosie jest pragnienie. Prosisz mnie, żebym przyszła, objęła cię, kochała się z tobą.

– To nieprawda.

– Powtarzasz, że twoja żona jest o mnie zazdrosna. Przekonam ją, że postępuje niesprawiedliwie. Nakłonię, żeby pozwoliła ci od siebie odejść. Będziemy szczęśliwi.

– Gdzie jesteś, Sam? Nadal w Berkeley?

– Tak. Spędziłam święto samotnie. Ojciec nie chciał, żebym przyjechała do domu.

– Musisz tam zostać, Sam. Nie wysyłałem do ciebie mojego głosu. Potrzebujesz fachowej pomocy. Musisz porozmawiać z lekarzem. Zrobisz to dla mnie?

– Już to zrobiłam. Ale doktor Campbell nie rozumiał. On myśli, że wszystko to sobie wyobrażam. Ale to nieprawda. On nie rozumie, jak bardzo mnie kochasz.

– Sam, musisz zobaczyć się z nim jeszcze raz. Musisz mu powiedzieć, co zamierzasz.

– Nie mogę dłużej czekać. Wkrótce się zobaczymy. Będę przy tobie.

Serce biło mi jak szalone. W głowie słyszałem łoskot. Wzdrygnąłem się, gdy Jean wyrwała mi telefon.

– Zostaw nas w spokoju! Nie dzwoń więcej! Przestań nas dręczyć!...

Spojrzała na mnie przestraszonym wzrokiem.

– Odłożyła słuchawkę. Słyszę tylko sygnał.

Piszę te słowa najszybciej, jak mogę. Nie mam wiele czasu. Dochodzi trzecia rano.

Tej nocy nie próbowaliśmy już zasypiać. To było niemożliwe. Ubraliśmy się, zeszliśmy na dół, i przy kawie postanowiliśmy, co dalej robić. O ósmej, jak tylko dziewczynki się ubrały, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy na policję.

Słuchali ze zrozumieniem, ale w żaden sposób nie mogli pomóc. W końcu Sam nie złamała prawa, jej telefony nie były obraźliwe, więc policja nic nie mogła zrobić.

– Zapewnijcie nam ochronę – nalegałem.

– W jaki sposób?

– Oddelegujcie jednego funkcjonariusza do pilnowania naszego domu.

– Na jak długo? Na dzień, na tydzień, miesiąc? Być może ta kobieta nigdy więcej nie zadzwoni. Jesteśmy przepracowani, mamy za mało ludzi. Przykro mi, ale nie mogę sobie pozwolić na to, aby jeden funkcjonariusz zajmował się tylko obserwowaniem waszego domu. Mogę od czasu do czasu wysłać w tamtą okolicę radiowóz, ale to wszystko. Jeśli ta kobieta się zjawi, wtedy do nas zadzwonicie. Zajmiemy się nią.

– Ale wtedy może już być za późno.

Po powrocie nakazaliśmy dzieciom nie ruszać się z domu. Sam nie mogła jeszcze dojechać z Kalifornii, ale co innego nam pozostało? Nie mam broni. Pomyśleliśmy, że jeżeli pozostaniemy wszyscy razem, będziemy mieli większe szanse.

To był piątek. Spałem niespokojnie. O trzeciej w nocy zadzwonił telefon. Oczywiście, była to Sam.

- Jadę do ciebie.
  - Gdzie jesteś?
  - W Reno.
  - Nie lecisz samolotem?
  - Nie mogę.
  - Sam, wróć do Kalifornii. Porozmawiaj z lekarzem.
  - Niedługo się zobaczymy.
  - Proszę cię...
- Cisza.

Z samego rana zadzwoniłem do Berkeley. Sam wymieniła nazwisko doktora Campbella, ale operatorka nie mogła znaleźć w książce jego numeru.

- Proszę spróbować w dziekanacie uniwersytetu.

Miałem rację. Doktor Campbell był psychologiem uczelnianym. Była sobota, więc nie zastałem go w biurze, ale jakaś kobieta odebrała telefon w domu. Wróci dopiero po południu. O czwartej po południu wreszcie udało mi się porozmawiać z doktorem Campbellem.

- Ma pan pacjentkę nazwiskiem Samantha Perry – zacząłem.
  - Miałem. Ale już nie mam.
  - Wiem. Wyjechała do Iowa. Chce się ze mną zobaczyć. Boję się. Wydaje mi się, że ona może być niebezpieczna.
  - Nie musi się pan obawiać.
  - Czy ona nie jest niebezpieczna?
  - Potencjalnie była.
  - Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, kiedy się u mnie zjawi. Pan ją leczył. Wie pan, jak powinienem postąpić.
  - Ona nie przyjedzie, panie Ingram. Popęłniła samobójstwo o pierwszej w nocy w Święto Dziękczynienia. Przedawkowała leki.
- Pociemniało mi w oczach. Musiałem się oprzeć o stół, żeby nie upaść.
- To niemożliwe.
  - Widziałem ciało. Zidentyfikowałem ją.
  - Ale ona dzwoniła do mnie tej nocy.
  - O której godzinie?
  - O trzeciej czasu środkowozachodniego.

- Czyli o pierwszej naszego czasu. Pewnie albo przed, albo po wzięciu lekarstw. Nie zostawiła kartki, tylko zadzwoniła do pana.
- Nic nie wskazywało, że...
- Wspominała o panu często. Odczuwała do pana jakiś chorobliwy pociąg i pewność, że ma zdolności telepatyczne, a pan wysyła do niej wiadomości.
- Wiem o tym! Była paranoiczką? Miała skłonności do morderstwa?
- Panie Ingram, powiedziałem już za dużo. Ona nie żyje, ale nie wolno mi zdradzać tajemnicy lekarskiej.
- Ale ja nie wierzę, że Sam nie żyje.
- Słucham?
- Jeśli umarła w czwartek w nocy, to jak mogła dzwonić w piątek? Wyczułem wahanie lekarza.
- Panie Ingram, jest pan wzburzony. Nie wie pan, co mówi. Pomylił pan dni.
- Powtarzam panu, że dzwoniła w piątek!
- A ja powtarzam, że umarła w czwartek. Albo ktoś robi panu brzydkie kawały, albo... – Lekarz przełknął ślinę.
- Albo? – Zadrzałem. – Czy mnie też się zdaje, że słyszę głosy?
- Panie Ingram, proszę się nie denerwować. Naprawdę coś się panu pomyliło.
- Powoli odłożyłem słuchawkę. Bałem się.
- Jestem pewien, że słyszałem jej głos.

Tej nocy Sam znów zadzwoniła. O trzeciej. Tym razem z Salt Lake City. Kiedy podałem słuchawkę Jean, usłyszała tylko sygnał.

- Ale przecież słyszałaś, że ten przeklęty telefon dzwonił!
- Może to jakieś spięcie na linii. Chuck, tam naprawdę nikogo nie było.

A potem w piątek. O trzeciej w nocy. Z Cheyenne w stanie Wyoming. Zbliżała się. A przecież nie mogłaby, gdyby nie żyła.

Gazetka studencka na uczelni prenumeruje gazetki wszystkich innych ważniejszych uniwersytetów. W poniedziałek pojechaliśmy z Jean i dziećmi do ich biura. Egzemplarz piątkowego wydania gazetki z Berkeley już nadzedeł. Zdesperowany, przeszukałem wszystkie strony.

- Jest!

Niewielki nekrolog zawiadamiający o śmierci pewnej studentki. Taktownie nie podali przyczyny zgonu.



- Czy teraz wierzysz, że ona nie żyje? – spytała Jean na parkingu.
- Jeśli tak, to wytłumacz mi, dlaczego słyszę jej głos! Chyba oszalałem, skoro słyszę głos trupa!
- Masz poczucie winy, że zabiła się przez ciebie. A przecież tak nie jest. Nie mogłeś nic zrobić. Za mało ostatnio sypiasz. Twoja wyobraźnia bierze górę nad świadomością.
- Ty też słyszałaś dzwonek telefonu!
- To prawda, nie umiem tego wytłumaczyć. Jeśli aparat się popsuł, kazemy go naprawić. Żeby cię uspokoić, zmienimy numer i zastrzeżemy go. Poczujęm się lepiej. Po kilku drinkach wreszcie usnąłem.

Ale w poniedziałek w nocy telefon znów zadzwonił. O trzeciej. Zerwałem się i poprosiłem Jean, żeby odebrała. Słyszała tylko sygnał. Kiedy ją wziętem słuchawkę, odezwał się głos Sam.

- Już dojeżdżam. Jestem w Omaha.
  - Ten numer jest zastrzeżony!
  - Ale podałeś mi go. To twoja żona kazała zmienić numer. Próbuje nam przeszkodzić. Pożaluj tego. Kochanie, nie mogę się doczekać spotkania z tobą.
  - Sam, musisz z tym skończyć! – krzyknąłem na cały głos. Jean odsunęła się. – Rozmawiałem z doktorem Campbellem!
  - Nie odważyłyby się zdradzić tajemnicy lekarskiej.
  - Powiedział, że popełniłaś samobójstwo!
  - Nie mogłam żyć bez ciebie. Wkrótce będziemy razem.
- Moje krzyki zbudziły dzieci. Wpadłem w histerię. Jean musiała wezwać karetkę. Dwóch sanitariuszy długo musiało mnie uspokajać.

Omaha znajduje się o jeden dzień jazdy od Iowa, gdzie mieszkamy. We wtorek Jean przyjechała odwiedzić mnie w szpitalu.

- Czujesz się lepiej? – spytała marszcząc brwi na widok krępujących mnie pasów.
  - Musisz mnie posłuchać. Jeśli chcesz, możesz podejrzewać, że zwariowałem, ale na miły Bóg, zrób to, o co cię proszę. Nie mogę tego dowieść, ale wiem, że grozi ci niebezpieczeństwo. Mnie też. Musisz zabrać dzieci i wyjechać z miasta, ukryć się gdzieś. Dzisiaj w nocy o trzeciej Sam dojedzie tutaj.
- Jean popatrzyła na mnie z litością.
- Obiecuj mi!
  - Skinęła głową, widząc mój niepokój.
  - Może nie będzie próbowała dostać się do domu – mówiłem. – Wydaje się, że ona wie wszystko, więc może też wiedzieć, że jestem w szpitalu i zja-

wić się tu. Muszę uciekać. Nie jestem pewien, jak to zrobić, ale kiedy wyjdiesz, znajdę jakiś sposób, żeby pozbyć się tych pasów.

Jean przyjrzała mi się niespokojnie.

- Chuck... – powiedziała zrezygnowanym tonem.
- Zajrzę do domu. Jeśli cię tam zastanę, jeszcze bardziej się zaniepokoję.
- Dobrze, obiecuję wyjechać gdzieś z Susan i Rebeccą.
- Kocham cię.

Jean rozplakała się.

- Nie będę wiedziała, gdzie jesteś.
- Jeśli przeżyję, skontaktuję się z tobą.
- Jak?
- Przez uczelnię. Zostawię wiadomość u sekretarki.

Jean pochyliła się ze łzami w oczach, żeby mnie pocałować. Była pewna, że postradałem zmysły.

Dotarłem do domu tuż po zapadnięciu zmroku. Jean spełniła obietnicę i wyjechała z córkami. Wsiadłem do mojego sportowego wozu i ruszyłem w stronę autostrady.

Jestem w hotelu w Chicago. Sam zadzwoniła z Iowa. Słyszała mój głos. Powiedziałem jej, gdzie jestem. Była dotknięta i rozgniewana.

- Powiedz, dlaczego przede mną uciekasz.

Opuściłem Chicago w środku nocy i jechałem, dopóki starczyło mi sił. Zameldowałem się w tym hotelu o pierwszej. Johnstown w Pensylwanii. Nie mogę zasnąć. Mam okropne przeczucia. Wczoraj w nocy Sam powtórzyła: „Wkrótce się spotkamy”. W szufladzie znalazłem tę papeterię.

Boże, już trzecia. Modlę się, żeby jeszcze choć raz zobaczyć wschód słońca.

Dochodzi czwarta. Sam nie zadzwoniła. Nie mogę uwierzyć, że udało mi się od niej uciec. Nie spuszczam oka z telefonu.

Minęła czwarta. Jezu Chryste, dzwoni telefon.

Wreszcie wszystko pojąłem. Sam zabiła się o pierwszej w nocy. W Iowa była wtedy trzecia. Ale ja jestem teraz w Pensylwanii, na wschodzie.

W innej strefie czasowej. Pierwsza w Kalifornii to tutaj czwarta, nie trzecia, jak w Iowa.

Teraz.

Telefon nie przestaje dzwonić. Dopiero teraz zauważam, że ten hotel wygląda jak dom.

A dzwonek?

Boże, to nie telefon.

To dzwonek do drzwi.

# Burza

*Jak wspominałem w notce do Lecz za plecami... w płaskich, otwartych przestrzeniach Środkowego Zachodu jest coś, co wywołuje zarówno lęk, jak i podziw. Mieszkając w Pensylwanii myślałem, że wiem, co to burza. Ale najgorsze wybryki tamtejszej przyrody nie dały mi wyobrażenia o okropności burzy w Iowa. Jedna z postaci w przedstawionym tu opowiadaniu zauważa, że burza w Iowa może szaleć do wysokości dziesięciu kilometrów. Kiedy meteorolodzy zapowiadają tutaj burzę, trzeba się mieć na baczności. Niebo zielenieje, wiatr wieje z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. A więc trzeba uważać. Pewnego razu latem piorun trafił w mój dom trzy razy. O trzeciej nad ranem, leżąc w łóżku i słuchając, jak grzmot wstrząsa drzwiami, postanowiłem napisać o tym opowiadanie. Burza ukazała się w zbiorze The Year's Best Fantasy Stories (Najlepsze opowiadania fantastyczne roku) w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym.*

**G**ail pierwsza to spostrzegła. Zjawiła się na parkingu, gdzie razem z naszym synem Jeffem pakowaliśmy bagaże do przyczepy. Jeff właściwie tylko nadzorował moją pracę. Jak na dziesięciolatka przystało, z podnieceniem w głosie udzielał mi dobrych rad, gdzie umieścić walizkę, a gdzie plecak. Uśmiechnąłem się do jego brązowej jak orzech, piegowanej buzi i wyblakłych od słońca włosów i powiedziałem, że w żaden sposób bym sobie bez niego nie poradził.

Był wtorek drugiego sierpnia, godzina ósma rano, ale mimo tak wczesnej pory termometr za oknem motelu wskazywał trzydzieści stopni. Wilgotność powietrza wprost zapierała dech. Po niewielkim wysiłku, jakim było ładowanie bagażu, miałem kompletnie przepoconą koszulę i dżinsy; zacząłem żałować, że nie włożyłem szortów. Słońce na wschodzie płonęło bielą na tle kre-

dowoniebieskiego nieba. Dziś klimatyzacja w naszej przyczepie nie będzie luksusem, lecz koniecznością.

Śliskimi od potu dłońmi zatrzasnąłem klapę bagażnika. Jeff skinął głową, zadowolony z mojej pracy, i wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając w stronę parku. Odwróciłem się. Gail zeszła z pożółkłej trawy i jej sandały od razu zagłębiły się w miękkim od gorąca asfalcie parkingu.

– Wszystko gotowe? – spytała.

Gładkie białe szorty i błękitny top podkreślały jej opaleniznę. Była szczupła, gibka i w ogóle cudowna. Nie wiem, jak jej się to udawało, ale upał zdawał się nie robić na niej najmniejszego wrażenia. Jej miękkie włosy lśniły jak złoto, a subtelny makijaż sprawiał, że gorące powietrze nie dokuczało aż tak bardzo.

– Gotowe – odparłem. – To zasługa Jeffa.

Jeff uśmiechnął się dumnie.

– Zapłaciłam rachunek i oddałam klucz – oznajmiła Gail. – Możemy ruszać. Tylko...

– Co?

– Te chmury – powiedziała wskazując nad moim ramieniem.

Odwróciłem się.

I mimo woli zmarszczyłem brwi. Niebo na wschodzie oślepiało bielą, a na zachodzie zawisła nad horyzontem poszarpana linia czarnych jak smoła chmur, które przesuwwały się leniwie, toczyły jak kamienie. Pojedyncza błyskawica wystrzeliła w dół; głuchy grzmot powoli przetoczył się nad ziemią.

– Skąd się wzięły te chmury, do licha ciężkiego? – spytałem. – Nie było ich tam, kiedy zaczynałem pakować bagaże.

Gail patrzyła na zachód, mrużąc oczy.

– Myślisz, że powinniśmy poczekać, aż przejdzie?

– Burza jest daleko – odparłem wzruszając ramionami.

– Ale szybko się zbliża – powiedziała Gail zagryzając wargę. – Nie wygląda to dobrze.

Jeff złapał mnie za rękę. Spojrzałem na jego zaniepokojoną twarz.

– To tylko burza, synku.

Ale Jeff martwił się zupełnie czymś innym. niesprawiedliwie go oceniłem.

– Jedźmy do domu. Nie chcę tu czekać. Tęsknię za przyjaciółmi. Jedźmy, proszę.

Skinąłem głową.

– Jestem po twojej stronie. Przegłosowaliśmy cię, Gail. Ale jeśli naprawdę się boisz...

– Nie... – Gail odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową. – Głuptas ze mnie. To przez ten grzmot. Burze trochę mnie przerażają.

Delikatnie potargała czuprynę Jeffa.

– Ale nie każe wam czekać ze względu na mnie. Zresztą ja też stęskniłam się za domem.

Spędziliśmy dwa piękne tygodnie w Kolorado łowiąc ryby i zwiedzając opuszczone miasteczka. Fantastyczne wakacje. Ale teraz chcieliśmy już wracać z taką samą ochotą, z jaką wyjeżdżaliśmy. Wczoraj wieczorem zatrzymaliśmy się tutaj, w North Platte, małym, spokojnym miasteczku przy autostradzie numer osiemdziesiąt, w środku Nebraska. A dziś liczyliśmy na to, że przed zapadnięciem zmroku uda nam się dotrzeć jeszcze do domu w Iowa.

– Ruszajmy więc – powiedziałem. – To pewnie lokalna burza. Uciekniemy jej. Nie spadnie na nas ani kropla deszczu.

Gail spróbowała się uśmiechnąć.

– Miejmy nadzieję.

Jeff nucił sobie pod nosem, wsiadając do przyczepy. Wjechałem na autostradę kierując się na wschód i ustawiłem automatyczną kontrolę prędkości na osiemdziesiąt kilometrów. Poranne słońce płonęło nad horyzontem. Opuściłem klapki, włączyłem klimatyzację i radio. Zapowiadali gorący dzień z lekką mgiełką.

– Słyszałaś? – spytałem. – Anie słowem nie wspomniał o burzy. Nie ma się czym martwić. To niegroźne chmury.

Myliłem się jednak. Co jakiś czas zerkałem we wsteczne lusterko. Chmury ciemniały i gęstniały, doganiając nas powoli. Słońce nie przestawało palić wściekle. Jeff ocierał spoconą twarz. Ustawiłem klimatyzację w pozycji „pu-  
stynia”, ale i to nie pomagało.

– Jeff, sięgnij do lodówki i wyjmij dla wszystkich colę.

Uśmiechnął się. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że będzie musiał się odwrócić, żeby otworzyć pojemnik z tyłu.

– O rety – mruknął zdumiony.

– Co się stało? – Gail odwróciła głowę, zanim zdążyłem ją powstrzymać. – O Boże, te chmury.

Można było odnieść wrażenie, że to noc nas ściga. Strzeliła błyskawica, huknął grom.

– Jeszcze nas nie dopędziły – powiedziałem głośno. – Jeśli chcecie, mogę spróbować je zgubić.

– Zrób coś.

Wyłączyłem ogranicznik prędkości i przyspieszyłem do dziewięćdziesięciu, potem do stu. Od ciągłego patrzenia w gorącą biel nieba przed nami bolała mnie głowa. Założyłem okulary.

Ale niepotrzebnie. Chmury dogoniły nas znienacka. Niebo poczerniało. Jechaliśmy w całkowitej ciemności.

- Jedziemy sto kilometrów na godzinę, ale chmury są szybsze.
- To prawie huragan – stwierdziła Gail. – Ale w Nebrasce? Niemożliwe.
- Boję się – powiedział Jeff.

Nie on jeden. Błyskawica przecięła ciemność z lewej i z prawej strony, oślepiając mnie na chwilę. Grzmot wstrząsnął samochodem. Nagle powietrze przybrało dziwny brudnozielonkawy kolor, jak podczas tornada.

- Znajdź jakieś miejsce i zatrzymaj się! – krzyknęła Gail.

Ale nie było gdzie. Przejechaliśmy już zjazd do następnego miasteczka o nazwie Kearny. Rozglądałem się za miejscem do parkowania, ale na znaku przeczytałem, że od najbliższego przystanku dzieli nas czterdzieści pięć kilometrów. Nie mogłem tak po prostu zjechać na pobocze autostrady. W takiej ciemności kierowca jadący z tyłu mógłby nas nie zauważyć i wszystkich zabić. Nie miałem wyboru, musiałem jechać dalej.

- Przynajmniej nie pada – rzuciłem.

I właśnie w tej chwili chmury pękły. Nie było żadnej wstępnej mżawki: olbrzymie krople wody zaczęły walić w nas niczym pociski.

- Nic nie widzę!

Nastawiłem wycieraczki na maksymalną prędkość. Zaczęły latać we wściekłym rytmie. Pochyliłem się, żeby widzieć drogę przez fale wody lejące się po szybie.

Jechałem za szybko. Kiedy nacisnąłem hamulec, przyczepą zarzuciło. Wpadliśmy w poślizg. Na chwilę zapało mi dech w piersi. Ale opony odzyskały przyczepność; poczułem leciutki wstrząs i samochód znów zaczął mnie słuchać.

Zwolniłem do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale deszcz walił w szybę z taką siłą, że nadal nic nie widziałem.

- Zapnijcie mocno pasy – poleciłem.

Nie zauważyłem zatoczki, która miała być po czterdziestu pięciu kilometrach, ale na szczęście błysnęło akurat wtedy, gdy mijaliśmy znak informujący o zjeździe do następnego miasteczka. Nazywało się Grand Island. Drżącymi z napięcia rękami skręciłem kierownicę. Po przeciwnej stronie drogi widzieliśmy budynek motelu „Best Western”, cały spowity całunem deszczu. Żłobiąc bruzdę w potokach wody na parkingu wjechaliśmy pod zadaszenie koło motelu. Ręce zeszytywniały mi od ściskania kierownicy. Bolały mnie ramiona, oczy zapuchły.

Gail i Jeff wyskoczyli z samochodu i pędem rzucili się do motelu. Ja musiałem jeszcze zaparkować wóz. Zamknąłem drzwi i mimo że pędziłem ile sił, do budynku dotarłem kompletnie przemoczony.

Grupka ludzi stała w holu i wpatrywała się w pociemniałe niebo: dwaj urzędnicy, dwie kelnerki i sprzątaczką. Otrząsnąłem się.

– Proszę skorzystać z ręcznika – zaproponowała sprzątaczką zdejmując jeden z wózka.

Podziękowałem i wytarłem ociekającą wodą twarz i włosy.

– Widzieliście jakiś wypadek? – spytała jedna z kelnerek.

Ocierając szyję ręcznikiem, potrząsnąłem głową.

– Przy takiej nagłej burzy nie obejdzie się bez wypadków – powiedziała kelnerka, jakby mi nie dowierzając.

Zdziwiło mnie, że mówiła o nagłej burzy.

– To znaczy, że tutaj dopiero się zaczęła?

Chudy urzędnik zbliżył się do okna.

– Niedługo przed państwa przyjazdem. Może minutę. Wyrzalełem przez szybę i zobaczyłem jasne niebo. Schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło, a kiedy się wyprostowałem, było ciemno jak w nocy. Nie mam pojęcia, dlaczego te chmury zjawiły się tak prędko, i nigdy jeszcze nie widziałem, żeby deszcz zaczął padać tak nagle i tak mocno.

Aż zadrżałem ze zdumienia.

– Chwileczkę... Przecież burza dopadła nas niedaleko Kearny. Jedźmy w niej już od godziny.

– Widocznie posuwaliście się na jej skraju – zauważył urzędnik, który nie mógł oderwać oczu od siejącego spustoszenie żywiołu. – Ona wędrowała za wami.

Mokra koszula przywarła mi do skóry, ale dreszcz zimna, który poczułem, sięgał głębiej.

– Wygląda na to, że przybywa nam klientów – powiedział drugi urzędnik wskazując za okno.

I rzeczywiście, kolejne samochody przedzierały się przez rwący strumień wody na parking.

– Tak, będziemy mieli pełne ręce roboty – dodał pierwszy. Zapalił światło na zewnątrz, ale nie rozproszyło ponurego mroku.

Wiatr wył wściekle.

Rozejrzałem się po holu; dopiero teraz zauważyłem, że nie ma tam Gail i Jeffa.

– Gdzie moja żona i syn?

– Są w restauracji – odpowiedziała kelnerka z uspokajającym uśmiechem. – Proszę przejść pod tym łukiem. Zamówili dla pana gorącą, mocną kawę.

– Tego mi właśnie trzeba. Dziękuję.

Zlani wodą podróżni stanęli w drzwiach.



Czekaliśmy godzinę. Kawa była rzeczywiście gorąca, ale nie rozgrzała mnie. Moje przemoczone do ostatniej nitki ubranie przylepiło się do chłodnego siedzenia z chromu i plastiku. Klimatyzacja szumiała cicho. Chłód przenikał mnie aż do szpiku kości. Kichnąłem.

– Musisz się przebrać w suche rzeczy – powiedziała Gail – bo inaczej złapiesz zapalenie płuc.

Miałem nadzieję, że burza się uspokoi i będę mógł pójść do samochodu po ubranie. Ale gromy nadal przetaczały się nad nami. Nie mogłem czekać. Od ciągłego drżenia dostawałem skurczy mięśni.

– Przyniosę walizkę – powiedziałem wstając.

– Uważaj na siebie, tato. – Jeff patrzył na mnie zatroskanym wzrokiem. Pochyliłem się nad nim z uśmiechem i pocałowałem.

– Obiecuję, synku.

Przy drzwiach restauracji podeszła do mnie kelnerka, z którą wcześniej rozmawiałem.

– Powiedzieć panu dowcip?

Nie miałem ochoty na żarty, ale skinąłem uprzejmie głową.

– Synoptyk z lokalnego radia nic nie wie o burzy – oznajmiła ze śmiechem. – Mówi, że jest gorąco, a niebo czyste.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wie, że pada deszcz. Instrumenty, wykresy i radar wskazują świetną pogodę, a jemu nie przyszło do tępego łba, żeby wyjrzeć za okno. Pada jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe.

Roześmiała się ponownie.

– A najśmieszniejsze jest to, że ten tępak to mój mąż.

Zawtórowałem, żeby jej sprawić przyjemność, i wszedłem do holu.

Zrobiło się tam tłoczno. Coraz to nowi przemoczeni podróżni wpadali do środka, klnąc pogodę. Oglądali swoje mokre ubrania, podchodzili do recepcji motelu i pytali o wolne pokoje.

Przecisnąłem się obok i zatrzymałem przed szklanymi drzwiami. Na zewnątrz szalała najdziksza ulewa, jaką w życiu widziałem. Wichura zagłuszała podniesione głosy ludzi.

Sięgnąłem do drzwi.

Zawahałem się. Nie chciałem wychodzić.

Kościsty urzędnik wyrósł nagle koło mnie jak spod ziemi.

– Nie wiem, czy to pana zainteresuje – powiedział.

Zmarszczyłem czoło. Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Wynajmujemy pokoje tak szybko, że niedługo zabraknie – wyjaśnił. –

Ale powinno być sprawiedliwie. Państwo przyjechali pierwsi. Zostawiłem jeden pokój na wszelki wypadek.

– Dziękuję, ale my niedługo wyjeżdżamy.

- Niech się pan lepiej rozejrzy.
- Piorun rozpołowił drzewo. Drzewi zadrżały od huku.
- Kąpiel w parującej wodzie, pomyślałem. Skwierczący stek. Ciepłe koce, moje ubranie na suszarce.
- Namyśliłem się. Bierzemy ten pokój.

Gromy wstrząsały budynkiem przez całą noc. Błyskawice przedzierały się przez zaciągnięte zasłony. Spałem niespokojnie, budząc się co jakiś czas z bólem głowy. O szóstej rano nadal padało.

Głos synoptyka w radiu, ledwie słyszalny z powodu trzasków, zdradzał zdziwienie. Stwierdził, że miasteczko Grand Island przeżywa najgorszą burzę w swojej historii. Ulice zostały zalane, kanały ściekowe zablokowane, a woda wlewa się do piwnic. Ogłoszono stan klęski żywiołowej, straty idą w miliony dolarów. Jednak specjaliści nie umieją wytłumaczyć przyczyny burzy. Front atmosferyczny jest niewielki i stoi nieruchomo. Pół kilometra od Grand Island – na północ, południe, wschód i zachód – niebo pozostaje bezchmurne.

Tej wiadomości mi brakowało. Ubraliśmy się szybko i zeszliśmy, żeby coś zjeść. Wymeldowaliśmy się zaraz po siódmej.

– Chcą państwo wyjechać w taki deszcz? – spytał recepcjonista potrząsając głową. Taktownie nie dodał: „Chyba oszaleliście”.

– Proszę posłuchać radia – odparłem. – Pół kilometra stąd niebo jest czyste.

Zostalibyśmy, gdyby nie Gail. Bała się burzy. Nie mogła znieść ciągłych błyskawic i grzmotów.

– Zabierz mnie stąd – prosiła.

Więc pojechaliśmy.

Z ledwością dotarliśmy do autostrady. Samochód ugrzązł w wodzie aż po osie. Rozdzielacz był wilgotny. Omal nie wykończyłem akumulatora, nim wreszcie silnik zapalił. Hamulce też zamokły. Zawiodły, gdy wjeżdżałem na lokalną drogę. Skręcając w drogę dojazdową do autostrady, wpadłem w poślizg i ledwo udało mi się wyminąć porzuconą na zakręcie ciężarówkę. Przy cofaniu o mało nie wpadłem do rowu. W końcu dotarłem do autostrady i zaraz przyspieszyłem do trzydziestu kilometrów.

Jeff obserwował to wszystko z twarzą białą jak papier. Kupiłem mu kilka komiksów, ale był zbyt przestraszony, żeby je czytać.

– Patrz na licznik – powiedziałem. – Jeszcze pół kilometra i wydamy się z tego kotła.

Razem liczyliśmy dziesiąte części kilometra.

– Raz, dwa, trzy...

Burza tymczasem przybierała na sile. Robiło się coraz ciemniej.

- Cztery, pięć, sześć...
- Liczby stanęły mi w gardle jak kawałki pękniętej szklanki.
- Tato, przejechaliśmy już pół kilometra, a deszcz nie przestał padać.
- Jeszcze kawałek.

Ale deszcz nie przestał padać, wprost przeciwnie – padał jeszcze bardziej. Musieliśmy się zatrzymać w Lincoln. Nazajutrz burza trwała nadal. Jechaliśmy do Omaha. W normalnych warunkach dotarlibyśmy z Kolorado do Iowa City w ciągu dwóch dni, bez większego wysiłku.

Lecz ta podróż wlokła się przez siedem potwornie męczących dni. Musieliśmy zatrzymać się w Omaha i Des Moines, i w wielu innych miasteczkach, których nazw nigdy nie słyszałem. Kiedy w końcu dotarliśmy do domu, byliśmy tak zmęczeni i przerażeni, że zostawiliśmy bagaże w samochodzie i ostatkiem sił dowlekliśmy się z garażu prosto do łóżek.

Deszcz dudnił o szyby, bębnił w dach. Nie mogłem zasnąć. Wyjrawszy przez okno, zobaczyłem wodospad płynący z krawędzi dachu. Piorun trafił w słup elektryczny. Opadłem na kolana i powtarzałem wszystkie znane modlitwy, a później modliłem się własnymi słowami.

Rano naprawili linię. Telefon działał. Gail zadzwoniła do koleżanki i zadała jej jedno pytanie. Patrzyłem, jak otwiera szeroko oczy, słuchając odpowiedzi. „Dzięki”, mruknęła niewyraźnie i odłożyła słuchawkę.

- Tutaj nie padało – powiedziała. – Burza zaczęła się wczoraj o ósmej.
- Właśnie wtedy przejechaliśmy. Boże, co się dzieje?
- To zbieg okoliczności – odparła Gail marszcząc czoło. – Czoło burzy przesuwało się w stronę, w którą jechaliśmy, a my próbowaliśmy przed nią uciec. Niechcący podążaliśmy za burzą.

Lodówka była pusta. Powiedziałem Gail, że pojadę kupić coś do jedzenia i ostrzegłem Jeffa, żeby nie wychodził z domu.

- Tato, chcę się zobaczyć z kolegami.
- Pooglądaj telewizję. Nie wychodź, póki deszcz nie przestanie padać.
- On w ogóle nie przestanie.
- Znieruchomiałem.
- Dlaczego tak myślisz?
- Dzisiaj na pewno nie przestanie. Niebo jest zbyt ciemne. Za mocno pada. Skinąłem głową, uspokojony.
- A więc zadzwoń do kolegów. Ale nie wychodź.

Otworzyłem drzwi garażu i spojrzałem na lejące się z nieba strumienie wody. Od ośmiu dni nie widziałem słońca. Wilgoć, zdawało się, przywarła do ciała na zawsze. Poryw wiatru uderzył mnie z boku.

Wyjechałem z garażu i pochłonął mnie deszcz.

Gail nie posiadała się z radości, kiedy wróciłem.

– Na czterdzieści minut przestało padać – zawołała z uśmiechem.

– Nie tam, gdzie ja byłem.

Do najbliższego supermarketu było pół kilometra. Mimo parasola i płaszcz przemokłem, zanim dotarłem do automatycznych drzwi budynku. Z ledwością chwytając powietrze, zmagalem się z parasolem. Mruknąłem coś do sprzedawcy o cholernym deszczu, który pada i pada bez końca.

Nie rozumiał, co mam na myśli.

– Zaczęło padać przed minutą.

Przeszedł mnie dreszcz, ale nie od chłodu.

Gail wysłuchiwała mnie i pobałdła. Jej radość zmieniła się w niedowierzanie i strach.

– Burza zaczęła się znowu, jak tylko wróciłeś.

Drgnąłem. Torba wysunęła mi się z dłoni. Nie zwracając uwagi na puszkę i pudełko na podłodze, podbiegłem do radia i nastawiłem stację nadającą prognozę pogody. Spiker wydawał się równie zdumiony jak tamten w Nebrasce.

I mówił słowo w słowo to samo. Meteorolodzy nie umieją wytłumaczyć zmian pogody. Front atmosferyczny jest znikomy i nie przemieszcza się. Pół kilometra stąd niebo jest czyste. Jednak miasto Iowa City przeżywa najgorszą burzę w swojej historii. Ulice w centrum zostały...

Wyłączyłem radio.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Powiedziałem Gail, że pojedę na uczelnię sprawdzić, czy dostałem jakieś listy elektroniczne. Nie taki jednak był mój zamiar. Miałem nadzieję, że Gail się nie domyśli.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gdy Jeff wpadł niespodziewanie do kuchni.

– Tato, podwieziesz mnie do Freddiego?

Nie miałem sumienia mu odmawiać.

Parking uniwersytetu tonął w wodzie, ale nie było żadnej kałuży. Mieszkam o kilometr stamtąd. Wszedłem do budynku anglistyki i zadałem sekretarce pytanie, na które znałem odpowiedź.

– Nie, panie Price. Przez cały ranek była ładna pogoda. Deszcz przed chwilą zaczął padać.

Z gabinetu zadzwoniłem do domu.

– Przestało padać – powiedziała Gail. – Nie uwierzyłbyś, jakie piękne jest tutaj niebo, czyste i błękitne.

Wyrząłem przez okno. Było tak ponuro i ciemno, że ledwie widziałem pianę na spienionej rzece.

Strach wśliznął się do moich trzewi jak wąż i zaatakował.

Zawsze było tak samo: gdziekolwiek się ruszyłem, burza podążała za mną. Kiedy wyjeżdżałem z miasta, burza robiła to samo. Dziewięć dni, potem dziesięć, jedenaście, dwanaście. Woda zalała naszą piwnicę, tak samo jak piwnice wszystkich innych domów w dzielnicy. Ulice zaczęły się zapaść, po skarpach schodziły lawiny błota. Dachówki odpadały, przeciekały dachy, studzienki kanalizacyjne pękały. Piorun uderzał w słup tak często, że żywność popsuła się w lodówce. Zapaliliśmy świece. Mogliśmy gotować tylko dlatego, że nasza kuchenka jest na gaz. Ogłoszono stan klęski żywiołowej, tak jak w Grand Island, ale szkody były tak wielkie, że nie dało się ich oszacować.

Największy ból sprawiało mi patrzenie, co się dzieje z Gail i Jeffem. Od ciągłej wilgoci i chłodu byli wiecznie przeziębieni. Ja też kichałem i pociągałem nosem, ale nie przejmowałem się sobą. Gail coraz bardziej upadała na duchu. Oczy jej pociemniały, straciła wszelką energię. Wkładała coraz więcej swetrów i pocierała zdrętwiałe ramiona.

Jeff kładł się spać znacznie wcześniej niż zwykle i później wstawał. Schudł, a pod jego oczami utworzyły się ciemne kręgi.

Do tego dręczyły go senne koszmary. W nocy, gdy uderzał piorun, budziły nas jego krzyki. Znów nie było prądu. Z latarkami biegliśmy do jego pokoju.

– Zbudź się, Jeff! To tylko sen!

– Indianin! – wołał Jeff trąc zaczerwienione oczy.

Gail podskoczyła, gdy uderzył następny piorun.

– Jaki Indianin? – spytałem.

– Ostrzegał cię.

– Synku, nie rozumiem, o czym mówisz...

– W Kolorado – wtrąciła Gail. Przeraziłem się, widząc głębokie cienie na jej policzkach. – Ten indiański tancerz.

– Masz na myśli czarownika?

Po drodze zatrzymaliśmy się w jakimś pustynnym miasteczku, żeby za-tankować paliwo. Przy szosie grupka turystów otaczała indiański kramik z paciorkami, bębenkami i pasami. Zbliżyłem się bez przekonania. Indianin ubrany w wytartą, przybrudzoną bluzę i spodnie, wyglądający co najmniej na sto lat, nucił jakieś niezrozumiałe słowa, tańcząc wokół kamiennego kręgu na piasku.

– Co tu się dzieje? – zwróciłem się do jakiejś kobiety z aparatem fotograficznym.

– To zaklinacz deszczu. Tańczy, żeby sprowadzić deszcz i przerwać suszę.

Kopnąłem czubkiem buta w twardą ziemię i zerknąłem w bezchmurne niebo. Bolała mnie głowa od gorąca i długiej, męczącej jazdy. Widziałem już niejednego taki pokaz w wykonaniu Indian zdzierających skórę z turystów za przedmioty, które nie miały nic wspólnego z indiańską tradycją. Kiepski tur-

kus, niskiej próby srebro. Ci ludzie odwrócili się od swojego dziedzictwa i sprzedawali się jak prostytutki.

Nie obchodziło mnie, jak bardzo nas nienawidzą za to, co im zrobiliśmy. Denerwowało mnie tylko, że pokazując niewzruszone twarze, kpią z naszej naiwności.

Opary whisky unosiły się od niezdarnie płasającego starca.

– Czy on potrafi sprowadzić deszcz? – spytał Jeff.

– Nie, tylko udaje – wyjaśniłem. – Patrz, jak turyści wrzucają pieniądze do tej niby autentycznej indiańskiej misy, którą pewnie kupił w Sears.

Turyści obserwujący Indianina usłyszeli mnie. Gdy odwrócili się do niego z powrotem, w ich oczach ukazała się podejrzliwość.

Starzec przerwał pokaz.

– Udaje? – spytał mierząc mnie wzrokiem.

– Odezwałem się zbyt głośno. Nie chciałem przerywać pokazu. Przepraszam.

– Tę misę zrobiłem sam.

– Oczywiście.

Skoczył w naszą stronę. Woń whisky przybrała na sile.

– Nie wierzysz, że mogę sprowadzić deszcz?

– Nie obchodzi mnie, czy pan robi głupców z turystów, ale mój syn powinien znać prawdę.

– Przekonać cię?

– Powiedziałem przepraszam.

– Biali zawsze powtarzali to słowo.

Gail zbliżyła się i rozejrzała niepewnie. Zakłopotana, pociągnęła mnie za rękaw koszuli.

– Zbiornik zatankowany. Jedźmy.

Cofnąłem się.

– Jeszcze zobaczysz deszcz! Będziesz błagał, żeby przestał padać! – krzyknął starzec.

Rozzłościłem się, gdy ujrzałem przerażoną twarz Jeffa.

– Zamknij się! Przestraszyłeś mojego syna!

– On wątpi, czy potrafię sprowadzić deszcz? Tylko patrz w niebo! Tańczę teraz dla ciebie! Przypomnij sobie o mnie, gdy uderzy grom!

Wsiedliśmy do samochodu.

– To wariat, nie przejmuj się nim. Od upału pokręciło się staremu w głowie.

– No dobrze, groził mi. I co z tego? – spytałem. – Gail, chyba nie wiesz, że to on sprowadził burzę. Za pomocą tańca? Pomyśl, przecież to niemożliwe.

– A więc wytłumacz mi, co się dzieje?

– Stu fachowców od pogody głowiło się nad tym na próżno. Skąd ja mam wiedzieć?

– Ta burza jest jakoś z tobą związana. Nigdy cię nie opuszcza.

– To tylko...

Chciałem powiedzieć „zbieg okoliczności”, ale słowa uwięzły mi w gardle. Przyjrzałem się twarzom Gail i Jeffa i zrozumiałem, że obwiniają mnie za to, co się stało. Oboje byli przeciwko mnie.

– Tato, czy możesz powstrzymać ten deszcz? – spytał Jeff błagalnym tonem.

Rozplakałem się.

Wydział meteorologii składał się z profesora, jego współpracownika i asystenta. Poznałem profesora na przyjęciu kilka lat temu. Czasami grywaliśmy razem w tenisa i chodziliśmy na lunch. Znałem jego godziny urzędowania i ruszyłem w burzę, aby się z nim zobaczyć.

Kiedy dojechałem do uniwersytetu, na parkingu znów zaczęła wzbierać woda. Przedarłem się przez deszcz i otrząsnąłem płaszcz w holu budynku. Profesor oczekiwał mnie, bo wcześniej zadzwoniłem.

Miał czterdzieści pięć lat, był piegowaty i prawie łysy. Dzięki wielu przegranym meczom wiedziałem, że utrzymuje doskonałą kondycję.

– Deszcz znów się rozpadal – zauważył kręcąc z niesmakiem głową.

– Nadal nie znacie przyczyny powstania burzy?

– Podobno jestem fachowcem, ale mogę zgadywać równie dobrze jak ty. Jeśli tak dalej pójdzie, wezmę się za wróżenie z fusów.

– Może istnieje jakiś przesąd... – Chciałem powiedzieć „wyjaśnienie”, ale nie mogłem się przemóc.

– Słucham? – Profesor pochylił się w moją stronę.

Potarłem skroń.

– Co wywołuje burze?

Wzruszył ramionami.

– Zderzenie dwóch frontów atmosferycznych, z których jeden jest gorący i wilgotny, a drugi chłodny i suchy. Wpadają na siebie z takim impetem, że dochodzi do wybuchu. Błyskawice i pioruny to eksplozja, a deszcz to opad.

– A w przypadku tej burzy?

– No właśnie. Nie ma dwóch frontów. Ale nawet gdyby były, burza przesuwałaby się dzięki próżni, która tworzy się z powodu wiatru. A ta burza stoi w miejscu. Przesuwa się o pół kilometra, a potem wraca. Zmusza nas do zrewidowania wszystkich poglądów.

– Nie wiem, jak zacząć, ale... – I opowiedziałem mu. Wszystko.

Zmarszczył brwi.

- Wierzysz w to?
- Nie jestem pewien. Moja żona i syn wierzą. Czy to możliwe?

Profesor przesunął papiery na biurku i nalał dwa kubki kawy. Przestraszyłem się, że zaraz zabierze się za układanie książek na półkach.

- Czy to jest możliwe? – powtórzyłem.
- Jeśli powiesz to jeszcze raz, zaprzeczę.
- Czy to jakieś szaleństwo?...

– W latach sześćdziesiątych, podczas pisania pracy wybrałem się do Meksyku. Górskie doliny mają tak dziwne układy atmosferyczne, że doskonale nadają się na temat rozprawy naukowej. W jednym miejscu pada tak mocno, że zalewa całą wioskę, a w sąsiedniej wiosce, o piętnaście kilometrów dalej, nie spada ani kropla. W wiosce, gdzie prowadziłem badania, coś się popsulo. Zwykle padało tam często, ale wtedy nie było deszczu od siedmiu lat. Cały opad skupił się na sąsiedniej wsi, gdzie zazwyczaj bywało sucho. I w żaden sposób nie umiałem tego wytłumaczyć. Bóg mi świadkiem, że się starałem. Ludzie musieli opuścić domy i przeprowadzić się tam, gdzie padał deszcz. W siódmym roku stracili wszelką nadzieję, że pogoda wróci do normy, ale chcieli mieszkać w swojej wiosce, więc wezwali nadzwyczajną pomoc. Zaklinacza pogody. Podawał się za potomka Majów. Pewnego dnia zjawił się i przemierzył wioskę wzdłuż i wszerz, modląc się do wszystkich stron świata. Pośrodku wioski, na przecięciu ulic, ułożył krąg z kamieni. Włożył rytualne szaty i zaczął tańczyć. Następnego dnia spadł deszcz i pogoda wróciła do normy. Powiedziałem sobie, że miał szczęście, że w jakiś sposób odczytał znaki natury i zaczął tańczyć, gdy miał już pewność, że spadnie deszcz. Ale widziałem te pędzące chmury i nie wyglądały one zwyczajnie. Odeszły dopiero wtedy, gdy napelniły się strumienie i studnie. Zbieg okoliczności? Jakiś rodzaj wiedzy? Kto może odpowiedzieć na to pytanie? Ogarnia mnie niepokój, ilekroć przypomnę sobie, co wydarzyło się w tamtej dolinie.

– A więc Indianin, którego spotkałem, mógł sprowadzić tę burzę?

– Kto wie? Jestem naukowcem, wierzę w fakty. Ale czasem, gdy nie umiemy czegoś wytłumaczyć, zbywamy to jednym słowem: „przesąd”.

– Ale czy burza może wędrować za jedną osobą?

– Wierzysz, że może?

– Tak właśnie jest!

Przyjrzał mi się uważnie.

– Słyszałeś kiedyś o superburzy?

Potrząsnąłem głową.

– W pewnych okolicznościach kilka burz może wspiąć się na siebie. Czasami osiągają nawet dziesięć kilometrów wysokości.

Słyszałem bicie swojego serca.



– Ale ta burza już ma dziesięć kilometrów. Niebawem zaczną zrywać domy z fundamentów. Zrówna wszystko z ziemią. To coś takiego jak stacyjne tornado szerokości pół kilometra.

– A więc jeśli mam rację, jeśli ten starzec chce mnie ukarać, nie mogę uciec. Jeśli żona i syn zostaną przy mnie, też będą musieli zginąć.

– Zakładając, że mamy rację. Muszę jednak zaznaczyć, że nie ma żadnych naukowych powodów potwierdzających twoją teorię.

– Wydaje mi się, że oszalałem.

Należy wykluczyć to, co prawdopodobne, a następnie to, co możliwe. To, co zostaje, musi tłumaczyć fakty. Jeśli Gail i Jeff nie opuszczą mnie, umrą. Ale nie mogłem znieść rozłąki z nimi.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Dotarłem do domu. Jeff trzął się w gorączce. Gail kaszłała, oskarżając mnie wzrokiem.

Sprzeciwili się, gdy oznajmiłem im swoją decyzję, ale w końcu musieli się zgodzić.

– Jeśli to jest prawda – mówiłem – to po moim wyjeździe burza ustanie i znów zobaczycie słońce.

– A ty? Co będzie z tobą?

– Módlcie się.

Pojechałem autostradą na zachód. Burza podążała za mną.

Iowa, Nebraska. Trzy tygodnie przedzierałem się we wścieklej ulewie do Kolorado. Jazda przez spowite deszczem góry była istnym szaleństwem. W końcu dotarłem do pustynnego miasteczka. Odnalazłem przydrożny kramik.

Ale nie było tam ani śladu paciorków i świecidełek. Strugi deszczu zamieniały pył w błoto, a ja człapałem w tej mazi, wypytując o zaklinacza pogody.

– Zachorował – powiedział sklepikarz.

– Gdzie jest?

– Skąd mam wiedzieć? Niech pan popyta w rezerwacie.

Dwadzieścia kilometrów wąską, krętą, błotnistą drogą. Skąły były tak gorące, że aż parowały w deszczu. Samochód ześliznął się i oparł na podwoziu. Towarzystwo mi błyskawice i huk piorunów, gdy biegłem przed siebie, krzycząc na cały głos. Zatrzymałem się przed największym budynkiem w rezerwacie. Był wąski i długi, cały z kamienia. Uderzyłem w drzwi. Otworzył mi mężczyzna w mundurze agenta rządowego.

Opowiedziałem mu o tym, co się stało.

Zmarszczył podejrzliwie brwi. Odwrócił się i powiedział coś do siedzących tam Indian w ich języku. Odpowiedzieli mu.

Skinął głową.

– Widać bardzo go pan potrzebuje – zwrócił się do mnie – skoro przyjechał pan w taką burzę. Zdążył pan w ostatniej chwili. Starzec umiera.

Indianin leżał bez ruchu na łóżku w szpitalu rezerwatu. Wyglądał jak objędzona z ziaren kolba kukurydzy. Otworzył powoli oczy. Rozpoznał mnie.

– Teraz ci wierzę – powiedziałem. – Proszę, powstrzymaj deszcz.

Starzec oddychał ciężko.

– Moja żona i syn wierzą w twoje słowa. To niesprawiedliwe, żeby oni też cierpieli. Proszę cię. Nie powinienem był mówić tego, co wtedy powiedziałem. Przepraszam. Powstrzymaj deszcz.

Indianin poruszył się.

Upadłem na kolana i pocałowałem go w rękę. Rozplakałem się.

– Wiem, że nie zasługuję, ale błagam cię. Dostałem nauczkę. Powstrzymaj deszcz.

Zaklinacz przyjrzał mi się i powoli lekko skinął głową. Lekarz próbował zatrzymać starca, ale jego siły były nadzwyczajne. Wstał z łóżka i dołóknął się na środek sali. Powoli, z widocznym bólem, zanucił i zaczął tańczyć.

Błyskawice i grzmoty uderzyły ze zdwojoną mocą. Deszcz załomotał w szyby. Starzec zakołysał się szybciej. Burza jakby zwariowała. Wyteżyła wszystkie siły... i ucichła.

Zaklinacz upadł. Skoczyłem do niego i pomogłem lekarzowi zanieść go do łóżka.

– O mało go pan nie zabił – krzyknął lekarz.

– A więc on żyje?

– Z pewnością nie dzięki panu.

Ja jednak wypowiedziałem właśnie to słowo: „Dzięki”. Kierowałem je do starego zaklinacza deszczu i do sił niebios.

Wyszedłem ze szpitala. Widok słońca, niegdyś tak powszedni, wzruszył mnie do łez.

Cztery dni później, już w Iowa, odebrałem telefon. Dzwonił agent rządowy z rezerwatu. Zawiadomił mnie, że starzec zmarł tego dnia rano.

Odwróciłem się do Gail i Jeffa. Choroba minęła. Od tygodnia świeciło tu słońce, więc ich skóra znów pokryła się opalenizną. Prawie zapomnieli, że koszmar omal nie zniszczył nas i naszej miłości. Nie wierzyli już w moc Indianina i twierdzili, że deszcz i tak przestałby padać, bez względu na to, co bym zrobił.

Ale oni nie byli w tamtym szpitalu, nie widzieli jego tańca. Nie rozumieją. Odłożyłem słuchawkę i przełknąłem łzy. Wyszedłem przed nasz dom na wzgórze i spojrzałem przepelniony podziwem w cudowny błękit nieba.

Odwróciłem się i omal nie straciłem równowagi.

Od zachodu nadciągała ściana ciemnych, gęstych chmur. Otoczył mnie podmuch chłodnego wiatru.

Dwunasty września. Temperatura wynosiła dwadzieścia pięć stopni, ale szybko spadła do dziesięciu, a potem do zera.

Deszcz minął. Zaklinacz zrobił to, o co go prosiłem. Ale nie wziąłem pod uwagę jego poczucia humoru.

Powstrzymał deszcz, a jakże.

Ja jednak miałem okropne przeczucie, że śnieg nigdy nie przestanie padać.

# Za te i wszystkie inne grzechy

*Jeśli w zakończeniu poprzedniego opowiadania jest szczypta humoru, nie ma go ani śladu w następnej historii ze Środkowego Zachodu: ten utwór ma wstrząsnąć czytelnikiem. Opowiadanie zostało opublikowane w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, ale jego zamysł powstał jedenaście lat wcześniej. Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku spędziłem trzydzieści pięć dni na obozie szkoły przetrwania Paula Petzoldta w górach Wind River w stanie Wyoming. Podczas kursu ćwiczyliśmy rozmaite umiejętności: wspinaczkę, biwakowanie bez zostawiania śladów, przeprawy przez dzikie strumienie, mieszkanie w śnieżnych jaskiniach, zbieranie pożywienia etc. Pod koniec obozu odebrano nam żywność. Każdy otrzymał kompas, mapę i menażkę. Pokazano nam miejsce na mapie, oddalone o siedemdziesiąt pięć kilometrów, na kontynentalnym dziale wodnym; usłyszeliśmy, że za trzy dni będzie tam na nas czekać ciężarówka. Co mamy jeść? Nic. Chodziło o to, żeby stworzyć niebezpieczną sytuację, podobną do prawdziwej. Poszukiwanie żywności roślinnej kosztuje więcej energii niż dostarcza, więc należało to z góry wykluczyć. Co innego połów ryb. Wolno nam było łowić ryby i zjadać, a ich mięso zawiera dużo białka. To jednak miała być ostateczność. Celem ćwiczenia było udowodnienie nam, że można wytrzymać trzy dni bez jedzenia, w wyczerpujących warunkach i prawidłowo funkcjonować.*

*Słaniałem się na nogach i trochę kręciło mi się w głowie, gdy w końcu dotarliśmy do zakurzonej drogi, która była naszym celem, ale wytrzymałbym jeszcze dzień lub dwa, i niewątpliwie nabrałem pewności siebie w terenie. Po zakończeniu kursu ruszyłem autostradą numer osiemdziesiąt do Iowa, ale stary czterocylindrowy porsche 912 zepsuł się. Na gorącej, równinnej wypustce Nebraski musiałem ruszyć na przetaj w poszukiwaniu mechanika. Właśnie wtedy natrafiłem*

*na to niezwykle i przerażające miasteczko. Fabuła opowiadania jest zmyślona, lecz miejsce akcji – jak najbardziej rzeczywiste.*

**R**osło tam drzewo, pamiętam. Przysięgnąłbym, że je rozpoznam, bo wyglądało niezwyklejnie.

Stało po mojej lewej stronie, w pewnej odległości od autostrady. Z początku jawiło mi się jako plama w falującym od gorąca powietrzu, lecz w miarę zbliżania jego szkieletowaty kształt rysował się coraz wyraźniej. Właśnie ten dziwny, wyrazisty kształt w pierwszej chwili przykuł moją uwagę. W końcu był sierpień, a o tej porze roku drzewa – nawet te nieliczne, które można zobaczyć w Nebrasce – mają gęste listowie. To drzewo było nagie.

Martwe, pomyślałem. I co z tego? Nie ma powodu, żeby chmurzyć czoło. Ale właśnie wtedy to spostrzegłem, i zdaje mi się, że podświadomie zareagowałem, nim dotarło do mnie, co przypomina sylwetka drzewa.

Przypomina, to za mało powiedziane.

Poczułem się nieswojo. Drzewo wyglądało jak olbrzymia menora, żydowski świecznik używany podczas obrzędów religijnych. Osiem świec w rzędzie. Zamiast świec sterczały pionowo nagie gałęzie. Dziwne mrowienie przebiegło mi po skórze. To tylko wybryk natury, pomyślałem, ale mimo woli zadałem sobie pytanie, czy ktoś specjalnie ogołocił drzewo, aby nadać mu ten szczególny kształt, i w ten sposób je zabił.

Przypadkowy czy nie, ten kształt nasuwał uderzające skojarzenia: symbol religijny z martwego drzewa, jakby znak błogosławieństwa rozpostarty nad pustynną zachodnią równiną. Pomyślałem o *Jalowej Ziemi* Eliota.

Przez ostatnie dwa tygodnie biwakowaliśmy z przyjaciółmi ze szkoły w górach Wind River w stanie Wyoming. Łowiliśmy ryby, włóczyliśmy się, wspinaliśmy na skały, ale większość czasu spędziliśmy siedząc przy ognisku, gotując, popijając i wspominając stare czasy. Nasze spotkanie po latach, tak długo odkładane, upłynęło zbyt szybko. Musieliśmy się rozdzielić i ruszyć w różne strony, z powrotem do żon i dzieci, miejsc pracy i obowiązków. Dla mnie było to miasto Iowa City i uniwersytet. Tęskniłem za rodziną, rzecz jasna, ale przerażała mnie myśl, że wkrótce rozpocznie się rok akademicki, znów trzeba będzie przygotowywać się do zajęć i sprawdzać prace studentów pierwszego roku.

Strudzony jazdą (minęło już osiem godzin od pożegnalnego śniadania), oderwałem wzrok od dziwnego drzewa i dotarło do mnie, że jadę sto dwadzieścia na godzinę. Zwolnij, powiedziałem do siebie, bo zarobisz mandat.

Albo się zabijesz.

I właśnie wtedy w silniku coś zaczęło chrobetać. Jeżdżę przechodzącym, czterocylindrowym porsche 912 z lat sześćdziesiątych. Kupiłem wóz tanio, bo wymagał sporo roboty przy karoserii; mimo poważnego wieku

auto chodziło zwykle jak zegarek. Nie wiedziałem jednak, że gaźnik trzeba ustawić odpowiednio do rozrzedzonego górskiego powietrza, więc kiedy wjechałem w góry, silnik zaczął się krztusić, gaźnik się zalał i musiałem pędzić z gaśnicą, żeby go ratować. Zostawiłem wóz w Lander w Wyoming, gdzie naprawili uszkodzenie, ale po powrocie, kiedy wsiałem do samochodu, wyczułem, że pedał gazu nie reaguje tak jak dawniej. Przez cały dzień silnik pracował nieco głośniejszy niż zwykle, a teraz po prostu ryczał. Chryste Panie, pomyślałem, pożar uszkodził pewnie blok cylindrów. Nie odważyłem się jechać dalej. Kierownica skakała mi w rękach. Zwolniłem do czterdziestu pięciu na godzinę. Silnik nadal wył. Potrzebowałem mechanika, i to szybko.

Powiedziałem wcześniej, że stało się to na wypustce stanu Nebraska. Wyobraźcie sobie olbrzymi prostokąt, od którego odcięto lewy dolny róg. Lewy górny róg, który pozostał, to właśnie wypustka sąsiadująca ze wschodnią granicą stanu Wyoming. Nic, tylko szeroka, płaska przestrzeń porośnięta ostrą trawą i szafwią, z toczącymi się kłębami ruchomych chwastów. To ziemia równie dzika jak sto lat temu, gdy zapuszczali się tu pionierzy. Nie marzyłbym się tym, że przyjdzie mi spędzić parę godzin więcej w Nebrasce. Mniej więcej co trzydzieści kilometrów przejeżdża się przez jakieś miasteczko. Ale tutaj, w wypustce, nie widziałem żadnego drogowskazu od dłuższego czasu. Co prawda jadę czteropasmową autostradą, ale ludzi tutaj tyle co na księżycu.

Dlatego kiedy zobaczyłem zjazd, nie namyślałem się długo. Dziękując temu tu bogów, który się nade mną zlitował, z wysiłkiem przekręciłem trzęsącą się kierownicę. Silnik już nie tylko wył, ale charczał i klekotał, jak gdyby odrywały się od niego kawałki metalu. Nie widziałem tu wprawdzie drogowskazu do miasta, lecz byłem pewien, że zjazd musi dokądś prowadzić. Dotarłem do znaku stopu przed skrzyżowaniem asfaltowej szosy i rozejrzałem się w prawo i w lewo, ale nie zauważyłem żadnych budynków. „W którą stronę?” – spytałem na głos. Pod wpływem jakiegoś impulsu skręciłem w lewo i po chwili przejechałem nad autostradą. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że kieruję się w stronę drzewa w kształcie menory.

Znów poczułem dziwne mrowienie. Ale klekotanie silnika pochłonęło całkowicie moją uwagę. Pedał gazu drżał pod moją stopą. Samochód ledwie wyciągał trzydzieści na godzinę. Musiałem kontrolować oddech, gdy wyczułem, że przejeżdżam w pobliżu drzewa.

Z lewej strony, jestem tego pewien. Nie byłem aż tak zaabsorbowany awarią, żeby się pomylić. Drzewo rosło po lewej stronie nie oznakowanej, dwupasmowej szosy.

Jestem o tym przekonany. Wiem, że się nie mylę.

Jechałem i jechałem. Mój porsche sprawiał wrażenie, że w każdej chwili może rozlecieć się na kawałki. Droga ciągnęła się w dal, jakby donikąd. Te-

raz, gdy zostawiłem za sobą drzewo-menorę, nic nie zakłócało monotonnego krajobrazu prerii. Już za chwilę wyłonią się jakieś budynki. Jeszcze kilometr albo dwa, jeśli samochód tyle wytrzyma.

Wytrzymał kilometr, a potem jeszcze jeden, ale musiałem zwolnić do dwudziestu. Ścisnęło mnie w żołądku i doznałem nieprzyjemnego wrażenia, że powinienem być skręcić w drugą stronę. Ale oddaliłem się już od skrzyżowania tak bardzo, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko jechać dalej. Poza tym nie byłem pewien, czy samochód dowlecze się do autostrady.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem drzewo, zegarek na tablicy wskazywał prawie siedemnastą. Skrzywiłem się teraz widząc, że dochodzi osiemnasta. Chryste, jeszcze tylko parę godzin dnia; nawet jeśli znajdę warsztat, to i tak nie będzie czynny po osiemnastej. Opadły mnie złe przecucia. Powinienem być zostać na autostradzie. Gdyby samochód tam nawalił, mógłbym zatrzymać jakiegoś podróżnego i poprosić o przysłanie kogoś, kto by mnie odholował. A tędy nie jechał ani jeden samochód. A więc nie dość, że przyjdzie mi nocować w zepsutym wozie na skraju drogi, to jeszcze będę musiał pieszo wracać jutro do autostrady. Zamierzałem jechać całą noc w nadziei, że dotrę do Iowa City jutro w południe, ale jeśli pech nie przestanie mnie przesładować, dojadę tam pojutrze albo jeszcze później. Będę musiał znaleźć telefon, żeby uspokoić żonę, gdy nie zjawię się o wyznaczonym czasie. Muszę...

I właśnie wtedy ujrzałem dom. Był jeszcze daleko. Niewyraźny prostokątny kształt z metalowym dachem połyskującym w promieniach nisko już wiszącej słońca. Zobaczyłem następny budynek, i jeszcze jeden. I drzewa. Dzięki Bogu, miasto. Bicie mojego serca dorównało prawie łoskotowi silnika. Mocniej ścisnąłem kierownicę. Przejechałem obok wieży ciśnień i pustej zagrody dla bydła. Budynki nabrały realnych kształtów: domy, parking, bar.

I stacja obsługi samochodów, przy której zahamowałem; ręce drżały mi jeszcze od wibracji kierownicy. Zgasilem z ulgą silnik i przez chwilę rozkoszowałem się ciszą. Dwóch mężczyzn stało koło pompy tyłem do mnie. Pamiętając o tym, że jestem nie ogolony i spocony, powoli zbliżyłem się do nich.

Byli zwrócenii tyłem, więc od razu powinienem był się domyślić, że coś jest nie tak. Robiłem tyle hałasu zbliżając się i hamując, że powinni się odwrócić, żeby zobaczyć, ki diabeł.

Ale nie zrobili tego, a ja byłem zbyt wyczerpany, żeby wsłuchiwać się w głos instynktu. Zbliżyłem się na sztywnych nogach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Pewnie poznali panowie, że mam kłopot z samochodem. Czy jest tu jakiś mechanik, który jeszcze pracuje?

Żaden się nie odwrócił ani nie odpowiedział.

Musieli mnie usłyszeć, pomyślałem. Powtórzyłem jednak, tym razem głośniej:

– Szukam mechanika. Czy jest tu jakiś?

Cisza.

Ogłuchli, czy co? Obszedłem ich więc, żeby stanąć twarzą w twarz.

Jeszcze kiedy się odwracali, żeby znów stanąć do mnie tyłem, otworzyły mi się usta. Bo zdążyłem zobaczyć ich twarze. Boże święty. Poczulem się tak, jakby ktoś wbił mi w kręgosłup lodowatą igłę. Nigdy nie widziałem trędownego, ale z przeczytanych lektur wnioskowałem, że nie wyglądają aż tak brzydko. To słowo nie oddaje tego, co zobaczyłem. Powiększone tarczycy wybrzuszały się na ich gardłach jak potworne jabłka Adama. Szczęki i policzki mieli wykrzywione, a na czołach olbrzymie guzy. Wargi i nozdrza były zniekształcone. Ale najgorzej wyglądała sama skóra: poszarzała, jakby gnijąca i spleśniała, niczym w otwartej, ropiejącej ranie.

Omiał się nie zakrzusilem. Gardło ścisnęło mi się tak, że nie mogłem złapać tchu. Opanuj się, powiedziałem sobie. To przecież nie ich wina. Nie patrz z otwartymi ustami jak sześciolatek, który nigdy nie widział zdeformowanej twarzy. Pewnie dlatego nie chcieli na mnie patrzeć. Bali się odruchu odrazy na ich widok.

Zwrócili się twarzą do stacji, a ja nie zamierzałem okrążyć ich po raz drugi. Powtórzyłem pytanie:

– Gdzie jest mechanik?

Obaj jednocześnie podnieśli ramiona i okropnie pokręconymi palcami wskazali w prawo, w stronę piaszczystej drogi wychodzącej poza miasto, równoległej do autostrady.

A teraz to szlag, pomyślałem. Przykro mi, że cierpicie, chciałbym wam pomóc, ale teraz sam potrzebuję pomocy, a wy po prostu zachowujecie się niegrzecznie.

Odszedłem. Zaczynała mnie boleć głowa, w gardle czułem suchość. Zegarek pokazywał siódmą po południu. Słońce było coraz niżej. Jeśli szybko nie znajdę mechanika...

Po przeciwnej stronie na rogu zauważyłem restaurację. Może to za duże słowo, bo na pierwszy rzut oka lokal przywodził na myśl nie domyte łyżki i zatłuszczone talerze. Okna były brudne i zakurzone, szyldy Pepsi i Schiltza wisiały co najmniej od dziesięciu lat. Na niekształtnym neonie widniał napis BAR-B-CUE. Powinni skrócić nazwę do BBC, co można by odczytać jak Ból Brzucha i Czkawka.

Lepiej daj sobie spokój z kpinami, bo może jeszcze dziś wieczorem będziesz tam jadł, pomyślałem.

Teraz wydaje mi się to niemal zabawne. To znaczy jedzenie. Mój Boże, nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam.

Przeszedłem więc na drugą stronę zakurzonej ulicy i otworzyłem trzeszczące drzwi, na których roiło się od much. W środku siedziało pięciu konsumentów.

– Hej, czy ktoś może mi powiedzieć...



Słowa ugrzęzły mi w gardle, zakręciło mi się w głowie. Tamci bowiem odwrócili się do mnie tyłem jak na umówiony znak... Ich kręgosłupy i ramiona były pokrzywione w sposób, jakiego natura z pewnością nie przewidziała. Zerknąłem w stronę kelnerki za barem, która też się odwróciła. Ale lustro, przekłute lustro... Odbicie jej twarzy wyglądało jak wynik potworzego eksperymentu genetycznego. Nie miała szczęki i zostało jej tylko jedno oko. Zrobiłem krok do tyłu, pozwalając drzwicom zamknąć się ze skrzypieniem i trzaskiem, a w pamięci został mi widok – czy to możliwe? – dwóch szpar, gdzie powinien być nos.

Powiem od razu: wszędzie, gdzie skierowałem kroki, trafiałem na monstra. To miasto przypominało wszystkie horrory zebrane w jeden. Najpotworniejsze makijaże Lona Chaneya wydawały się przy tym dziecięcą maską karnawałową, a potwory z wyspy doktora Moreau mogłyby uchodzić tutaj za faworytów w konkursie piękności.

Jezu Chryste.

Ósma wieczer. Niebo na wschodzie poszarzało, a na zachodzie zalało się krwistą czerwienią. Czyżbym postradał zmysły? Miasto potworów, wszyscy się odwracają, nikt się nie odzywa, tylko pokazuje piaszczystą drogę na wschód.

Wgramoliłem się do porsche'a i zaraz się okazało, że odpoczynek mu nie pomógł. Silnik rzeził chyba jeszcze głośniejsze. Na szczęście samochód spełnił moje modły i mimo wszystko ruszył.

Może kilka kilometrów dalej jest inne miasteczko, może dlatego chcieli mnie tam skierować.

Wóz toczył się z okropnym łoskotem. Zapaliłem światła, mimo że nie widziałem tu jak dotąd ani jednego samochodu. Zapadał zmierzch, więc uznałem, że nie zaszkodzi uważać.

Przejechałem pół kilometra i silnik znieruchomiał na dobre. Możliwe, że dojechałem tam na jednym cylindrze. Usłyszałem huk, potem trzy głucho uderzenia, potem następny huk i znów trzy uderzenia. Z każdym odgłosem samochód posuwał się odrobinę, ale w końcu sapnął i zatrzymał się. Silnik był straszliwie rozgrzany. Porsche nie ma chłodnicy, ale dałbym głowę, że usłyszałem syczenie.

Tak więc utknąłem na pustkowiu, pół kilometra za miastem koszmarów. Przed sobą nie widziałem żadnych zabudowań, autostrada zaś została Bóg jeden wie gdzie.

Zbliżała się noc.

Na prerii.

Mówiłem już, że się bałem. Ale wtedy opadła mnie wściekłość. Na faceta z Lander, który niby naprawił mi samochód, na moją głupotę, która kazała mi zjechać z autostrady i na to, że nie zdobyłem się na myślenie w miasteczku. Powinienem był kupić coś do picia, jakieś batoniki i chipsy, żeby nie

umrzeć tutaj z głodu. I piwo, a właściwie kartonik z sześcioma puszkami. Co mi szkodziło się upić w tej sytuacji?

Zły, wysiadłem z samochodu. Oparłem się o błotnik, zapaliłem papierosa i zacząłem kłąć. Było wpół do dziewiątej, mrok gęstniał. Co robić?

Próbuję sobie wmawiać, że postępowałem logicznie. Przed dziewiątą podjąłem decyzję. Od miasteczka dzielił mnie tylko kilometr, czyli najwyżej dziesięć minut marszu. Jeśli ten parszywy bar jest jeszcze czynny, kupię sobie piwo i chipsy. Nie obchodził mnie wtedy odrażający wygląd tamtych ludzi. Powiedziałem sobie, że nie spędzę nocy na pustkowiu, słuchając burczenia żołądka. Tego byłoby za wiele.

Poszedłem więc. Gdy dotarłem do rogatek, zapadła noc. Światło w barze BAR-B-CUE paliło się, więc szczęście nie opuściło mnie całkowicie. Tak pomyślałem, ale światło zgasło, kiedy się zbliżyłem. Tego mi tylko brakowało.

Zrobiło się całkiem ciemno.

Nagle drzwi zaskrzypiały, otwarły się i po chwili stanęła w nich kelnerka. Widziałem tylko jej białą sylwetkę. Zamknęła drzwi. Już miałem zapytać, czy podałyby mi coś do jedzenia. Zakładałem, rzecz jasna, że mnie nie widziała. Dlatego zaskoczyło mnie, kiedy się odwróciła.

Zamrugałem powiekami. Jako pierwsza osoba w tym miasteczku, kobieta odezwała się do mnie. Jej głos był cichy i świszczący; słowa zlewały się, jakby miała zajęczą waręgę lub rozszczępione podniebienie.

– Zauważyłam przez okno, że pan wraca – powiedziała.

Może mi się zdawało, lecz jej głos zabrzmiał śpiewnie.

Jeszcze jedno. Staliśmy naprzeciwko siebie, ale na ulicy nie było światła, więc w ciemności nie widziałem rysów jej twarzy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dojechałem do miasteczka, zdawało mi się, że prowadzę z kimś normalną rozmowę. Nie było trudno udawać – wystarczyło tylko zapomnieć odbicie jej twarzy w lustrze.

Wzruszyłem ramionami i roześmiałem się ponuro.

– Samochód mi się zepsuł i utknąłem. – Wskazałem w stronę drogi, chociaż wiedziałem, że kobieta nie zobaczy mojego gestu. – Pomyślałem, że zdążę jeszcze kupić u pani coś do jedzenia.

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Przykro mi, ale właściciel zamknął lokal pół godziny temu. Zostałam, żeby posprzątać i przygotować wszystko na jutro. Kuchenka jest już zimna.

– Może chociaż piwo i jakieś chipsy?

– Nie mogę. W kasie nie ma pieniędzy.

– Nic nie szkodzi. Nie potrzebuję reszty.

Kelnerka ponownie zamilkła.

– Piwo i chipsy?

– Tak, bardzo panią proszę. – Zaczynałem nabierać nadziei.

– Spędzi pan noc w samochodzie?  
– Chyba, że jest tu jakiś hotel.  
– Nie ma. Potrzebuje pan dobrego posiłku i miejsca do spania. Pewnie jest pan bardzo zmęczony.

Zawiesiła głos. Pamiętam, że noc była bardzo cicha. Nawet świerszcze nie cykały.

– Mieszkam sama – powiedziała. Jej głos wydał mi się jeszcze bardziej śpiewny. – Może pan się przespać na kanapie w dużym pokoju. Zrobię panu stek.

– Nie, dziękuję. – Przeraziłem się na myśl o tym, że mógłbym znów zobaczyć jej twarz.

– Proszę się nie bać. Nie będę zapalać światła.

– Nie o to chodzi – skłamałem. – Nie chciałbym pani sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot. Chcę panu pomóc. Zawsze uważałam, że trzeba sobie nawzajem pomagać.

Odwróciła się i odeszła. Pomyślałem o steku i kanapie. To chyba lepsze niż spanie ze skurczonymi nogami w samochodzie.

Ale ta jej twarz.

Może ona wie, co myślę, i boli ją to? Jak bym się czuł, gdybym to ja miał zdefornowaną twarz i ludzie odwracaliby się na mój widok? Ona powiedziała, że trzeba sobie pomagać. Może i ja powinienem to zrozumieć. Ruszyłem za nią. Pociągała mnie nie tyle perspektywa steku i snu na kanapie, co chęć okazania serca tej nieszczęsnej kobiecie.

Mieszkała trzy przecznice dalej, na ulicy równie ciemnej jak ta, którą zostawiliśmy za sobą. Panowała absolutna cisza. To był najdziwniejszy spacer w moim życiu.

Sądząc z zarysów, kelnerka mieszkała w starym, piętrowym wiktoriańskim domu. Deski na ganku zaskrzypiały, kiedy zbliżyliśmy się do drzwi. Spełniła obietnicę i nie zapaliła światła.

– Pokój stołowy jest tam, po lewej stronie – powiedziała. – Kanapa stoi przy ścianie naprzeciwko wejścia. Przygotuję stek.

Podziękowałem i poszedłem do pokoju, tak jak kazała. Kanapa była miękka i wygodna. Dopiero teraz, kiedy się położyłem, dotarło do mnie, jak bardzo jestem zmęczony. Słyszałem skwierczenie tłuszczu. Pewnie zapaliła światło, ale nie widziałem nawet odrobiny blasku, więc kuchnia musiała być daleko. Później dotarła do mnie woń smażonej wołowiny i usłyszałem kroki.

– Powinam była zapytać, czy lubi pan wypieczony, czy nie. Większość klientów wybiera średnio wypieczony – powiedziała. Jej głos brzmiał jak zawroźnienie wiatru w oddali.

– Świetnie. – Przestałem myśleć o tym, że jest okropna. Umierałem z głodu.

Ostrożnie postawiła tacę ze stekiem, chlebem i masłem. Podała też sos i piwo. Jadłem niezręcznie, bo w ciemności, ale mimo to wyjątkowo szybko.

I ciągle było mi mało. Stek był wyśmienity. To za mało powiedziane: był taki, że palce lizać, po prostu niewiarygodny.

Zebrałem resztkę sosu ostatnim kawałkiem chleba, wsunąłem do ust, popiłem piwem i osunąłem się na kanapę. Wiedziałem, że to był najlepszy posiłek w moim życiu.

Gospodyni siedziała na krześle po przeciwnej stronie pokoju. Milczała.

– Stek był po prostu cudowny – powiedziałem. – Nie wiem, jak mam pani podziękować.

– Już pan to zrobił.

Nie rozumiałem, co chce przez to powiedzieć. Mój żołądek był przyjemnie pełny.

– Jeszcze pan nie zapytał.

Zmarszczyłem brwi.

– O co? Nie rozumiem.

– Rozumie pan. Jestem pewna, że umiera pan z ciekawości. Tak jak wszyscy.

– To znaczy kto?

– Dlaczego ludzie w tym mieście są tak potwornie zdeformowani.

Zmroziło mnie. Prawdę mówiąc, dręczyło mnie to pytanie. Miasteczko było dziwne, a zwłaszcza jego mieszkańcy, więc z trudem powstrzymałem ciekawość. Ta kobieta okazała mi jednak tyle dobroci, że nie chciałem nawiązywać do jej choroby. Od razu stanęło mi przed oczami jej odbicie w lustrze. Dziura po podbródku, jedno oko. Szpary w miejscu, gdzie powinien być nos. Jedna wielka ropiejąca rana.

O mało nie zwymiotowałem. I to nie tylko na wspomnienie tego widoku. Coś się działo w moim żołądku. Gotowało się w nim i przewracało. Puchł, jak gdyby kłębiło się w nim tysiąc maleńkich szerszeni.

– Grzechy – powiedziała.

Poruszyłem się niepewnie.

– Dawno temu, w średniowieczu, pewni mnisi wędrowali od wioski do wioski. Nie spowiadali jednak, tylko odprawiali obrzęd, aby oczyścić dusze wieśniaków. Każdy mieszkaniec wioski przynosił coś do jedzenia i stawiał na stole przed mnichem. Kiedy stos żywności osiągał odpowiednie rozmiary, mnich wypowiadał właściwe słowa i wszystkie grzechy mieszkańców wsi przenosiły się na jedzenie.

Przełknąłem gorzką ślinę.

– Wtedy mnich zjadał posiłek. Opychał się ich grzechami.

W głosie kelnerki było tyle nienawiści, że miałem ochotę uciec.

– Mieszkańcy wioski wiedzieli, że mnich skazuje się na potępienie, aby ocalić ich dusze. Dawali mu za to pieniądze. Byli oczywiście tacy, którzy twierdzili, że on jest oszustem, który nažera się do syta i jeszcze wyłudza pieniądze. Ale mylili się.

Usłyszałem, jak kobieta wstaje.

– Ponieważ ich grzechy niszczyły ciało mnicha. Skręcały je i deformowały, próbując się wydostać.

Coś majstrowała w rogu pokoju. Znieruchomiałem, słysząc drapanie.

– Nie tylko mnisi pożerali grzechy wiernych – ciągnęła. – Robiły to też kobiety. Ale w jaki sposób pożeracz grzechów miał się ich pozbyć i zrzucić z siebie brzydotę? Każąc je zjeść komu innemu.

– Oszalała pani – powiedziałem. – Wychodzę.

– Jeszcze nie teraz.

Drapanie było pocieraniem zapałki. Zobaczyłem maleńki płomień. Ból skręcał mi żołądek.

– Miasto pełne pożeraczy grzechów, potworów odepchniętych przez świat, których widoku nikt nie może znieść oprócz nich samych. Cierpiących z miłosierdzia za miliony uwolnionych od grzechów.

Zapaliła świeczkę. W pokoju zrobiło się widno. Zobaczyłem jej twarz i znów otworzyłem usta, ale tym razem z innego powodu. Była piękna, olśniewająco piękna. Jej skóra błyszczczała zmysłowo.

Zdawała się falować, pulsować...

– O Boże, nie. Pani dosypała czegoś do jedzenia...

– Powiedziałam ci.

– Dość tych głupstw. – Próbowałem wstać, ale nogi ugięły się pode mną. Moje ciało zdawało się rosnąć, związać i skręcać. Wszystko wydawało się zniekształcone, jak gdyby zewsząd otoczyły mnie krzywe zwierciadła. – Co to było? LSD? Meskalina? Mam halucynacje.

Każde kolejne słowo wypowiadałem głośniejsz, a mimo to zdawało się niknąć w oddali jak szept.

Wzdrygnąłem się, gdy zobaczyłem, że zbliża się do mnie. Piękniała z każdym krokiem.

– Tak długo byłam odrażająca... Już od tak dawna nikt mnie nie pożytał...

Świat zakręcił mi się przed oczami. Rozerwała kostium, ukazując nagie piersi... Jej ciało było takie...

Mimo potwornego bólu brzucha, mimo oszołomienia zmysłów, pragnąłem jej. Jeszcze nigdy nie pożytałem nikogo z taką siłą.

Namiętność... Potężna, zniewalająca, nie kończąca się namiętność. Potoczyliśmy się na tacę, zrzucając szklankę i talerz, nóż i widelec. Lampa roztrzaskała się o podłogę. Jęknąłem, kiedy moje nagie plecy trafiły na ostrą krawędź stołu. Nie z bólu. Z rozkoszy.

I nim eksplodowałem jak gdyby z samego dna duszy, jakby w zamian za oddanie mi swoich grzechów pragnęła czegoś ode mnie, poczułem, że pociąga mnie ku sobie w dół, niżej, coraz niżej.

– Zjedz mnie, pożryj mnie! – błagała.

Straciłem przytomność. Policjanci z drogówki w Nebrasce twierdzą, że znaleźli mnie nagiego na środku autostrady numer osiemdziesiąt o drugiej po południu, dwa dni później. Mówią, że byłem spalony słońcem. Nie wiem, nie pamiętam. Przypominam sobie, że ocknąłem się w szpitalu w Iowa City.

Na oddziale psychiatrycznym, jak się potem okazało.

Lekarze kłamią. Mówią, że nie wyglądam okropnie. Więc dlaczego zabrali stąd wszystkie lustra? Czemu pielęgniarki wzdrygają się, kiedy przychodzą mnie karmić? Wydaje im się, że są tacy mądrzy. Mimo grubej siatki z drutu za oknem, w nocy widzę swoje odbicie w szybie. Nie mam podbródka, zostało mi tylko jedno oko. Zamiast nosa mam dwie ropiejące szpary. Zostałem ukarany. Teraz rozumiem. Noszę na sobie całe zło tego świata.

Byłem katolikiem, ale już nie chodzę do kościoła. Podczas przygotowania do pierwszej spowiedzi zakonnicie nauczyły mnie słów, które trzeba wypowiedzieć przed konfesjonalem: „Pobłogosław mnie, Boże, bo zgrzeszyłem. Ostatni raz byłem u spowiedzi”... Wtedy podawałem datę ostatniej spowiedzi, wyznawałem grzechy, a na koniec mówiłem: „Żałuję ze te i wszystkie inne grzechy, które popełniłem”. Naprawdę żałuję. Ale nie popełniłem ich. To nie są moje grzechy.

Żona i dzieci przychodzą mnie odwiedzać. Nie wychodzę do nich. Nie mógłbym znieść odrazy w ich oczach.

„W jaki sposób grzesznik może się uwolnić od grzechów?” – spytała. Przekazując je innym, rzecz jasna. Pod postacią jedzenia?

Od kilku tygodni wiem już, co muszę zrobić. Trzeba udawać spokój i czekać na swoją szansę. Mam nadzieję, że nie zraniłem strażnika zbyt mocno. Staralem się nie uderzać go z całej siły. Ale jego głowa wydała okropny dźwięk, kiedy stuknąłem nią o ścianę.

Byłem bardzo sprytny. Ukradłem trzy samochody i żadnym nie jechałem długo, żeby policjanci z drogówki nie wpadli na mój trop. Powrót zabrał mi dwa dni.

Dlatego to drzewo jest takie ważne. Ono wskaże mi drogę. Pamiętacie przecież, że na zjeździe z autostrady nie było drogowskazu. Tylko drzewo może mi pomóc tam trafić.

Ale to dziwne. O tak, znalazłem drzewo w kształcie menory. Wątpię, czy jest gdzieś drugie takie. Ale przysiągłbym, że miało osiem gałęzi i było całkiem nagie.

A teraz ma dziewięć.

I rosną na nich liście.

Panie Boże, dopomóż. Ratuj mnie.

Przyciskam pedał gazu do końca i pędzę dwupasmową szosą, która zda się nie mieć końca, tak jak wtedy. Dręczą mnie wątpliwości. Staram się nie spoglądać w lusterko, a mimo to wyję na myśl o swojej twarzy.

W oddali widzę błysk na metalowym dachu. Zbliżam się. Znalazłem miasteczko. Jest dokładnie takie samo. Wieża ciśnień, zagroda dla bydła (ale teraz już nie pusta). Stacja obsługi samochodów, BAR-B-CUE.

Nie rozumiem. Wszyscy wyglądają normalnie. Żadnych powiększonych tarczyc, garbów, poskręcanych kończyn, ropiejących ran. Patrzą na mnie. Nie mogę znieść odrazy w ich oczach.

Znalazłem jej dom. Czekam.

W szpitalu lekarze mówili, że mam halucynacje. Zgodzili się, że moje podejrzenie mogło być słuszne, że dosypano mi czegoś do jedzenia i skutki zatrucia się utrwały. Dlatego wydaje mi się, że moja twarz jest zdeformowana i nie pamiętam, co się stało podczas podróży. Chciałbym w to wierzyć. Chciałbym wierzyć, że oszalałem. Wszystko byłoby lepsze od prawdy.

Ale ja wiem, jak było. Ona to zrobiła. Nakarmiła mnie swoimi grzechami. Odpłacę się. Zmuszę ją, żeby wzięła je z powrotem.

Piszę to w jej pokoju, zerkając od czasu do czasu przez okno. Chcę, żeby ludzie wiedzieli, gdyby coś mi się stało. Żeby zrozumieli. To nie była moja wina.

Ona zjawi się niebawem. Przyjdzie, a wtedy...

Słyszę trzaśnięcie drzwi auta. Ktoś wysiada. To duży samochód.

Słodki Jezu, nareszcie. Ale tam jest więcej osób.

Dwoje. Kobieta i mężczyzna.

A kobieta nie jest tą, na którą czekam.

Co się stało? Czyżby się wyprowadziła?

Wejdą tutaj. Znajdą mnie.

No to co? Nie mogę tego dłużej znieść. Muszę oddać komuś grzechy. Muszę...

Znalazłem nóż w kuchni. Ale nie znam słów. Nie wiem, jak przenieść moje grzechy na jedzenie.

Pamiętam ostatnie słowa, jakie do mnie powiedziała. Wiem, jak to zrobić. Trzeba użyć noża i widelca. Zmusić ich do tego...

Niech mnie pożrą.

# Czarne na białym i całe czerwone

*Trzy następne opowiadania zostały napisane jako cykl i opublikowane razem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku w ramach serii Night Visions (Nocne wizje). Ich wątkiem przewodnim jest ambicja i ciemna strona sukcesu. Każde traktuje o jakimś zawodzie lub zajęciu, a bohaterem pierwszego jest roznosiciel gazet. Darzę je szczególnym przywiązaniem, ponieważ kiedy mój syn Matt miał dwanaście lat, zarabiał pieniądze roznosząc gazety i bardzo to lubił. Dostawał wprawdzie kieszonkowe, i to niemałe, lecz – podobnie jak sympatyczny gaduła, bohater mojego opowiadania – miał ambicję zostać biznesmenem. A że musiał w związku z tym wstawać codziennie o wpół do szóstej rano, nie mogliśmy się z żoną powstrzymać przed pomaganiem mu. Często wyruszałem razem z Mattem w jego „trasę” przed świtem, a on był mi za to bardzo wdzięczny, zwłaszcza zimą. Moja pomoc stała się wręcz koniecznością, gdy w ciągu roku w sąsiednim mieście dwóch roznosicieli gazet zaginęło i nigdy ich nie znaleziono. Tak więc praca gazeciarka może być stresująca. W tym opowiadaniu chciałem między innymi pokazać, jak samotny może się czuć młody roznosiciel gazet o tak wczesnej porze. Teraz pracę tę wykonują zwykle dorośli ludzie w samochodach, ale jeśli mieszkacie w jednym z tych niewielu miasteczek, gdzie są jeszcze młode gazeciarki i gazeciarki, następnym razem, gdy staną u waszych drzwi, nie załóżcie im napiwku.*

**P**ewnie czytaliście o mnie dzisiaj rano w gazecie. Jeśli ktoś z was mieszka w pobliżu skrzyżowania ulic Benton i Sunset, to właśnie ja dostarczam wam tę gazetę codziennie do domu. Tylko że dzisiaj nie mogłem przynieść,



bo leżę w szpitalu z rozwaloną ręką, a pan doktor mówi, że mam pękniętą czaszkę. Tata musiał wykonać za mnie moją robotę. Tak po prawdzie, to trochę mi żal, że nie mogę wyjść na trasę. Roznoszę gazety od trzech lat, czyli od kiedy skończyłem dziewięć lat, więc się przyzwyczailem, chociaż muszę wstawać codziennie o wpół do szóstej rano, nawet w Boże Narodzenie i Nowy Rok. Ale jeśli myślicie, że pospałem sobie dzisiaj rano, to się grubo mylicie. Pielęgniarki budzą tu wszystkich wcześniej, tak jak moja mama, która potrząsa mnie za ramię i przypomina o włożeniu kalesonów, bo jest okropnie zimno w takie poranki jak ostatnio. Zamiast jechać na rowerze, trzeba wtedy chodzić pieszo, a to trwa o pół godziny dłużej, zwłaszcza jeśli jest ciemno i nie widzisz numerów na domach nowych klientów.

Wygląda to tak: z samego rana pod nasz dom podjeżdża ciężarówka i kierowca rzuca pod drzwi paczkę gazet, a tata wychodzi i wkłada je do torby. Często w paczce znajdują kartkę z nazwiskiem nowego klienta albo kogoś, kto rezygnuje z zamawiania gazety. Wtedy musimy z mamą skreślić nazwisko z listy i policzyć, ile gość jest mi winien, zwłaszcza jeśli zaczyna prenumerować lub rezygnuje w środku tygodnia. To dość skomplikowane, ale tata mówi, że w ten sposób uczę się prowadzić interesy; jedną trzecią zarobionych pieniędzy odkładam na konto w banku, a za resztę kupuję sobie płyty kompaktowe i gry wideo.

Ale przecież miałem mówić o moich klientach. Zdziwilibyście się, jak dobrze gazeciarski może poznać ludzi, którym przynosi poranną gazetę. Ci biedacy muszą wstać wcześniej, żeby przygotować się do pracy, i chyba jedyną frajdą dla nich o tej porze jest czytanie przy śniadaniu o tym, co się stało na świecie, kiedy spali. To chyba coś takiego jak słuchanie najnowszych plotek. Oni na mnie liczą, a ja nie zawodzę i zawsze przynoszę im gazety, chyba że jestem chory albo stanie się coś takiego jak wczoraj. Swędzi mnie pod bandażem na głowie, a ręka w gipsie wydaje się strasznie ciężka. Pielęgniarki zapisały na niej mnóstwo dowcipów, więc kiedy wrócę do szkoły za dwa lub trzy tygodnie, będę miał co pokazać kolegom.

Kiedy przynosisz komuś gazety, dowiadujesz się o tej osobie wielu rzeczy, które nigdy by ci nie przyszły do głowy. Na przykład, że po ważnym meczu piłkarskim tyle ludzi czeka na gazetę już przed świtem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, chociaż widzieli spotkanie w telewizji. A ten dom przy ulicy Gilby? Przez tydzień lub nawet więcej musiałem wstrzymywać oddech przechodząc tam koło krzaków, bo okropnie cuchnęło, jakby zgnilizną. Nawet jak wstrzymałem oddech, to i tak zbierało mi się na wymioty. Zupełnie tak samo jak w zeszłym miesiącu, gdy mama znalazła w piwnicy zgniłe kartofle. I nikt nie brał gazet, które zostawiałem pod drzwiami. Uzbierał się ich tam już cały stos, a kiedy powiedziałem tacie, spojrział na mamę tak jakoś dziwnie i powiedział, że pójdzie zobaczyć, co się stało. Pewnie pomyślał, że ktoś tam umarł, ale okazało się, że lokatorzy po prostu wyjecha-

li na wakacje, a smród pochodził z plastikowych toreb ze śmieciami, które zostawili koło domu. Rozpruły je psy. Muszę przyznać, że czułem się trochę nieswojo przechodząc koło tego domu.

No i Carriganowie. On latem stracił pracę w młynie, a jego żona lubi się ładnie ubierać, więc ciągle słyszę ich kłótnie, kiedy bawię się z Ralphem u sąsiadów lub przychodzę po pieniądze; albo nawet o szóstej rano, kiedy przynoszę gazetę. Wyobrażacie to sobie? Wstają przed świtem i od razu zaczynają się kłócić. A stary pan Blanchard? Jego żona też jest stara i mama mówi, że choruje na raka kości; nie widziałem jej od paru miesięcy, ale pan Blanchard jest już na nogach, kiedy kładę gazetę pod wycieraczką. Przez okno w dużym pokoju widzę go, jak siedzi przy stole w kuchni, przygarbiony, trzymając głowę w dłoniach. Gardło mi się ścisza, gdy spod drzwi wejściowych słyszę jego łkanie. Zawsze ma na sobie ten sam stary, szary sweter. Strasznie mi go żal, a on płacze tak, jakby mu serce miało wyskoczyć z piersi.

Co innego pan Lang, który ma pulchną twarz, czerwone żyłki na nosie i ciągle łypie złośliwymi oczkami. Zawsze narzeka, że za często przychodzę po pieniądze, co oczywiście jest nieprawdą. Dwa miesiące temu zaczął mnie wyzywać i od tego czasu boję się tam chodzić. Tata mówi, że to przez whisky, i sam chodzi odbierać od niego pieniądze. Ostatnio po powrocie od pana Langa stwierdził, że on nie jest taki zły, jeśli go bliżej poznać, tylko nie lubi swojego życia. Ale mnie to wcale nie obchodzi; wolę, żeby tata odbierał pieniądze za gazety.

Przestraszyłem się pana Langa, bo nakrzyczał na mnie akurat wtedy, kiedy w Granite Falls zaginął ten chłopak, o którym pisali w gazetach. Rodzice czekali na niego w niedzielę, aż wróci z trasy; klienci zaczęli dzwonić do nich i pytać o gazety, więc ojciec tego chłopca wyszedł go szukać i znalazł plecak za krzakami na pustej działce jedną przecznicę od ich domu. Pamiętacie pewnie, że policja i sąsiedzi od razu rozpoczęli poszukiwania, a gazeta, dla której pracował, umieściła jego zdjęcie na pierwszej stronie i wyznaczyła nagrodę dla każdego, kto pomoże go znaleźć. Ale gazeciarz się nie znalazł. Policjanci mówili, że może uciekł, ale jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Było zbyt zimno, a poza tym dokąd miałby uciec? Tata powiedział, że policja sugerowała nawet, że to rodzice tego chłopca coś mu zrobili; ci ludzie tak się wtedy zezłościли, że chcieli zaskarżyć policję za rzucanie takich strasznych podejrzeń. Jakiś facet zadzwonił do rodziców, powiedział, że chłopiec jest u niego i zażądał pieniędzy. Policja zidentyfikowała numer telefonu i okazało się, że mężczyzna nie przetrzymuje tamtego chłopca. On tłumaczył, że to był tylko żart, ale w gazetach piszą, że facet napytał sobie biedy, i to nie było jakiej.

Granite Falls jest niedaleko stąd. Tata mówi, że taki szaleniiec mógłby z łatwością przyjechać stamtąd do naszego miasteczka. Ale ja nie miałem zamiaru rezygnować z pracy tylko dlatego, że coś się stało w Granite Falls.

Jak już mówiłem, przyzwyczałem się, że mam trochę swoich pieniędzy, w sobotę mogę wyjść do miasta i kupić nową płytę. Mimo to poczułem się trochę niepewnie. Mam już tyle lat, że wiem, co taki zboczeniec może zrobić dziecku. No więc tata poszedł ze mną kilka razy w trasę, a kiedy później znów zacząłem chodzić sam, zabierałem latarkę. No i uwijałem się jak nie wiem co, słowo daję. Nie wyobrażacie sobie, jak można się czuć wcześniej rano, gdy wiatr szeleści za plecami w zaroślach, a w pobliżu nikogo nie ma. Po miesiącu, gdy nic się nie wydarzyło, poczułem się lepiej i nawet zrobiło mi się wstyd, że się tak przestraszyłem jak jakiś maminsynek. Wychodziłem w trasę tak jak kiedyś, zaspany, i myślałem tylko o soku pomarańczowym, który mama trzyma dla mnie zawsze, kiedy wracam. Kładę się wtedy do łóżka i zanim usnę, czytam komiksy w „Gazette”. Cudownie jest leżeć wtedy pod ciepłym kocem. Później, oczywiście, muszę wstać i iść do szkoły.

Trzy tygodnie temu zaginął następny gazeciarski, ale tym razem stało się to tutaj, w Crowell. Pamiętacie pewnie, że sąsiedzi szukali go tak samo jak tamci w Granite Falls, że w „Gazette” ukazało się ogłoszenie, a rodzice wyznaczili nagrodę za wiadomość o synu. Ale znaleźli tylko jego torbę z gazetami w krzakach, tak samo jak w Granite Falls. Policja stwierdziła oficjalnie, że oba zaginięcia są do siebie podobne. Nie trzeba chodzić do szkoły policyjnej, żeby zauważyć, że obaj chłopcy zginęli w taki sam sposób. Można by uwierzyć w ucieczkę jednego chłopca, ale nie dwóch, i to zimą.

Aha, zapomniałem dodać, że w te dni, kiedy chłopcy zaginęli, padał gęsty śnieg, więc oprócz śladów, które zostawili poszukujący ich sąsiedzi, nie udało się znaleźć żadnych innych. Żaden dzieciak nie uciekłby w śnieżycę, tyle wam powiem. Gazeciarski przestali wychodzić, i ja też. Tata powiedział, że rozpoczęliśmy strajk, ale tak naprawdę to była decyzja naszych rodziców. Zażądali dla nas ochrony policyjnej, ale policja uznała, że panikują, a poza tym nie ma tylu funkcjonariuszy, żeby nas wszystkich pilnować. Wydawcy „Gazette” ogłosili, że jeśli przestaniemy pracować, będą musieli zwinąć interes. Poprosili rodziców, żeby nie spuszczała nas z oka i kazali podpisać zgodę na odprowadzanie siedemdziesięciu pięciu centów miesięcznie, aby gazeta mogła nas ubezpieczyć, jeśli coś się stanie na trasie.

No i wtedy dopiero tata się wkurzył. Kazał mi zrezygnować z pracy i mało brakowało, żebym to zrobił, ale nie mogłem sobie wyobrazić sobót bez moich własnych pieniędzy. Tata powiedział, że jestem urodzonym kapitalistą i jak dorosnę, będę na pewno głosował na republikanów (choć nie bardzo wiem, co to znaczy), a ja na to, że w zeszłym roku wygrałem szkolne wyścigi i założę się, że żaden zboczeniec mnie nie dogoni. Tata tylko się roześmiał i potrząsnął głową, a później powiedział, że będzie ze mną wychodził rano. Za to mama wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Chyba wszystkie mamy są takie same, ciągle się martwią. Wtedy ja przypomniałem im, że

chłopcy zaginęli, kiedy padał śnieg, więc tylko w czasie śnieżycy grozi mi niebezpieczeństwo. Tata zgodził się ze mną, ale mama powiedziała: „Zobaczmy”, a to nic dobrego nie wróży. Jeśli pytasz, czy kolega może zostać na noc, a mama mówi „zobaczmy”, to znaczy, że nie.

Ale tym razem było inaczej. Następnego ranka tata wyszedł ze mną w trasę, a był to jeden z tych siarczyście zimnych dni, kiedy buty skrzypią na śniegu, a powietrze jest tak czyste, że słyszysz zapalenie samochodu trzy przecznice dalej. Usłyszałbym każdego łobuza, który próbowałby mnie podejść, a poza tym był ze mną tata. Innym gazeciarzom też wszystko poszło gładko. Mimo to każdego ranka modliłem się, żeby nie padał śnieg; czasem sypał w nocy, a rano przestawał, i kiedy w świetle ulicznych lamp widziałem wyraźnie dom naprzeciwko, czułem się jak ktoś, komu zdjęto kamień z piersi.

Wstawaliśmy więc razem o wpół do szóstej, żeby roznosić gazety, a kiedy tata zachorował, mama wyszła ze mną zamiast niego. I wierzcie mi, że bardzo się denerwowała, chyba bardziej niż ja. Powinniście nas widzieć, jak pędzimy ulicą, raz po raz oglądając się przez ramię. Pan Carrigan jak zwykle wrzeszczał na żonę, pan Blanchard płakał z powodu swojej, a pan Lang otworzył drzwi z puszką piwa i przestraszył mnie, odbierając gazetę. O mało nie zmoczyłem się w spodnie, słowo daję. Spytał, czy chcę wejść do środka i ogrzać się trochę. Powiedziałem: „Nie, panie Lang, dziękuję” i cofnąłem się podnosząc ręce, ale zapomniałem o schodach. A schody nie były odśnieżone i wylądowałem w zaspie; gdyby pan Lang je odśnieżył, to już wtedy połamalbym ręce. Chciał mi pomóc się podnieść, ale zerwałem się i uciekłem ile sił w nogach.

W zeszłą niedzielę zbudziłem się i zanim wyjrzałem przez okno, już wiedziałem, że pada, bo wiatr tak strasznie wył. Aż mi ramiona opadły, a w ustach poczułem gorzki smak. Domu po przeciwnej stronie ulicy nie było widać. Śnieg był tak gęsty, że nie widziałem nawet gałęzi klonu na naszym podwórku. Chociaż leżałem w ciepłym łóżku, zatrząsałem się, jakby wiatr dostał się pod kołdrę. Nie chciałem wychodzić, ale wiedziałem, że wtedy mama na pewno wykorzysta okazję i każe mi zrezygnować z pracy, więc się zmusiłem. Ubrałem się bardzo szybko, włożyłem kalesony, długą ciepłą kurtkę, z której już prawie wyrosłem, rękawice i gogle narciarskie. Tym razem wyszli ze mną oboje, mama i tata, i widziałem, że są tak samo przestraszeni jak ja.

Nic nam się nie stało, oczywiście. Obeszliśmy trasę i wróciliśmy do domu na ciepłą czekoladę. Z zaczerwienionymi policzkami wskoczyliśmy szybko do łóżek, a po przebudzeniu tata włączył radio. I chyba domyślacie się, co usłyszeliśmy: zaginął kolejny roznosiciel gazet, i to znów tutaj, w Crowell. Tak więc zaginęło już trzech gazeciarzy, z czego dwóch w naszym mieście, i wszyscy trzej podczas śnieżycy.

Padało dalej, więc tym razem nie było widać nawet śladów policji ani sąsiadów. Nie znaleźli jego torby z gazetami. Kilku chłopców odmroziło sobie palce i musiało iść do szpitala. Nie mieszkali w naszej dzielnicy, ale tata zgodził się ich zastąpić. Ulice były tak zasypane, że nie mógł jeździć samochodem, tylko musiał chodzić pieszo. Wrócił cały ośnieżony i powiedział, że to było straszne. Tak zmarzł, że bardzo długo nie mógł się ogrzać. Siedział zgarbiony przed kominkiem, dokładał drewno, pocierał zgrabiące dłonie i cały się trząsał. Mama przynosiła mu do picia jakieś parujące napoje i po godzinie tata położył się wreszcie do łóżka i zaczął chrapać. Później usiedliśmy razem w dużym pokoju i mam powiedziała, że muszę zrezygnować z pracy.

Nie spierałem się z nią. W Crowell mieszka czterdzieści tysięcy ludzi. Jeśli trzy czwarte z nich zamawia gazetę, a większość roznosicielei obsługuje po czterdziestu klientów, to wychodzi, że jest nas około siedmiuset pięćdziesięciu. Obliczyłem to na kalkulatorze mamy. Pewnie się zdziwicie, jeśli sami nie roznosicie gazet. Ale jeśli tak jak ja znajdziecie się na ulicy o wpół do szóstej rano, zobaczycie, ilu nas jest. Gdziekolwiek spojrzeć, prawie na każdym rogu kogoś widać; jakaś postać zbliża się do drzwi, kładzie gazetę i idzie dalej. Nie licząc tego zaginionego w Granite Falls, trzeba odjąć dwóch od siedmiuset pięćdziesięciu gazeciarzy. To by znaczyło, że są małe szanse, żeby akurat mnie ktoś napadł. Ale mama powiedziała, że taka duża liczba roznosicielei daje szaleńcowi dużą możliwość wyboru. Ona wie, że lubię gry wideo i muzykę, ale dla tych pieniędzy, które zarabiam, nie warto aż tak bardzo ryzykować. Plecak tego trzeciego chłopca znaleźli za krzakami, kiedy śnieg przestał padać. Mama stanęła przy oknie i jakoś dziwnie westchnęła. Podszedłem do niej i zobaczyłem dom po drugiej stronie ulicy, cały przysypany śniegiem, błyszczący w świetle ulicznych lamp. Wyglądał tak spokojnie, jak na pocztówce bożonarodzeniowej. Ale ja poczułem mdłości, jakby pod tą bielą kryło się coś okropnego. W mieszkaniu było ciepło, ale po plecach przebiegły mi dreszcze.

Powiedziałem, że zrezygnuję z pracy. Tata mówi, że mamy w sobie coś, co się nazywa zegarem biologicznym. Ten zegar dostosowuje się do regularnych czynności: na przykład wiesz o tym, że zaraz zacznie się twój ulubiony program telewizyjny, nawet jeśli nie masz zegarka, albo czujesz, że powinienes iść do domu, bo mama już przygotowała kolację. No więc otworzyłem oczy jak zwykle o piątej trzydzieści, mimo że mama nawet mnie nie budziła, i pomyślałem, że trzeba się pospieszyć. Ale zaraz sobie przypomniałem, że już nie roznoszę gazet. Przewróciłem się na bok i próbowałem zasnąć, ale co chwila filowałem na zegar cyfrowy, który dostałem od mamy i taty pod choinkę w zeszłym roku. Czerwone cyferki pokazały piątą czterdzieści, potem piątą czterdzieści pięć. W końcu nie mogłem znieść tego poczucia winy, jakbym zrobił coś złego, chociaż nie zrobiłem. Wskoczyłem z łóżka, odsuną-

łem zasłony i wyrząłem na zaśnieżony podjazd. Widziałem ślady w miejscu, gdzie zatrzymała się ciężarówka i kierowca rzucił moją paczkę gazet owiniętą w czarną torbę, żeby nie zamokły. Leżała teraz samotnie w zaspie jak ciemny punkt w morzu bieli.

Biuro „Gazette” było zamknięte w niedzielę, a w poniedziałek otwierają dopiero o ósmej, więc nie miałem jeszcze czasu zawiadomić ich, że odchodzę. Wyobraziłem sobie moich klientów, którzy wstają, podchodzą do drzwi po gazetę i nie znajdują jej. Pomyślałem o czterdziestu telefonach z pytaniami, co się stało, które niedługo będziemy musieli odebrać, jeden po drugim. Im dłużej o tym myślałem, tym gorzej się czułem. W końcu przypomniałem sobie słowa taty: „Jest tylko jeden sposób wykonania swojej pracy: trzeba ją zrobić dobrze”. Włożyłem kalesony, dzinsy, sweter i kurtkę. Obudziłem tatę, który wyglądał, jakby nagle się postarzał; to chyba od tego zimna wczoraj, kiedy szukali tamtego chłopca. Powiedziałem, że idę roznosić gazety. Zamrugał, potem wymamrotał, że się nie zgadza, ale zrozumiał.

Mama narobiła szumu, jak to ona, ale tata się ubrał i wyszedł ze mną. Nie byłem pewien, czy trzęsę się z zimna, czy ze strachu. Bo przecież nie padało i wiedziałem, że nic mi się nie stanie. Spieszyliśmy się. Wyszliśmy pół godziny później, ale na podjazdach nie było jeszcze śladów opon, więc chyba nikt nie zdążył wyjechać do pracy. Przed kilkoma domami zastaliśmy właścicieli z łopatami. Para leciała im z ust; wszyscy ucieszyli się na mój widok, jak gdyby już byli pewni, że nie dostaną gazety, a tymczasem ja zjawiam się, niezawodny jak zwykle. Uśmiechali się i obiecywali napiwek, kiedy przyjdę następnym razem po pieniądze. Ja też się do nich uśmiechałem, bo nagle zrobiło mi się ciepło. Nawet pan Lang, który zawsze zachowuje się zgryźliwie, wyszedł i poklepał mnie po plecach, tak jak nasz trener. Zrobiliśmy z tatą trasę najszybciej, jak tylko można, a kiedy wróciliśmy, mama usmażyła nam naleśniki z syropem. Chyba nigdy nie byłem tak głodny, a tata nalał mi trochę kawy do kubka. Nawet mi smakowała, chociaż była gorzka. Tata stuknęła filiżanką o mój kubek i poczułem się, jakbym urósł tej nocy. Nawet mama musiała przyznać, że postąpiliśmy słusznie.

Ale to niczego nie zmieniło. O ósmej, tuż przed moim wyjściem do szkoły, mama zadzwoniła do gazety i zawiadomiła, że rezygnuję. Po wyjściu z domu poczułem ulgę, jakby ktoś zdjął mi ciężar z ramion, ale to nie trwało długo. Już po chwili nie mogłem się uwolnić od myśli, że coś straciłem, tak jakbym nie wziął udziału w najważniejszym wyścigu albo przegapił film, na który długo czekałem. To zabawne, jak człowiek się przyzwyczaja do różnych rzeczy, na przykład do pracy. Wiem, że to nie zabawa, dlatego nazywa się pracą, ale ja lubię roznosić gazety i zarabiać pieniądze. Byłem pewien, że czegoś będzie mi brakować.

W szkole nie mogłem się skupić na tym, co mówi nauczycielka. Spytała, czy nic mi nie dolega, ale odpowiedziałem, że jestem tylko trochę zmęczony i wszystko będzie dobrze. Staralem się udawać zainteresowanie, najlepiej jak tylko mogłem. Kiedy wróciłem do domu, mama powiedziała, że dzwonili z gazety i pytali, czy zgadzamy się, żeby ktoś przyszedł wieczorem porozmawiać. Starła się ich przekonać, żeby dali mi spokój, ale widać nie pozwolili się zniechęcić, bo ktoś jednak miał przyjść. Zjadłem hamburgera bardzo szybko, bo byłem ciekaw, a poza tym czułem się dumny, że ktoś się mną zainteresował.

Popołudnie ciągnęło się okropnie długo. Po szkole nie chciało mi się wychodzić z chłopakami. Zostałem w domu, grałem w gry wideo i co chwila zerkałem na zegarek w magnetowidzie. Tata wrócił z pracy po piątej. Właśnie otwierał butelkę piwa, kiedy zadzwonił dzwonek. Nie wiem dlaczego, ale zabolał mnie mięsień w ramieniu, kiedy tata poszedł otworzyć. To była Sharon, ta sama, która wyjaśniała mi, co mam robić, kiedy zaczynałem pracę. Przychodziła później do domu jeszcze wiele razy, żeby wręczać mi dodatkowe karty za to, że sam obliczałem, ile mi są winni klienci. Kiedyś dała mi bilety do kina wartości pięćdziesięciu dolarów, bo ze wszystkich roznosicieli właśnie mnie udało się przekonać najwięcej klientów z okolicy, żeby zamawiali „Gazette” zamiast „Chronicle” z Granite Falls, która jest gazetą wieczorną, o czym pewnie wiecie.

Sharon jest młodsza od mojej mamy, nosi włosy upięte w kok i ma różowe policzki; przypomina mi praktykantkę, która pomaga naszej nauczycielce. Sharon zawsze chętniej rozmawia ze mną niż z moimi rodzicami. Czuję się przy niej kimś wyjątkowym i dorosłym, a ona zawsze się uśmiecha i powtarza, że jestem jej najlepszym gazeciarem. Ale w zeszły poniedziałek wcale się nie uśmiechała. Była blada i wyglądała tak, jakby przez całą noc nie zmruryła oka. Powiedziała, że wielu roznosicieli zrezygnowało i nikt się nie zgłosił na ich miejsce, więc w redakcji martwią się, że może trzeba będzie zamknąć gazetę. Szef polecił Sharon odwiedzić wszystkich roznosicieli, którzy zrezygnowali i zaproponować trzy dolary więcej tygodniowo, jeśli zostaną. Mama nie dała mi dojść do słowa. Od razu powiedziała „nie”. Ale Sharon jakby jej nie usłyszała. Wyjaśniła, że w czasie śnieżycy nie będziemy musieli dostarczać gazet. Widziałem, że tacie spodobał się ten pomysł, ale mama nadal kręciła głową. Wtedy Sharon poprosiła, żeby dać jej choćby parę dni, by mogła znaleźć zastępstwo za mnie, co nie będzie łatwe, by jestem bardzo solidnym pracownikiem. Aż mi serce mocniej zabiło, jak to usłyszałem. Sharon prosiła, żebym pracował chociaż do przyszłego poniedziałku, a potem będę mógł odejść, jeśli zechcę. Łamiącym się głosem dodała, że jeśli nie znajdzie nowych gazeciarzy, szef przyjmie na jej miejsce kogoś innego.

Oczy Sharon zwilgotniały, jakby od silnego wiatru. Nagle poczułem się okropnie, jak gdybym ją zawiódł. Chciałem się zapaść pod ziemię; nie mog-

łem spojrzeć jej w twarz. Sharon patrzyła teraz błagalnym wzrokiem to na mamę, to na tatę; mama w ogóle przestała oddychać. Nagle westchnęła głęboko, jak ktoś bardzo zmęczony. Powiedziała, że muszą się z tatą zastanowić. Poszli do kuchni, a ja słyszałem, jak szepczą i starałem się nie patrzeć na Sharon. Kiedy wrócili, mama powiedziała: dobrze, mogę pracować jeszcze przez tydzień, dopóki Sharon nie znajdzie kogoś na moje miejsce. Ale jeśli będzie padać śnieg, nie będę roznosił gazet. Sharon o mało się nie rozplakała. Dziękowała i dziękowała, a kiedy wyszła, mama powiedziała, że ma nadzieję, że nie popełniłszy błędu, ale ja wiedziałem, że nie. Zrozumiałem, co mnie martwiło: nie to, że rezygnuję z pracy, ale to, że robię to niespodziewanie, nie wyjaśniając wszystkiego moim klientom i nie żegnając się z nimi. Będzie mi ich brakować. To zabawne, jak człowiek się przyzwyczaja do różnych rzeczy.

Nazajutrz rano tak się cieszyłem, że znów wychodzę na trasę, choćby na kilka dni, że prawie całkiem zapomniałem o zdenerwowaniu. To miał być jeden z moich ostatnich obchodów, podczas których zobaczę domy moich klientów tak wcześnie rano, dlatego postanowiłem wszystko dokładnie zapamiętać: klócących się Carriganów, płaczącego pana Blancharda i pana Langa pijącego piwo na śniadanie. Tata wyszedł ze mną we wtorek, a inni ojcowie też pomagali swoim dzieciom. Nigdy o tej godzinie nie widziałem na ulicy tylu ludzi. Słysząc było wyraźnie ich szepty i skrzypienie butów na śniegu, który iskrzył się w światłach latarni. Nic się nie stało, a policja nadal szukała zaginionego chłopca. W środę też. Nim nadeszła sobota, wszystko wróciło mniej więcej do normy. Rankami nie padało. Tata zauważył, że ludzie mają strasznie krótką pamięć, bo wielu chłopców, którzy porzucili pracę, chciało wracać na trasę, a nowi dopytywali się o wolne miejsca. Ja też przestałem się bać. Ciągle myślałem o tym, że zbliża się poniedziałek i kombinowałem, jakby tu przekonać mamę, żeby pozwoliła mi dalej pracować.

W sobotę pogoda była ładna. Tata wniósł paczkę z gazetami i powiedział, że na dworze wcale nie jest zimno. Wyjrzałem przez okno na termometr na zewnętrznej ścianie domu. Czerwona linia prawie sięgała zera. Założyłem rękawice – gogli już nie musiałem – zapakowaliśmy gazety do plecaka i wyszliśmy. Powietrze prawie pachniało od ciepła, a ja poczułem że pocę się pod kalesonami. Poszliśmy ulicą Benton, potem Sunset i Gilby. Ta ostatnia jest najgorsza, bo prowadzi przez długie strome wzgórza. Latem zawsze się zasapuję jadąc pod górę rowerem, a zimą muszę się chociaż raz zatrzymać, bo strasznie ciężko się wspinać w butach i płaszczu. Tata szedł jedną stroną ulicy, a ja drugą. Widzieliśmy jeden drugiego w świetle latarni, a wykonywaliśmy pracę dwa razy szybciej niż zwykle. Tego dnia dostaliśmy kartkę z nazwiskiem nowego klienta, a tata nie mógł znaleźć jego domu. Ja szedłem dalej w górę i po chwili byłem na szczycie wzgórza. Obejrzałem się. Tatę ledwo było widać na dole.



Śnieg nie padał, więc pomyślałem, że podrzucę jeszcze parę gazet. Następny klient mieszkał przy Crossridge. Jeśli jechało się samochodem, trzeba było wrócić w dół wzgórza, potem przejechać jedną przecznicę do Crossridge, a potem jeszcze wjechać na szczyt następnego wzgórza. Ale jeśli się szło piechotą albo jechało rowerem, można było skrócić sobie drogę chodnikiem prowadzącym przez podwórko jednego z moich klientów. Poszedłem więc tamtędy i zostawiłem gazetę.

I nagle znieruchomiałem, bo w powietrzu zawirowały płatki śniegu. Od pewnego czasu zerkałem w niebo; księżyc nie było widać, ale gwiazdy migotały bardzo ładnie. Teraz podniosłem głowę i nie zobaczyłem gwiazd, tylko gęste ciemne chmury. Słowo daję, że widziałem je nawet w tej ciemności. Przesuwały się i kłębiły, jakby coś tam próbowało się z nich wydostać na zewnątrz. Płatki robiły się coraz większe. Powinienem był pamiętać ze szkoły, że zero stopni to najlepsza temperatura dla opadów śniegu. Nogi ugięły się pode mną; nie mogłem iść prosto. Próbowałem biec, ale potknąłem się i o mało nie przewróciłem. Śnieg padał tak gęsto, że nie widziałem już chmur ani nawet domów po drugiej stronie ulicy. Zerwał się silny wiatr. Policzki zaczęły mnie piec, ale nie od ciepła. Wcześniej powietrze było przyjemne, ale teraz ochłodziło się nagle, a płatki śniegu spadały mi na twarz jak igiełki mrozu.

Rozejrzałem się za tatą, ale nie widziałem nawet domów przy ulicy. Wiatr rzucał mi w twarz płatki śniegu i po chwili oczy zaczęły mi łzawić. Otarłem łzy rękawicami, ale wtedy wszystko mi się rozmyło przed oczami. Śnieg osiadał mi na policzkach i włosach. Teraz wiedziałem, że trzeba było założyć gogle. Wiatr wył coraz głośniej. Chciałem zawołać tatę, ale tylko się zachłysnąłem. Nie widziałem już chodnika ani nawet własnych rękawic, tylko wielką ścianę wirującej bieli. Mimo zimna przenikającego aż do kości czułem, jak coś mnie parzy w żołądku. Zacząłem się trząść. Krzyknąłem jeszcze raz na tatę i odwróciłem się, żeby go szukać po omacku.

Dopiero kiedy wpadłem na płot domu pana Carrigana, zrozumiałem, że zszedłem z chodnika. Płot składa się z ostrych, metalowych prętów. Uderzyłem piersią w jeden z nich tak mocno, że straciłem dech. Przewróciłem się i upadłem na plecy w zaspę. Chciałem wstać, ale to było jak ruchomy piasek: im szybciej się poruszałem, tym głębiej wpadałem w śnieg. Do tego miałem jeszcze na plecach ciężką torbę z gazetami. Płatki wsypywały mi się za kołnierz. Były tak zimne, że zerwałem się z krzykiem, ale nadal widziałem tylko biel.

Pobiegłem, ale chyba w złą stronę, bo nic nie było na swoim miejscu. Niewidzialne zarośla chłostały mnie po twarzy. Wreszcie wpadłem na drzewo; chyba właśnie wtedy złamałem nos, ale nic nie poczułem, taki byłem przerażony. Biegłem, wołając tatę, i kiedy długo na nic nie wpadałem, pomyślałem, że jestem znów na ulicy, ale teraz wiem, że to była ta pusta działka

koło domu pana Carrigana. Ktoś zaczął tam robić wykop pod nowe fundamenty, i właśnie do tej dziury wpadłem. Zdawało mi się, że lecę bez końca. Uderzyłem o ziemię tak mocno, że przegryzłem sobie wargę. Powiniście zobaczyć te szwy. Tata mówi, że czasami, kiedy dzieje się coś okropnego, nie czujemy tego z powodu szoku. Podobno ciało ma swoją granicę wytrzymałości i kiedy ból ją przekracza, ono po prostu przestaje cokolwiek czuć. Pewnie to właśnie stało się ze mną, bo moja klatka piersiowa, nos i wargę zdrętwiały całkowicie. Chciałem tylko jednego: znaleźć tatę i wrócić do domu. Do mamy.

Wyczołgałem się z dziury i poczułem, że nie jestem sam. Oczywiście miałem zalane łzami, tak że ledwie widziałem śnieg. Kiedy ten cień zbliżył się szybko do mnie, myślałem, że to mój tata. Ale to nie był on. W komiksach zawsze, kiedy ktoś dostanie w głowę, pokazują mu się gwiazdy. I właśnie gwiazdy zobaczyłem w śniegu. Wiedziałem, że ktoś mnie uderzył, ale tego nie poczułem. Tata mówi, że to też z powodu szoku. W normalnej sytuacji rozciągnąłbyś się jak długi, ale jeśli jesteś przerażony, znajdujesz w sobie siłę, żeby utrzymać się na nogach.

W każdym razie mało brakowało. Wszystko rozmazało mi się przed oczami i zakreśliło. Dostałem w głowę tak mocno, że upuściłem torbę. I to właśnie było najdziwniejsze, bo gazety rozsypały się i widziałem je dokładnie: czarne litery na białym tle wirujące w powietrzu. Znacie ten stary żart: co jest czarno-białe i całe czerwone? Gazeta. Ale tym razem czerwień pochodziła od krwi z mojej głowy. Odwróciłem się, żeby uciekać, i właśnie wtedy ten cień chwycił mnie za rękę.

Mimo wycia wiatru usłyszałem trzask. To był taki sam dźwięk, jak wtedy, gdy tata łamie na kolanie szczapę drewna do kominka. Ale ten trzask pochodził z mojej ręki. Leżałem na plecach i właśnie wtedy śnieg uspokoił się na chwilę, a ja zobaczyłem starego pana Blancharda, który klęczał nade mną z uniesionym młotkiem.

Kiedy uderzał, odsunąłem głowę, tak że młotek otarł się o moją skórę, zdzierając trochę włosów z głowy. Wierzgnąłem nogami i tym razem cios spadł na obojczyk. Krzyknąłem na cały głos. Widziałem, jak metal zbliża się do mojego czoła.

Wtedy jakaś ręka wynurzyła się z zamieci i chwyciła za ramię pana Blancharda. Zanim straciłem przytomność, zobaczyłem jeszcze, jak tata wyrwa młotek z ręki pana Blancharda i podnosi go na nogi. Tata krzyczał na niego tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałem. To były straszne słowa, których nie chcę pamiętać i nigdy bym nie powtórzył. Zaczął potrząsać panem Blanchardem, którego głowa latała w tę i z powrotem. Kiedy otworzyłem później oczy, byłem w szpitalu z obandażowaną głową, spuchniętym nosem i ustami. I ręką w gipsie.

Tata starał mi się to wytłumaczyć. Chyba zrozumiałem, ale nie jestem pewien. Żona pana Blancharda umarła trzy miesiące temu. Zdawało mi się,

że ona jeszcze żyje, ale się myliłem. Nie mieli nigdy dzieci i tata mówi, że pan Blanchard poczuł się okropnie samotny. Chciał, żeby ktoś był w domu i zajął się nim jak syn. Pierwszego chłopca zabrał z Granite Falls dwa miesiące temu, kiedy pojechał odwiedzić siostrę swojej żony. Potem zachciało mu się następnego syna, i jeszcze jednego, więc porwał dwóch chłopców z naszego miasteczka. Robił to zawsze w czasie śnieżyicy, żeby zatrzeć ślady. Chciał mieć jak najwięcej synów. Później zauważał, że chłopcy nie żyją. Aż mnie mdli, kiedy pomyślę, że zanosił ich do garażu i układał pod płachtą brezentu. Pewien reporter napisał, że wyglądali jak „drewno na stosie”. Było zimno, więc ciała zamarzły na kość. Latem cuchnęłyby pewnie tak samo jak te worki, o których wcześniej opowiadałem. Teraz się zastanawiam, czy pan Blanchard płakał z żalu za zmarłą żoną, czy dlatego, że wiedział, że robi źle i nie może przestać. Trochę mi go żal, ale nie mogę nie myśleć o tych zmarłych chłopcach; jak bardzo musieli się bać, kiedy pan Blanchard wyrastał przed nimi nagle z zamieci. I pamiętam, jak wyglądał, gdy klęczał koło mnie z młotkiem w uniesionej ręce. Mam przeczucie, że nigdy tego nie zapomnę. Powiedziałem, że pielęgniarki budzą mnie tak wcześnie, jak mama wtedy, gdy roznosiłem gazety. Chyba skłamałem. To nie pielęgniarki mnie budziły: sam się budziłem, bo śnił mi się ten młotek i krew na moich gazetach. Pielęgniarki przybiegały natychmiast i od tej pory ktoś zawsze przy mnie siedzi, mama albo tata. Podobno mam też złamany obojczyk, ale najbardziej boli mnie ramię.

Wydawcy „Gazette” przysłali do mnie Sharon, chociaż ona i tak by sama przysłała. Zapisuje moje słowa, ale nie wiem właściwie dlaczego, bo ma przecież włączony magnetofon. Szkoda, że nie widzieliście miny Sharon, kiedy o niej mówiłem. Podobno szef zamierza wydrukować w gazecie moje wspomnienia i zapłacić mi za to. Przydadzą mi się te pieniądze, bo pan doktor mówi, że nieprędko będę mógł znowu roznosić gazety. Ale jestem pewien, że wrócę na trasę, nawet po tym wszystkim, co się stało. W końcu wiadomo teraz, jak zaginęli tamci chłopcy, a na pewno w okolicy nie ma wielu świrów takich jak pan Blanchard. Chociaż tata mówi, że kto to wie. Przeczytał właśnie o gazetiarce w Ashville, którą ktoś próbował wciągnąć do samochodu. Co się dzieje, że nawet dzieci roznoszące gazety nie mogą czuć się bezpieczne? Tata mówi, że jeszcze trochę, a nikt nie będzie miał ochoty wychodzić z domu...

Ale mniejsza z tym. Powiedziałem Sharon, że trochę się zmęczyłem tym gadaniem. Zachciało mi się spać, a w ogóle nie wierzę, że wydrukują to wszystko w gazecie. Sharon na to, że moja historia jest niezwykła i być może nawet inne gazety będą chciały ją kupić. Mama się boi, że teraz, kiedy stałem się sławny, woda sodowa może uderzyć mi do głowy. Nie wiem, co ma na myśli, ale ja nie czuję się sławny. Raczej obolały. Mam nadzieję, że klientom spodoba się to, co opowiedziałem, i że pamiętają o obiecany napiwku, bo na pewno

pokazała się jakaś nowa gra wideo, którą będę chciał kupić. Właśnie wszedł tata i usłyszał to, co przed chwilą mówiłem. Znowu powiedział, że urodziłem się biznesmenem i że będę głosował na republikanów. Nadal nie wiem, kto to są republikanie, ale przyszło mi do głowy, że gdybym zajrzał do kilku domów i pokazał bandaż na głowie i gips, to może namówiłbym kogoś, żeby zaprenumerował gazetę. Ogłosili nowy konkurs. Ten z gazeciarzy, który zdobędzie najwięcej nowych klientów, dostanie wolny wstęp do kina. Niech szykują dla mnie popcorn.

# Trele-Morele

*To opowiadanie o ciemnej stronie sukcesu dotyczy sportu, a dokładnie futbolu. Bohaterem poprzedniej opowieści był chłopiec; tutaj będzie nim nastolatek. Trzecia historia zostanie opowiedziana przez dorosłego człowieka. Inspiracją dla mnie była relacja prasowa o pewnej szkolnej drużynie piłkarskiej, która przed każdym meczem odprawiała kontrowersyjny rytuał. To dziwne, że gwiazdy szkolnego sportu rzadko pozostają gwiazdami w dorosłym życiu. Czyżby osiągnęły szczyt za wcześnie? A może potrzeba do tego czegoś więcej?*

**T**ak właśnie go nazywali: Trele-Morele. Nie uwierzylibyście, ale udało im się zachować to w tajemnicy przez te wszystkie lata. Trener Hayes kazał im złożyć obietnicę; chłopcy nie odważyli się złamać zakazu, więc nawet plotki nie wydostały się na zewnątrz. Nie wiedziałem o niczym aż do pierwszej klasy w ogólniaku, kiedy postanowiłem dostać się do drużyny.

Obiecałem sobie, że będę uczciwy. Drużyna piłkarska to nie był mój pomysł, tylko Joeya. Pewnie, lubiłem biegać za piłką po boisku jak każdy inny chłopak. Ale żeby codziennie po lekcjach przychodzić na trening?

– I nie zapominaj o bólu, Joey. Wiesz, o czym mówię? Trener Hayes przed każdym treningiem robi im rozgrzewkę: bieg dwa razy po dwa kilometry. Nie mówią o podskokach, pompkach, przysiadach i Bóg wie czym jeszcze. A to tylko początek. Dopiero potem się zaczyna. On wypruwa z nich flaki. Rozumiesz, o czym mówię? Jesteś pewien, że wiesz, w co nas chcesz wpakować?

Popijaliśmy frytki wiśniową colą w barze „Chicken Nest” koło szkoły. Stary, dobry „Chicken Nest”. Dawno go nie ma. To już siedem lat, jak rozwalili budę i urządzili tam parking. Pamiętam, że siedzieliśmy wtedy przy stoli-

ku, a Joey siorbał przez słomkę colę z dna puszki, zerkając na mnie spod oka.

– Dostać się do drużyny, to byłoby coś – mówił. – Jeśli nam się uda, oczywiście.

– Damy sobie radę, spoko.

– Nie byłbym taki pewny.

– Daj spokój. – Połknąłem frytkę z ketchupem. – Mamy odpowiedni wzrost, jesteśmy w dobrej formie.

– Przede wszystkim mamy nadwagę. I nie jesteśmy w dobrej formie, Danny. Dzisiaj rano musiałem wciągnąć brzuch, żeby włożyć dzinsy. Ale nie o to chodzi. Mówię ci, gra w drużynie to byłoby jakieś zajęcie. Nie możemy objąć się cały czas i słuchać płyt.

– Co jest złego w słuchaniu płyt?

– Nic. Ale to za mało.

Przestałem jeść i spojrzałem na niego, marszcząc brwi.

– O czym ty właściwie mówisz?

– Czy nie masz wrażenia, że tracimy czas na próżno?

Potrząsałem głową, bo trochę mnie to zdziwiło.. Nigdy nie słyszałem, żeby Joey mówił w ten sposób.

– Stoimy z boku. A w szkole tyle się dzieje. Jest rada uczniowska i mnóstwo innych rzeczy.

– Ten pacan Bill Stedman. Od kiedy go wybrali na przewodniczącego w zeszłym roku, chodzi, jakby miał całą tę cholerną szkołę w kieszeni.

– Klub dramatyczny wystawia sztuki, jest klub dyskusyjny...

– To dla lalusiów. Co z tobą? Zachciało ci się być aktorem?

– Nie wiem, czym chcę być. – Joey potarł czoło. – Ale chcę coś robić, cokolwiek. Chłopaki z drużyny wyglądają, jakby...

– Jakby co?

– Jakby sprawiało im frajdę to, że są w czymś dobrzy. Chodzą dumni jak pawie. Widać, że to lubią.

– Ale te treningi...

Zapatrzył się gdzieś w dal i oczy mu błysnęły. To trwało tylko chwilę. Uśmiechnął się do mnie tym swoim szelmowskim uśmiechem.

– Ale to się opłaca. Piłkarze umawiają się na randki z najseksowniejszymi dziewczynami w szkole. Cheerleaderki aż piszczą na widok ich muskułów.

Wyszczrzyłem zęby.

– Było mówić od razu. Teraz łapię. Po co się objąć bez sensu, jeśli można pójść na randkę z Rebeccą Henderson?

– Albo z jej koleżanką, co?

Parsknęliśmy śmiechem tak głośno, że kelnerka kazała nam się zamknąć albo wyjść. Tak doszło do tego, że zgłosiliśmy się do drużyny. I dzięki temu dowiedziałem się o Trele-Morele.

Brzuch mi teraz wystaje i sapię jak lokomotywa wspinając się po schodach, a lekarz mówi, że mam za dużo cholesterolu. Cholesterol, też coś. Szkoda, że nie widzieliście nas wtedy. Joey miał rację, fakt. Mieliśmy nadwagę i byliśmy za miękcy. Ale to się szybko zmieniło. Rozmowa, którą opowiedziałem, odbyła się tydzień przed rozpoczęciem szkoły, a Joey zarządził podnoszenie ciężarów i biegi, zanim trener Hayes ogłosił datę naboru do drużyny. Kiedy stanęliśmy przed trenerem przed salą gimnastyczną w pierwszą sobotę i powiedzieliśmy, że chcemy się zapisać do drużyny, Hayes zdjął czapkę, podrapał się po głowie i popatrzył na nas krzywo.

– Chcemy wstąpić do zespołu – powiedział Joey. – Naprawdę.

– Znacie moje zasady, chłopaki. Każdy, kto ma średnią w szkole poniżej pięciu, wylatuje z drużyny.

– Poprawimy się. Będziemy się więcej uczyć.

– Albo zawracać mi głowę, nie mówiąc o drużynie. Znam was. Nie macie cierpliwości do treningu.

– Postaramy się – powiedział Joey. – Prosimy, to dla nas ważne.

– Sflaczali jesteście. Wysocy, nie da się ukryć, ale sflaczali.

– Ja mam metr osiemdziesiąt, a Danny jest nawet o pół centymetra wyższy.

– Ale czy wytrzymacie z innymi? Popatrzcie na Welsha. Trenował całe wakacje.

Welsh przesłakiwał przez otwory opon ustawionych w dwóch szeregach na boisku. Dla niego to była łatwizna. Gdybym ja miał to powtórzyć, karetka już by mnie pewnie wiozła do szpitala.

– Odpadniecie, jak tylko zaczną się cięższe treningi – stwierdził trener. – Po co się oszukiwać?

– Prosimy tylko, żeby dał nam pan szansę – powiedział Joey.

Hayes przesunął wielką, opaloną, pokancerowaną łapą po twarzy.

– Szansę? No dobra, dam wam szansę. Taką samą, jak innym chłopcom. Pokażcie, że umiecie dotrzymać im kroku. Poprawcie kondycję i stopnie. Zobaczymy.

– Tylko tyle nam trzeba. Dziękujemy, trenerze.

– Sto procent, pamiętajcie. Mniej to dla mnie za mało. Jeśli dostaniecie się do drużyny, a potem sobie odpuście, pożałujecie, że tu dzisiaj przyszliście.

– Sto procent.

– A ty, Danny? Czemu się nie odzywasz?

– Tak jest, sto procent – przytaknąłem, zastanawiając się, co ja tam do cholery robię.

To nie było sto, ale dwieście procent... tortur. Podnoszenie ciężarów i biegi, które uprawialiśmy z Joeyem, to fraszka w porównaniu z tym, co

nam zafundował trener Hayes. Nawet ci, którzy utrzymywali się w formie całe lato mieli kłopoty. Omal nie wyzionąłem ducha po czterokilometrowej rozgrzewce. A po ćwiczeniach ogólnorozwojowych... zwymiotowałem w domu.

Nazajutrz rano, w niedzielę, ledwo zwlokłem się z łóżka. Zadzwoiłem do Joeya.

– To na nic – jęknąłem w słuchawkę. – Nie dam dzisiaj rady na sprawdzianie, mówię ci. Czuję się jak psie łajno.

– Nie wyrażaj się, Danny – odezwała się mama z kuchni.

– Myślisz, że czujesz się gorzej ode mnie? Przez całą noc śniły mi się skłony. Jeszcze teraz mnie kręci w żołądku – zapewnił Joey.

– No to nie idźmy.

– Musimy iść, obiecaliśmy. Nie mam zamiaru łamać słowa.

– Ale po co? Nawet randka z Rebeccą Henderson nie jest warta takiego cierpienia.

– Rebeka Henderson? Kogo ona obchodzi? – spytał Joey. – Chcę się dostać do drużyny.

– Myślałem, że...

– Powiedziałem tak, żeby cię wciągnąć. Posłuchaj, Danny, mamy szansę załapać się do wyjątkowej paczki, być w czymś dobrzy, lepsi od wszystkich. Mam dość opieprzania się.

Usłyszałem, jak mama Joeya zwraca mu uwagę, żeby się nie wyrażał.

– Ale moje plecy...

– Jesteśmy kumplami od dawna, prawda?

– Od początku gimnazjum.

– Wszystko robiliśmy razem, zgadza się? Razem chodziliśmy do kina, na basen...

– Tak, rozumiem, ale...

– Więc proszę cię, zróbmy razem i to. Nie chcę cię stracić, Danny. Nie chcę robić tego samemu.

Wiedziałem, co chce mi powiedzieć, i poczułem przyływ ciepła w pierś. Wiem, że to trochę głupio brzmi, ale naprawdę kochałem go jak brata.

– No dobra, jeśli to dla ciebie takie ważne.

– Tak, to dla mnie ważne.

Kiedy stanęliśmy przed trenerem, aż zamrugał.

– Prawdziwy cud.

– Przecież mówiliśmy, że nie żartujemy – powiedział Joey.

– Bołą was kości?

– I to jak.

– Czujecie się, jakby ciężarówka przejechała wam po nogach?



– Albo walec.

Hayes uśmiechnął się szeroko.

– Przynajmniej jesteście uczciwi. Nawet zawodowcy przyznają, że to boli. Chodzi o to, żeby zrobić swoje, nawet jeśli boli jak diabli.

Zakląłem w myślach.

– Nie zawiedziemy pana – obiecał Joey.

– Zobaczymy. Danny nie jest ostatnio zbyt rozmowny. No to zaczynamy. Dwa razy dookoła bieżni. Potem pokażę wam kilka nowych ćwiczeń.

Tym razem jęknąłem w duchu.

Po pierwszym okrążeniu omal nie zwymiotowałem jak wczoraj.

Zabawne. Chyba do wszystkiego można przywyknąć. W poniedziałek rano czułem się parszywie. Jak wypluty. Bolało mnie dosłownie wszystko.

We wtorek rano było jeszcze gorzej. Wolę nie wspominać środy. Poza tym, nie mogliśmy już zaglądać do „Chicken Nest” ani słuchać u mnie płyt. Nie mieliśmy czasu. I czułem się tak wypompowany, że mogłem tylko oglądać telewizję.

A tu trzeba było jeszcze zabrać się do książek. Każdego wieczoru po kolacji Joey dzwonił i sprawdzał, czy się uczę. Najbardziej tęskniłem za wiśniową colą i frytkami, ale trener kazał nam o nich zapomnieć. Wolno nam było jeść spaghetti, ale kartofli puree już nie; jednego dnia można było zjeść wołowinę, ale następnego kurczaka albo rybę. Mama dostawała kręćka planując posiłki. Niech mnie gęś kopnie, jeśli rozumiałem coś z tej diety. Jakoś tak koło soboty, po tygodniu treningów, poczułem się nie najgorzej. Bolało mnie jeszcze, ale to już był inny ból. I umysł miałem jaśniejszy.

Z pierwszego sprawdzianu dostałem szóstkę.

Dwa tygodnie później, w niedzielę, trener kazał nam ustawić się po treningu w szeregu. Staaliśmy więc przed nim spoceni, dysząc ciężko.

– Freddie – zwrócił się Hayes do chłopaka stojącego obok mnie. – Przykro mi, ale masz za mało masy. Ci z West High starliby cię na miazgę. Może w przyszłym roku. Z twoją sprawnością możesz się załapać do drużyny gimnastycznej.

Trener podniósł głowę i rozejrzał się po szeregu.

– Pete, ty będziesz miał niezły chwyt. Harry, podoba mi się, jak blokujesz.

I tak dalej. W końcu zostaliśmy my dwaj: Joey i ja.

Trener Hayes rozstawił szeroko nogi, wsparł się pod boki i fuknął z niesmakiem:

– A jeśli o was chodzi, to w życiu nie widziałem dwóch takich nędznych łamag...

Joey zakrzuszył się.

– ...ale może coś z was będzie.

Joey złapał oddech.  
A ja wyrzuciłem w górę obie ręce.

- Udało nam się! – Joey wyszczerzył radośnie zęby. – Nie mogę uwierzyć, że załapaliśmy się do drużyny!
- Staliśmy na rogu, gdzie zawsze się żegnaliśmy przed pójściem do domu. Roześmiałem się.
- Pierwszy raz w życiu naprawdę się o coś starałem.
- I udało ci się! Jesteśmy w drużynie!
- Dzięki tobie. Nie zrobiłbym tego bez ciebie – powiedziałem.
- A ja bez ciebie.
- Ale ja bym zrezygnował, gdyby nie ty...
- Ja też byłem tego bliski parę razy – wyznał Joey.
- Nie uwierzyłem. Jemu zależało bardziej niż mnie.
- Czas na mnie. Mama już pewnie czeka z kolacją – powiedziałem.
- Moja też. Spotkamy się pół godziny przed lekcjami i pouczymy się przed testem z przyrody.
- Jasne. – Nie powiedziałem na głos, co myślę.
- Joey zrobił to za mnie.
- Zaczynają się schody.

Miał rację. To, co robiliśmy do tej pory, to była tylko przygrywka. Teraz mieliśmy się zabrać do prawdziwych treningów.

– Rozrysowałem tu schematy zagrywek, które macie zapamiętać – zaczął trener pokazując wskaźnikiem tablicę w sali nauki o społeczeństwie. Było to w poniedziałek po ostatniej lekcji. – To tylko początek. Będziecie musieli się nauczyć sztuczek psychologicznych, oszukiwania przeciwnika. No i budowania poczucia wspólnoty z drużyną. To bardzo ważne. Żebyście przebywali ze sobą, chodzili razem do kina, jadali posiłki. Chcę, żebyście rozumieli się tak, by bez słów odgadnąć, co na boisku chce zagrać Pete, Joey albo Danny. Musicie się rozumieć bez słów. Oto sekret powodzenia.

Ale trener Hayes miał jeszcze jeden sekret. Poznałem go dopiero przed pierwszym meczem, czyli dwa tygodnie później. Przez cały ten czas napięcie rosło. Treningi były coraz dłuższe, a sparringi coraz poważniejsze. W końcu ramię tak mnie bolało przy rzucaniu piłki, jakbym zwichnął bark.

Tak, rzucanie piłki. Zdaje mi się, że zrobiliśmy na trenerze wrażenie, ale nie chciał tego po sobie pokazać. Wypróbowywał chłopaków na różnych pozycjach, ale w końcu mnie wybrał na rozgrywającego, a Joeya na środkowego napastnika.

– Wy dwaj podobnie myślicie. Zobaczmy, czy będzie wam to wychodzić na boisku.

Byłem dumny, a jakże. Ale trzeba było dostawać dobre stopnie i uczyć na pamięć nowych zagrywek. Nie miałem czasu myśleć o Rebecce Henderson. Trener wpoił nam, że liczy się tylko szkoła, drużyna i zwycięstwo.

W piątek o wpół do siódmej wieczorem weszliśmy do szatni, żeby włożyć stroje. Już wtedy trzęsły mi się ręce i nogi. Nikt nic nie mówił, wszyscy pobledli. A to, co powiedział trener, wcale nie podniosło nas na duchu.

– Drużyna z Covington wdepcze nas w ziemię. Nie jesteście przygotowani do meczu, wyglądacie, jakbyście już przegrali. Po ośmiu zwycięskich sezonach trafiła mi się banda mięczaków. Chyba spalę się ze wstydu, jak wyjdę z wami na boisko. W życiu nie widziałem takich maminsynków.

Używał coraz bardziej obraźliwych epitetów, aż w końcu tak nas wkurzył, że mieliśmy ochotę wrzeszczeć, żeby się zamknął. Wiedziałem, o co mu chodzi – chciał nas rozwścieczyć, żebyśmy wyszli na boisko i odreagowali na przeciwnikach. Ale my szanowaliśmy trenera i słuchając, jak nas poniża, czuliśmy się oszukani. Ty sukinsynu, pomyślałem.

Joey zerkał to na trenera Hayesa, to na mnie. Aż skrzywił się z bólu.

Nagle potok obelg ustał. Jeszcze przez chwilę trener wodził po nas szeroko otwartymi oczyma, po czym skinął głową.

– No dobrze.

Zbliżył się do drewnianej szafki po drugiej stronie szatni.

Szafka była zawsze zamknięta na klucz. Często się zastanawiałem, co w niej jest. Otworzył zamek. „Trele-Morele”, powiedział jeden z chłopaków, którzy grali w drużynie w zeszłym roku.

Kątem oka widziałem, że Joey się wyprostował. Pozostali chłopcy z zeszłorocznej drużyny zaczęli się wiercić niespokojnie. „Trele-Morele”, powtórzył ktoś.

Trener otworzył drzwi szafki. Nie widziałem, co jest w środku, bo Hayes stał przed szafką tyłem do nas i zasłaniał wnętrze.

Potem odsunął się powoli.

Usłyszałem, jak chłopcy wciągają głośno powietrze.

To był posążek. Nieduży, najwyżej trzydzieści centymetrów wysokości i może dziesięć centymetrów szerokości. Miał bladobrazowy kolor, jak tekstura. W matowym, ziarnistym jak piasek kamieniu widać było niewielkie otworki.

Posążek przedstawiał mężczyznę, niezgrabnego, jakby nienaturalnie pokrzywionego, z okrągłą łysą głową i dużymi, odstającymi wargami. Jego brzuch był tak wielki, że mężczyzna wyglądał, jakby był w ciąży. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi na kolanach, tak że zasłaniały mu fiuta. Pępek

miał kształt pionowej szczeliny. Posążek przypominał chińskie bóstwa, które czasem pokazywali w telewizji. Ale był też podobny do dziwacznych rzeźb z Wyspy Wielkanocnej (uczyliśmy się o nich na historii) i posągów w Meksyku. Wiecie, Aztekowie, Majowie i tak dalej.

Ci, którzy grali w poprzednim sezonie, nie wyglądali na zaskoczonych, ale nie odrywali od posążka oczu tak samo jak nowi. A nowi, czyli my, nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

– Należy wam się parę słów wyjaśnienia, przynajmniej nowym zawodnikom w naszej drużynie. To jest... Nie wiem właściwie, jak go nazwać. Chyba maskotka. Albo raczej szczęśliwy duch.

– Trele-Morele – wymamrotał jeden z tych, którzy grali w drużynie w zeszłym roku.

– Od dobrych paru lat przed każdym meczem odprawiamy pewien rytuał. – Trener Hayes przesunął stół na środek sali. Nogi zaszurały po podłodze. – Przed wyjściem na boisko stawiam posążek na tym stoliku. Okrążamy go dwa razy, kładąc prawą rękę na jego głowie. Później wychodzimy i dokopujemy przeciwnikom.

Co za kit on nam wciska? – pomyślałem.

Zdawało się, że trener usłyszał moje myśli.

– Tak, wiem, że to wygląda trochę głupio. Dziecinnie. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Ale robię to z moimi drużynami od tylu zwycięskich sezonów, że aż boję się przestać. Jasne, ani przez chwilę nie wierzę, że dotykając ręką głowy starego Trele-Morele przynosi nam szczęście. Ale jeśli wszystko idzie jak trzeba, po co zmieniać stary zwyczaj? Nie żebym był przesądny, ale może któryś z was jest. Może przerwanie rytuału wytrąci kogoś z równowagi? Czy nie lepiej pozostać przy tym, co dobre?

Popatrzył po naszych twarzach, dając nam czas na przemyślenie tego, co usłyszeliśmy. O rany, nie zaniedbał żadnej sztuczki, żeby nas podkręcić psychicznie. Chryste Panie, posążek szczęścia, też mi coś.

– I jeszcze jedno. Ludzie z zewnątrz mogliby nie zrozumieć tego, co robimy, żeby nastawić się przed meczem. Mogliby pomyśleć, że uprawiamy jakieś... czary czy voodoo. Dlatego wprowadziliśmy pewną zasadę: nikt nie mówi o Trele-Morele poza tą salą. Nie zdradzamy naszych sekretów.

Więc dlatego nie słyszałem wcześniej o posążku, nawet od chłopaków, którzy grali w drużynie w poprzednim sezonie. W pewnym sensie Joey i ja nie zostaliśmy oficjalnie przyjęci do zespołu aż do dzisiejszego wieczoru.

– Ja nie żartuję – powiedział trener patrząc nam w twarz. – Jeśli ktoś się wygada, wylatuje z drużyny. Mam wasze słowo?

– Jasne – mruknęło kilku chłopaków.

– Nie słyszę. Powiedzcie to głośno! Przrzeknijcie!

Zrobiliśmy, co kazał.

– Głośniej!

Tym razem krzyknęliśmy.

– Dobrze. – Trener wyjął posążek z szafki i ustawił na środku stołu. Z bliska figurka wyglądała jeszcze gorzej.

Okrzyżyliśmy dwukrotnie stół, położyliśmy prawą dłoń na głowie posążka (czułem się przy tym jak idiota), a potem wybiegliśmy na boisko...

Wtedy nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. Teraz, widząc tamte wydarzenia jak przez mgłę, próbuję sam siebie przekonywać, że to moja pamięć płata mi figle. Ale to się zdarzyło naprawdę. Teraz za późno żałować.

Po pięciu minutach meczu, gdy wynik brzmiał zero do zera, trener Hayes wysłał mnie do gry. Powiedziałem chłopakom, co zagramy. Nic szczególnego, zwykłe podanie, tak żeby się wczuć w grę. Dostałem piłkę i wtedy dotarło do mnie, że to już nie trening, że teraz gramy naprawdę, że po to właśnie wylewaliśmy pot i rzygaliśmy przez wiele tygodni, żeby znaleźć się na boisku i walczyć. A tamci z Covington patrzyli na mnie tak, jakby chcieli mi wbić szczękę do gardła. Nasi odbierający pobiegli do przodu, obrońcy z Covington rzucili się za nimi w pogoń. Serce zaczęło mi walić jak szalone. Odskoczyłem nieco w tył, żeby się rozejrzeć, czy ktoś jest na wolnej pozycji. Blokując z Covington szarżowali prosto na mnie. Trwało to może z pięć sekund, ale mnie się zdawało, że jeszcze mniej, jak błysk flesza. Zobaczyłem zgarbione postacie pędzące w moją stronę. Piłka ślizgała mi się w spoconych dłoniach. Bałem się, że ją upuszczę.

Wtedy zobaczyłem Joeya. Jakoś przedarł się na wolne pole. Pędził ile sił w stronę linii punktowej Covington, po lewym skrzydle, zerkając przez ramię, z dłońmi w górze, jakby domagając się piłki. Odprowadziłem rękę do tyłu, zamachnąłem się i rzuciłem dokładnie tak, jak uczył mnie trener: jednym silnym, płynnym ruchem.

Jednocześnie wykonałem półobrót, żeby usunąć się z drogi szarżującym zawodnikom Covington. Obserwowałem kręcącą się w powietrzu piłkę, wrzeszcząc na całe gardło do Joeya.

I wtedy zastygłem w bezruchu. Chyba nigdy nie poczułem takiego zimna. Moja krew jakby zamieniła się w kryształki śniegu, a kręgosłup w sopel lodu. Bo Joeya nie było po lewej stronie, koło linii punktowej Covington. Nikogo tam nie było.

A przecież go widziałem. Właśnie tam skierowałem piłkę. Przysięgam na Boga, że tam był. W jaki sposób...

Bo Joey znalazł się po prawej stronie, całkiem sam. Do dziś nie wiem, jak udało mu się pokonać tak szybko tyle przestrzeni. Pędził teraz w lewo, do linii punktowej.

Piłka wpadła mu w ręce z dokładnością do centymetra...

Kibice myśleli, że to była doskonale obmyślona i wykonana zagrywka. Trener też w to wierzył, a w każdym razie tak mi później powiedział. Kiedy Joey przebiegł linię z piłką w uniesionych wysoko rękach, nasi kibice zaczęli wiwatować tak głośno, że poczułem, jakby uderzyła mnie ściana dźwięku.

Wyrzuciłem w górę ręce, wrzeszcząc ile sił. Ale wiedziałem, że to nie była świetnie zaplanowana, myląca zagrywka. Wcale nie była dobra – była wręcz beznadziejna. A mimo to udała się. Prawie tak, jakby...

(Widziałem Joeya po lewej stronie, przy linii punktowej. Ale jego tam nie było.)

...jakbyśmy to zamierzyli. Lub jakby to miało się zdarzyć.

Albo mieliśmy niewiarygodny fart.

Wtedy zacząłem się trząść. Przez następnych dziesięć minut nie mogłem grać. Siedząc na ławce, ciągle widziałem tę zagrywkę. I Joeya w dwóch miejscach naraz.

Może chciałem tego tak bardzo, że zobaczyłem to, czego pragnąłem.

Ale czułem się dziwnie.

Trener podszedł do mnie i pochylił się.

– Co się stało?

– Chyba nie mogę się przyzwyczać, że to... – Kask trzął mi się w dłoniach.

– Co?

– ...prawdziwy mecz, a nie trening. Jeszcze nigdy nie zrobiliśmy przyłożenia dzięki mojej zagrywce.

– Zrobimy ich jeszcze dużo.

Coś mnie ścisnęło w środku.

Takich cudów jak tamten zdarzyło się w meczu mnóstwo. Zagrywek, które nie powinny się udać. Idealnych podań i odbiorów. Pięć minut przed końcem, gdy wynik był trzydzieści pięć do zera dla nas, trener przeszedł wzdłuż ławki i zwracając się do obrońców powiedział półgłosem:

– Następnym razem, jak zbliżą się do naszej linii, pozwólcie im zdobyć punkty. Przepuście ich, ale żeby nie było to zbyt widoczne.

Joey i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Ale... – zaczął ktoś.

– Żadnych ale. Róbcie, co każe – powiedział trener. – To będzie dla nich demoralizujące, jeśli nie zdobędą chociaż kilku punktów. Dajmy im poczuć, że też mają szansę. To będzie po sportowemu.

Nikt nie ośmielił się sprzeciwić. Tylko obrońcy nadal wyglądali na zakłopotanych.

– I zróbcie to przekonująco – dodał trener.

Napastnicy Covington zdobyli punkty, bo nasi obrońcy nie powstrzymali ich szarży na naszą linię.

Po meczu w sali gimnastycznej odbyła się zabawa. Wszyscy podchodzili do mnie i Joeya, gratulowali, poklepywali po plecach. Rebeka Henderson nawet ze mną zatańczyła. Ale przyszła z koleżankami i nie pozwoliła się odprowadzić.

– Może następnym razem – powiedziała.

Wierzcie albo nie, ale nie zależało mi na tym. Byłem tak zajęty myślami, że nawet nie zaproponowałem jej randki w sobotę wieczorem. Chciałem porozmawiać z Joeyem. Sam na sam.

Zaraz po północy ruszyliśmy do domu. W powietrzu wisiał już niewyraźny zapach jesieni. Czuliśmy woń dymu z domowego kominka. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Oprócz tego słyszeliśmy tylko szuranie naszych butów o chodnik. W końcu wsadziłem ręce do kieszeni marynarki i powiedziałem, co mi chodziło po głowie.

Joey nie odezwał się od razu. Musiałem powtórzyć.

– No i co z tego? – spytał cicho.

Opowiedziałem dokładnie, co widziałem.

– Trener mówi, że podobnie myślimy – odparł Joey wzruszając ramionami. – On to nazywa przewidywaniem. Zgadłeś, dokąd pobiegnę.

– Jasne. Ale... Wygraliśmy tak jakoś łatwo.

– Przecież mam siniaki...

– Nie mówię, że nie walczyliśmy. Ale mieliśmy tyle szczęścia. Wszystko nam wychodziło.

– Właśnie po to trenowaliśmy tak ciężko. Trener uczył nas, że mamy grać zespołowo. I wszyscy zrobili to, czego się nauczyli.

– Jak w zegarku. Każdy we właściwym miejscu w odpowiednim czasie.

– Więc co cię gryzie? Zdawało ci się, że widziałeś mnie w jednym miejscu, a byłem w innym? Nie tylko tobie się coś przywidziało. Kiedy zaczęliśmy grać, zobaczyłem, że posłałeś piłkę na wolne pole, więc zrobiłem zwód, uwolniłem się od kryjącego i popędziłem w tamtą stronę. I wiesz co? Jak już zacząłem biec, zauważyłem, że ty w ogóle nie rzuciłeś jeszcze piłki. Jeszcze się rozglądałeś. Zobaczyłem, co zamierzasz zrobić, a nie to, co zrobiłeś.

Poczułem zimny dreszcz na plecach.

– Przewidywanie, nic wielkiego. Szczęście nie miało tu nic do rzeczy. Trener dobrze nas nastawił do meczu. Adrenalina zrobiła swoje. Odgadłem, gdzie rzucisz piłkę, i tam pobiegłem.

Udałem, że mnie przekonał.

– Chyba nie przywykłem jeszcze do tego meczowego szału.

– Tak, to jest podniecające.

Nawet w ciemności widziałem, jak oczy mu się świecą.

– Trzeba jeszcze dużo poprawić – zaczął trener na spotkaniu pomeczowym. – Co najmniej dwa razy straciliśmy szansę na przechwyt. A nasze bloki muszą być szybsze i twardsze.

Zaskoczył mnie. Odnieśliśmy przygniatające zwycięstwo, a nasza gra była bliska doskonałości, więc zdawało mi się, że lepiej już nie można.

Od tej pory trenowaliśmy w niedzielę po południu i codziennie po szkole.

– Nie wolno nam sobie odpuścić tylko dlatego, że wygraliśmy pierwszy mecz. Nadmierna pewność siebie to najlepsza gwarancja porażki.

Nadal musieliśmy utrzymywać tę dziwną dietę. Marzyły mi się góry wiśniowej coli i frytek z ketchupem. No i trzeba było dostawać dobre stopnie, rzecz jasna. Pod koniec tygodnia trener odwiedzał wszystkich nauczycieli i pytał, jak nam poszły sprawdziany.

– Jak tylko opuścicie się w nauce, możecie się pożegnać z grą – ostrzegł.

W piątek wieczorem zapakowaliśmy sprzęt do szkolnego autobusu i pojechaliśmy do West High. Przebraliśmy się w szatni dziewcząt, a gdy już byliśmy gotowi, trener znów zaczął nami poniewierać. Później postawił drewniane pudełko z zamkiem na stoliku pomieszczenia, otworzył i wyjął Trele-Morele. Posążek wyglądał jeszcze bardziej obrzydliwie niż za pierwszym razem: okropne, szyderczo wydęte wargi i pionowa szpara w miejscu pępka.

Wiedzieliśmy już, co mamy robić. Okrążyliśmy posążek dwa razy i położyliśmy dłonie na jego głowie (ja nadal czułem się idiotycznie). Mecz wygraliśmy czterdzieści dwa do siedmiu. Nie zdobyliby tych siedmiu punktów, gdyby trener nie kazał nam pozwolić im na przyłożenie. Wszystko się powtórzyło. Trener wpuścił mnie na boisko w drugiej ćwiartce. Dostałem piłkę i rozejrzałem się. Zobaczyłem Joeya z przodu, gotowego do przyjęcia piłki. I w tej samej chwili Joey był piętnaście metrów dalej i właśnie uwalniał się od obrońcy West High.

Otworzyłem usta, ręce mi zdrętwiały. Nie mogłem złapać tchu. Poczulem jakiś dziwny dreszcz w środku i rzuciłem piłkę.

Joey popędził z miejsca, gdzie uwalniał się od przeciwnika, do Joeya stojącego na wolnym polu. Zlali się w jedno. No i Joey złapał piłkę, oczywiście.

Nasi kibice oszaleli z radości.

Joey przebiegł linię i zaczął podskakiwać. Nawet na połowie boiska, gdzie stałem, słyhać było jego tupanie. Koledzy klepali mnie po tyłku. Starłem się udawać, że jestem tak samo podniecony jak oni.

– Niezłe podanie – rzucił trener, kiedy przechodziłem koło ławki.



Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę. Czy on wie, jak się bałem tam na boisku? Nie potrafiłem tego odgadnąć.

– To Joey je przejął – odparłem.

– Zgadza się. I to właśnie nazywa się grą zespołową, Danny. Wszyscy w tym uczestniczą. Tak czy owak, to było niezłe podanie.

Koło niego stała zamknięta na klucz szafka.

Rozegraliśmy wtedy osiem meczów. Czasem śniły mi się w nocy koszmary: widziałem podwójnego Joeya i innych graczy, patrzyłem, jak się zlewają w jedno. Czułem się tak, jak gdyby wszystko zdarzało się dwa razy, jakbym wcześniej wiedział, co się stanie.

Niemożliwe.

Ale tak właśnie to widziałem. Kiedyś w nocy wystraszyłem mamę i tatę, budząc się z krzykiem. Nie opowiedziałem im o moim śnie. Nie rozmawiałem też o nim z Joeyem; rozumiałem, że on nie chce słuchać.

– Jesteśmy zwycięzcami. Chryste, ale to uczucie – powiedział.

Wyniki zawsze były przygniatające. Kiedy już mieliśmy zapewnione zwycięstwo, pozwalaliśmy przeciwnikom na zdobycie kilku punktów.

Zdarzył się jeden wyjątek. Był to szósty mecz, przeciwko Central High. Tym razem trener nie obrzucił nas wyzwiskami przed wyjściem na boisko. Usiadł w kącie szatni i przyglądał się, jak wkładamy stroje; chłopaki popatrzeli na siebie, wyczuwając, że coś jest nie tak.

– To dzisiaj – odezwał się zdławionym głosem jeden z tych zawodników, którzy grali w poprzednim sezonie.

Nie rozumiałem.

Trener Hayes wstał.

– Wyjdźcie na murawę i dajcie z siebie wszystko.

Joey popatrzył na niego, zdziwiony.

– Ale co z... – Odwrócił się, zerkając na szafkę w kącie. – Trele...

– Już czas – rzucił szorstko trener. – Róbcie, co mówię. Oni czekają.

– Ale...

– Co z tobą, Joey? Nie chcesz grać?

Twarz Joeya zaalała się purpurą. Wsunął szczękę. Rzucił ostatnie spojrzenie na szafkę i wyszedł.

Pewnie już zgadliście. Przegraliśmy tego dnia. Przegraliśmy to mało powiedziane. Oni nas zmiażdżyli. Nawet nie zdobyliśmy punktu. Tak, walczyliśmy, staraliśmy się. Po tylu ciężkich treningach wiedzieliśmy, co mamy robić. Ale tamci walczyli twardziej.

I był to jedyny mecz, w którym nie widziałem dwóch postaci Joeya. Jedyny, w którym nie wiedziałem, co się za chwilę stanie na boisku.

Zabawa po meczu okazała się kompletną klapą.

A Joey się wściekł. W drodze do domu co chwila walił prawą pięścią w lewą dłoń.

– To wina trenera. Zrobił wszystko inaczej niż zwykle. Zawsze nas mieszał z błotem i wkurzał, a tym razem nie, dlatego wyszliśmy na boisko nie przygotowani psychicznie i przegraliśmy.

Staralem się go uspokoić.

– To tylko jedna porażka. Nadal prowadzimy w rozgrywkach.

Joey obrócił się tak gwałtownie, że aż mnie przestraszył.

– Nawet nie wyjął tej choleralnej poczwary! Chciał z nas zrobić głupców! Chciał, żebyśmy przegrali!

– Nie wierzę w to.

– Może lubisz przegrywać! Ja nie!

Przyspieszył kroku. Kiedy doszedłem do rogu, gdzie zawsze się zatrzymywaliśmy, żeby chwilę pogadać, Joey już był daleko na swojej ulicy.

– Joey! – Nie jestem pewien, co chciałem mu powiedzieć. Ale to nie ważne. Nie odwrócił się.

Pewnie odgadliście też, co się działo dalej. W następnym meczu wszystko było normalnie. Albo nienormalnie, zależy jak na to patrzeć. Trener zrównał nas z ziemią i wyciągnął Trele-Morele.

– Dlaczego nie zrobił pan tego ostatnim razem? – spytał Joey. – Mogliśmy wygrać ten mecz!

– Tak myślisz? – Trener Hayes patrzył na niego zmrużonymi oczyma. – Może wygralibyśmy, a może nie.

– Pan wie, że byśmy wygrali! Chciał pan, żeby...

– Joey, chyba ci się coś pomyliło. Masz się wściekać na przeciwników, nie na mnie. Ja jestem po tej samej stronie, nie zapominaj o tym.

– W sobotę pan nie był.

Trener wyprostował się; oczy mu błyszczały.

– Postaram się zapomnieć, co powiedziałeś. Posłuchaj, co teraz powiem, bo nie będę tego powtarzał. Przed ostatnim meczem nie zrobiłem tego co zawsze, żeby wam coś udowodnić. Nie liczy się, jakich sztuczek używam w szatni, żeby przygotować was do gry. Liczy się tylko to, jak gracie. A w ostatnim meczu nie daliście z siebie wszystkiego. To wasza wina, że przegraliście, nie moja. Rozumiesz?

Joey mierzył trenera wściekłym spojrzeniem.

– Poza tym dobrze jest od czasu do czasu przegrać.

– Gówno prawda!

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Dobrze jest, żeby drużyna czasem przegrała, bo dzięki temu następnym razem będzie się lepiej starać. Będzie

bardziej głodna zwycięstwa i lepiej doceni jego smak. Nic już nie mów. Jeśli chcesz dzisiaj grać, nie mów ani słowa więcej.

Okrążyliśmy Trele-Morele, położyliśmy mu dłonie na głowie i wyszliśmy na boisko. Znow widziałem dziwne rzeczy i oczywiście wygraliśmy, pozwalając przeciwnikom zdobyć punkty pod koniec meczu.

W następną sobotę graliśmy ostatni mecz. W szatni wszyscy dotknęli Trele-Morele i znow wygraliśmy. Był to dziewiąty zwycięski sezon City High. W gablocie koło gabinetu dyrektora stanął kolejny puchar.

Od tego czasu wiele się wydarzyło. Moi rodzice nie mogli się nadziwić, że dostaję same szóstki i piątki. Podnieśli mi kieszonkowe, częściej pozwalali brać samochód. Zacząłem się spotykać z Rebeccą Henderson.

I coraz bardziej oddalaliśmy się z Joeyem. On miał obsesję na punkcie zostania gwiazdą; chciał być zawsze w centrum uwagi. Po zakończeniu sezonu nie mógł przywyknąć do tego, że traktuje się go tak samo jak innych. Spróbował dostać się do drużyny koszykówki, którą prowadził pan Emery, nauczyciel przyrody, ale mu się nie udało.

– No i co z tego? – powiedział Joey. Próbował to bagatelizować, ale było widać, że jest rozczarowany. – Oni przegrywają częściej niż wygrywają. Kto chciałby należeć do drużyny przegranych?

Joey nie mógł znieść, że wszyscy garną się do nowego przewodniczącego rady uczniowskiej. W końcu zgłosił się do klubu dramatycznego i przyjęli go. To do niego pasowało: jesteś na scenie, wszyscy na ciebie patrzą. Nie dostał głównej roli w dużym przedstawieniu, które zawsze wystawiają w grudniu, ale jakąś zagrał. Musiał podrabiać niemiecki akcent lekarza nazwiskiem Einstein w komedii kryminalnej *Arszenik i stare koronki*. Poszliśmy na to przedstawienie z Rebeccą i muszę przyznać, że Joey zagrał nieźle. Nie wybitnie, ale całkiem dobrze. Przynajmniej był zabawny w swojej roli i miałem nadzieję, że będzie z siebie zadowolony. Później się dowiedziałem, że na próbach narzeka, że za krótko jest na scenie i ma za krótkie kwestie.

Od razu przejdę do tego, co się stało następnego roku, kiedy byliśmy w ostatniej klasie liceum City High. Obaj z Joeyem dostaliśmy wyróżnienie za dobre oceny. Przez całe lato dużo ćwiczyliśmy, żeby utrzymywać się w dobrej formie. Poza tym spędzałem sporo czasu z Rebeccą. Chyba właśnie ze względu na nią zgłosiłem się znow do drużyny, chociaż skręcało mnie na myśl, że będę musiał oglądać ten obleśny posążek. Nie mówiąc o tym, że bałem się tego, co się później działo na boisku. Ale wiedziałem, że nie chodziłbym z Rebeccą, gdyby nie futbol. Chciałem, żeby wszystko pozostało tak samo, więc się zgłosiłem i trener przyjął mnie do zespołu.

Joey też się zgłosił, z oczywistych powodów: chciał znów być gwiazdą, chciał być podziwiany.

Trener robił wszystko dokładnie tak samo. Co dzień po treningu ledwo udawało mi się dowiec do domu. Znów musieliśmy wysłuchiwać pouczeń o stopniach i diecie, i znów beształ nas przed każdym meczem (choć mnie to już nie wkurzało) i wyciągał ze skrytki Trele-Morele. „To nasza maskotka”, wyjaśnił; potem nakazał zachować dyskrecję, dokładnie tak jak w zeszłym roku (znów przeszły mnie ciarki na widok tej grubej pokraki). Na boisku widziałem podwójne postacie, tak jak przedtem, i znowu obleciał mnie strach. Gdyby nie to, że Rebeka stała na linii i dopingowała, na pewno bym...

Ale nic nie zrobiłem i czasem mi się zdaje, że to, co się stało, stało się z mojej winy, przynajmniej częściowo.

Wygraliśmy, oczywiście. Poszło aż za łatwo. Może właśnie dlatego przed następnym meczem trener nie zgnoił nas i nie wyciągnął Trele-Morele.

Jak tylko zauważyłem, co się dzieje, powiedziałem: „To dzisiaj”, i w tej samej chwili przypomniałem sobie, że to samo zrobił w zeszłym roku chłopak, który był wcześniej w drużynie. On już skończył szkołę. Nagle zrozumiałem, że kiedy ja odejdę, jakiś inny chłopak wypowie te same słowa. Ilu już powtórzyło je przede mną?

– Nie! – wrzasnął ze złością Joey.

– Jeszcze jedno słowo i posadzę cię na ławce! – ostrzegł trener Hayes.

Joey zamilkł. Ale kiedy wychodziliśmy z szatni, usłyszałem, jak mruczy pod nosem: „Niech go szlag. Pokażę mu, że nie potrzebujemy tego dziwoląga. Wygramy bez niego”.

Ale nie wygraliśmy, a ja nie widziałem podwójnie. Joey o mało się nie zagotował z wściekłości. Nie poszedł na zabawę, i nie odezwał się słowem ani w czasie omawiania meczu w sobotę, ani na niedzielny treningu. Tylko wpatrywał się w trenera Hayesa.

A ja? Jak się przyczyniłem do tego, co się później stało? Zacząłem się zastanawiać, szukać jakichś prawidłowości.

Otóż to, prawidłowości.

Co robisz, kiedy cię coś zastanowi? Ja poszedłem do redakcji szkolnej gazetki. W waszej szkole też pewnie taka jest. Robią ją ci sami uczniowie, którzy piszą kronikę i należą do kółka literackiego. Kolumna towarzyska, szkolny humor, lista przebojów. Dużo ogłoszeń, jakieś sprawozdanie ze spotkania rady uczniowskiej.

I kolumna sportowa.

Wszystko przepisane na maszynie i powielone na ksero. Trzy pomarańczowe kartki, połączone zszywaczem. „Kurier City High”. Oryginalne, co?

Wychodził w poniedziałek rano. Jakoś mi się wydaje, że szkoła finansowała tę gazetkę dlatego, że ukazywał się w niej cotygodniowy artykuł dyrektora. O poczuciu szkolnej wspólnoty i tak dalej.

W każdym razie poszedłem do redakcji gazety, która mieściła się w tym samym pokoju co redakcja kroniki. Zagracona pakamera na drugim piętrze między salą nauki pisania na maszynie a magazynkiem woźnego. W środku zalatywało słodkawym zapachem tej białej mazi, której się używa do poprawiania błędów w maszynopisie. Redaktorem był niejaki Albert Webb, który chyba naoglądał się za dużo filmów o dziennikarzach. Ciągłe gadał o spotkaniach rady uczniowskiej, klubie dramatycznym i prasie. Nazywaliśmy go Scoop, a on uważał to za komplement, nie obelgę.

Siedział właśnie za biurkiem, zerkając nad okularami na kartkę papieru w maszynie. Miał ołówek zatknięty za ucho i kleksa na brodzie. Odwrócił się w moją stronę, gdy wszedłem.

– Co słysząc, Scoop?

– Właśnie dowiedziałem się o nominacjach do tytułu królowej roku.

– Chyba nie wolno tego ujawniać do zebrania w przyszłym tygodniu.

– Nie mów. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Może cię zainteresuje, że Rebeka Henderson dostanie nominację.

– Patrzcie, patrzcie – powiedziałem z uśmiechem. – Ktoś ma niezły gust.

Słuchaj, przechowujecie stare numery gazety?

– Wszystkie, które robiłem. I parę wcześniejszych.

– Z jakiego okresu?

– Piętnaście lat wstecz – odparł dumnie Scoop.

– Super. Gdzie je trzymasz?

– W kostnicy.

– Co?

– W redakcjach gazet tak nazywają miejsce, gdzie przechowuje się stare wydania. – Wskazał rozklekotaną półkę w kącie.

– Mogę?

Rozłożył ramiona.

– Do twojej dyspozycji. Co cię interesuje?

Spodziewałem się tego pytania.

– Chłopaki z drużyny wpadli na pomysł zorganizowania meczu z zawodnikami z poprzednich lat. Taka pokazówka, wiesz. Starsi przeciwko młodszym.

– Tak? – Oczy Scoopa zabłyśły. Sięgnął po ołówek.

– Spokojnie, spokojnie. Na razie tylko o tym myślimy. Jeśli napiszesz o tym i nic nie wyjdzie, będzie ci głupio. Poza tym możesz nam w ten sposób pokrzyżować plany.

– No dobra. – Skinął głową. – Zawrzyjmy umowę. Ty przejrzysz stare wydania, ale jeśli plany się wykrystalizują, dasz mi znać, a ja coś napiszę.

– Załatwione.

Zacząłem przeglądać gazetki. Pachniały jak pleśń w piwnicy. Zakręciło mnie w nosie.

Piętnaście lat. Ile tygodni w roku szkolnym? Czterdzieści? Kupa papieru. Ale przeglądanie ich nie było aż tak trudne, jak myślicie. Interesowały mnie tylko te, który ukazywały się w czasie sezonu piłkarskiego. Od jedenastu lat, bo właśnie wtedy trener Hayes przyszedł do naszej szkoły. Nie potrafiło to nawet godziny. Oto czego się dowiedziałem.

Dwa pierwsze sezony, kiedy Hayes prowadził drużynę, były kiepskie. Gorzej niż kiepskie, beznadziejne. Drużyna nie wygrała ani jednego meczu. Totalna klapa.

Ale potem? Jeden zwycięski sezon za drugim.

Pewne fakty się powtarzały. Wygrywaliśmy zdecydowanie, ale przeciwnicy zawsze zdobywali parę punktów. I w każdym sezonie przegrywaliśmy jeden mecz, pierwszy, siódmy albo jakiś inny, bez wyraźnej prawidłowości. Doznawaliśmy porażek z różnymi zespołami, ale zawsze do zera.

Czyżby dlatego, że trener nie wyjmował wtedy Trele-Morele?

Wiem, że to brzmi jak szaleństwo. Pewnie zaraz pomyślicie, że wierzę w horoskopy, przepowiednie i inne podobne dyrdymały. Ale słowo daję, że mnie to zaciekało. Poza tym, gdybyście widzieli na boisku to co ja, też byście się dziwili.

Scoop zaglądał mi przez ramię.

– O co chodzi, Scoop?

– Tak tylko wścibiam nos.

– Aha.

– Widzę, że czytasz o tej porażce trzy lata temu.

– Nie grałem wtedy w drużynie.

– Wiem. Terminowałem wtedy w gazecie i poszedłem na ten mecz. Pamiętam, że trochę się zdziwiłem.

– Tak?

– Wcześniej same zwycięstwa i nagle takie lanie.

– Nikt nie gra zawsze na tym samym poziomie. Dzięki, Scoop. Gdybym mógł ci się jakoś odwdziżyć...

– Daj znać o tym meczu.

– Pierwszy się o nim dowiesz.

I wtedy się zaczęło. Do drużyny przyszedł nowy chłopak, Price. Zaczęło się od tego, że opuścił się w nauce. Może był za głupi, nie wiem.

Trener spełnił swoją groźbę i wyrzucił go z drużyny.

Ale Price miał ojca, faceta z brzuszkiem, który grał kiedyś w szkolnej drużynie w ataku. Kiedy Price wyleciał z zespołu, gość się wkurzył, że ktoś

obraża mu syna. „Co mnie obchodzą jego stopnie. Nie chcę, żeby udawał intelektualistę i nabawił się wrzodów żołądka. Mnie futbol dobrze zrobił, pomógł wyrobić charakter, więc i jemu pomoże”.

Nic wielkiego – uparty ojczulek wstawiający się za synem. Ale trener Hayes się nie ugiął i Price złamał zasadę.

Może pamiętacie to z gazety. Nie mówię o szkolnej gazetce, tylko o „Kurierze”, w tamtych czasach największej gazecie w całym stanie: OJCIEC JEDNEGO Z GRACZY SZKOLNEJ DRUŻYNY OSKARŻA TRENERA O SATANIZM.

Chyba sami rozumiecie, że wtedy się zaczęło. Rada miejska chciała się dowiedzieć, co się dzieje. Komitet rodzicielski zażądał wyjaśnień. Telefon dyrektora aż się urywał.

Ojciec odłożył „Kuriera” i spojrzął na mnie, marszcząc brwi.

– Czy to prawda?

– To nie jest tak, jak mówi Price. Trele-Morele to tylko maskotka, nic więcej.

– Ale dotykacie go przed meczem?

– Tylko tak, na szczęście.

Ojciec mocniej zmarszczył czoło.

Inni chłopcy przeżyli dokładnie to samo. Ojciec Joeya tak się zaniepokoił, że kazał mu odejść z drużyny.

– Odejdiesz? – spytałem.

– Żartujesz? Ani mi się śni. Drużyna znaczy dla mnie zbyt wiele.

Drużyna albo raczej zwycięstwa, pomyślałem.

Nadszedł piątek, a z nim następny mecz. Jeden z sanitariuszy wpadł do szatni, podniecony.

– Trybuny wypełnione do ostatniego miejsca! Rekordowa frekwencja!

Jasne, po takiej reklamie w prasie! Każdy chciał zobaczyć drużynę, która uprawia czary.

Z początku myślałem, że po tym wszystkim trener nie wyjmie posążka. Ale jak tylko zaczął na nas najeżdżać, wiedziałem, że wszystko jest po staremu. On chyba wiedział, że nie będzie miał już wielu okazji, by go użyć. Więc postanowił wykorzystać do końca.

Wstrzymałem oddech, kiedy zbliżył się do szafki. Artykuł sprawił, że jeszcze bardziej się bałem.

Patrzyłem, jak trener otwiera drzwiczki.

Wydał jakiś dziwny dźwięk. Zrozumiałem dlaczego, kiedy się odsunął.

– Gdzie on jest? – spytał nerwowo Joey.

Kilku chłopców westchnęło głośno.

– Gdzie Trele-Morele? – Buty Joeya stukwały o betonową posadzkę, gdy zbliżał się do szafki. – Co się stało z...?

Trener Hayes zastygł w bezruchu. Szyja mu nabrzmiała.

– Harcourt – wydusił przez ściśnięte gardło niczym przekleństwo. – Rada rodziców mu kazała...

– Ale przecież szafka była zamknięta – powiedział ktoś.

– Woźny otworzył.

Trener ruszył w stronę drzwi.

I nagle stanął, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Musimy rozegrać mecz. Nie mogę go teraz gonić, kiedy... – Odwrócił się i spojrzał na nas. – Wyjdźcie na boisko i pokażcie im. Znajdę posążek, nie ma obawy.

Wyszliśmy. Tamci nas roznieśli; może dlatego, że byliśmy przestraszeni. Nic nam nie wychodziło: młyny, przejęcia, rzuty wolne. To chyba był najgorszy mecz, jaki kiedykolwiek rozegrała reprezentacja City High. Kibice zaczęli buczeć. „Satanizm, akurat! Im nie pomogą żadne figurki voodoo! Tylko cud może ich uratować!” Im więcej zagrywek psuliśmy, tym bardziej traciliśmy wiarę w siebie i graliśmy jeszcze gorzej. Widziałem, jak Rebeka ociera łzy. Czułem się tak upokorzony, że marzyłem tylko o tym, żeby ten mecz się wreszcie skończył i żebym mógł się schować w szatni.

Trener Hayes biegał od jednej osoby do drugiej, gestykulując gwałtownie. Ale dyrektor i wszyscy inni potrząsali głowami. Nie znalazł posążka przed końcem meczu.

Usiedliśmy w szatni ze zwieszonymi głowami, bez słowa. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Ja byłem najbliżej.

– Otwórz – polecił trener.

Zrobiłem, co kazał.

I ujrzałem na podłodze Trele-Morele. W holu nie było nikogo.

Słyszeliśmy plotki, że to przeciwnicy ukradli figurkę, ale nie mieliśmy dowodów. Podobno ich trener wpadł na ten pomysł. Chciał zrobić psikusa staremu kumpłowi Hayesowi.

Scoop opisał wszystko w poniedziałek w gazecie. Nie pytajcie mnie, skąd się dowiedział. Musiał być lepszym reporterem niż podejrzewaliśmy. Zamieścił nawet rysunek Trele-Morele, więc na pewno go widział. A może sam wyniósł posążek?

Mniejsza z tym. Czuję się częściowo odpowiedzialny za to, co Scoop napisał. Na pewno zaczął coś podejrzewać, kiedy przeglądałem stare wydania gazety. Może sprawdził i odkrył, że wcisnąłem mu kit o pokazowym meczu.

Tak czy siak, musiał przejrzeć te wydania co ja, bo zauważył tę samą prawidłowość. Dwa sromotnie przegrane sezony, a potem łańcuszek zwycięstw. Dzięki Trele-Morele? Nie napisał wprost, że drużyna zawdzięcza



wszystkie triumfy posążkowi, ale można to było wyczytać między wierszami. W każdym zwycięskim sezonie przegrywaliśmy jeden mecz, i to do zera. A wtedy, kiedy my wygrywaliśmy, przeciwnicy zawsze zdobywali parę punktów. Scoop zadał sobie pytanie, czy to zbieg okoliczności, czy może coś więcej? Przeprowadził wywiad z Price'em i zacytował go. Nie wspomniał o tym, że nie ma świadków tego, co działo się w szatni w poprzednich sezonach. W całym artykule więcej było domysłów niż faktów. Omówił piątkowy mecz, a potem stwierdził, że od kiedy Hayes prowadzi zespół, pierwszy raz zdarzyły się dwie porażki w jednym sezonie. Czyżby dlatego, że ktoś ukradł posążek? Scoop przytoczył pogłoskę, że to przeciwnicy stali za zniknięciem Trele-Morele. Pewnie nigdy nie poznamy prawdy, zakończył. Opisał otwory w korpusie figurki, „wielkości główki od szpilki, w tym jeden na piersi, w miejscu, gdzie znajduje się serce”. Zakończył artykuł wyrażając żal, że trener przeciwnej drużyny zmarł na zawał serca w drodze powrotnej z meczu.

Miałem ochotę zacisnąć ręce na szyi Scoopa i udusić małego skurczybyka. W jadalni wszyscy gadali tylko o tym, jakie to byłoby dziwne, gdyby tamten trener rzeczywiście umarł dlatego, że ktoś wbił szpilkę w serce Trele-Morele.

Nie mam pojęcia, czy trener też myślał o uduszeniu Scoopa, ale na pewno chciał, żeby wyrzucono go ze szkoły. Wkrótce już wszyscy wiedzieli o kłótni w gabinecie dyrektora i krzykach, który niosły się po korytarzu. „To kompletny brak odpowiedzialności! To oszczerstwo!” Scoop przezornie zachorował i przez cały tydzień nie pokazał się w szkole.

Ale w następną piątek mieliśmy na głowie ważniejsze problemy niż Scoop. Wszystkie kościoły w mieście dowiedziały się o Trele-Morele. W gazecie przeczytałem, że dyrektor dostał tuzin listów od księży, kaznodziei i rabinów. Był nawet cytat z jednego listu: „Przesady... niezdrowa atmosfera... satanizm... wbrew wszelkim zasadom edukacji”. Moi rodzice tak się zaniepokoiли, że nie chcieli mnie puścić na mecz. Powiedziałem, że nie mogę zawieść kolegów, a jeśli chodzi o edukację, to mam same szóstki i piątki, więc gra w drużynie na pewno mi nie przeszkodziła w nauce, wprost przeciwnie.

Ale słowa o przesadach zapadły mi w pamięć, być może z powodu podwójnego widzenia i innych dziwnych rzeczy, które działy się w czasie naszych meczy na boisku. Czyżby posążek naprawdę?... A może to Joey ma rację, a ja po prostu za bardzo się ekscytuję w czasie meczu?

Dosyć tego, pomyślałem. Trele-Morele. Nazwa pasuje do tej poczwary jak ulał. Wtedy nie wiedziałem, że to będzie ostatni raz, kiedy trener Hayes wyjmie figurkę. Ale wiedziałem na pewno, że mam dość dotykania jej i jeśli potrzebuję tego, żeby dobrze grać, to żaden ze mnie zawodnik.

Więc kiedy trener wyzwał nas jak zwykle od najgorszych i wyjął posążek, nie dotknąłem go przed wyjściem na boisko, tak jak inni.

Ramię do tej pory mnie boli, kiedy temperatura spadnie poniżej zera. Nosilem gips przez prawie trzy miesiące, a na boisku spędziłem nie więcej niż pół minuty. Dostałem piłkę i odprowadziłem rękę do tyłu, ale nie widziałem żadnego wolnego zawodnika. Nie widziałem też czterech przeciwników, którzy wpadli na mnie jednocześnie i dosłownie stratowali. Straciłem oddech, a moja ręka znalazła się na spodzie. Zemdlałem. Ale najpierw usłyszałem trzask kości.

W sobotę rano Joey odwiedził mnie w szpitalu. Zdobył trzy przyłożenia. Mimo bólu próbowałem udać, że cieszę się razem z nim.

– Wygraliśmy? – spytałem.

– Czy papież mieszka we Włoszech? Przykro mi z powodu twojego ramienia...

– Wiem.

Podziękowałem za troskę.

– Jak długo będą cię tu trzymać? – spytał wierząc się na krześle.

– Do jutra po południu.

– Wpadnę do ciebie do domu.

Skinąłem głową, bo pielęgniarka dała mi wcześniej środek przeciwbólowy. Zjawiła się Rebeka; Joey wyszedł.

Od tego czasu nasze drogi z Joeyem całkiem się rozeszły. On miał drużynę, a ja złamaną rękę. Po zakończeniu sezonu dostał dużą rolę w sztuce, którą wystawiało kółko dramatyczne. Nazywała się *Dziesięciu małych Indian*. Wszyscy mówili, że był w niej świetny. I musiałem przyznać im rację.

A ja? Chyba wszystko zaczęło mi się wymykać z rąk. Nie mogłem notować na lekcjach ani odrabiać prac domowych. Rebeka mi pomagała, ale miała dużo swojej pracy. Znowu zacząłem dostawać trójki i chodzić do „Chicken Nest”, tym razem z Rebecą zamiast z Joeyem. Od wiśniowej coli i frytek z ketchupem naprawdę przybiera się na wadze, zwłaszcza jeśli się nie trenuje.

W lokalnej gazecie ukazało się sprawozdanie ze spotkania komitetu rodzicielskiego z trenerem Hayesem. Poproszono go o wyjaśnienia. Trener powiedział, że kupił posążek na wyprzedaży rupieci. Właściciel utrzymywał, że jest to używany w tajemnych obrzędach symbol płodności Majów, Polinezyjczyków albo jeszcze kogoś innego (podawał nazwy różnych ludów). Hayes wyjaśnił, że nie uwierzył w to, bo cena figurki wynosiła piętnaście dolarów. Ale szukał czegoś, co pomogłoby mu poprawić ducha w drużynie, zwłaszcza po dwóch beznadziejnych sezonach. Chodziło mu po prostu o maskotkę. Jeśli chłopcy uwierzyli, że posążek przynosi im szczęście, to co w tym złego? Dodał, że czasami nie wyjmował maskotki, żeby zawodnicy nauczyli się polegać tylko na sobie. Zawsze wtedy przegrywali, to prawda, ale dzięki temu

w następnym meczu starali się jeszcze bardziej. Nie kryje się w tym żadna tajemnica. Ot, zwyczajna sztuczka psychologiczna, trochę udramatyzowana. No i skuteczna. Drużyna zdobywała mistrzostwo, jeden sezon po drugim. Duch szkoły nigdy nie miał się lepiej.

– Skąd się wzięło imię posążka? – spytał któryś z rodziców.

– Pojawiło się w trzecim sezonie. Jeden z zawodników rzucił taki żart. Nie pamiętam dokładnie. Powiedział coś, że to fart i inne trele-morele. I tak już zostało.

Członkowie komitetu wysłuchali trenera, a następnie pokazali stos listów od oburzonych rodziców i duchownych. Ich decyzja była ostateczna.

Aby okazać chęć kompromisu, pozwolili mu umieścić posążek w szklanej gablocie z trofeami zdobytymi przez drużynę.

Reszta sezonu to był istny koszmar. Przegraliśmy wszystkie mecze. Siedziałem z Rebeccą przy linii bocznej i próbując kibicować z entuzjazmem, obserwowałem z żalem Joeya. Widać było, jak ciężko mu z tym, że nie wygrywa.

Mistrzostwo zdobyła drużyna West High. W poniedziałek gruchnęła wieść, że ktoś zbił szybę w gablocie i ukradł Trele-Morele. Nikt nie wiedział, kto to zrobił, ale wszyscy podejrzewali trenera. Hayes zrezygnował na wiosnę. Słyszałem, że prowadzi jakąś drużynę w stanie Nowy Jork. Często o nim myślę.

Joey miał stopnie na tyle dobre, że uniwersytet Yale dał mu stypendium. Nie powiem wam, jaka uczelnia chciała mnie przyjąć z moimi trójkami. Zrezygnowałem. Latem Rebeka zaszła w ciążę. W tamtych czasach z aborcjami nie było tak łatwo, a ja nie jestem pewien, czy chciałbym, żeby Rebeka coś takiego zrobiła. Uwielbiam naszą córkę do szaleństwa. Pobraliśmy się z Rebeccą w Halloween. Nasi rodzice nie mieli nic przeciwko temu. Bez ich pomocy nie poradziłibyśmy sobie.

Mamy troje dzieci: dwie dziewczynki i chłopca. Ciężko opłacić czynsz, nakarmić je, ubrać i zapewnić wszystko, czego potrzebują. Oboje z Rebeccą pracujemy. Ona jest sekretarką w szkole średniej, ja pracuję w zakładach chemicznych.

A Joey? Pewnie go znacie jako Josepha „Szybką Stopę” Summersa. Grał na odbiorze w Yale i dostał się do jednej z drużyn NFL. Dwa razy wystąpił w Superbowl, finale ligi futbolowej. A na pewno widzieliście go w wielu reklamach piwa. Najślawniejsza jest ta, w której daje w kość pięciu motocyklistom, wchodzi do baru i zamawia piwo.

„Jaki gatunek? – pyta barman. – To samo, co pili tamci?”

„To dla przegranych – odpowiada Joey. – Jeśli zamawiam piwo, to chcę najlepsze”.

I wiadomo, o jakie mu chodzi. Dzięki tej reklamie Joey dostał się do filmu. Widziałem *Śmiertelną gorączkę* w zeszłym tygodniu. Świetny. Akcja była doskonała, a Joey gra coraz lepiej.

Ale mam pewne wątpliwości...

Muszę teraz coś wyjaśnić. Trzy lata temu Joey przyjechał do miasta odwiedzić rodziców. Strasznie się zdziwiłem, kiedy do mnie zadzwonił, bo trudno powiedzieć, żebyśmy utrzymywali regularne kontakty. Zaprosił mnie do domu rodziców na piwo; okazało się, że naprawdę pije to, które reklamuje. Poszliśmy do jego dawnej sypialni. Tyle dobrych wspomnień. Joey wskazał swoją starą szafę. A ja tak byłem zajęty przyglądaniem się mu (w końcu jest gwiazdą filmową), że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

I nagle zobaczyłem go.

Leżał w otwartej walizce, tak samo paskudny jak wtedy. Trele-Morele. Poczulem zimny dreszcz na grzbiecie.

Wtedy zrozumiałem.

– Nie wierzę... A więc to ty go ukradłeś?

Joey tylko skrzywił usta w uśmiechu.

– Myślałem, że to trener Hayes. Zdawało mi się...

Potrząsnął głową.

– Ja to zrobiłem.

Coś ścisnęło mnie głęboko w środku. Nie pamiętam, o czym później rozmawialiśmy. Prawdę powiedziawszy, nie za bardzo nam szła ta rozmowa. Skończyłem piwo i wróciłem do domu. A Joey do Hollywood.

Przedwczoraj oglądaliśmy z synem *Davidą Copperfielda*. Nigdy nie oglądam takich filmów, ale on miał napisać wypracowanie, a nie przeczytał książki, więc chciał sobie w ten sposób ułatwić życie. A ja mu pomagałem.

Pod koniec David odnosi sukces, a wszyscy jego przyjaciele okazują się życiowymi przegranymi. Właśnie wtedy David mówi do siebie w myślach: „Nie wystarczy szczęście, a nawet talent. Trzeba jeszcze mieć charakter”.

Może i tak. Często myślę o Trele-Morele i przypominam sobie mój ostatni mecz. Nie dotknąłem wtedy jego głowy i na boisku złamali mi rękę. Gdybym został w drużynie i dalej dobrze się uczył, to może trafiłbym do Yale tak jak Joey. Czy też odnosiłbym sukcesy?

Myślę też o trenerze Hayesie i jego serii zwycięskich sezonów. Czy wygrywał dzięki posążkowi? Nie mogę w to uwierzyć.

Ale...

Pamiętam Joeya, gwiazdora filmowego, pokazującego figurkę skradzioną w ostatniej klasie ze szkolnej gabloty. Od tej pory wszystko mu się układało.

I tak sobie myślę... Pewnie, kocham moje dzieci i żonę.

Dzisiaj wieczorem czułem się potwornie zmęczony po powrocie z pracy... Te rachunki... Synowi trzeba kupić aparat korekcyjny na zęby, córce jeszcze coś innego...

Może Joey zrozumiał, może David Copperfield się mylił.

Może nie potrzeba talentu ani charakteru.

Może wystarczy Trele-Morele.

# Droga do Damaszku

**W** wstępie do tego zbioru napisałem o Philipie Klassie i wpływie, jaki wywarł na moje pisarstwo. Wspomniałem też o innym ważnym dla mnie pisarzu, Stirlingu Silliphancie. Gdyby nie on, w ogóle nie zacząłbym pisać.

Parę słów wyjaśnienia. Mój ojciec zginął w czasie drugiej wojny światowej, a mama, nie mogąc pracować i jednocześnie opiekować się mną, umieściła mnie w sierocińcu, kiedy miałem około czterech lat. Nigdy nie pozbyłem się wątpliwości, czy odebrała mnie ta sama kobieta, która mnie tam zostawiła. Załóżmy jednak, że tak. Nadal jednak nie mogła poświęcać mi czasu, więc zostawiła mnie na farmie mennonitów. Moja dezorientacja jeszcze się pogłębiła. Mijały pory roku. W każdy piątek byłem odprowadzany do autobusu, a mama czekała na mnie na krańcówce w mieście. W niedzielę odbywałem podróż w drugą stronę. Kiedy mama dowiedziała się, że uczeń pobliskiej szkoły z internatem zginął pod kołami samochodu na drodze, postanowiła zatrzymać mnie przy sobie.

Nieco wcześniej wyszła powtórnie za mąż. Żeby dać mi ojca, jak potem wyjaśniła. Rozpaczliwie potrzebowałem uczucia dorosłego mężczyzny, ale mąż mojej mamy nie był w stanie mi go dać. Czuł się wyraźnie zakłopotany, kiedy nazywałem go ojcem. W końcu zacząłem traktować ojczyma jak obcego. Ich małżeństwo nie było szczególnie udane. Kłócili się tak często, że z tamtych czasów pamiętam głównie strach. Czasem nocne awantury stawały się tak głośne, że bałem się o swoje bezpieczeństwo. Wkładałem poduszki pod koc, żeby wyglądało, że tam śpię, a sam wczółgiwałem się pod łóżko i zasypiałem ze złudnym poczuciem bezpieczeństwa.

Mieszkaliśmy nad barem, który zamienił się później w restaurację z hamburgerami. Nie mieliśmy dość pieniędzy na telewizor czy telefon, więc je-

dynymi moimi rozrywkami w sobotę było słuchanie *Tarzana* w radiu i obserwowanie przez okno pijaków awanturujących się na ulicy. Pewnego razu, gdy mama wyszła na ulicę skorzystać z automatu telefonicznego, zabłąkana kula strzaskała szybę w budce.

Kiedy trochę podrosłem, odkryłem kino. W tamtych czasach kina przypominały prawdziwe pałace, a widzowie nie gadali podczas seansu. Żeby zarobić na film, pracowałem w kregielni. A jeśli akurat nie było dla mnie pracy, stawałem na przystanku autobusowym i udawałem, że zgubiłem pieniądze na bilet. Zawsze znalazł się jakiś litościwy człowiek, który dał mi piętnaście centów, a ja natychmiast biegłem z nimi do kina.

Siedziałem godzinami w ciemnej sali, oglądając film za filmem (w tamtych czasach dawali podwójne seanse), a czasem zostawałem dwa razy na tym samym. Nie miało dla mnie znaczenia, co wyświetlają, choć muszę przyznać, że nie przepadałem za filmami, w których było dużo całowania. Liczyło się tylko to, że mogłem oderwać się od rzeczywistości.

Wydaje się więc logiczne, że w dorosłym życiu zająłem się opowiadaniem historii, które mają pomóc innym ludziom zapomnieć o realnym świecie. Wtedy jednak byłem zbyt zagubiony, żeby wiedzieć, czego chcę. Przyłączyłem się do ulicznego gangu, szkołę podstawową traktowałem jako przerwę w czasie wolnym. W szkole średniej sprawowałem się nieco lepiej. Nasza sytuacja finansowa się poprawiła, więc przeprowadziliśmy się do domku na przedmieściu. Kłótni rodzinnych było mniej. Ale w jedenastej klasie nadal nie wiedziałem, co chcę w życiu robić.

Tej jesieni w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku całe dni spędzałem na grze w bilard i oglądaniu telewizji. I właśnie wtedy raził mnie grom (tak jak młodego Saula w drodze do Damaszku), który zmienił moje życie. Pamiętam dokładnie, kiedy to się stało: w piątek siódmego października o godzinie dwudziestej trzydzięści. Tym gromem okazał się pierwszy odcinek serialu *Route 66*.

Była to historia dwóch chłopców, którzy jak bohaterowie powieści Jacka Kerouaca ruszają chevroletem corvette w drogę w poszukiwaniu Ameryki i samych siebie. Jednym z nich był Tod z Nowego Jorku, którego ojciec umarł niedawno, zostawiając tak ogromne długi, że kiedy wierzyciele odebrali swoje należności, został tylko sportowy wóz. Buz natomiast to młody uliczny zabiaka, który pracował w doku ojca Toda i zaprzyjaźnił się z synem właściciela. Trasa 66 była wówczas najważniejszą drogą ze wschodu na zachód Stanów Zjednoczonych, więc jej nazwa nadawała się idealnie na tytuł serialu. Film był historią Toda i Buza, ale opowiadał też o Ameryce, więc producenci filmowali każdy odcinek w miastach odwiedzanych przez bohaterów, mimo że wiele z nich leżało daleko od Trasy 66: w Bostonie, Filadelfii, Biloxi, Santa Fe, Oregon City...

Pierwszy odcinek, zatytułowany *Czarny listopad*, opowiada o małym miasteczku na południu nękanym ponurą tajemnicą z przeszłości; było to krwawe morderstwo niemieckiego jeńca wojennego i księdza, który próbował go bronić. Nigdy wcześniej nie widziałem historii łączącej tajemnicę, suspens i akcję (jeszcze teraz stoi mi przed oczami scena z piłą elektryczną), a jednocześnie w przekonujący sposób przedstawiającej bohaterów i otaczającą ich rzeczywistość. Nie mogłem się doczekać następnego piątku, a potem następnego, i następnego... W sposobie wysławiania się bohaterów, ich emocjach i wartościach, które wyznawali, było coś, co głęboko mną poruszyło i rozbudziło intelektualnie.

Po raz pierwszy w życiu zainteresowałem się napisami końcowymi. Kto dał mi możliwość przeżycia czegoś tak niezwykłego? Akcja jednego odcinka działa się w Zatoce Meksykańskiej i nasuwała skojarzenia z szekspirowskim *Poskromieniem złoŹnicy*. Następny opowiadał o ulicznym gangu w Los Angeles; w scenerii pełnej brudu i nędzy można było niespodziewanie usłyszeć poetycki dialog. Akcja kolejnego odcinka toczyła się podczas żniw w Phoenix, a jej tragiczny podtekst przywołał na myśl mity greckie. Wtedy nie wiedziałem nic o egzystencjalizmie Sartre'a czy filozofii pokolenia bitników. Ale choć nie umiałem nazwać tego, co doświadczam, pobudzało mnie to emocjonalnie i intelektualnie. Główne role grali Martin Milner i George Maharis. Obaj byli obdarzeni niemałym talentem aktorskim, lecz mój największy podziw budzili ci, którzy nie występowali na ekranie: autorzy tej trzymającej w napięciu fabuły i słów wypowiedzianych przez aktorów (czasem bywały to pięciominutowe monologi, których słuchało się z zapartym tchem). Producentem był Herbert B. Leonard, Sam Manners szefem produkcji. No dobrze, ale... Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że w napisach po prawie każdym odcinku pojawia się jeszcze jedno nazwisko: Stirling Silliphant. Pisarz. To było dla mnie odkrycie.

Ja, uczeń jedenastej klasy, do niedawna pozbawiony wszelkich ambicji, zdobyłem się na to, aby odszukać adres firmy Screen Gems, której nazwa widniała wśród napisów końcowych. Nie umiałem posługiwać się maszyną do pisania, ręcznie napisałem więc (a raczej nagryzmołem) list do Stirlinga Silliphanta z pytaniem, jak mogę się nauczyć tworzyć tak wspaniałe opowieści. Tydzień później (jeszcze teraz pamiętam moje zdumienie) otrzymałem odpowiedź: dwie gęsto zapisane na maszynie strony. Pierwsza zaczynała się od przeprosin, że tak długo trwało, zanim odpisał. Potem następowało wyjaśnienie, że zrobiłby to wcześniej, ale kiedy mój list dotarł do niego, pływał właśnie żaglówką po morzu. Nie odkrył przede mną żadnych sekretów i odmówił przeglądania tego, co napiszę (ze względu na moje niedoświadczenie, ale i z powodów natury prawnej). Powiedział mi tylko jedno: żeby zostać pisarzem, trzeba pisać, pisać i jeszcze raz pisać...



Napisałem miliony słów i piszę nadal. Gdyby nie Stirling, nie poszedłbym na studia, nie zostałbym magistrem ani doktorem, nie poznałbym Philipa Klassa, nie napisałbym *Pierwszej krwi*. Trudno opisać dreszcz podniecenia, który przeszył mnie pewnego letniego popołudnia w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, kiedy Stirling zadzwonił do mnie z podziękowaniem za egzemplarz *Pierwszej krwi*. Powieść spodobała mu się i wyraził radość, że to on mnie zainspirował. „Gdybym był kotem, zamruczałbym z zadowolenia”, powiedział.

Pozostawaliśmy odtąd w kontakcie, ale do spotkania doszło dopiero latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, kiedy Stirling zaproponował, żebym przyjechał do Los Angeles i spędził z nim weekend oraz święto czwartego lipca. Tak więc dwadzieścia pięć lat po niezwykłym doświadczeniu, jakim było dla mnie obejrzenie filmu opartego na jego scenariuszu, stanąłem wreszcie twarzą w twarz ze Stirlingiem Silliphantem. Okazał się krępy, promiennie uśmiechniętym mężczyzną o krótko obciętych, siwych włosach, łagodnym sposobie bycia i życzliwym, wielkodusznym charakterze. To było jak spotkanie z ojcem, którego nigdy nie poznałem. Przedstawił moją powieść *Bractwo Róży* w telewizji NBC i zaproponował zrobienie miniseriału na jej podstawie. I tak oto nasza znajomość, która rozpoczęła się dzięki serialowi telewizyjnemu, zatoczyła koło. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy film został wyemitowany tuż po Superbowl, finale ligi futbolowej, ze zdumieniem ujrzałem znów wśród napisów końcowych magiczne słowa: „Główny producent Stirling Silliphant”.

Wkrótce potem Stirling powiedział mi, że w jednym ze swoich poprzednich wcieleń mieszkał w Tajlandii i teraz postanowił wrócić do domu. Urządził wyprzedaż w swojej willi w Beverly Hills, przeprowadził się do Bangkoku i od tej pory mógł sobie pozwolić na luksus pisania bez presji jakichkolwiek terminów. Często rozmawialiśmy o moich odwiedzinach, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie. Kontaktowaliśmy się wyłącznie za pośrednictwem faksu. Żał to straszliwe uczucie. Parę minut po ósmej dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku (pamiętam to dokładnie, tak jak emisję pierwszego odcinka *Route 66*) jadłem śniadanie, słuchając wiadomości radiowych. W pewnej chwili spiker powiedział: „Dziś rano w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat zmarł na raka prostaty laureat nagrody Oscara za scenariusz, Stirling Silliphant”. Płatki utknęły mi w gardle. Było to dwa dni po moich urodzinach. Człowiek, o którym myślałem jak o ojcu, nie żył.

Nigdy nie spotkałem pisarza uprawiającego swoje rzemiosło z taką pasją. Pewnego dnia usunięto mu rano dwa zęby mądrości, a on w południe usiadł do maszyny. Pisał prawie codziennie, a terminy były dla niego świętością. Słyszał z pisarskiej płodności i sprawności, ale rzadko chwalił się pełną listą swoich osiągnięć z obawy, że nikt nie uwierzy, iż można tak dużo napi-

sać. Ja nigdy nie pisałem dużo i szybko, a Stirling potrafił w ten sposób tworzyć pełne inwencji, inteligentne scenariusze, by wspomnieć choćby *Wupalną letnią noc* czy *Nagie miasto*. Starałem się podążać jego śladem.

Mój pierwszy kontakt z Hollywoodem zakończył się więc sukcesem. Targany młodzieńczym niepokojem, zagubiony uliczny włóczęga, dla którego kino stało się ucieczką od okropności życia, odkrył, że marzenia zainspirowane filmami mogą się spełnić. Jednak wielu ludzi takich jak ja, którzy zetknęli się z Hollywoodem, doświadczyło czegoś wręcz przeciwnego. Często zdarza się, że pisarze są traktowani z obojętnością albo nawet ze pogardą. Obrzuca się ich obelgami, zwodzi i bezwstydnie okłamuje. Niektórzy producenci potrafią okazywać szacunek tylko tym, na których chcą zrobić dobre wrażenie. Nieumiejętność nawiązywania kontaktów graniczy u nich z socjopatią. Nie doświadczyłem tego przy okazji realizacji moich scenariuszy, ale wielokrotnie słyszałem o takim traktowaniu, więc postanowiłem napisać o ciemnej stronie fabryki snów. To ostatnie opowiadanie z cyklu o ambicji i cenie sukcesu. Zaczęliśmy od gazeciarza, potem przyszła kolej na młodocianego futbolistę. Teraz czytelnicy spotkają dorosłego mężczyznę, który opowie o kulisach przemysłu filmowego. Nie zmieniłem kwot wymienionych w opowiadaniu. Kiedy pomyślę, że nakręcenie *Titanica* kosztowało dwieście milionów dolarów, ze zdumieniem przypominam sobie, jak tanio robiło się kiedyś filmy. Utwór, który przedstawiam, znalazł się wśród kandydatów do nagrody World Fantasy Award za najlepsze opowiadanie fantastyczne tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

# Martwy idol

Zauważyłeś, kogo on przypomina, prawda?  
Wzruszyłem ramionami.

- Podobieństwo jest zdumiewające – dodała Jill.
- Mmm.

Siedzieliśmy w sali projekcyjnej, oglądając wczoraj nakręcone zdjęcia. Reżyser – jeśli ten facet zasługiwał na to miano – miał kłopoty z grą odtwórcy głównej roli. Jeżeli to, co robił ten drętwy przystojniak, można nazwać grą. Wcześniej był modelem. On nie grał, tylko pozował. Nie dość, że zażył sobie osiem milionów gaży i piętnaście procent zysków, to jeszcze zmienił moją scenę tak, że dialog zabrzmiał, jakby napisał go kretyn. Na domiar złego nasz gwiazdor co chwila wpadał do swojej garderoby, żeby zażyć kokę (dla twórczej inspiracji, jak mówił), a potem kichał po każdym zdaniu najdłuższego monologu. Jeśli ta scena się nie uda, publiczność nie zrozumie motywów, dla których porzucił swoją dziewczynę, kiedy ta odniosła sukces na estradzie, a wierzcie mi, że publiczność, która nie rozumie, co się dzieje na ekranie, nigdy nie przebacza. To byłby koniec filmu.

– No, co jeszcze wymyślisz, ty tępaku – mamrotałem. – Aż mnie strzyka, jak cię słucham.

Stracili trzy dni na kręcenie dubli, a wczorajsze zdjęcia były jeszcze gorsze od poprzednich. Jęknąłem, zsuwając się na krześle. Reżyser wpadł na pomysł, jak zrobić tę scenę: chciał, żeby montażyści w ciągu nocy posklejali kontrującą piosenkarkę i muzyków z zespołu country, z którymi śpiewa. Za każdym razem, gdy Piękniś kichnął, następowało cięcie, a wszyscy gapili się na niego jak w obraz.

– O mój Boże – jęknąłem. – Te cięcia rozwalą cały monolog. Przecież to miało być jedno długie ujęcie.

– Tak, trochę to wszystko chropawe – odezwał się reżyser z ostatniego rzędu, gdzie siedział. Chyba po to, żeby w razie czego łatwiej się wymknąć. – Nie zrobiliśmy jeszcze dubbingu. Na taśmie nie będzie tego pociągania nosem.

– Daj Boże – mruknąłem.

– Jak dwie krople wody – powiedziała Jill.

– Co? – Odwróciłem się do niej. – O kim mówisz?

– O gitarzyście. Tym chłopaku z tyłu. Nie słuchasz mnie? – spytała szepetem.

Zamrugąłem, kiedy w ciemności po lewej stronie rozległ się głos wiceprezesa wytwórni.

– Kim jest ten chłopak z tyłu?

– Ten z puszką piwa – szepnęła Jill.

– Ten, który siedzi z puszką piwa – powiedział wiceprezes.

W sali projekcyjnej słychać było tylko smarkanie naszego gwiazdora na ekranie.

– Pytałem, kim jest ten... – powtórzył nieco głośniej producent.

– Nie wiem – odparł reżyser odchrząkując.

– Musiał ci podać nazwisko.

– Nie znam faceta.

– Jak to, do cholery, możliwe, skoro...

– Wszystkie sceny z koncertu robił drugi reżyser.

– A konstrujęcia?

– Też. Ten chłopak mówił tylko kilka linijek. Powiedział swoją kwestię i poszedł. A ja byłem zajęty utwierdzaniem naszego pupilka w przekonaniu, że jest gwiazdorem.

– To znowu on – powiedziała Jill.

Teraz zrozumiałem, o co jej chodzi. Ten chłopak wyglądał dokładnie tak samo, jak...

– James Deacon – odezwał się prezes. – Właśnie jego mi przypomina.

Pan Mięśniak przebrnął wreszcie przez monolog. Udało mi się rozpoznać tylko połowę – częściowo dlatego, że dodane fragmenty nie miały sensu, a częściowo dlatego, że mamrotał. Na koniec zobaczyliśmy zbliżenie jego płaczącej dziewczyny, która tak ślepo pięła się do góry, że straciła to, co najważniejsze – mężczyznę, który ją kochał. W założeniu publiczność powinna jej współczuć i szlochać razem z nią. Jak na mój gust, widzowie rzeczywiście zalewaliśmy się łzami, ale ze śmiechu. Na ekranie tymczasem pan Napakowany wytaczał się z sali, jakby miał za ciasne majtki. Zmrużył oczy jak gwiazdor gotów na przyjęcie Oscara.

Obraz znikł. Reżyser odchrząknął po raz kolejny.

– No i co?

Cisza.

– No i jak myślisz? – powtórzył nerwowo reżyser.  
Rozboliła mnie głowa, ale zapalone światła nie miały z tym nic wspólnego.  
Wszyscy odwrócili się w stronę wiceprezesa, czekając na głos Wszechmogącego.

– Myśle, że trzeba zmienić scenariusz – zawyrokował.

– To cholerne miasto. – Droga do Santa Monica była jak zwykle zapchana. Naftykaliśmy się spalin, bo Jill musiała jechać na najniższym biegu.

– Nie będą przecież obwiniać gwiazdora. W końcu zażyczył sobie osiem milionów dolarów, a następnym razem weźmie jeszcze więcej, jeśli go źle potraktują. – Piekła mnie zgaga. – Reżysera też nie, bo ciągle powtarza, że jest artystą. Więc kto zostaje? Nędznie opłacany frajer, który napisał coś, co i tak każdy zmienia sobie, jak mu się żywnie podoba.

– Uspokój się. Ciśnienie ci podskoczy. – Jill zjechała z autostrady.

– Ciśnienie? Już mi podskoczyło. Jeszcze trochę, a dostanę zawału!

– Nie wiem, czemu się dziwisz. To się przecież zdarza przy realizacji każdego filmu. Siedzimy w tym bagnie od piętnastu lat. Powinieneś się przyzwyczaić do tego, jak traktują pisarzy.

– Jak chłopców do bicia. Tylko dlatego nas tu trzymają. Każdy reżyser, producent i aktor w tym mieście jest lepszym scenarzystą. Spytaj ich, a tak ci powiedzą. Tylko że oni nie umieją czytać, nie mówiąc o pisaniu, a poza tym nie mają czasu, żeby uisnąć i przelać te wszystkie rewelacyjne pomysły na papier.

– Ale tak właśnie działa ten system. Nie można z nim wygrać, więc albo kochasz tę robotę, albo ją zostawiasz.

Skrzywiłem się boleśnie.

– Wychodzi na to, że aby zrobić dobry film, trzeba napisać scenariusz i samemu go wyreżyserować. Mógłbym jeszcze zagrać w nim główną rolę, gdybym przez tych durniów nie wyrwał sobie połowy włosów z głowy.

– I gdybyś miał dwadzieścia milionów dolarów.

– Tak, przydałoby się. Nie musiałbym wtedy poniżać się przed gadającymi głowami z wytwórni. Ale gdybym miał dwadzieścia milionów, czy warto byłoby jeszcze pisać?

– Pisałbyś nawet, gdybyś miał sto milionów.

– To prawda. Głupiec ze mnie, i tyle.

– Wes Crane – oznajmiła Jill.

Mamrotałem do siebie pod nosem, siedząc przy komputerze i poprawiając scenariusz. Wiceprezes orzekł, że pan Biceps nie powinien rozstawać się z narzeczoną. Ona z kolei miała uświadomić sobie, jak bardzo go zaniedbywała,

i porzucić karierę dla miłości. „Publiczność nie może się doczekać filmu, który będzie reakcją przeciw emancypacji kobiet”. Omal się nie porzygałem.

– Jaki Wes? – spytałem nie odrywając wzroku od ekranu monitora.

– Crane. Ten chłopak z zespołu, którego widzieliśmy w tle.

Odwrociłem się. Jill stała w drzwiach gabinetu. Chyba zamrugałem idiotycznie, bo popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Ten, który do złudzenia przypomina Jamesa Deacona. Z ciekawości zadzwoniłam do biura obsady filmu.

– No dobrze, zdobyłaś jego nazwisko. Ale po co?

– Tak mi jakoś przyszło do głowy.

– Nadal nie rozumiem.

– Twój scenariusz o najemnikach.

Wzruszyłem ramionami.

– Trzeba go jeszcze dopracować. Przecież i tak napisałem go do szuflady. Kiedy już wytwórnia uzna, że spieprzyliśmy film do cna, trzeba będzie zająć się miniserialem dla ABC, tym o Napoleonie.

– Napisałeś ten scenariusz dla siebie, bo spodobał ci się pomysł, prawda? To jest coś, co naprawdę chciałbyś zrobić.

– Ciekawy i ważny temat. Najemni żołnierze w służbie CIA. Ameryka uwikłana jest w wiele wojen, o których się nie mówi.

– No to do diabła z serialem dla telewizji. Wydaje mi się, że ten chłopak świetnie pasowałby do roli młodego najemnika, który ma dość tego co robi, i w końcu kieruje broń przeciw dyktatorowi, który go wynajął.

– Wiesz, to niezły pomysł.

– Kiedy wracaliśmy do domu, powiedziałaś, że jedyny sposób na zrobienie przyzwoitego filmu, to samemu go wyreżyserować, prawda?

– I zagrać główną rolę. – Uniosłem brwi. – To do mnie podobne. Ale oczywiście żartowałem.

– Mój drogi, jestem pewna, że nie mógłbyś reżyserować gorzej niż ten fagas, który dzisiaj rano po raz kolejny rozkładał film. A co do grania... Szaleję za tobą, ale wiem, że nie jesteś dość przystojny nawet do roli charakterystycznej. Wes natomiast mógłby zagrać, a ten, kto by go odkrył...

– ...miałby prawo sam wystawiać rachunki. Jeśli umiałby się do tego zabrać.

– Przez piętnaście lat nauczyłeś się obracać w tym światku.

– Ale jeśli zostawię na lodzie ABC...

– Połowa pisarzy w mieście zabijała się o ten kontrakt. W ciągu godziny znajdują kogoś innego.

– Proponowali kupę forsy.

– Zarobiłeś czterysta tysięcy za film, który wytwórnia właśnie spartażyła. Weź urlop, zrób coś, co pozwoli ci zachować szacunek dla samego siebie.

- Chyba cię kocham.
- Jeśli będziesz tego pewien, zajrzyj do sypialni.

Odwróciła się i wyszła. Odprowadziłem ją wzrokiem, zakręciłem się na krześle i spojrzałem w okno. Pomyślałem o najemnikach. Mieszkamy w Pacific Palisades. Za oknem rozpościera się ocean. Ale ja widziałem tylko tego chłopaka z puszką piwa.

Trzymał ją dokładnie tak samo jak James Deacon.

Deacon. Jeśli kochasz kino, to musisz wiedzieć, o kim mówię. Syn farmera z Oklahomy. Połowa lat pięćdziesiątych. Młodociany rozrabiaka, który omal nie trafił do poprawczaka za kradzież samochodów. Na szczęście nauczyciel wzbudził w nim zainteresowanie teatrykiem szkolnym w liceum. Deacon nigdy nie skończył tej szkoły. Pożyczył sto dolarów i autostopem ruszył do Nowego Jorku. Usiadł na progu domu Strasberga i siedział tam dopóty, dopóki Lee nie dał mu szansy w swoim studiu aktorskim. Wyszło z niego wielu wybitnych aktorów: Brando, Newman, Clift, Gazarra, McQueen, ale wielu uważa Deacona za najlepszego z nich. Dostał małą rolę na Broadwayu. Na widowni znalazł się akurat jakiś łowca talentów. Zdjęcia próbne, a reszta, jak powiadają, to już historia. Rola młodszego brata w *Synu marnotrawnym*, młodocianego przestępcy w *Buncie na Trzydziestej Drugiej ulicy*, później porywczego nacierza w *Jedynym prawie*, w którym przyćmił kilka wielkich gwiazd. Miał w sobie coś, to nie ulega wątpliwości. Czuło się napięcie emocjonalne, które w nim narasta, domaga się ujścia. I autentyczność. Nikt tak jak on nie potrafił wczuć się w postaci, które grał. On się nimi stawał.

Ale najważniejsze było to, że kochała go kamera. Tak mówią o największych gwiazdach. Wielu przystojnych facetów wypada przeciętnie na ekranie, a przeciętni rzucają widownię na kolana. Jest to kwestia przemiany trójwymiarowej twarzy w dwuwymiarowy wizerunek na ekranie. To, co wygląda nadzwyczajnie w życiu, błędnie na ekranie, i na odwrót. Nie da się powiedzieć zawczasu, czy kamera będzie ci przyjazna. Albo cię polubi, albo nie. A Deacona z pewnością uwielbiała.

On był niezwykle jeszcze dlatego, że w rzeczywistości też wyglądał wspólnie. Chodzące kino, tak o nim mówili. Ja nigdy go nie poznałem. To dawne czasy. W branży powiadają, że wszystko, co robił Deacon, było doskonałe. A zagrał tylko w trzech filmach, które nawet nie zdążyły wejść na ekrany. Zostałby supergwiazdorem, to pewne.

A potem?

Samochody. Jeśli spojrzeć na życie Deacona jak na tragedię, to właśnie one były jego słabością. Podobno niewiele zostało z ciała aktora po uderzeniu z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w półciężarówkę

w drodze na tor w północnej Kalifornii, gdzie miał się ścigać swoją wykonaną na zamówienie corvetta. Może słyszeliście tę legendę, która mówi, że nie zginął, lecz został straszliwie okaleczony. Potem rzekomo zaszył się w odosobnieniu, aby oszczędzić wielbicielom swojego widoku. Ale nie wierzcie w to. Deacon naprawdę nie żyje. Przeleciał jak meteor i eksplodował. Jak na ironię, nie zdążył się nawet dowiedzieć, że jest wielkim gwiazdorem, bo zginął, zanim filmy weszły na ekrany.

Jeśli gwiazda zaświeciła raz, to może zaświecić i drugi.

– Szukam Wesa. Jest gdzieś tutaj?

Rano zadzwoniłem do Stowarzyszenia Aktorów Filmowych, żeby zdobyć jego adres. Czasem dają tylko nazwisko i telefon agenta, a ja na razie nie chciałem kontaktować się z agentem.

Na szczęście podali mi adres domowy chłopaka.

Pojechałem do kanionu na północ od doliny. Kręta pylista droga zaprowadziła mnie do nie pomalowanego domu z tarasem na drewnianych słupach; stało przed nim kilka zdezelowanych samochodów, kabriolet typu „buggy” oraz motocykl. Na widok tego złomu poczułem się lepiej w swoim porsche.

Na schodach siedziało dwóch mężczyzn i dziewczyna. Dziewczyna była ubrana jak facet; mężczyźni nosili włosy do ramion, a na nogach sandały i szorty. Piersi dziewczyny miały kolor orzecha.

Patrzyli na mnie, ale mnie nie widzieli, jakbym był przezroczysty. Ich powiększone oczy miały pusty wyraz.

Otworzyłem usta, żeby powtórzyć pytanie.

Ale dziewczyna uprzedziła mnie.

– Wes? – Jej głos brzmiał tak, jakby wypięła dużo alkoholu. – Chyba jest... gdzieś tam z tyłu.

– Dzięki.

Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy mam kluczyki porsche’a w kieszeni i ruszyłem po piasku wzdłuż ściany.

Tam także był taras; Wes siedział oparty o barierkę i spod przymrużonych powiek spoglądał na wzgórze.

Starłem się nie okazać zaskoczenia. Z tej odległości chłopak jeszcze bardziej przypominał Deacona. Z jego szczupłej sylwetki biło hipnotyczne, intensywne napięcie. Miał około dwudziestu jeden lat, a więc tyle samo co Deacon, gdy zrobił swój pierwszy film. Zatopiony w myślach wyglądał, jakby dręczyło go jakieś tajemnicze wewnętrzne cierpienie, ale zarazem była w nim twardość człowieka, który został głęboko skrzywdzony i postanowił sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści. Był niewysoki i raczej szczupły, ale emanowała z niego tak wielka energia, że miało się wrażenie



obcowania z potężnym, silnym mężczyzną. Nawet jego ubranie kojarzyło się z Deaconem. Buty z cholewami i paczka papierosów w mankietcie dżinsowej koszuli. Na głowie miał wytarty kapelusz marki stetson z podwiniętym rondem.

Aktorzy uwielbiają pozować, to oczywiste. Jestem pewien, że nawet do łazienki wchodzi tak, żeby ustawić się do nie istniejącej kamery lepszym profilem. Sposób, w jaki ten chłopak opierał się o barierkę, wpatrując się w dal, z pewnością wart był obiektywu.

Ja jednak miałem przeczucie, że Wes nie udaje. Jego ubranie nie wyglądało na świadome naśladownictwo stylu Deacona. Czuł się w nim zbyt swobodnie. Pełna zamyślenia poza też nie sprawiała wrażenia wystudiowanej. Jestem w tym biznesie od dawna, więc potrafię to ocenić. Ten chłopak naprawdę się tak ubierał i poruszał. Był sobą. W świecie filmu mówi się tak wyłącznie o najlepszych.

– Wes Crane?

Odwrócił się i spojrzał na mnie z góry z uśmiechem.

– A jeśli tak? – Miał akcent wiejskiego chłopaka. Jak Deacon.

– Jestem David Sloane.

Skinął głową.

– A więc znasz moje nazwisko?

– Brzmi znajomo.

– Jestem pisarzem. Napisałem scenariusz do *Złamanych obietnic*, filmu w którym właśnie zagrałeś.

– Tak, pamiętam. Zauważyłem nazwisko na scenopisie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O następnym scenariuszu. Jest w nim rola, która mogłaby cię zainteresować.

– A więc jest pan też producentem?

Potrząsnąłem głową.

– Więc po co przychodzi pan do mnie? Nawet jeśli spodoba mi się ta rola, i tak nic z tego nie będzie.

Zastanowiłem się.

– Nie powinienem tego mówić podczas wstępnych negocjacji, ale zrobię to. Mam dość partactwa.

– Zdrowie – powiedział Wes podnosząc puszkę piwa do ust.

– Widziałem cię we wczorajszych zdjęciach. Spodobała mi się twoja gra, i to bardzo. Chcę, żebyś przeczytał scenariusz i powiedział mi, co sądzisz o roli. Zamierzam zaproponować wytwórni sfinansowanie filmu ze mną jako reżyserem i tobą w głównej roli. Ale stawiam warunek. Ty nie grasz, jeśli ja nie reżyseruję, a ja nie będę reżyserować, jeśli ty nie zagraasz.

– Dlaczego pan uważa, że zgodzą się na mnie?

- Moja żona ma przeczucie.
- Parsknął śmiechem.
- Jestem bez pracy. Przyjmę każdą robotę. Co mnie obchodzi, kto reżyseruje? Kim pan właściwie dla mnie jest?
- Serce mi zamarło.
- Wes otworzył następną puszkę.
- Ale wie pan co? Ja też nie lubię partactwa. – W jego oczach czaił się szelmowski błysk. – Czy mam coś do stracenia? Niech pan zostawi ten scenariusz.

Numer mojego telefonu był na okładce. Wes zadzwonił nazajutrz po południu.

- Czy spodobał mi się scenariusz? Powiem to samo, co pan powiedział o mojej grze. Spodobał się. Bardzo.
- Wymaga jeszcze dopracowania.
- Tylko w scenie, która następuje po śmierci najlepszego kumpla głównego bohatera. On nie mówiłby tak dużo. Nic by nie powiedział. Żadnych łez, wybuchów żalu. To jest facet, który umie trzymać się w garści. Wystarczy zbliżenie na jego powieki, i już. Spogląda na ciało kumpla, podnosi karabin, odwraca się w stronę pałacu. Publiczność stanie po jego stronie. Widzowie momentalnie się zorientują, że zamierza dokopać dyktatorowi.

Zazwyczaj ściska mnie w dołku, kiedy słyszę aktora proponującego zmiany w scenariuszu. Oni tak bardzo angażują się w rolę, że tracą z pola widzenia logikę fabuły. Domagają się dla siebie więcej tekstu. Chcą tak podkreślić swoją rolę, żeby wszyscy inni wypadli błąd. A oto aktor, który prosi o wycięcie swojego najdłuższego monologu. Myśli o całości filmu, a nie o zaspokojeniu swojej ambicji. Poza tym ma rację. Ten monolog od początku mi nie pasował. Przepisywałem go dziesięć razy i nadal nie rozumiałem, co jest nie tak.

Teraz wiedziałem.

- Nie ma monologu. Zmienię tę scenę w piętnaście minut.
- A potem?
- Pójdę do wytwórni.
- Nie żartuje pan? Naprawdę pan myśli, że mam szansę dostać tę rolę?
- Taką samą jak ja na reżyserowanie. Nie zapomnij o naszej umowie. Albo robimy to razem, albo wcale.
- Nie chce pan, żebym coś podpisał?
- To się nazywa zobowiązanie. Ale zgadłeś. Nie musisz niczego podpisywać.
- Chcę, żeby wszystko było jasne. Jeśli nie zgodzą się, żeby pan reżyserował, a mnie zaproponują rolę, mam ją odrzucić ze względu na naszą umowę, tak?

– Brzmi wariacko, co?

Prawda jest taka, że nawet gdybym wziął od niego zobowiązanie na piśmie, prawnicy wytwórni mogliby je łatwo podważyć, gdyby Wes oświadczył, że został wprowadzony w błąd. Ten interes nie mógłby się kręcić, gdyby wszyscy dotrzymywali słowa.

– Dokładnie – odparł Wes. – Umowa stoi.

W biurze obsady aktorów siedziała szczupła kobieta w wieku około trzydziestu lat.

– Macie jakieś nagranie z aktorem o nazwisku Wes Crane?

Spojrzała na mnie podejrzliwie, zmarszczyła brwi i otworzyła szafkę pełną segregatorów. Skinęła głową.

– Byłam pewna, że znam to nazwisko. Tak, mamy zdjęcia próbne.

– Kto je autoryzował?

Spojrzała uważnie na kartkę.

– Nie ma nazwiska.

Nigdy go nie poznałam. Do dzisiaj nie daje mi to spokoju.

– Wie pani, kto oglądał próbę?

– Oczywiście. Musimy przechowywać takie informacje. – Zerknęła na inną kartkę. – Wygląda na to, że tylko ja obejrzałam to nagranie.

– Pani?

– Ten chłopak przyszedł pewnego dnia, żeby wypełnić kilka formularzy. Trochę żartowaliśmy. Trudno to określić, ale coś w nim jest, więc pomyślałam, że warto zobaczyć to nagranie.

– I co?

– Zarekomendowałam go do rólki w *Złamanych obietnicach*.

– Gdybym ja chciał obejrzeć tę próbę, czy musiałaby pani kogoś powiadomiac?

Zastanowiła się.

– Nadal jest pan w ekipie realizującej *Złamane obietnice*, prawda?

– Tak.

– Crane gra w tym filmie, więc to chyba uzasadniona prośba. – Zerknęła w grafik. – Może pan skorzystać z sali numer cztery. Za pół godziny. Przyśle kogoś do obsługi projektora.

Usiadłem w ciemnej sali i po raz pierwszy poczułem dreszcz, który miałem później poznać tak dobrze. Taśma się skończyła, ale ja nie ruszałem się z miejsca.

Dopiero głos operatora przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Wszystko w porządku, panie Sloane? Dobrze się pan czuje?

– Nie, dziękuję...

– Słucham?

– Muszę chwilę pomyśleć.

Zaczerpnąłem głęboko tchu i wróciłem do biura.

– Nastąpiła pomyłka. To nie były zdjęcia próbne Crane’a.

Szczupła kobieta potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy o pomyłce.

– Obejrzałem scenę z *Syna marnotrawnego*, filmu Jamesa Deacona.

Zamieniono taśmy.

– Nie, to był Wes Crane. Chciał zagrać właśnie tę scenę. Scenograf przygotował pomieszczenie podobne do wnętrza stodoły z tamtego filmu.

– Ale Wes...

– To był Crane, nie Deacon.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Podobała się pani jego gra?

– No cóż, pomyślałam, że chłopak lubi ryzyko. Jeden fałszywy gest i wyszedłby na idiotę. Tak, podobał mi się.

– Chce mu pani pomóc?

– To zależy. Czy narażę się z tego powodu na kłopoty?

– Wprost przeciwnie. Zarobi pani trochę punktów.

– W jaki sposób?

– Proszę zadzwonić do wiceprezesa wytwórni i powiedzieć mu, że chciałem obejrzeć zdjęcia próbne, ale nie pozwoliła mi pani, bo nie miałem pozwolenia. Ale zauważyła pani moje wzburzenie, więc dzwoni, żeby się upewnić, czy postąpiła słusznie, bo nie chce stracić pracy.

– Co w ten sposób osiągnę?

– Wzbudzi pani jego ciekawość. Wiceprezes spyta, o czyje zdjęcia próbne mi chodziło. Proszę powiedzieć: „Tego chłopaka, który wygląda jak James Deacon”.

– Nadal nie rozumiem...

– Wkrótce pani zrozumie – zakończyłem z uśmiechem.

Zadzwoiłem do mojego agenta i poprosiłem o umieszczenie w „Daily Variety” i „Hollywood Reporter” informacji następującej treści: „Scenarzysta, laureat Oscara David Sloane rozpoczął przygotowania do realizacji filmu *Najemnicy*. Zamierza po raz pierwszy stanąć za kamerą, a w roli głównej wystąpi sobowtór Jamesa Deacona, Wes Crane”.

– Co się dzieje? Znalazłeś sobie jakiegoś innego agenta? Pierwsze slysze o *Najemnikach*.

– Zaufaj mi, Lou.

– W jakiej wytwórni chcesz zrobić ten film?

– Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.  
– Jeśli chcesz, żebym dla ciebie pracował, a kto inny weźmie za to wynagrodzenie...

– Dostaniesz swoje dziesięć procent. Ale jeśli ktoś zadzwoni, powiedz, żeby skontaktował się ze mną. Nie wolno ci omawiać z nikim tego projektu.

– Omawiać? Jak miałbym, do cholery, omawiać coś, o czym nie mam zielonego pojęcia?

– No widzisz, jakie to proste?

Pojechałem do sklepu z kasetami i kupiłem *Syna marnotrawnego*.

Nie widziałem tego filmu od lat. Wieczorem obejrzelśmy go z Jill piętnaście razy. A przynajmniej jeden jego fragment, to znaczy scenę w stodole, którą w kółko przewijałem.

– Co ty wyprawiasz? Nie chcesz obejrzeć całego filmu?

– Ta sama – powiedziałem wpatrując się w ekran jak osłupiały.

– Co to znaczy ta sama? Upiłeś się?

– Scena w stodole. Ta sama co w zdjęciach próbnych Wesa Crane’a.

– Oczywiście. Przecież sam powiedziałeś, że scenograf odtworzył dokładnie plan z tamtego filmu.

– Nie chodzi mi o scenografię. W filmie Deacon gra tę scenę leżąc twarzą na posadzce usłanej słomą. Prawie czuje się zapach kurzu i plew. A on mówi bardziej do podłogi niż do ojca, który stoi z tyłu.

– Widzę. Ale do czego zmierzasz?

– Dokładnie tak samo jak w próbie Wesa Crane’a. Jedno długie ujęcie z kamerą na podłodze. Policzek Crane’a spoczywa na deskach. Jego głos brzmi identycznie jak głos Deacona. Każdy moment, każda pauza, nawet to załamanie głosu, kiedy jest bliski płaczu... Idealnie tak samo.

– Ale co w tym dziwnego? Crane na pewno obejrzał tę scenę wielokrotnie, zanim zdecydował się wykorzystać ją w zdjęciach próbnych.

Przewinąłem taśmę.

– Tylko nie to – jęknęła Jill.

Nazajutrz po południu zadzwonił wiceprezes wytwórni.

– Zawiodłem się na tobie, Dawidzie.

– Tylko mi nie mów, że nie spodobały ci się poprawki do *Złamanych obietnic*.

– Poprawki... A, tak. Świetne, świetne. Właśnie kręcą. Rozumiesz, że musiałem zmienić jeszcze to i owo. Ale nie martw się, nie będę się dopominał o umieszczenie w napisach mojego nazwiska jako współscenarzysty – zachichotał.

Odpowiedziałem tym samym.

– Kamień spadł mi z serca.

– Dzwonię w innej sprawie. Od kiedy to zostałeś reżyserem?  
– Bałem się tego pytania. Nie wolno mi teraz o tym mówić.  
– Chciałem dowiedzieć się czegoś od twojego agenta. Stwierdził, że nie ma prawa rozmawiać o kontrakcie.  
– Tak, ja sam wszystko załatwiłem.  
– Z kim?  
– Walt, naprawdę nie mogę nic mówić. Te punkty w umowie mnie samego zaskoczyły. Jeszcze nie skończyłem negocjacji.  
– Z tym chłopakiem, który wygląda jak James Deacon.  
– Powiedziałem już wszystko, co mogę, Walt.  
– A ja powiem ci wprost: nie masz prawa podkraść nam Wesa. To ja go odkryłem, pamiętaj. Obejrzałem wczoraj jego zdjęcia próbne. On ma zadatkę na gwiazdę.

Wiedziałem, kiedy obejrzał nagranie. Zaraz potem, jak kobieta z biura obsady zadzwoniła do niego i powiedziała, że pytałem o ten materiał. Jedną z niewielu rzeczy, na które można liczyć w tym biznesie. Wszyscy chcą wiedzieć, co robią inni. Jeśli zauważą, że ktoś odkrywa coś nowego, pędem rzucają się w jego ślady.

– To chyba nie całkiem tak, jak mówisz. Przecież nie macie umowy z Wesem.  
– Co to za projekt, ci *Najemnicy*? Nic o nim nie słyszałem.  
– Napisałem ten scenariusz ot tak, dla siebie, po przeczytaniu ogłoszenia w magazynie „Soldier of Fortune”.  
– „Soldier of”... Dawidzie, myślałem, że nasza współpraca układa się dobrze.

– Ależ oczywiście. Ja też tak sądzę.  
– Więc dlaczego nic mi nie powiedziałeś o tym scenariuszu? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Może nie musiałbyś pisać go za darmo. Mogłem ci dać zaliczkę.

A później zamieniłbyś go w musical.

– Pomyślałem, że nie będziesz chciał o tym słyszeć, bo chciałem sam reżyserować i zatrudnić nieznanego aktora.

Kolejna rzecz, na którą można liczyć w Hollywood: powiedz producentowi, że scenariusz jest nie dla niego, a poczuje się tak zawiedziony, że koniecznie będzie chciał go zobaczyć. Nie znaczy to wcale, że go kupi, ale przynajmniej pójdzie spać z przyjemną świadomością, że nie zaprzepaścił szansy nakręcenia przeboju.

– Reżyserować? Dawidzie, jesteś pisarzem. Co ty wiesz o reżyserii? Rzeczywiście mam co do tego poważne wątpliwości. Ale wracając do kwestii obsady tego chłopaka. Zastanawiałem się nad tym wczoraj po obejrzeniu jego zdjęć próbnych.

Akurat. Byłeś zaskoczony. A pomysł przyszedł ci dzisiaj, kiedy przeczytałeś wiadomość w gazecie branżowej.

– No widzisz? Byłem pewien, że nie kupisz takiej propozycji, więc nie przyszedłem z nią do ciebie.

– Powiedzmy, że jest to problem hipotetyczny. Właśnie wysłałem szefa działu prawnego, żeby podpisał umowę z tym chłopakiem. Proponujemy mu opcję długoterminową.

– Innymi słowy, chcecie związać Wesa tak, żeby nikt inny nie mógł go zatrudnić, a wy nie zobowiązujecie się do obsadzenia go w głównej roli i płacicie mu ułamek tego, co być może jest wart.

– Dziesięć tysięcy dolców piechotą nie chodzi. Zwłaszcza w jego sytuacji. Może podniesiemy do piętnastu.

– A gaża za film?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy.

– Jego agent na to nie pójdzie.

– On nie ma agenta.

A więc dlatego w stowarzyszeniu podali mi adres domowy i numer telefonu Wesa zamiast kontaktu z agentem.

– Rozumiem – powiedziałem. – Chcecie po prostu zrobić mi na złość.

– To nic osobistego, Dawidzie. Chodzi o interesy. Słuchaj, pokaż mi scenariusz. Może zrobimy ten film razem.

– Ale ty nie zgodzisz się, żebym reżyserował.

– Koszty produkcji są teraz tak wysokie, że mogę zatrudnić nieznanego aktora tylko pod warunkiem, że płacę mu śmieszne pieniądze. Jeśli film okaże się przebojem, następnym razem i tak nas puści kantem. Ale nie zaryzykuję pieniędzy stawiając za kamerą niedoświadczonego reżysera, który rozwalił mi budżet. Mogę przeznaczyć na ten film najwyżej piętnaście milionów.

– Ale ty przecież nawet nie czytałeś scenariusza. Jest tam kilka dużych scen akcji. Wybuchy, helikoptery, efekty specjalne. Dwadzieścia pięć milionów to minimum.

– O tym właśnie mówię. Ten scenariusz jest ci tak bliski, że nie zgodzisz się na kompromis co do efektów specjalnych. Nie będziesz reżyserował.

– Jak sam powiedziałeś, jest to problem czysto hipotetyczny. Dlatego zaproponowałem film komuś innemu.

– Nic ci z tego nie wyjdzie, jeśli podpiszemy umowę z Wesem. Nie wojujemy ze sobą, Dawidzie. Pamiętaj, że jesteśmy przyjaciółmi.

Godzinę później zadzwonili z wytwórni Paramount. Plotki rozchodzą się tutaj błyskawicznie. Dowiedzieli się, że mam kłopoty ze swoją wytwórnią i zaproponowali spotkanie w celu omówienia projektu.

Powiedziałem, że oddzwonię. A więc osiągnąłem cel: teraz mogłem już zgodnie z prawdą twierdzić, że Paramount kontaktował się ze mną. Czekala mnie partia z dwiema wytwórniami.

Walt zadzwonił wieczorem.

- Co zrobiłeś z tym chłopakiem? Schowałeś w szafie?
- Nie mogliście go znaleźć, co?
- Szef działu prawnego mówi, że Wes mieszka z bandą szajbusów na jakimś zadupiu. Ciężko się z nimi dogadać. Mówią, że Wesa nie ma i nie wiedzą, gdzie jest.
- Umówiłem się z nim na jutro.
- Gdzie?
- Nie mogę powiedzieć, Walt. Rozmawiałem już z Paramountem.

Wes czekał na mnie w swoim ulubionym barze *taco* w Burbank. Brał udział w wyścigu motocyklowym. Kiedy zsiadł z motoru w butach z cholewami, w koszulce i skórzanej kurtce, zadrzałem, jakbym doznał *dejà vu*. Wyglądał dokładnie tak samo jak Deacon w *Buncie na Trzydziestej Drugiej ulicy*.

– Wygrałeś?

Uśmiechnął się, podnosząc kciuk.

– A ty?

– To i owo popchnąłem do przodu.

Wes nawet nie zdążył postawić motoru, gdy zbliżyło się do niego dwóch facetów w garniturach. W pierwszej chwili pomyślałem, że to policja, ale mieli za drogie ubrania. Powinienem był się domyślić: wytwórnia przysłała swoich ludzi pod mój dom, a ci po prostu przyjechali za mną.

– Pan Hepner kazał to panu przedstawić – zwrócił się do Wesa niebieski garnitur, kładąc dokument na stoliku.

– Co to jest?

– Umowa opcjonalnego zatrudnienia. Pan Hepner sądzi, że suma powinna pana zainteresować.

Wes podsunął mi kartkę papieru.

– Co to znaczy?

Przeczytałem szybko. Wytwórnia podniosła stawki. Proponowali Weso- wi pięćdziesiąt tysięcy wynagrodzenia, a za udział w filmie gażę w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy.

Powiedziałem mu prawdę.

– W twojej sytuacji to mnóstwo pieniędzy. Wydaje mi się, że przydałby ci się teraz agent.

– Znasz kogoś takiego?

– Owszem. Mój jest dobry, ale to za bardzo pachniałoby kumoterstwem.

– Więc co mi pozostaje?

– Ile zarobiłeś w zeszłym roku? Pięćdziesiąt kawałków to sporo grosza.

– Czy jest w tym jakiś haczyk?



Skinąłem głową.

– Tak. Istnieje szansa, że zagrasz w *Najemnikach*.

– I co?

– A ja nie będę reżyserował.

Wes zerknął na mnie spod oka. Nigdy nie zapomnę tej chwili.

– A ty się nie sprzeciwiisz? – spytał.

– Powiedziałem ci, że nasza umowa do niczego cię nie zobowiązuje. To kusząca propozycja. Może otworzyć ci drogę do kariery.

– On ma rację – wtrącił się szary garnitur.

– Ale ty chcesz reżyserować?

Skinąłem głową. Aż do tej pory można było przewidzieć rozwój wydarzeń. Z Wesem to co innego. Większość nieznanych aktorów rzuciłaby się bez wahania na taką szansę. Machnęliby ręką na to, że dali komuś słowo. Wszystko zależało od tego, czy Wes ma charakter podobny do Deacona.

– I nie będziesz miał mi tego za złe? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Przedtem snuliśmy tylko fantazje. Teraz to rzeczywistość.

Wes nie spuszczał ze mnie oka. Nagle odwrócił się do garniturów i pochnął papier w ich stronę.

– Przekażcie panu Hepnerowi, że mój przyjaciel musi reżyserować.

– Popełnia pan duży błąd – wycedził niebieski garnitur.

– Raz się żyje. I powiedzcie mu jeszcze, że ufam mojemu przyjacielowi.

Wierzę, że w jego filmie wypadnę dobrze.

Odetchnąłem powoli. Garnitury zmierzyły nas srogim spojrzeniem.

Pominę opis negocjacji, które trwały cały miesiąc. Były takie chwile, kiedy miałem wrażenie, że obaj z Wesem zaprzepaściliśmy nasze kariery. Duma nie pozwalała Waltowi ustąpić. Ale kiedy ja zgodziłem się na najniższe honorarium reżyserskie i minimalne wynagrodzenie za scenariusz dopuszczone przez związek scenarzystów, a Wes na najniższą gażę określoną przez związek aktorów, Walt nie mógł odmówić. Chciwość wzięła górę. Zaczął się przechwalać na wszystkie strony, jak nas wymanewrował.

Nie dbaliśmy o to. Robiłem film, w który wierzyłem, a przed Wesem otwierała się szansa zostania wielką gwiazdą.

Odrobiłem swoją pracę domową. Budżet filmu zamknął się kwotą dwunastu milionów. W naszych czasach to rzadkość. Znana dobrze w świecie filmowym prosta reguła mówi, że aby film się zwrócił, wpływy ze sprzedaży muszą trzykrotnie przewyższyć koszty produkcji ze względu na odsetki bankowe, wydatki wytwórni na promocję i inne.

Musieliśmy więc zarobić trzydzieści sześć milionów. Wpływy ze sprzedaży biletów na całym świecie wyniosły sto dwadzieścia milionów. Duża

część tej sumy trafiła do dystrybutorów, czyli ludzi zajmujących się sprzedażą popcornu, właściciele kin, którzy nigdy nie podają prawdziwej liczby widzów i zagranicznych dystrybutorów, którzy nagle zbankrutowali. Po sprzedaży filmu telewizjom CBS i HBO i wypuszczeniu kaset i płyt z muzyką, wytwórnia zarobiła na czysto czterdzieści milionów. A to oznacza, że film okazał się przebojem.

Byliśmy na szczycie. Wytwórnia chciała następnego filmu z Wesem Crane'em, i to na wczoraj. Recenzenci piali z zachwytu. Wes i ja zostaliśmy nominowani do Oscara, ale go nie dostaliśmy.

– Po następnym filmie – rzekłem do Wesa.

Ten sukces wyniósł nas na wyżyny, więc mogliśmy się odkuć na wytwórni za marne grosze, które zapłacono nam za pierwszy film.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Jak pewnie pamiętacie, Deacon nigdy się nie dowiedział, że jest gwiazdą. Zginął po nakręceniu trzech filmów, które ujrzały światło dzienne dopiero po jego śmierci. Nie mógł więc wiedzieć, że te trzy filmy zapewniły mu miejsce w pantheonie największych gwiazd. A wy nie wiecie zapewne tego, że z filmu na film Deacon sprawiał coraz więcej problemów. Ponoć przeczuwał, że będzie wielki, i nie umiał sobie z tym poradzić. Rekompensował sobie nieszczęśliwą młodość. Chciał pokazać, że nie jest niedorajdą, za jaką uważali go przybrani rodzice i nauczyciele (z wyjątkiem jednego). Ale olbrzymie napięcie i brak poczucia bezpieczeństwa nie dały się tak łatwo oszukać: w głębi serca Deacon nie wierzył, że zasługuje na sławę, która go czekała. Spełnił więc przewidywania nieprzychylnych sobie ludzi i naprawdę stał się nieudacznikiem.

Podczas kręcenia drugiego filmu zaczął zjawiać się na planie z trzygodzinnym opóźnieniem; pozwalał sobie na wybryki, które drogo kosztowały producenta. Pewnego razu dosypał do posiłku ekipy zdjęciowej środka przeczyszczającego i w ten sposób wstrzymał produkcję na cały dzień. Ze względu na upodobanie aktora do wyścigów samochodowych wytwórnia musiała płacić bająnskie sumy za jego ubezpieczenie. W czasie realizacji ostatniego filmu Deacon przychodził na plan częściej pijany niż trzeźwy i bez przerwy sączył piwo i tequilę. Tuż przed śmiercią w wypadku wyglądał, jakby miał sześćdziesiąt lat, a nie dwadzieścia dwa. Zdjęcia zostały nakręcone, pozostało do zrobienia tylko kilka zbliżeń, ale ponieważ większość scen do *Jedynego prawa* zrealizowano w plenerze na polach naftowych w Teksasie, trzeba było dograć dźwięk w celu wyeliminowania szumów w tle. Do zdubbingowania kilku dużych monologów wytwórnia zatrudniła przyjaciela Deacona, który nauczył się naśladować jego sposób mówienia. Publiczność pokochała film, ale nie wiedziała rzecz jasna, że za pomocą starannego montażu trzeba

było wyeksponować innych aktorów w scenach, w których Deacon wypadł tak fatalnie, że jego zdjęcia nie nadawały się do wykorzystania.

Zacząłem się więc zastanawiać: skoro Wes Crane wygląda jak Deacon, ma taki sam głos i tak samo się ubiera, to czy zacznie się zachowywać tak samo jak on? Co się stanie, kiedy zaproszę Wesa do realizacji drugiego filmu?

Nie byłem jedynym, który proponował mu współpracę: scenariusze płynęły do niego szeroką rzeką.

Dowiedziałem się o tym z gazety branżowej. Nie widziałem Wesa od ceremonii rozdania Oscarów w kwietniu. Ilekroć do niego dzwoniłem, albo nikt nie odbierał, albo jakaś kobieta nieobecny głosem oznajmiała, że Wesa nie ma w domu. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że wyprowadzi się z tej rudery na skraju pustyni. Wygląd jego kompanów przywodził mi na myśl bandę Mansona. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że Wes nie zarobił jeszcze fortuny. Dopiero drugi film będzie żyłą złotą. Ciekawe, czy upomni się wyłącznie o swoje honorarium.

Wracając z Jill z przedpremierowego zamkniętego pokazu najnowszego filmu Clinta Eastwooda, zobaczyliśmy przed domem motocykl Wesa. Było to o zachodzie słońca. Na karmazynowym tle oceanu przesuwały się sylwetki jachtów. Wes siedział na stopniach schodów między krzakami róż, z puszką piwa w dłoni. Miał na sobie dżinsy i koszulkę, której biel pięknie odcinała się od jego opalenizny. Ale policzki miał bardziej zapadnięte niż wtedy, gdy widziałem go ostatnim razem.

Nasze powitania wyglądały zawsze tak samo.

– Wygrałeś?

Uśmiechnął się i uniósł kciuk.

– A ty?

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Próbowałem się z tobą skontaktować.

Wzruszył ramionami.

– Ścigałem się trochę. Musiałem odpocząć od tego wszystkiego... Jak się masz, Jill?

– Świetnie, dzięki. A ty?

– Drugie okrążenie jest zawsze najtrudniejsze.

Wiedziałem, co ma na myśli: powtórzenie sukcesu pierwszego filmu. Zaciekawiał mnie.

– Zostaniesz na kolacji? – spytała Jill.

– Chciałbym, ale...

– Zostań, proszę. Nie sprawisz nam kłopotu.

– Jesteś pewna?

– Chili grzeje się już w piekarniku, będzie tortilla i sałatka.

Wes skinał głową.

– Mama lubiła robić chili. Zanim się rozpiła po odejściu ojca.

Jill zmarszczyła brwi. Wes nie zauważył, bo zapatrzył się w puszkę piwa.

– Potem już wcale nie gotowała – ciągnął. – Poszła do szpitala... To było w Oklahomie. Rak ją zżarł, a ja trafiłem do rodziny zastępczej. Chyba wtedy zacząłem szaleć.

W zamyśleniu dopił piwo. Po chwili spojrzął na nas, jakby przypomniał sobie, że tam jesteśmy.

– Domowa kolacja dobrze mi robi.

– Zaraz będzie gotowa – powiedziała Jill.

Nadal jednak wyglądała na zaniepokojoną. Chciałem spytać, o co chodzi, ale weszła do domu.

Wes sięgnął do torby leżącej za krzakiem róży.

– To co, stary? – Podał mi piwo. – Robimy drugi film?

– W gazecie piszą, że jesteś rozchwytywany.

Usiadłem koło niego i otworzyłem puszkę.

– Tak, ale my przecież stanowimy tandem, prawda? Ty piszesz i reżyserujesz, ja gram. Albo razem, albo wcale. – Szturchnął mnie w kolano. – Czy nie taki był układ?

– Wszystko zależy od ciebie, bo teraz możesz wybierać sobie reżyserów.

– Ale ja potrzebuję przyjaciela. Kogoś, komu ufam i komu uwierzę, jeśli powie, że zaczynam pieprzyć sprawę. Innym zależy tylko na tym, żeby zarobić parę dolców. Nie pisną słowa, nawet jak zacznę się rujnować. Tyle zdążyłem się już nauczyć. Wierz mi, tym razem nie popełnię tych samych błędów.

– W takim razie...

– No, mów.

– Mam pomysł na film. Zaczynamy od kilku efektownych scen akcji. Spodobałeś się widzom w takiej roli. Ale musisz wyraźnie zaznaczyć, że jesteś buntownikiem, że występujesz przeciw establishmentowi. Temat będzie kontrowersyjny. Młody, twardy facet, ochroniarz sławnej aktorki, takiej współczesnej Marilyn Monroe, kocha ją potajemnie, ale nie umie zdobyć się na wyznanie. Aktorka umiera po przedawkowaniu tabletek nasennych. Policja twierdzi, że to samobójstwo, gazety podchwytyją tę wersję. Ale ochroniarz nie wierzy, że dziewczyna sama się otruła. Znajduje dowody morderstwa. Domyśla się, że ktoś chce zatuszować sprawę, wkurza się i rozpoczyna śledztwo na własną rękę. Nasyłają na niego oddział, który ma go zlikwidować. Bohater ledwo uchodzi z życiem i wkurza się jeszcze bardziej. Dowiaduje się, że tym, który zlecił morderstwo, jest sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Wszystko dzieje się w roku wyborów, a aktorka miała zamiar napisać książkę o swoich romansach ze sławnymi mężczyznami.

– W Oklahomie na pewno to kupią.

– W Chicago i Nowym Jorku też. Tam mają dość zapędów rządu, który chce wsadzać nos we wszystko. A bohater wzbudzi sympatię widzów.

Wes roześmiał się.

– Kiedy zaczynamy?

I tak umówiliśmy się na zrobienie *Straconych szans*.

Ogarnęło mnie podniecenie, które trwało przez cały wieczór. Ale po kolacji, gdy Wes odjechał na motorze, Jill ostudziła mój zapał.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co mówił o Oklahomie, ojcu, który odszedł, alkoholizmie matki i jej śmierci na raka, przybranych rodzicach...

– Zauważyłem, że cię to zaniepokoiło...

– No jasne. Ty jesteś tak pochłonięty myśleniem o scenariuszu, że nie dostrzegasz najoczywistszych rzeczy.

Odłożyłem miskę do zmywarki.

– A mianowicie?

– Wes pochodzi z Indiany. Jest znajdą, wychował się w sierocińcu. Nie opowiedział ci o swoim dzieciństwie.

– A czym?...

Jill popatrzyła na mnie bez słowa.

– Jezu Chryste. On mówił o Deaconie.

Poczułem się tak, jakbym ujrzał obrzydliwą kukielkę wyskakującą z pudełka. Fizyczne podobieństwo Wesa do Deacona było dziełem przypadku lub darem Opatrzności, ale reszta – maniery, ubranie, głos – została starannie dopracowana. Wiem, co myślicie: że sam sobie zaprzeczam. Przy naszym pierwszym spotkaniu odniosłem wrażenie, że jego zachowanie jest zbyt naturalne, aby mogło być wynikiem świadomego naśladownictwa. A kiedy zobaczyłem zdjęcia próbne młodego aktora, identyczne ze sceną Deacona w stodole z *Syna marnotrawnego*, nie chciałem uwierzyć, że Wes bezwstydnie ją powtórzył. Wydawała się zbyt naturalna jak na imitację. Odczytałem ją jako hołd złożony ekranowemu idolowi.

Ale w końcu dotarło to do mnie: Wes naprawdę naśladował Deacona. Jednak to, co robił, wykraczało poza konwencję naśladownictwa. Osiągnął najwyższy cel, jaki stawiają sobie wyznawcy metody aktorskiej. On nie grał roli, nie udawał Deacona: on się nim stał. Tak głęboko wszedł w rolę, którą z początku bez wątplenia świadomie odgrywał, że całkowicie się z nią utożsamił. Istniało tylko nazwisko Wesa Crane'a. Dzieciństwo, myśli, osobowość nie były już jego. Należały do człowieka, który od dawna nie żyje.

– Co to ma być, do ciężkiej cholery? – spytałem. – *Trzy twarze Ewy? Sybilla?*

Jill zerknęła na mnie nerwowo.  
– Byle nie *Psychopata*.

Co miałem zrobić? Powiedzieć Wesowi, że potrzebuje fachowej pomocy? Przeprowadzić z nim głęboką, szczerą rozmowę i pozbawić iluzji? Jill i ja nie mieliśmy żadnych dowodów na poparcie naszej teorii, a poza tym Wes nie był niebezpieczny. Wręcz przeciwnie: miał nienaganne manieri, mówił zawsze łagodnym tonem, żartował. Poza tym aktorzy uciekają się do rozmaitych sposobów, aby nastawić się do roli. Są ekscentryczni z natury. Pomyślałem, że najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić, jest czekać i obserwować rozwój sytuacji. Mieliśmy zacząć kręcenie drugiego filmu, nie było więc sensu robić zamieszania. A jeśli jego złudzenia przybiorą destrukcyjny charakter...

Na planie z pewnością nie sprawiał kłopotów. Zjawiał się pół godziny przed rozpoczęciem swojej sceny; znał swoje kwestie, spędził kilka wieczorów i weekendów na próbach z innymi aktorami, nie żądając za to wynagrodzenia. Nawet wiceprezes przyznawał, że zdjęcia wypadają znakomicie.

Jedynym niepokojącym sygnałem była jego mania wyścigów samochodowych i motocyklowych. Producent omal nie dostał apopleksji, gdy usłyszał wysokość stawki ubezpieczeniowej.

– Wes jest młody, musi odreagować – powiedziałem. – Pracuje pod olbrzymią presją.

To samo mogłem powiedzieć o sobie. Miałem budżet dwadzieścia pięć milionów i nie zamierzałem wszystkiego zepsuć wpędzając gwiazdora mojego filmu we frustrację.

W połowie zdjęć Wes podszedł do mnie i powiedział:

– Widzisz, tym razem się nie wygłupiam.

– Doceniam to – odparłem. Co on miał na myśli mówiąc: „Tym razem?”

Pewnie myślicie, że mogłem zmienić bieg wypadków, gdybym bardziej dbał o Wesa niż o film. Ale ja naprawdę troszczyłem się o niego. Przekonać się o tym. Moje wysiłki nie miały znaczenia. To, co się stało, było nieuniknione jak w greckiej tragedii.

*Stracone szanse przebiły Najemników*. Wpływy ze sprzedaży filmu na całym świecie wyniosły dwieście milionów dolarów. Tygodnik „Variety” przewidywał jeszcze większe zyski za następny film. Następny, a więc nasz trzeci. Jakiś głos wewnętrzny przypominał mi jednak, że dla Deacona trójka okazała się feralną liczbą.

Wyszedłem z konferencji w wytwórni i skierowałem się do mojego nowego ferrari stojącego na wydzielonym parkingu dla szefów wytwórni. Na-

gle usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu. Odwróciłem się. W moją stronę biegł długowłosa mężczyzna z brodą, ubrany w poncho i sandały, ze sznurami koralików na szyi. Ciekawe, co nosi pod tym ponchem, jeśli w ogóle coś nosi, pomyślałem.

Rozpoznałem go: to był Donald Porter, przyjaciel Deacona, który zagrał małą rolę w *Jedynym prawie* i podkładał głos aktora w postsynchronach. Porter był już po czterdziestce, ale ubierał się tak, jakby lata sześćdziesiąte nigdy się nie skończyły i hipisi nadal istnieli. Wyreżyserował i zagrał główną rolę w młodzieżowym filmie dwadzieścia lat temu, w którym było dużo narkotyków, rock and rolla i seksu. Chciał założyć własną wytwórnię w Santa Fe, ale po klapie drugiego filmu zniknął ze sceny, a potem wrócił i zaczął grać role charakterystyczne. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego strażnicy przepuścili go w takim stroju. Zналиśmy się, bo kiedyś poprawiałem scenariusz programu telewizyjnego, w którym brał udział. Miałem niemiłe przeczucie, że przyszedł prosić mnie o rolę.

– Dowiedziałem się, że tu jesteś, więc poczekałem – zaczął.

Zerknąłem na jego gołe kościste nogi wyglądające spod poncha.

Zauważył moje spojrzenie.

– Dziwi cię mój kostium? Gram w programie telewizyjnym *Odjazdowy kwaśny koncert elektryczny na zimno*, który właśnie tu kręca.

Skinąłem głową.

– Książka Toma Wolfe’a o Kenie Keseyu. Tylko mi nie mów, że grasz...

– Nie, za stary jestem na Keseya. Gram Neala Cassidy. Po rozstaniu z Kerouakiem zakumpłował się z Keseyem. Prowadził autobus, którym jeździła cała ich paczka. Wszystko bujda, stary. Cassidy nigdy się tak nie nosił. Ubierał się jak Deacon. A właściwie Deacon ubierał się tak jak on.

– Fajnie. Cieszę się, że wszystko u ciebie w porządku. – Odwróciłem się w stronę samochodu.

– Zaczekaj. Nie o tym chciałem mówić. Wes Crane. Rozumiesz?

– Nie...

– Deacon. Daj spokój, nie mów mi, żeś nie zauważył. Podkładałem głos Deacona, byłem jego przyjacielem. Nikt nie znał go lepiej ode mnie. Ale głos Crane’a bardziej przypomina głos Deacona niż mój.

– No i co?

– To niemożliwe.

– Że on jest lepszy?

– Coś o wiele gorszego, stary. Sam to przeczuwasz w głębi duszy. Muszę ci powiedzieć, ale nie chcę, żebyś myślał, że jestem nagrany. Szczypta trawki, to wszystko. – Oczy Portera błyszczały. – Interesuję się horoskopami. Astrologia, gwiazdy, wiesz. To pasuje do aktora filmowego, nie? Gwiazdy. One mówią prawdę.

– Jeśli tak uważasz.

– No to posłuchaj. Chciałem się przekonać na własne oczy, więc dowiedziałem się, gdzie mieszka. Ale nie pojechałem tam. A wiesz, dlaczego? – Nie dał mi czasu na odpowiedź. – Nie musiałem. Rozpoznałem adres. Byłem tam setki razy. Deacon mieszkał w tym samym domu.

Wzdrygnąłem się.

– Zmieniasz temat. Co to ma wspólnego z horoskopami i astrologią?

– Data urodzin Crane’a.

– To znaczy?

– Urodził się w dniu śmierci Deacona.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wstrzymałem oddech.

– I co z tego?

– Nie wciskaj mi kitu, stary. Chyba nie wierzysz, że to przypadek. Wszystko jest zapisane w gwiazdach. Wiesz, jak to się skończy. Crane to twój chleb i woda. Ale wszystko przepadnie za cztery miesiące.

Nie musiałem pytać, co się stanie.

– Nadchodzą urodziny Crane’a. Rocznica śmierci Deacona.

Takich zbieżności było więcej. Wes miał wtedy skończyć dwadzieścia trzy lata, a więc dokładnie tyle, ile miał Deacon, gdy zginął. Będziemy kończyć trzeci film, i to w tych samych plenerach, gdzie kręcono zdjęcia do ostatniego filmu Deacona...

Robiliśmy film na podstawie mojego scenariusza zatytułowany *W ogniu walki* – o młodym chłopaku pochodzącym z trudnego środowiska, który wraca jako nauczyciel do dzielnicy, gdzie się wychował. Miejscowy gang uliczny prześladowuje bohatera i jego żonę tak długo, aż nauczyciel – który kiedyś sam stał na czele podobnej bandy – staje przeciwko młodocianym bandytom, wracając tym samym do tego, od czego uciekł.

Wes zaproponował, żeby w bohaterze odrodziła się dawna fascynacja motocyklami. Muszę przyznać, że pomysł miał wartość komercyjną, bo zamiłowanie Wesa do wyścigów motocyklowych było powszechnie znane. Jednocześnie nie mogłem się pozbyć obaw, zwłaszcza że należało, aby do niebezpiecznych scen nie angażować kaskaderów.

W żaden sposób nie mogłem go od tego odwieść. Odniosłem wrażenie, że wzorowe zachowanie podczas kręcenia dwóch poprzednich filmów okazało się dla niego zbyt wielkim wysiłkiem, i teraz popadł w drugą skrajność: spóźniał się na zdjęcia, pił na planie, pozwalał sobie na kosztowne psikusy. Kiedyś zapalił sztuczne ognie i spowodował pożar w przyczepie, gdzie znajdowały się garderoby.

Wszystko to wyglądało tak, jakby prostą drogą zmierzał ku samozagładzie. Zidentyfikował się z Deaconem tak bardzo, że gotów był doprowadzić tę grę aż do śmierci.



I tak samo jak jego idol w ostatnim filmie, Wes wyglądał bardzo mizer-  
nie. Miał zapadnięte policzki i niepewne spojrzenie, przygarbił się z niedo-  
żywienia i braku snu. Zdjęcia wypadają beznadziejnie.

– Jak skłonimy widzów, żeby obejrżeli tę chałę? – spytał wiceprezes  
wytwórni.

– Będę musiał omijać go kamerą. Ograniczę się do kontrując w scenach  
dialogowych.

– To brzmi znajomo – powiedziała Jill.

Wiedziałem, co ma na myśli. Upodobiłem się do reżysera *Złamanych  
obietnic*, na którym nie zostawiłem suchej nitki.

– Nie możesz jakoś nad nim zapanować? – spytał producent.

– To bardzo trudne. Wes nie jest ostatnio sobą.

– Jeśli ty nie umiesz, to może ktoś inny sobie z nim poradzi. Ta zabawa  
kosztuje nas czterdzieści milionów.

Aż się we mnie zagotowało. Już miałem mu powiedzieć, żeby sobie we-  
tknął te czterdzieści milionów, gdy...

Raptem uświadomiłem sobie, że Walt daje mi do ręki broń. Wyprostowa-  
łem się.

– Nie denerwuj się. Daj mi tydzień. Jeśli Wes się nie poprawi, wtedy  
sam zrezygnuję.

– Świadkowie słyszeli, co powiedziałaś. Tydzień, ani dnia dłużej.

Nazajutrz rano czekałem na Wesa w przyczepie. Jak zwykle spóźnił się  
na pierwsze ujęcie.

Stanął w drzwiach garderoby i zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

– Czyżby przysłała pora na nauki? – Potrząsnął głową. – Ale to ja gram  
nauczyciela w tym filmie... Jak się ten gniot nazywa, bo zapomniałem?

– Wes, chcę z tobą porozmawiać.

– Dobrze się składa, bo ja też. Pozwolisz, że napiję się piwa?

Zatrzasnął za sobą drzwi i skierował się do lodówki.

– Postaraj się myśleć trzeźwo. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Jasne, jasne. – Otworzył puszkę i przychylił do ust, stojąc przy lodów-  
ce. – Ale najpierw chcę cię prosić o przysługę.

– Zależy jaką.

– Właściwie to ja nie muszę prosić. Mogę robić, co mi się podoba. Sta-  
ram się tylko być uprzejmy.

– O co chodzi?

– W poniedziałek są moje urodziny. Chcę wziąć wolny dzień. Koło So-  
nora odbywają się wyścigi. Potrzebuję długiego weekendu. Muszę od tego  
wszystkiego odpocząć.

Pociągnął łyk piwa.

– Mieliśmy kiedyś umowę.  
Skrzywił się. Piwo wylało mu się na brodę.  
– Ja piszę scenariusze i reżyseruję. Ty grasz. Albo razem, albo w ogóle.  
– Tak. I co z tego? Ja dotrzymałem umowy.  
– Wytwórnia dała mi tydzień, żebym doprowadził cię do porządku. Jeśli nie, wylatuję.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Powiem im, że nie będę grał, jeśli ty odejdziesz.  
– To nie jest takie proste, Wes. Nie zależy im już na tobie tak jak kiedyś.  
Tracisz swoje atuty. Pamiętasz, co ci się podobało w naszej współpracy?

Zakołysał się na nogach.

– Chciałeś mieć przyjaciela. Takiego, który powstrzymałby cię przed powtórzeniem starych błędów. Tak to nazwałeś. A więc właśnie ci to mówię, Wes. Partaczysz.

Skończył piwo i zgniótł puszkę.

– Bo chcę wziąć dzień wolnego w swoje urodziny? – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Nie. Dlatego, że pomyliły ci się role. Nie jesteś Jamesem Deaconem. A ty uparłeś się, żeby nim być i w poniedziałek zginąć w wypadku.

Wes zamrugał powiekami. Ale po chwili roześmiał się szyderczo.

– A ty co, zostałeś jasnowiedzem?

– Samozwańczęm psychiatrą. Nieświadomie dążysz do tego, żeby dopełnić legendy. Swoją grą dowiodłeś, że potrafisz to zrobić.

– Powiedziałem ci już, że nie lubię, jak ktoś mi wciska kit!

– A więc udowodnij to. W poniedziałek nie zbliżaj się do motoru, samochodu ani nawet gokarta. Przyjdź trzeźwy na plan i pracuj, jak należy. Pojedziemy do mnie, ja poprowadzę. Urządzimy małe przyjęcie. Tylko ty, ja i Jill. Obiecała przygotować twoją ulubioną potrawę: żeberka z fasolką i kukurydzą. Będzie też domowy tort i czekolada. Wszystko to, co lubisz. Zapalimy sztuczne ognie, później zostaniesz u nas na noc. A rano zapomnimy o legendzie Jamesa Deacona...

– Że niby co?

– Możesz osiągnąć to, co jemu nigdy się nie udało.

Wes popatrzył na mnie niepewnie.

– Ale możesz też pojechać na wyścig, zabić się i złamać obietnicę, którą mi dałeś. Mieliśmy pracować razem, ty i ja. Nie wycofuj się teraz.

Zadrzał, jak ktoś, kto jest bliski załamania.

W filmie byłyby to kulminacyjny moment akcji: bohater nie jedzie na wyścig, urządzamy kameralne przyjęcie; on siedzi niemal bez słowa, a później kładzie się spać w gościnnym pokoju.

I nie ginie.

Ale stało się inaczej. We wtorek po urodzinach nie pamiętał swoich kwestii, nie umiał ustawić się do kamery ani panować nad głosem. W środę było jeszcze gorzej.

Jedno muszę Wesowi przyznać. W swoje urodziny, w rocznicę śmierci Deacona, zjawił się na planie absolutnie trzeźwy. Dotrzymał naszej umowy i zagrał tak, jak nigdy wcześniej. To było aktorstwo najwyższej próby. Często oglądałem te sceny i ciągle nie mogę wyjść z podziwu.

Zdjęcia były tak doskonałe, że producent pozwolił mi dokończyć film.

Nigdy się nie dowiedział, jak sztukowałem resztę. W ciągu jednej nocy Wes stracił całą technikę gry. Ale ja miałem już tyle nakręconego materiału, że mogłem przystąpić do montażu. Trzeba było dużo zręcznych cięć i kosztownej pomocy Donalda Portera, którego nazwisko nie znalazło się jednak w napisach końcowych filmu. To właśnie on podkładał głos Wesa w finałowym dialogu.

– Mówiłem ci. Horoskopy, astrologia – rzucił Donald na odchodnym.

Nie wierzyłem mu, dopóki nie zaniósłem czterech scen do znajomego dźwiękowca, który specjalizuje się w komputerowym przetwarzaniu nagrań i tworzeniu ich wykresów graficznych.

Rozłożył przede mną kartki.

– Ktoś z ciebie zakpił albo ty chcesz się zabawić moim kosztem.

Musiałem się złapać stołu, żeby nie upaść.

– W jaki sposób?

– Drugie nagranie jest podobne do głosu Deacona z *Syna marnotrawnego*. Ale trzecie w niczym go nie przypomina.

– Więc na czym miałby polegać żart?

– Głos na czwartej taśmie pasuje do oryginału jak ulał. No więc kto jest tym żartownisiem?

Na pierwszej taśmie nagrany był głos Deacona, a na drugiej Donalda Portera dubbingującego Wesa w scenach z naszego filmu *W ogniu walki*. Trzecia taśma zawierała nagranie głosu Wesa w tym samym filmie po tym, jak zatracił technikę gry.

A czwarty fragment, w którym głos ponad wszelką wątpliwość brzmiał identycznie z głosem Deacona? To też był Wes, ale w nagraniu ze swoich zdjęć próbnych. W scenie z *Syna marnotrawnego*.

Wes zniknął. Stracił doszczętnie technikę aktorską, a wraz z nią szansę na to, aby zostać gwiazdą. Dzwoniłem do niego, ale nikt nie odbierał. Pojechałem więc do jego domu na skraju pustyni; jak się później okazało, przedostatni raz. Obdartusy wyglądające jak banda Mansona gdzieś zniknęły. Przed gankiem stał tylko jeden motocykl. Wszedłem po schodach i zapukałem. Nikt nie odpowiadał, więc popchnąłem drzwi.

Zasłony były zaciągnięte; mieszkanie tonęło w półmroku. Poszedłem dalej korytarzem. Usłyszałem ciężki oddech i otworzyłem drzwi po prawej stronie.

Dyszenie stało się głośniejsze.

– Wes?

– Nie zapalaj światła.

– Martwię się o ciebie, przyjacielu.

– Nie...

Nacisnąłem włącznik. I omal nie zwymiotowałem.

Wes leżał na fotelu. A właściwie należałoby powiedzieć, że rozkładał się na nim. Fizycznie się rozpadał. Gnił. Zęby prześwitwały przez dziury w policzkach. Na podłodze wokół fotela ciemniała plama cuchnąca jak zbutwiała warzywa.

– Szkoda, że nie pojechałem na wyścig w dniu moich urodzin, co? – Syczący, ledwie słyszalny głos dobywał się przez ziejącą ranę w gardle.

– O Boże. – Rozpłakałem się. – Nie powinienem był cię powstrzymać.

– Zrobisz coś dla mnie? Zgas światło. Chcę to skończyć w spokoju.

Tyle miałem mu do powiedzenia. Ale nie byłem w stanie, bo serce mi pękało.

– Przyjacielu – powiedział. – Chyba musisz zapomnieć o naszej umowie. Nigdy więcej nie będziemy razem pracować.

– Jak mogę ci pomóc? Na pewno jest coś, co mogę zrobić...

– Owszem. Pozwól mi skończyć tak, jak chcę.

– Posłuchaj...

– Odejdź – rzekł Wes. – Nie mogę znieść twojej obecności tutaj. Rani mnie litość w twoim głosie.

– Jesteśmy przyjaciółmi, zależy mi na tobie...

– Dlatego wiem, że spełnisz moją prośbę. – Z dziury w gardle wydobył się przeciągły świst. – Zostaw mnie.

W ciemności słychać było jeszcze inny dźwięk: kropel cieczy spadających z ciała Wesa na podłogę.

– Sprowadzę lekarza. Na pewno jest jakiś sposób...

– Już tu był. Zrobił swoje. Żaden lekarz nie wyleczy mnie z tego, co mi dolega. A teraz, jeśli możesz...

– Tak?

– Nie zapraszałem cię. Wynoś się.

Odczekałem dłuższą chwilę.

– Jasne.

– Kocham cię – powiedział.

– ...kocham cię.

Wytoczyłem się z domu i zbiegłem po schodach. Promienie słońca oślepiły mnie. W moich nozdrzach pozostał nieznośny smród. Zwymiotowałem.

Następnego dnia pojechałem tam znowu. Ostatni raz. Jill postanowiła mi towarzyszyć. Wes zniknął. Nigdy się nie dowiedziałem, dokąd poszedł.

I tak skończyła się kariera Wesa. Jego talent rozplynął się, lecz determinacja przetrwała.

Filmy, nieśmiertelność.

Efekty specjalne są drogie. Wytwórnice chwytają się wszelkich sposobów, żeby obniżyć ich koszty.

Wes powiedział: „Musisz zapomnieć o naszej umowie”. Dopiero później dowiedziałem się, co miał na myśli. Zagrał w jeszcze jednym filmie, którego ja nie reżyserowałem. Jednak jego nazwiska nie było w napisach końcowych. Film nosił tytuł *Zombie z piekła rodem*. Czy pamiętacie, jak wyglądał Bela Lugosi w swoim ostatnim filmie, zanim pogrzebano go w pelerynie Draculi?

Otóż Bela Lugosi wyglądał kwitnąco w porównaniu z Wesem. Razem z Jill obejrzelśmy ten film w multipleksie. Z pewnością na siebie zarobił. Ledwo udało nam się zdobyć bilety.

Oboje się popłakaliśmy.

To przeklęte miasto. Przy robieniu filmu można się tu posunąć do najgorszego świństwa, i nikogo to nie obchodzi. Byleby tylko zapłacić widownię.

Ludzie piszczeeli z zachwytu, kiedy Wes zbliżył się do głównej bohaterki. I w tym momencie odpadła mu szczęka.

# Pomarańczowy to cierpienie, niebieski to obłęd

*W rok po publikacji poprzedniego opowiadania, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, podjąłem decyzję, która zaskoczyła wszystkich, także mnie samego. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, gdy zacząłem wykładać literaturę amerykańską na Uniwersytecie Stanu Iowa, moja kariera naukowa rozwijała się świetnie. Zdobyłem tytuł profesora. Lubiłem to zajęcie. Sprawiało mi przyjemność obcowanie z młodymi ludźmi, którzy pragną się uczyć. Przez szesnaście lat przyzwyczałem się do stymulującego oddziaływania środowiska naukowego.*

*Pewnego ranka zbudziłem się ze świadomością, że nie mam już dość energii do wykonywania z pełnym poświęceniem dwóch zawodów. Od bardzo dawna pracowałem siedem dni w tygodniu. Aby pogodzić obowiązki wykładowcy z pisaniem, musiałem często wstawać przed świtem i kłaść się spać, kiedy moi bliscy dawno leżeli w łóżku. W moim świecie nie starczało miejsca na wolny dzień lub weekend. Nauczanie było moją miłością, pisarstwo pasją, ale gdy w końcu zmogło mnie zmęczenie, nikt nie mógł mieć wątpliwości, co wybierze „łagodny nauczyciel o umyśle pełnym krwawych wizji”, bo tak nazwał mnie jeden z krytyków. Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku zrezygnowałem z pracy na uczelni.*

*Okres przystosowania okazał się bolesny. Praca na uczelni stanowiła przecież istotną część mojego życia dłużej niż mieszkałem w Iowa, bo od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, kiedy zacząłem studia doktoranckie na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. Choć mogłem sobie teraz pozwolić na luksus pisania bez ograniczeń, nadal ciągnęło mnie do klasy i uczniów. Często rozważa-*

tem powrót do pracy pedagogicznej. Jednak w ciągu kilku miesięcy zarówno pisanie, jak i praca przestały być ważne.

W styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku lekarze wykryli u naszego syna raka kości. Od tego dnia aż do jego śmierci, która nastąpiła w czerwcu, moje życie zmieniło się w koszmar. Cierpiałem razem z nim, aż znalazłem się na krawędzi szaleństwa. Powtarzałem sobie, że to nie może być prawda. Ale niestety była to rzeczywistość, i zapragnąłem od niej uciec. Siedząc w sali intensywnej terapii obok nieprzytomnego Matta, którego ciało niemal doszczętnie zniszczyły leki, ze zdumieniem spostrzegłem, że trzymam w dłoniach powieść Stephena Kinga. Stephen to mój przyjaciel. Znał Matta i przysyłał mu listy oraz kasyety z muzyką rockową, żeby choć w ten sposób pomóc mi zapomnieć o cierpieniu. Mimo to zdawało mi się dziwne, że w samym środku horroru dziejącego się naprawdę czytam horror wymyślony. Przypomniałem sobie listy czytelników opisujących swoje życiowe tragedie: śmierć bliskich, rozpad małżeństw, utratę pracy, pożary, wypadki samochodowe. Często dowiadywałem się, że moje książki pomogły tym ludziom przetrwać noc. Jak powiedział John Barth, którego twórczości poświęciłem swoją pracę doktorską: „Rzeczywistość to przyjemne miejsce, które dobrze czasem odwiedzić, ale raczej nie chciałoby się w nim zamieszkać”.

Takie myśli przelatywały mi przez głowę, gdy inny z moich przyjaciół, Douglas Winter, wszechstronnie utalentowany pisarz, krytyk literacki, redaktor i adwokat, zwrócił się do mnie z prośbą o opowiadanie do antologii, którą właśnie opracowywał, zatytułowanej Prime Evil (Pierwotne zło). Pisanie było wówczas ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, a mimo to Douglas zdołał mnie namówić. W przerwach między wizytami u Matta napisałem nowelę, którą tu przedstawiam. Zainspirowała mnie do tego fascynacja malarstwem Vincenta van Gogha. Utwór o szaleństwie pozwolił mi uchronić się przed nim. Stowarzyszenie Twórców Literatury Grozy przyznało mu nagrodę za najlepsze opowiadanie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

**D**zieła Van Dorna budziły kontrowersje, to nie ulega wątpliwości. Skandal wywołany przez jego obrazy wśród paryskich artystów pod koniec dziewiętnastego wieku przeszedł do legendy. Odrzuciwszy konwencje i uznane teorie, Van Dorn sięgał do korzeni rzemiosła, któremu poświęcił duszę. Kolor, kompozycja, faktura. Kierując się wybranymi przez siebie zasadami, malował portrety i pejzaże tak śmiało i odkrywcze, że modele i krajobrazy wydawały się jedynie pretekstami, dla których Van Dorn nakładał farbę na płótno. Barwne, przepelnione pasją plamy, grube na kilka milimetrów, wyglądające czasem jak płaskorzeźby, potrafiły tak zawładnąć wyobraźnią odbiorcy, że przedstawione osoby lub sceny schodziły na plan dalszy wobec techniki.

Impresjonizm, kierunek awangardy malarskiej dominujący u schyłku dziewiętnastego wieku, imitował tendencję ludzkiego oka do postrzegania krawędzi przedmiotów w postaci rozmytych plam. Van Dorn poszedł o krok dalej i podkreślił tę właściwość jeszcze bardziej: u niego przedmioty łączyły się, zlewały w wielobarwne plamy. U Van Dorna gałęzie drzewa zamieniały się w długie wypustki materii sięgające nieba i trawy, a emanacje nieba i trawy sięgały do drzewa. Wszystko to spletało się w jeden wielki wir. On zwracał się nie do iluzji stwarzanej przez światło, lecz do samej rzeczywistości, a w każdym razie do swojego jej rozumienia: jego technika pokazywała, że drzewo jest niebem, trawa drzewem, a niebo trawą. Wszystko jest jednością.

Ówczesni teoretycy malarstwa tak jednomyślnie potępili twórczość Van Dorna, że za płótno, które malował przez kilka miesięcy, nie mógł kupić nawet posiłku. Ciągła frustracja doprowadziła go w końcu do załamania nerwowego. Z powodu wielokrotnych samookaleczeń odsunęli się od niego dawni przyjaciele Cezanne i Gauguin. Umarł w nędzy i zapomnieniu. Dopiero po trzydziestu latach, w drugiej dekadzie dwudziestego wieku, dostrzeżono w jego obrazach dzieła geniusza. W latach czterdziestych powstała bestsellerowa powieść o pełnym udreki życiu Van Dorna, a w latach pięćdziesiątych w Hollywood nakręcono widowiskowy film na jej podstawie. Teraz nawet za najnowsze z dzieł Van Dorna kolekcjonerzy muszą płacić co najmniej trzy miliony dolarów.

Sztuka, sztuka.

Wszystko zaczęło się od spotkania Myersa z profesorem Stuyvesantem.

– Zgodził się, choć nie bez oporów.

– Dziwne, że w ogóle się zgodził – zauważyłem. – Stuyvesant nie cierpi postimpresjonistów, a zwłaszcza Van Dorna. Dlaczego nie zwróciłeś się do kogoś innego, na przykład starego Bradforda?

– Ponieważ reputacja naukowa Bradforda nie jest warta funta kłaków. Nie widzę sensu pisania pracy doktorskiej, jeśli nie ma ona szans na publikację, a nazwisko słynnego promotora może wzbudzić zainteresowanie wydawcy. Poza tym, jeśli zdołam przekonać Stuyvesanta, przekonam każdego.

– Przekonać o czym?

– To samo pytanie zadał Stuyvesant – powiedział Myers.

Pamiętam tę chwilę bardzo dokładnie. Myers wyprostował długie ciało, poprawił okulary na nosie i zmarszczył czoło tak mocno, że jego kręcone włosy niemal dotknęły brwi.

– Mimo całej swojej niechęci do Van Dorna, Stuyvesant spytał... aż mnie trzęsie na myśl o tym nadętym durniu... dlaczego chcę poświęcić rok na pi-



sanie pracy o artyście, o którym powstały niezliczone książki i artykuły. Nie lepiej postawić na nieznanego, lecz obiecującego neoekspresjonistę? Naturalnie, zaproponował jednego ze swoich faworytów.

– Jasne. Pewnie tego, o którym myślę.

Myers wymienił nazwisko.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Stuyvesant zbiera jego prace od pięciu lat. Ma nadzieję, że ich wartość wzrośnie na tyle, że kiedy je sprzeda po przejściu na emeryturę, będzie go stać na dom w Londynie. I co mu odpowiedziałeś?...

Myers otworzył usta, ale zawahał się. W zamyśleniu przeniósł wzrok na reprodukcję „Cyprysów w skalnym wąwozie” Van Dorna wiszącą na ścianie obok półki pełnej biografii malarza, analiz i albumów z reprodukcjami jego dzieł. Milczał przez chwilę, jak gdyby znajomy widok kartek zadrukowanych kolorami tak różnymi od niezrównanej palety odcieni oryginału i bogactwa ich faktury odebrał mu dech w piersiach.

– Co mu odpowiedziałeś? – powtórzyłem pytanie.

Myers odetchnął głęboko.

– Powiedziałem, że większość z tego, co krytycy napisali o Van Dornie, to brednie. Zgodził się z zastrzeżeniem, że jego obrazy nie zasługiwały na wiele więcej. Ja na to, że nawet wybitni krytycy nie sięgnęli istoty malarstwa Van Dorna. Umknęło im to, co najważniejsze.

– Co mianowicie?

– Takie było następne pytanie Stuyvesanta. Pamiętasz, że ciągle zapala od nowa fajkę, jeśli się niecierpliwi? Musiałem mówić szybko. Wyjaśniłem, że nie wiem dokładnie, czego szukam, ale w tym coś jest. – Wskazał reprodukcję. – Coś, czego nikt jeszcze nie zauważył. Van Dorn wspomniał o tym w swoim dzienniku. Nie wiem, co to jest, ale jestem pewien, że jego obrazy kryją w sobie jakąś zagadkę.

Myers spojrzał na mnie.

Uniosłem brwi.

– Jeśli nikomu nie udało się tego odkryć – powiedział – to rzeczywiście musi to być zagadka.

– Ale jeśli i ty nie zauważyłeś...

Myers ponownie zwrócił spojrzenie na reprodukcję. Gdy przemówił, w jego głosie usłyszałem podziw.

– Skąd wiem, że ona tam jest? Po prostu czuję ją, kiedy patrzę na obrazy Van Dorna.

Potrząsnąłem głową.

– Mogę sobie wyobrazić, co ci odpowiedział Stuyvesant. Ten facet patrzy na sztukę jak na figurę geometryczną, w której nie ma żadnej tajemnicy...

– Stwierdził, że jeśli interesuję się mistyką, powinienem studiować religioznawstwo, a nie malarstwo. I dodał, że jeżeli potrzebuję sznura, żeby po-

wiesić na nim swoją karierę, to chętnie mi go poda. Powiedział jeszcze, że ma otwarty umysł i niesłychanie to sobie ceni.

– Bardzo śmieszne.

– Wierz mi, on nie żartował. Zawsze doceniał Sherlocka Holmesa. Powiedział, że jeśli odkryłem tajemnicę i czuję się na siłach ją rozwiązać, to ze wszech miar powinienem to zrobić. Uśmiechnął się protekcyjnie i dodał, że wspomni o tym na dzisiejszym seminarium.

– Więc w czym problem? Osiągnąłeś swój cel. Facet zgodził się zostać twoim promotorem. Czemu wyglądasz na rozczarowanego?

– Dzisiejsze seminarium nie odbyło się.

– Ach tak. Niezły numer.

Studiowaliśmy razem z Myersem na Akademii Sztuk Pięknych Stanu Iowa. To było trzy lata temu. Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, więc wynajęliśmy sąsiednie pokoje w starej kamienicy niedaleko uczelni. Właścicielka, stara panna, pasjami lubiła malować akwarele (trzeba dodać, że nie miała ani krzty talentu) i wynajmowała mieszkania tylko studentom akademii w zamian za lekcje malarstwa. Dla Myersa zrobiła wyjątek, bo on w przeciwieństwie do mnie nie był malarzem. Studiował historię sztuki. Większość malarzy tworzy intuicyjnie. Nie potrafiały werbalizować swoich artystycznych zamierzeń. Tworzywem Myersa natomiast były słowa, nie barwy. Jego improwizowane wykłady szybko sprawiły, że stał się ulubionym lokatorem właścicielki domu.

Jednak po tamtym dniu nie widywała go zbyt często. Ja zresztą też nie. Nie pojawiał się na zajęciach, na które obaj chodziliśmy. Zakładałem, że spędza większość czasu w bibliotece. Późną nocą, kiedy w szparze pod drzwiami jego pokoju widać było światło, pukałem, ale Myers nie otwierał. Zatelefonowałem do niego. Długo słyszałem przez ścianę przytłumiony dźwięk dzwonka.

Pewnego wieczoru, gdy długo dzwoniłem i już miałem odłożyć słuchawkę, Myers odebrał. Jego głos zdradzał wyczerpanie.

– Jeszcze trochę i nie poznamy się na ulicy – powiedziałem.

Zdziwił się.

– Przecież rozmawialiśmy parę dni temu.

– Chcesz powiedzieć, dwa tygodnie temu.

– O rany.

– Mam piwo. Napijesz się?

– Tak, czemu nie. – Westchnął. – Wejdz do mnie.

Nie wiem, co mnie bardziej zdziwiło, kiedy otworzył drzwi: wyglądał Myersa czy jego mieszkania.

Zacznę od niego. Zawsze był szczupły, ale teraz wyglądał jak tyczka. Koszulę i džinsy miał pomięte, włosy zmierzwił. Jego oczy nabiegły krwią. Nie golił się od dawna. Ręka mu drżała, kiedy sięgał po piwo.

Całe jego mieszkanie wypełnione było reprodukcjami dzieł Van Dorna. Zakrywały każdy centymetr ścian, kanapę, krzesła, telewizor i półki z książkami. A także zasłony, sufit i podłogę, na której została tylko wolna ścieżka. Ze wszystkich stron otaczały mnie wirujące słoneczniki, drzewa oliwne, łąki, nieba i strumienie. Poczuję się, jakbym został wessany. Rozmyte krawędzie obiektów przedstawionych na obrazach zlewały się ze sobą, a każdy obraz płynnie przechodził w sąsiedni. Zaniemówiłem, przytłoczony chaosem barw.

Myers pociągnął kilka razy z puszki. Zaniepokojony moją reakcją, szerokim gestem wskazał obrazy.

– Można powiedzieć, że pograżyłem się w pracy, co?

– Kiedy ostatnio jadłeś?

Myers wyraźnie się zmieszał.

– Tak myślałem. – Ścieżką między obrazami podszedłem do telefonu. – Pizza będzie na mój rachunek.

Zamówiłem największą w pobliskiej pizzerii. Okazało się, że nie dowożą piwa, ale miałem jeszcze cały kartonik w lodówce. Coś mi mówiło, że nam się przyda.

Odłożyłem słuchawkę.

– Myers, co ty, do cholery, wyrabiasz?

– Powiedziałem ci.

– Że pograżyłeś się w pracy? Daj spokój. Nie chodzisz na zajęcia, diabli wiedzą od jak dawna się nie kapałeś. Wyglądasz jak śmierć. Umowa ze Stuyvesantem nie jest warta aż tyle, żeby poświęcać dla niej zdrowie. Powiedz mu, że zmieniłeś plany. Wymyśl sobie łatwiejszy temat.

– Stuyvesant nie ma z tym nic wspólnego.

– A co ma, do cholery? Koniec nauki, początek magisterskiego bluesa?

Myers dopił piwo i sięgnął po następną puszkę.

– Niebieski to obłąd.

– Co?

– Taka jest prawidłowość. – Myers rozejrzał się. – Badałem obrazy chronologicznie. Im bardziej pogłębiała się choroba Van Dorna, tym częściej sięgał po błękit. Pomarańczowy to u niego kolor niepokoju, cierpienia. Jeśli porównać obrazy z historią jego załamań nerwowych opisanych w biografii, łatwo dostrzec, że częściej używał wtedy pomarańczowego.

– Myers, jesteś moim najlepszym przyjacielem, więc wybaczone, ale muszę powiedzieć, że cię kompletnie poniosło.

Wziął łyk piwa i wzruszył ramionami, jakby spodziewał się, że nie zrozumie.

– Posłuchaj mnie. Kod barw, związek między życiem emocjonalnym malarza i wykorzystaniem kolorów to brednie. Ja wiem o tym więcej od ciebie, bo jestem malarzem, a ty historykiem. Więc powiadam ci, że różni ludzie

różnie reagują na te same barwy. Zapomnijmy o teoriach autorów reklam, którzy twierdzą, że pewne kolory pomagają sprzedać produkt lepiej od innych. Wszystko zależy od kontekstu, od mody. Kolor modny w tym roku w następnym z niej wychodzi. Uczciwy artysta sięga po takie barwy, które najlepiej odpowiadają jego zamierzeniu. Interesuje go tworzenie, nie sprzedawanie.

– Van Dornowi pomogłoby, gdyby sprzedał parę obrazów.

– To jasne jak słońce. Biedny sukinkot nie dożył czasów, kiedy stał się modny. Ale że pomarańczowy to niepokój, a niebieski obłąd? Powiedz to Stuyvesantowi, a wyrzuci cię na zbity pysk.

Myers zdjął okulary i potarł grzbiet nosa.

– Nie czuję się najlepiej. Może masz rację, że przesadzam...

– Nie może, tylko na pewno. Potrzeba ci jedzenia, kąpieli i snu. Malarstwo to połączenie kolorów i kształtów, które albo przypadną publiczności do gustu, albo nie. Artysta podąża za głosem instynktu, wykorzystuje techniki, które najlepiej opanował i stara się to robić jak najlepiej. Jeśli w obrazach Van Dorna kryje się jakiś sekret, na pewno nie jest nim tajemny szyfr barw.

Myers skończył pić drugie piwo. Zamrugał zmęczonymi oczami.

– Wiesz, czego się wczoraj dowiedziałem?

Potrząsnąłem głową.

– Krytycy, którzy poświęcili się analizie dzieł Van Dorna...

– Co z nimi?

– Postradali zmysły tak jak on.

– Co takiego? Nie ma mowy. Czytałem ich prace. Są tak samo nudne i konwencjonalne jak elaboraty Stuyvesanta.

– Masz na myśli krytyków głównego nurtu, którzy trzymali się utartych, bezpiecznych szlaków. Ja mówię o wybitnych, odkrywczym badaczach. Ich geniusz nie zdobył uznania, tak jak obrazy Van Dorna.

– Co się z nimi stało?

– Cierpieli. Tak samo jak Van Dorn.

– Skończyli w szpitalu dla nerwowo chorych?

– A jeśli gorzej?

– No więc?

– Podobieństwa są zdumiewające. Każdy z nich próbował malować.

W stylu Van Dorna. I tak jak on wszyscy wykłuli sobie oczy.

Wydaje mi się, że to oczywiste: Myers należał do tak zwanych zapaleńców. Nie mam tu na myśli nic złego. Między innymi właśnie dlatego go lubiłem, że tak łatwo ponosiła go pasja. I miał wyobraźnię. Obcowanie z nim nigdy nie było nudne. Uwielbiał przygody intelektualne, nauka była jego żywiołem. Jego zapał udzielał się i mnie.

A muszę przyznać, że potrzebowałem inspiracji. Nie byłem złym malarzem, o nie. Ale nie byłem też wielkim. Zbliżając się do końca studiów, z bólem uświadomiłem sobie, że moje prace zasługują najwyżej na miano interesujących. Nie chciałem się do tego przyznać, ale prawdopodobnie skończyłbym w jakiejś agencji reklamowej.

Jednak tej nocy wyobraźnia Myersa przeraziła mnie, zamiast zainspirować. Ten facet wpadał z jednej fascynacji w drugą: El Greco, Picasso, Pollock. Na punkcie każdego z nich dostawał niemal kręćka, by zaraz o nim zapomnieć i znaleźć sobie następnego idola. Kiedy zaczął wielbić Van Dorna, pomyślałem, że to tylko kolejne zauroczenie.

Ale malarski chaos, który ujrzałem w mieszkaniu Myersa, przekonał mnie, że to coś innego. Sceptycznie podchodziłem do jego wiary w zagadkę kryjącą się w malarstwie Van Dorna. Wielkiej sztuki nie sposób wytłumaczyć. Można poddać analizie technikę, opisać kompozycję, ale zostaje zawsze jakaś tajemnica, której nie da się wyrazić słowami. Geniuszu nie da się uchwycić w regułę. Zdawało mi się więc, że słowem „zagadka” Myers określa właśnie to, czego nie można opisać.

Zdumiałem się, kiedy to do mnie dotarło: on naprawdę wierzył, że Van Dorn miał jakiś sekret. A wyraz jego oczu naprawdę mnie zaniepokoił. Wzmianka o szaleństwie malarza i krytyków nasunęła mi myśl, że Myers wpadł w depresję. I jeszcze te wykłute oczy.

Siedziałem u niego do piątej rano, próbując go uspokoić i przekonać, że potrzebuje kilku dni odpoczynku. Wypiliśmy sześć piw, które przyniosłem na początku, sześć, które były jeszcze w lodówce, i następnych sześć, które kupiłem od znajomego studenta na korytarzu. O świcie, nim Myers zamknął oczy, a ja powlokłem się do siebie, wymamrotał, że mam rację. Obiecał, że jutro zadzwoni do rodziców i poprosi o pieniądze na bilet lotniczy do domu w Denver.

Obudziłem się dopiero późnym popołudniem. Zły na siebie, że opuściłem zajęcia, powlokłem się do prysznicza. W ustach miałem jeszcze smak wczorajszej pizzy. Nie zdziwiłem się, gdy Myers nie odebrał telefonu. Pewnie czuje się nie lepiej ode mnie. Zacząłem się martwić dopiero po zachodzie słońca, gdy zadzwoniłem, a potem zapukałem do jego drzwi. Były zamknięte, więc zszedłem na dół do gospodyni po klucz. Wtedy zauważyłem kartkę w mojej przegródce na listy.

*Zrobiłem, jak powiedziałem. Potrzebuję odpoczynku. Pojechałem do domu. Skontaktuję się z Tobą. Trzymaj się ciepło, maluj dobrze. Kocham Cię, stary. Twój przyjaciel na zawsze,*

*Myers*

Ścisnęło mnie w gardle. Myers nigdy więcej nie wrócił. Zobaczyłem go jeszcze dwukrotnie: raz w Nowym Jorku i raz ...

Zacznijmy od Nowego Jorku. Moją pracą magisterską był cykl obrazów, swoisty hołd złożony błękitowi nieba w Iowa, barwom tamtejszej ziemi i leśnistych wzgórz. Pewien miejscowy kolekcjoner zapłacił za jeden z nich pięćdziesiąt dolarów. Trzy podarowałem szpitalowi uniwersyteckiemu, a co się stało z innymi, nie mam pojęcia.

Tak wiele się od tej pory wydarzyło.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, świat nie czekał z utęsknieniem na moje dobre, lecz nie wybitne obrazy. Trafiłem do agencji reklamowej przy Madison Avenue. Moje projekty etykiet na puszkach do piwa ponoć nie mają sobie równych.

Poznałem inteligentną, atrakcyjną kobietę pracującą w dziale marketingu firmy kosmetycznej, która korzystała z usług naszej agencji. Spotkania służbowe kończyły się coraz później. Zaczęliśmy się umawiać na kolacje, które przedłużały się aż do nocy. Oświadczyłem się, a ona powiedziała „tak”.

Zamieszkamy w Connecticut, zaproponowała. Dobrze.

Kiedy przyjdzie czas, będziemy mieli dzieci, powiedziała.

Oczywiście.

Myers zadzwonił do biura. Nie mam pojęcia, jak się dowiedział, gdzie mnie szukać. Pamiętam jego głos, wydobywający się z gardła jakby na bezdechu.

– Znalazłem to.

– Myers? Czy to możliwe?... Co u ciebie? Gdzie się...

– Odkryłem to. Słyszysz, co mówię?

– Nie wiem, o co ci...

– Nie pamiętasz? Tajemnica Van Dorna!

Przypomniałem sobie wszystko w jednej chwili: pasje Myersa, nasze cudowne rozmowy pełne młodzieńczej nadziei, dni, a zwłaszcza noce, gdy przyśność zdawała się nas wołać.

– Van Dorn? Czy ty nadal?...

– Tak! Miałem rację! W jego obrazach naprawdę kryje się tajemnica!

– Ty cholerny wariacie, co mnie obchodzi Van Dorn? Ty mnie obchodzisz! Dlaczego tak zniknąłeś? Nigdy ci tego nie wybaczę...

– Musiałem. Nie mogłem pozwolić, żebyś mnie powstrzymał, żebyś...

– Chciałem to zrobić dla twojego dobra!

– Tak ci się zdawało. Ale miałem rację!

– Gdzie jesteś?

– Dokładnie tam, gdzie powinienem być.

– W imię naszej starej przyjaźni, nie wkurzaj mnie, Myers. Gdzie jesteś?!

– W Metropolitan Museum.

- Posiedzisz tam jeszcze trochę? Wezmę taksówkę. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.
- A ja nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz to, co ja widzę!

Przesunąłem termin oddania projektu, odwołałem dwa spotkania i przeprosiłem narzeczoną za to, że nie będę mógł pójść z nią na kolację. Chyba ją uraziłem. Ale wtedy liczył się tylko Myers.

Stał pod kolumnadą u wejścia. Twarz miał zniszczoną, ale jego oczy błyszczały niczym gwiazdy. Uściskałem go.

- Myers, tak się cieszę...
- Chcę ci coś pokazać. Chodźmy.
- Pociągnął mnie niecierpliwie za połę płaszcza.
- Ale powiedz, gdzie się podziewałeś?
- Później.

Weszliśmy do sali postimpresjonistów. Oszołomiony, pozwoliłem Myersowi posadzić mnie na ławeczce naprzeciwko „Jodeł o świcie” Van Dorna.

Nigdy nie widziałem tego obrazu. Reprodukcje to przecież nie to samo. Po roku kreślenia projektów reklam kosmetyków, byłem zdruzgotany. Moc sztuki Van Dorna...

- Nie mogłem powstrzymać łez.
- Za beznamiętność mojego rzemiosła.
- Za młodość, z którą rok temu się rozstałem.
- Przypatrz się! – Myers wskazał ręką obraz.
- Zmarszczyłem brwi.

Trwało to godzinę, dwie... Myers był moim przewodnikiem. Skoncentrowałem się. I wreszcie zobaczyłem.

Głęboki podziw zmienił się...

Serce zabiło mi szybciej. Myers wodził dłonią wskazując linie obrazu, a strażnik zbliżył się, żeby powstrzymać nas od dotykania. Czułem się, jakby przed moimi oczami rozplynął się obłok mgły.

- O Jezu.
- Widzisz? Krzaki, drzewa, gałęzie?
- Tak! Ale, na Boga, dlaczego...
- Nie zauważyłeś wcześniej? Bo nie widać tego na reprodukcjach. Tylko w oryginalnych obrazach. I trzeba się długo przyglądać...
- Bez końca.
- Tak. Ale ja wiedziałem. I miałem rację.
- Tajemnica.

Kiedy byłem mały, ojciec – o, jak ja go kochałem – zabrał mnie na grzyby. Wyjechaliśmy za miasto, przeskoczyliśmy ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, przeszliśmy kawałek przez las i wspięliśmy się na wzgórze,

na którym stały martwe wiązy. Ojciec kazał mi szukać na szczycie wzgórza, a sam szedł na dół.

Po godzinie wrócił z dwiema papierowymi torbami pełnymi grzybów. Ja nie znalazłem ani jednego.

– Chyba trafiłeś na dobre miejsce – powiedziałem.

– Ależ skąd. Wszędzie ich tu pełno – odparł ojciec.

– Wszędzie? Gdzie?

– Musisz uważnie patrzeć.

– Obszedłem szczyt wzgórza pięć razy.

– Szukałeś, ale nie patrzyłeś – powiedział tata. Podniósł z ziemi długi kij i wskazał coś czubkiem. – Skup wzrok na końcu kija.

Zrobiłem, jak kazał.

Nigdy nie zapomnę gorącego dreszczu podniecenia, który przebiegł po moim ciele. Grzyby ukazały się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Były tam przez cały czas, rzecz jasna, lecz tak doskonale wtopiły się w tło, w barwy martwych liści, kształty kamieni i kawałków drewna, że stały się niewidoczne dla moich niewprawnych oczu. Ale kiedy wzrok dostosował się, kiedy umysł przetworzył obraz, zobaczyłem je wszędzie. Stałem na nich, deptałem je, patrzyłem na nie i nic nie widziałem.

O ile większy przeżyłem wstrząs, gdy dzięki Myersowi dostrzegłem maleńkie twarze w obrazie Van Dorna „Te Jodły o świcie”. Większość z nich nie miała nawet ciała, były ledwie zaznaczone cieniami, zasugerowane krzywymi liniami, doskonale wtopione w pejzaż. Nie były to ludzkie twarze, choć miały usta, nosy i oczy. Z rozwartych szeroko warg i ciemnych plam oczu wyzierała rozpacz, a nosy przypominały ziejące rany. Wykrzywione, zdawały się wyć z bólu. Były tak sugestywne, że niemal słyszałem ich wrzask. Pomyślałem o potępieniu, o piekle.

Kiedy już je dostrzegłem, wynurzyły się z obrazu w takiej obfitości, że pejzaż stał się iluzją, a one rzeczywistością. Brzozy zamieniły się w obsceniczny kłęb splecionych ramion i skręconych bólem torsów.

Cofnąłem się, zaszokowany. Strażnik już podniósł rękę, żeby odsunąć mnie od obrazu.

– Proszę nie dotykać...

Myers zbliżył się do innego obrazu Van Dorna, którym były „Cyprysy w skalnym wąwozie”. Poszedłem za nim. Teraz, kiedy wiedziałem, czego szukać, od razu zauważyłem maleńkie, boleśnie skrzywione twarze wyzierające z każdej gałęzi i kamienia. Płótno wprost roilo się od nich.

– O Jezu.

– Popatrz na to!

Myers podszedł do „Słoneczników w czasie żniw”. Ale ja nie widziałem już słoneczników, lecz twarze i kończyny, jak gdybym zmienił ogniskową mojego spojrzenia. Cofnąłem się i opadłem na ławkę.



- Miałeś rację – powiedziałem.
- Strażnik obserwował nas z marsową miną.
- Van Dorn rzeczywiście miał tajemnicę – przyznałem potrząsając głową.
- Wszystko jest jasne – powiedział Myers. – Te pełne bólu twarze stanowią o głębi jego malarstwa. Są ukryte, ale je wyczuwamy. Czujemy niepokój czający się wśród piękna.
- Ale dlaczego...
- Wydaje mi się, że nie miał wyboru. Geniusz pchnął go w objęcia szaleństwa. On chyba właśnie w ten sposób postrzegał świat. Te twarze to demony, z którymi się zmagał, powstałe z jego obłądzenia. One nie są sztuką ilustracyjną. Tylko prawdziwy geniusz mógł je wtopić w krajobraz tak doskonale, że nikt ich nie zauważył, mimo że miliony ludzi oglądało jego dzieła. One były dla niego rzeczywistością, i to właśnie jest straszne.
- Jak to nikt ich nie zauważył? A ty?
- Myers uśmiechnął się.
- Może to znaczy, że jestem obłąkany?
- Wątpię, przyjacielu – odpowiedziałem z uśmiechem. – To znaczy tylko tyle, że jesteś uparty. Czeka cię sława.
- Ale ja jeszcze nie skończyłem.
- Zmarszczyłem brwi.
- Jak dotąd odkryłem tylko złudzenie optyczne. Udręczone dusze wyzierające spod niezwykłego piękna, a może nawet tworzące to piękno. Nazywam je wizerunkami drugoplanowymi. W języku reklamy pewnie określono by je mianem bodźców podprogowych. Ale tu nie chodzi o komercję. Van Dorn to prawdziwie wielki artysta, którego geniusz pozwolił mu wykorzystać obłądzenie jako element wizji artystycznej. Muszę sięgnąć głębiej.
- O czym ty mówisz?
- Obrazy zebrane tutaj nie dają wystarczającego materiału porównawczego. Obejrzałem jego dzieła w Rzymie, Zurychu i Londynie. Pożyczyłem pieniądze od moich rodziców aż do granic ich cierpliwości i mojego sumienia. Ale zobaczyłem te obrazy i wiem, co muszę zrobić. Twarze zaczęły się pojawiać na obrazach w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy Van Dorn opuścił w niesławie Paryż. Jego wczesne obrazy były beznadziejne. Osiedlił się w La Verge na południu Francji. Pół roku później jego geniusz eksplodował. Zaczął malować jak w ukropie. Wrócił do Paryża, żeby wystawić swoje prace, ale nikt ich nie docenił. Malował i wystawiał dalej. Nadal nikt się nim nie zainteresował. Wrócił do La Verge, wzniósł się na szczyt geniuszu i oszalał do końca. Umieszczono go w przytułku dla obłąkanych, ale wcześniej zdążył sobie wykłuć oczy. To będzie moja praca dyplomowa. Zamierzam podążyć tropem malarza. Chcę powiązać jego obrazy z biografią, pokazać, jak twarze nabierały intensywności wraz z rozwojem jego

choroby. Przedstawię światu dramat udęczonej duszy Van Dorna, utrwalony w każdym kolejnym pejzażu.

To było typowe dla Myersa: wyjść od jakiegoś naciągniętego założenia i podążyć za nim aż do granic możliwości. Nie chcę być źle zrozumiany. Dokonał ważnego odkrycia. Ale nie wiedział, kiedy się zatrzymać. Nie jestem historykiem sztuki, lecz przeczytałem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że tak zwana krytyka psychologiczna, polegająca na analizie wielkiej sztuki jako przejawu choroby, od dawna jest uważana za ślepy zaułek. Jeśli Myers wręczy Stuyvesantowi pracę psychologiczną, nadęty dureń wpadnie w szal.

To było jedno złe przeczucie związane z planami Myersa. Drugie niepokoiło mnie znacznie bardziej. Zamierzam podążyć tropem malarza, powiedział. Dopiero po wyjściu z muzeum, podczas spaceru w Central Parku zrozumiałem, jak dosłownie Myers traktował swój zamiar.

– Wyjeżdżam na południe Francji – oznajmił.

– To znaczy do...

– La Verge. Dokładnie. Właśnie tam chcę napisać pracę.

– Ależ...

– Czy istnieje miejsce bardziej odpowiednie? To wioska, w której Van Dorn załamał się nerwowo i w końcu postradał zmysły. Jeśli to będzie możliwe, wynajmę ten sam pokój, w którym mieszkał.

– Myers, to chyba przesada, nawet jak na ciebie.

– Ale ma sens. Chcę pogрузić się w pracy. Potrzebuję atmosfery, żeby znaleźć odpowiedni nastrój do pisania.

– Ostatnim razem, kiedy pogрузiłeś się w pracy, zawaliłeś całe mieszkanie reprodukcjami obrazów Van Dorna, nie spałeś, nie jadłeś, nie myłeś się. Mam nadzieję...

– Przyznaję, że wtedy za bardzo się zaangażowałem. Ale wtedy nie wiedziałem, czego szukam. Teraz znalazłem to i jestem w dobrej formie.

– Wyglądasz na przemęczonego.

– Złudzenie optyczne – powiedział Myers z uśmiechem.

– Chodź, postawię ci obiad i drinka.

– Przykro mi, ale nie mogę. Muszę złapać samolot.

– Wyjeżdżasz dzisiaj? Ależ nie widziałem cię od...

– Postawisz mi ten obiad, kiedy skończę pisać pracę.

Nie postawiłem mu obiadu. Spotkaliśmy się jeszcze tylko jeden raz z powodu listu, który mi wysłał. Albo raczej kazał to zrobić pielęgniarka. To ona zapisała jego słowa i dodała parę zdań od siebie. Myers nie mógł pisać, bo się oślepił.

*Miałeś rację, nie powinienem był tu przyjeżdżać. Ale czy ja kiedykolwiek posłuchałem dobrej rady? Zawsze wiedziałem lepiej, prawda? Teraz już za późno. To, co pokazałem Ci wtedy w Met, to był tylko początek. Odkryłem prawdę i nie mogę jej znieść. Nie powtarzaj mojego błędu. Nigdy więcej nie patrz na obrazy Van Dorna, błagam Cię. Nie mogę wytrzymać bólu. Potrzebuję odpoczynku. Jadę do domu. Trzymaj się ciepło, maluj dobrze. Kocham Cię. Twój przyjaciel na zawsze,*

*Myers*

Pielęgniarka zaczęła od tego, że przeprosiła za swój słaby angielski. Wyjaśniła, że musiała się nauczyć tego języka, bo czasem opiekowała się starszymi Amerykanami na Riwierze. Wyjaśniła, że rozumie znacznie lepiej niż mówi i pisze, i ma nadzieję, że to, co zapisuje, będzie miało sens. Nie miało, ale nie z jej winy. Myers bardzo cierpiał, musiał zażywać morfinę. Nie myślał trzeźwo. To cud, że w ogóle udało mi się złożyć słowa w zdania.

*Pański przyjaciel zatrzymał się w naszym jedynym hotelu. Dyrektor mówi, że mało jadł i jeszcze mniej spał. Jego praca naukowa stała się obsesją. Pokój zapelnił reprodukcjami obrazów Van Dorna. Starał się naśladować jego rozkład dnia. Żądał farb i płótna, odmawiał posiłków i nie otwierał drzwi. Trzy dni temu właściciela zbudził krzyk. Drzwi były zablokowane. Dopiero trzem mężczyznom udało się je wyważyć. Pański przyjaciel wykuł sobie oko końcem pędzla. Klinika tutejsza jest znakomita. Pański przyjaciel odzyska zdrowie fizyczne, ale nigdy nie będzie widział. Martwię się o jego umysł.*

Myers powiedział, że jedzie do domu. List dotarł do mnie po tygodniu. Zakładałem, że jego rodzice zostaną powiadomieni telefonicznie albo przez telegram. Pewnie jest już w Stanach. Wiedziałem, że mieszkają w Denver, ale nie znałem ich imion ani adresu, musiałem więc zadzwonić na informację, a później do wszystkich Myersów w Denver. Wreszcie nawiązałem kontakt. Nie z rodzicami, ale z ich znajomym pilnującym domu. Myersa nie przywieziono do Stanów. To rodzice pojechali do niego. Złapałem następny samolot. W ten weekend miałem brać ślub, choć teraz nie ma to pewnie większego znaczenia.

La Verge znajduje się pięćdziesiąt kilometrów od Nicei w głąb łądu. Droga wiała się wśród sadów oliwnych i zielonych pól, wzgórz zwieńczonych cyprysami, czasem omijała wysokie skały. Przejeżdżając koło jednego z takich sadów doznałem dziwnego wrażenia, że już go kiedyś widziałem. Kiedy znała-

złem się w La Verge, *dejà vu* opadło mnie z jeszcze większą siłą. Pomijając budki telefoniczne i druty elektryczne, wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak na obrazach Van Dorna. Od razu rozpoznałem wąskie, pokryte kocimi łbami uliczki unieśmiertelnione dzięki obrazom wielkiego malarza. Spytałem o drogę. Bez trudu odnalazłem Myersa i jego rodziców.

Po raz ostatni zobaczyłem twarz przyjaciela, gdy grabarz kładł wieko na jego trumnie. Ledwie widziałem szczegóły, ale mimo piekących łez mogłem ocenić, że miejscowy szpital rzeczywiście jest tak dobry, jak napisała w liście pielęgniarka. Myers miał szansę przeżyć.

Nie pozwoliło na to spustoszenie w jego psychice. Narzekał na bóle głowy i niepokój. Nawet morfina nie pomagała. Wydawało się, że śpi, gdy pielęgniarka na minutę zostawiła go samego w pokoju. Przez ten czas zdołał jakoś zwlec się z łóżka, rękami przesukać pokój i znaleźć nożyczki. Zerwał bandażę i wbił ostrze w oczodół, jakby chciał sobie wyrwać mózg. Upadł, nim zdążył to zrobić, ale rana okazała się wystarczająca. Zmarł po upływie dwóch dni.

Rodzice byli bladzi i roztrzęsieni. Zdołałem opanować ból i podszedłem, żeby ich pocieszyć. W tych strasznych chwilach wszystko jakby rozmywało się we mgle, lecz mimo to pamiętam wrażenie, że mój umysł bezskutecznie próbował wprowadzić porządek do koszmaru rzeczywistości. Ojciec Myersa miał na sobie drogie skórzane mokasyny i zegarek marki rolex. W czasie studiów Myers raczej nie szastał pieniędzmi. Nie miałem pojęcia, że pochodzi z bogatej rodziny.

Pomogłem rodzicom przyjaciela załatwić formalności związane z przewiezieniem ciała do Stanów. Pojechałem z nimi do Nicei i razem patrzyliśmy na lotnisku, jak ładują kontener z trumną do luku bagażowego samolotu. Podaliśmy im rękę i uściskałem oboje. Z płaczem zniknęli w tunelu prowadzącym do wyjścia. Godzinę później znalazłem się w La Verge.

Wróciłem tam, aby spełnić obietnicę. Chciałem ulżyć cierpieniu rodziców Myersa... i swojemu. Bo byłem jego przyjacielem. „Państwo mają tyle spraw do załatwienia – powiedziałem do rodziców. – Długa podróż, formalności związane z pogrzebem”.

Coś ścisnęło mnie za gardło.

„Proszę pozwolić sobie pomóc. Zapłacę rachunki, spakuję jego rzeczy oraz książki i wyślę do państwa do domu. Proszę okazać mi tę uprzejmość i pozwolić coś dla siebie zrobić. To dla mnie bardzo ważne”.

Myers spełnił swoje ambitne pragnienie i wynajął pokój w hotelu, który zajmował Van Dorn. Nie dziwcie się, że był wolny. Kierownictwo hotelu wykorzystywało go w celach promocyjnych. Obok drzwi wisiała plakietka z informacją o wartości historycznej pokoju. Wyposażenie było w tym samym stylu jak to, które znajdowało się tam w czasach pobytu Van Dorna.

Turyści rzeczywiście płacili, żeby zajrzeć i wciągnąć w nos zapach geniuszu. Ale w tym sezonie nie było wielkiego ruchu, a Myers miał bogatych rodziców. Z właściwym sobie entuzjazmem, popartym słuszną sumką, zdołał nakłonić właściciela, aby wynajął mu pokój.

Ja wynająłem inny – bardziej przypominający komórkę niż hotelowy pokój, dwa numery dalej. Z oczami piekącymi jeszcze od łez wszedłem do pachnącego stęchlizną sanktuarium Van Dorna, żeby spakować rzeczy drogiego przyjaciela. Reprodukcje obrazów malarza leżały wszędzie, niektóre zbrzyzgane krwią. Z bólem w sercu ułożyłem je w stos.

Właśnie wtedy znalazłem dziennik.

Podczas kursu postimpresjonizmu na studiach przeczytałem kopię pamiętnika Van Dorna. Wydawca zrobił odbitkę ręcznie zapisanych stron, oprawił je, zamieścił tłumaczenie i opatrzył przypisami. Zrozumienie treści od samego początku nastroczało trudności, ale w miarę jak Van Dorn zagłębiał się w swoje dzieło, a załamanie nerwowe się pogłębiało, jego zapiski zmieniły się w istne zagadki. Pismo, dalekie od staranności nawet gdy był całkiem zdrow, rychło wymknęło się spod kontroli i w końcu przybrało formę niemal całkowicie nieczytelnych linii i zawijasów kreślonych w gorączkowym pośpiechu.

Usiadłem przy niewielkim drewnianym biurku i przerzucałem strony dziennika, rozpoznając niegdyś przeczytane zdania. Z każdym przeczytanym akapitem robiło mi się zimniej: ten pamiętnik różnił się od opublikowanej fotokopii. Był to w istocie notatnik, i choć chciałem wierzyć, że Myers jakimś cudem zdobył oryginał, wiedziałem, że sam siebie oszukuję. Kartki nie były pożółkłe i kruche od starości, a atrament nie zmienił barwy na brązową. Ten notes został kupiony i zapisany niedawno. To był dziennik Myersa, a nie Van Dorna. Zrobiło mi się dla odmiany gorąco.

Za biurkiem spostrzegłem półkę, a na niej stos innych notatników. Sięgnąłem niepewnie i pospiesznie przekartowałem. Włosy stanęły mi dęba. Wszystkie notesy były takie same... i zapisane identycznymi słowami.

Drżącą ręką podniosłem z półki odbitkę oryginalnego pamiętnika i porównałem z notatnikami. Jęknąłem, wyobrazivszy sobie Myersa przy biurku, w szaleńczym skupieniu kopiującego każde słowo, linię, zawijas. Zrobił to osiem razy.

Myers rzeczywiście zrobił wszystko, aby zgłębić zagadkę dezintegracji umysłowej Van Dorna. I zrobił to skutecznie. Van Dorn pozbawił się oczu ostrym końcem pędzla. W szpitalu dla nerwowo chorych dokończył dzieła, przebijając sobie mózg nożyczkami. Tak samo jak Myers. Choć było raczej odwrotnie. Czy kiedy Myers załamał się ostatecznie, upodobnił się całkowicie do Van Dorna?

Ukryłem twarz w dłoniach. Z mojej ściśniętej krtani wydobył się szloch. Długo, bardzo długo nie mogłem przestać. Siłą woli starałem się opanować

cierpienie. („Pomarańczowy to cierpienie”, powiedział Myers.) Rozum walczył z bólem. („Krytycy, którzy poświęcili się analizie dzieł Van Dorna... Ich geniusz nie zdobył uznania, tak jak obrazy Van Dorna. Cierpieli. Tak samo jak on. I tak jak on wszyscy wykłuli sobie oczy”). Czy zrobili to pędzlem? Czy doprowadzili analogię do końca? Czy użyli nożyczek, żeby przebić sobie mózg?

Przez zmrużone powieki spojrzałem na reprodukcje. Było ich mnóstwo. Ścieliły się na podłodze, na ścianach, na łóżku, oknach, nawet na podłodze. Wir kolorów, eksplozja geniuszu.

Tak myślałem kiedyś o tych obrazach. Ale teraz, po tym co pokazał mi Myers w Metropolitan Museum, widziałem to, co kryło się za zasłoną świetlistych cyprysów, łąk i sadów: tajemniczą ciemność wypełnioną niebieskim kłębowiskiem ramion i ciał, otwartych w krzyku ust i oczu pociemniałych od bólu. („Niebieski to obłęd”, powiedział Myers.)

Wystarczyło niewielkie przesunięcie punktu percepcji, by zobaczyć, że nie ma tam sadów i pól, tylko obraz przeraźliwej udręki duszy. Doprawdy, Van Dorn rzeczywiście zapoczątkował nowy etap impresjonizmu. Piękno boskiego dzieła przesycił swoją odrazą. Pejzaże Van Dorna nie powstały z zachwyty, lecz ze wstrętu. Gdziekolwiek spojrzał, widział tylko swój koszmar. Niebieski istotnie był dla niego kolorem obłędu, i każdy, kto wpatrywał się w ten obłęd zbyt długo, też mu ulegał. („Nigdy więcej nie patrz na obrazy Van Dorna, błagam cię”, napisał w liście Myers.) Czyżby w ostatniej fazie załamania nagle odzyskał jasność umysłu i postanowił mnie przestrzec? („Nie mogę wytrzymać bólu. Potrzebuję odpoczynku. Jadę do domu”). Naprawdę pojechał do domu, ale inaczej, niż sobie to wyobrażałem.

Przyszła mi do głowy jeszcze jedna niepokojąca myśl. („Każdy z nich próbował sam malować. W stylu Van Dorna”, powiedział o krytykach Myers.) Jak gdyby przyciągnięty magnesem, mój wzrok powędrował do przeciwnego rogu pokoju, gdzie wśród dziesiątków reprodukcji stały oparte o ścianę dwa oryginalne płótna. Zadrzałem i niepewnie zbliżyłem się do nich.

Namalował je amator. Myers był w końcu historykiem sztuki, nie malarzem. Farby zostały nałożone niezręcznie, zwłaszcza mieszaniny pomarańczowego i niebieskiego. Cyprysy były koślawe, a skały u podstawy pni wyglądały jak tekturowe imitacje. Niebu brakowało faktury. Ale wiedziałem, czym są ciemne plamy na błękicie. Miniaturowe, wykrzywione twarze i poskręcane kończyny wyzierały z nich, mimo że Myersowi brakowało talentu, aby je właściwie przedstawić. Zaraził się obłędem Van Dorna w jego końcowym stadium.

Westchnienie wydobyło się z samej głębi mojej istoty. Zabrzmiał dzwon wiejskiego kościoła, a ja pomodliłem się za spokój duszy mojego przyjaciela.

Zapadał zmrok, gdy wychodziłem z hotelu. Chciałem się przespacerować, oderwać od przerażającej ciemności panującej w tamtym pokoju. Potrzebowałem chwili, żeby swobodnie pomyśleć. Nogi zaprowadziły mnie jednak wąską kamienistą uliczką do wiejskiego szpitala, gdzie Myers dokończył to, co Van Dorn rozpoczął w hotelowym pokoju. Wszedłem do izby przyjęć i po kilku minutach stanąłem przed atrakcyjną, ciemnowłosą kobietą w wieku około trzydziestu lat.

Pielęgniarka mówiła po angielsku całkiem dobrze. Miała na imię Clarisse.

– To pani opiekowała się moim przyjacielem i zanotowała jego list.

Skinęła głową.

– Niepokoiłam się o niego. Był tak strasznie załamany.

Jarzeniówki w holu szumiały cicho. Usiedliśmy na ławce.

– Staram się zrozumieć, dlaczego się zabił – powiedziałem. – Wydaje mi się, że wiem, ale chciałbym poznać pani zdanie.

W jej inteligentnych, jasnobrązowych oczach nagle pojawił się niepokój.

– Zbyt długo przebywał w swoim pokoju, za dużo się uczył. – Potrząsnęła głową i spuściła wzrok. – Umysł może zamienić się w pułapkę. W torturę.

– Czy był podniecony, kiedy tu przybył?

– O, tak.

– Zachowywał się jak ktoś, kto przyjechał na wakacje, a nie po to, by zbierać materiał do pracy naukowej?

– Właśnie tak.

– A więc dlaczego to się zmieniło? Mój przyjaciel był trochę dziwny, zgoda. Prawdziwy zapaleniec. Ale on naprawdę lubił prowadzić swoje badania. Nawet kiedy wyglądał na przemęczonego, nauka sprawiała mu przyjemność. Jego ciało było wątłe, ale umysł błyskotliwy. Co go wytrąciło z równowagi, Clarisse?

– Słucham?...

– Co sprawiło, że przyjemne podniecenie zmieniło się w depresję? Czy odkrył coś, co mogło?...

Wstała i zerknęła na zegarek.

– Proszę wybaczyć. Skończyłam pracę dwadzieścia minut temu. Jestem umówiona z przyjaciółką.

– Oczywiście – powiedziałem twardszym głosem. – Nie chciałbym pani zatrzymywać.

Wychodząc z kliniki spojrzałem na zegarek i ze zdziwieniem zobaczyłem, że dochodzi wpół do dwunastej. Bolały mnie kolana. Wydarzenia tego dnia całkiem odebrały mi apetyt, ale wiedziałem, że powinienem coś zjeść, więc w hotelu zamówiłem kolację i kieliszek chablis do pokoju. Nie dotar-

łem tam jednak. Pokój Van Dorna i pamiętnik okazały się zbyt wielką pokusą.

Nawet nie spróbowałem kanapek i wina. Usiadłem przy biurku w otoczeniu wirujących barw i ukrytych twarzy na reprodukcjach obrazów Van Dorna. Otworzyłem notatnik.

Odwrociłem się, słysząc pukanie do drzwi.

Zerknąłem na zegarek i znów się zdziwiłem. Godziny upłynęły mi jak minuty. Dochodziła druga.

Pukanie powtórzyło się, ciche, lecz natarczywe. Czyżby kierownik hotelu?

– Proszę wejść – powiedziałem po francusku. – Drzwi są otwarte.

Klamka się poruszyła.

W drzwiach stanęła Clarisse. Nie była już ubrana w fartuch pielęgniarki. Miała na sobie tenisówki, dzinsy i obcisły sweter, którego żółty kolor dobrze podkreślał brąz jej oczu.

– Przepraszam za moje zachowanie w szpitalu – powiedziała po angielsku. – Naprawdę nie chciałam być niegrzeczna.

– Nic się nie stało. Była pani umówiona, a ja panią zatrzymywałem.

– Czasem wychodzę ze szpitala tak późno, że nawet nie mam czasu się z nikim zobaczyć.

– Doskonale to rozumiem.

Przesunęła dłoń po długich, gęstych włosach.

– Moja przyjaciółka położyła się już spać. Przechodząc koło hotelu zauważyłam tu światło i pomyślałam, że to może pan...

Skinąłem głową.

Miałem wrażenie, że świadomie nie chce się rozglądać po pokoju. Teraz jednak przeniosła wzrok na miejsce, gdzie znalazłem zakrwawione reprodukcje.

– Przyjechaliśmy z doktorem natychmiast, jak tylko zadzwonił po nas kierownik hotelu. – Zerknęła na reprodukcje. – Jak to możliwe, żeby coś tak pięknego wywołało tyle cierpienia?

– Pięknego? – Spojrzałem w stronę maleńkich twarzy z ziejającymi otworami ust.

– Nie powinien pan tu zostawać. Proszę nie powtarzać błędu, który popełnił pański przyjaciel.

– Błędu?

– Ma pan za sobą długą podróż i głęboki szok. Potrzebuje pan odpoczynku. Zamęczą się pan tak jak on.

– Przeglądałem jego rzeczy. Muszę je spakować i odesłać do Ameryki.

– Proszę to zrobić jak najszybciej. Nie wolno panu zadrećcać się myśleniem o tym, co się tu stało. Nie jest dobrze otaczać się przedmiotami, które wpędziły pańskiego przyjaciela w depresję. Niech pan nie potęguje swojego żalu.



– Otaczać się? On użyłby słowa „pograżać się”.  
– Jest pan zmęczony. Proszę iść ze mną. – Wyciągnęła rękę. – Zaprowadzę pana do pokoju. Sen ukoi ból. Jeśli potrzebuje pan jakichś pigułek...

– Dziękuję. To nie będzie konieczne.

Podaliśmy jej dłoń i wyszliśmy.

Obejrzałem się na reprodukcje obrazów, które kryły potworność w bezmiarze piękna. Pomodliłem się cicho za Myersa, zgasilem światło i zamknąłem drzwi.

Gdy dotarliśmy do mojego pokoju, usiadłem na łóżku.

– Proszę spać długo i spokojnie – powiedziała Clarisse.

– Mam nadzieję.

– Życzę panu jak najlepiej. – Pocałowała mnie w policzek.

Dotknąłem jej ramienia. Oparła się o mnie, przyciskając usta do moich warg.

Osunęliśmy się na łóżko, a potem kochaliśmy w milczeniu.

Sen otulił mnie miękko jak jej pocałunki.

Lecz kiedy usnąłem, zewsząd otoczyły mnie maleńkie, szeroko otwarte usta.

Promienie słońca wpadały przez okno. Piekącymi z bólu oczami zerknąłem na zegarek. Wpół do jedenastej. Bolała mnie głowa.

Clarisse zostawiła kartkę na sekretarzyku.

*Zrobiłam to ze współczucia. Chciałam dzielić pański ból i ukoić go. Proszę uczynić to, co pan zamierza, spakować rzeczy przyjaciela i wysłać je do Ameryki. I wyjechać. Niech pan nie powtarza błędu swego przyjaciela. Proszę się nie „pograżać”, jak pan powiedział. Proszę nie pozwolić, aby piękno zadało panu ból.*

Chciałem tak zrobić. Naprawdę w to wierzyłem. Zadzwoniłem do recepcji i poprosiłem o pudła. Wziąłem prysznic i ogoliłem się, a potem poszedłem do pokoju Myersa, żeby dokończyć pakowanie reprodukcji. Książki ułożyłem w jeden stos, a ubrania w drugi. Spakowałem wszystko w pudła i rozejrzałem się, żeby się upewnić, czy niczego nie zapomniałem.

Dwa płótna namalowane przez Myersa nadal stały w kącie. Postanowiłem ich nie zabierać. Lepiej nie narażać nikogo na iluzje, które okazały się silniejsze od niego.

Należało jeszcze zakleić pudła, zaadresować i wysłać. Przy zamykaniu pierwszego mój wzrok padł na notatniki.

Tyle cierpienia, pomyślałem. Taka strata.

Przekartkowałem notes. Niektóre akapity przykuły moją uwagę. Gorycz Van Dorna z powodu niepowodzeń artystycznych. Powody, dla których wyjechał z Paryża i osiadł w La Verge; niechęć kolegów malarzy, złośliwości snobistycznych krytyków pod adresem jego pierwszych obrazów. Zrzucić okowy konwencji. Uwolnić się od rygorów estetyki, wyrzucić je z siebie. Odkryć to, czego jeszcze nikt nie namalował. Odczuwać, a nie słuchać, co powinienem odczuwać. Widzieć, a nie naśladować to, co zobaczyli inni.

Z licznych biografii Van Dorna wiedziałem, w jakie ubóstwo wpędziła go jego ambicja. W Paryżu żywił się odpadami wyrzucanymi z restauracji. Zdołał dotrzeć do La Verge tylko dlatego, że przyjaciel malarz, bardzo wówczas popularny (dziś wyśmiewany), pożyczył mu niewielką sumę. Nie chcąc wydawać cennych pieniędzy, Van Dorn pieszo pokonał drogę z Paryża na południe Francji.

Pamiętać trzeba, że w tamtych czasach ta skalista dolina z niewielkimi pagórkami i wioskami nie należała do modnych miejsc. Kuśtykający po kocich łbach wioski La Verge malarz musiał stanowić żałosny widok. Wybrał ten prowincjonalny zakątek właśnie dlatego, że nie pasował do konwencji; mógł być pewny, że ujrzy tutaj najpospolitsze sceny z życia, tak nie pasujące do paryskich salonów, że żaden inny artysta nie ośmieliłby się ich namalować.

„Stworzyć to, czego nikt jeszcze nie objął wyobraźnią”, napisał. Przez sześć miesięcy starał się rozpaczliwie i nic mu nie wychodziło. Zniechęcony, zaniechał kolejnych prób, by nagle odnaleźć się i w ciągu roku niewiarygodnie intensywnego malowania dać światu trzydzieści osiem arcydzieł. Wtedy nie udało mu się sprzedać żadnego z nich, rzecz jasna. Ale od tego czasu świat wiele się nauczył.

Musiał malować jak w gorączce. Nagle znalazł w sobie olbrzymią energię. Według mnie, niedosłzłego malarza o dobrej technice, lecz konwencjonalnym spojrzeniu, osiągnął ostateczny cel sztuki. Zazdrościłem mu, mimo że tak wiele wycierpiał. Ogarniała mnie rozpacz, gdy porównywałem moje mdłe pejzaże ze stanu Iowa z genialnym obrazami Van Dorna, które otworzyły nową epokę w malarstwie. A w Stanach czekała na mnie praca polegająca na rysowaniu etykiet puszek od piwa i opakowań dezodorantów.

Przerzucałem stroniczki notesu, szukając tropów rozpaczycy Van Dorna i zapowiedzi jego olśnienia. Zwycięstwo miało dla niego swoją cenę, to oczywiste. Obłęd, samooślepienie, samobójstwo. To pytanie musiało przyjść: czy w chwili śmierci pomyślał, że przeżyłby swoje życie inaczej, gdyby mógł? Bo na pewno wiedział, jak niezwykle, jak odkrywcze było jego dzieło.

A może nie wiedział. Ostatnim obrazem, jaki namalował przed wykluceniem sobie oczu, był autoportret. Zamyślony mężczyzna o wychudzonej twarzy, z krótkimi, przeredzonymi włosami, poszarzałą skórą i rzadką brodą.

Ten słynny portret zawsze kojarzył mi się z Chrystusem tuż przed ukrzyżowaniem. Brakowało tylko cierniowej korony na głowie. Van Dorn miał inną koronę, równie bolesną. Niewidoczną, bo ukrytą w jego świadomości. Krzyżowały o niej zamaskowane w brodzie i zapadniętych policzkach maleńkie usta i skręcone ciała. Artystyczna wizja, którą odkrył tak nagle, okupiona została zbyt wielkim cierpieniem.

Czytając te zapiski, świadom bólu Myersa, który starał się odtworzyć przesycone udreńką słowa Van Dorna, dotarłem do fragmentu, w którym malarz opisuje swoją eureka: „La Verge! Przyszędłem! Zobaczyłem! Poczulem! Płótno! Farba! Tworzenie i potępienie!”

Po tych enigmatycznych słowach notatnik – tak samo jak dziennik Van Dorna – staje się zupełnie niezrozumiały. Oprócz powtarzających się jak refren wzmianek o uporczywych, coraz silniejszych bólach głowy.

O trzeciej Clarisse przyszła na swoją zmianę. Czekałem na nią przed szpitalem. Słońce odbijało się w jej oczach. Miała na sobie ciemnoczerwoną spódnicę i turkusowy sweter. Wyobraziłem sobie, że przesuwam palcami po miękkim materiale.

Na mój widok zwołniała kroku. Podeszła z wymuszonym uśmiechem.

– Przyszędłeś, żeby się pożegnać? – spytała z nadzieją w głosie.

– Nie. Chcę ci zadać parę pytań.

Jej uśmiech zniknął.

– To potrwa tylko chwilę. Mój francuski pozostawia wiele do życzenia, a nie zabrałem ze sobą słowniczka. Co oznacza nazwa tej wioski, La Verge?

Opadły jej lekko ramiona, jakby chciała pokazać, że to mało ważne pytanie.

– Nic szczególnie ciekawego. Dosłownie można to przetłumaczyć jako „kij”.

– I to wszystko?

Spojrzała na moje zmarszczone czoło.

– Są też inne znaczenia. „Konar”, „przełącznik”. Albo gałązka wierzby, którą ojciec karci dziecko. – Widać było, że poczuła się nieswojo. – W slangu może jeszcze oznaczać penisa.

– Nie ma innych znaczeń?

– Są, ale coraz bardziej odległe od dosłownego. Na przykład różdżka. Taka, którą niektórzy ludzie wykorzystują do poszukiwania wody na polu. Różdżka podobno wygina się tam, gdzie jest woda.

– Mój ojciec mówił, że widział kiedyś mężczyznę, który naprawdę coś takiego robił. Zawsze podejrzewałem, że ci ludzie po prostu poruszają różdżką. Czy nazwa tej wioski może oznaczać, że dawno temu ktoś znalazł tu wodę za pomocą różdżki?

– Czemu ktoś miałby zawracać sobie tym głowę, skoro na wzgórzach jest tyle źródeł i strumieni? Dlaczego zainteresowałeś się tą nazwą?

– Czytałem dziennik Van Dorna. Nazwa wioski z jakiegoś powodu wzbudziła jego entuzjazm.

– Wszystko mogło tak na niego podziałać. On był obłąkany.

– Był dziwakiem, ale nie szaleńcem. Stał się nim dopiero po zrobieniu tego zapisku w dzienniku.

– Chcesz powiedzieć, że dopiero wtedy uwidoczniły się symptomy choroby. Nie jesteś psychiatrą.

Nie mogłem odmówić jej racji.

– Obawiam się, że znów zachowam się niegrzecznie, ale naprawdę muszę już iść do pracy. – Zawahała się. – Wczorajszej nocy...

– Tak, wiem. To był gest współczucia. Chciałaś ukoić mój ból. Nie chciałaś, żeby to był początek czegoś więcej.

– Zrób to, o co cię prosiłam. Wyjedź. Nie niszcź siebie tak jak inni.

– Inni?

– Jak twój przyjaciel.

– Użyłaś słowa „inni”. Clarisse, powiedz mi.

Odwróciła wzrok, jakby przyparta do muru.

– Po tym, jak twój przyjaciel się oślepił, słyszałam rozmowy ludzi z wioski. Starszych ludzi. Może to tylko plotka, wyolbrzymiona z upływem czasu.

– Co mówili?

Zmrużyła oczy.

– Dwadzieścia lat temu jakiś mężczyzna przyjechał tutaj, żeby zająć się badaniem malarstwa Van Dorna. Mieszkał tu trzy miesiące, a potem wpadł w obłąd.

– Wykłuł sobie oczy?

– Do wioski dotarła plotka, że oślepił się w szpitalu psychiatrycznym w Anglii. Dziesięć lat później zjawił się następny uczoney. Wbił sobie nożyczki w oko, aż do mózgu.

Nie mogłem opanować drżenia ramion.

– Co się tu, do diabła, dzieje?

Zacząłem wypytywać mieszkańców wioski. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Właściciel hotelu oznajmił mi, że nie będzie już wynajmował pokoju Van Dorna i mam zabrać stamtąd rzeczy Myersa.

– Ale mogę zostać w moim pokoju?

– Jeśli pan sobie życzy. Nie namawiam do tego, ale Francja to wolny kraj.

Zapłaciłem rachunek, wszedłem na górę i przeniosłem pudła z pokoju Van Dorna do mojego. Zdziwiłem się, słysząc dzwonek telefonu.

To była moja narzeczona.

Kiedy przyjeżdżam?

Nie wiem.

A ślub, który mamy wziąć w weekend?

Trzeba go odłożyć.

Wzdrygnąłem się, słysząc trzask rzucanej słuchawki.

Usiadłem na łóżku. Wczoraj w nocy siedziałem w tym samym miejscu, a Clarisse stała tuż obok. Później się kochaliśmy. Poczulem, że odrzucam życie, które próbowałem zbudować sobie w Ameryce.

Przez chwilę się wahałem, czy zadzwonić do narzeczonej, ale inne pragnienie okazało się silniejsze. Wydobyłem z pudła pamiętnik Van Dorna. W swoim dopisku do listu Clarisse stwierdziła, że jego badanie stało się dla Myersa obsesją. Próbował odtworzyć codzienne nawyki Van Dorna. Wróciło pytanie, które kiedyś sobie zadałem: Czy przed śmiercią Myers i Van Dorn upodobnili się do siebie całkowicie? Czy rozwiązanie zagadki kryje się w dzienniku Myersa, tak jak udręczone twarze w obrazach Van Dorna? Podniosłem jedną z kopii pamiętnika i zacząłem szukać zapisków dotyczących rozkładu dnia Van Dorna. I tak się zaczęło.

Jak powiedziałem, z wyjątkiem słupów i przewodów elektrycznych wioska La Verge wyglądała tak, jakby czas zatrzymał się tu w poprzednim stuleciu. Zachował się nie tylko hotel, w którym mieszkał Van Dorn, ale także jego ulubiona gospoda i piekarnia, gdzie kupował sobie rano rogaliki. W niewielkiej restauracyjce, którą lubił, nadal serwowano posiłki. Na skraju wioski szemrał potok, gdzie malarz siadywał po południu z kieliszkiem wina, żeby popatrzeć na pstrągi. Tylko pstrągów już nie było, bo dawno wyginęły w zanieczyszczonej wodzie. Odwiedziłem wszystkie te miejsca w kolejności opisanej przez Van Dorna w dzienniku.

Śniadanie o ósmej, lunch o drugiej, szklanka wina nad potokiem pstrągów, spacer po okolicy i powrót do hotelu. Po tygodniu znałem pamiętnik tak dobrze, że nie musiałem do niego więcej zaglądać. Van Dorn malował rano. Napisał, że światło jest wtedy najlepsze. Wieczorami rozmyślał o tym, co zobaczył w ciągu dnia i szkicował.

Po jakimś czasie zrozumiałem, że nie zdołam powtórzyć rozkładu zajęć Van Dorna, jeśli nie będę malował i szkicował wtedy, kiedy on to robił. Kupiłem więc notatnik, płótno, pigmenty, paletę, wszystko, co było potrzebne, i po raz pierwszy od skończenia akademii spróbowałem tworzyć. Postanowiłem zacząć od scenek rodzajowych; powstało to, czego należało się spodziewać: pozbawione inspiracji naśladownictwa dzieł Van Dorna. Niczego nie odkryłem, nie zrozumiałem, co zburzyło równowagę jego umysłu, dlatego w moje obrazy nieuchronnie wkradła się monotonia. Kończyły mi się pieniądze. Byłem gotów zrezygnować.

Ale...

Dręczyło mnie poczucie, że coś mi umknęło. Przeoczyłem jakiś element rozkładu dnia Van Dorna, nie opisany wprost w jego pamiętniku. Albo charakterystyczną cechę mieszkańców wioski, których starałem się malować w duchu Van Dorna, choć bez jego talentu.

Clarisse zastała mnie o zachodzie słońca z kieliszkiem wina w dłoni na brzegu strumienia, w którym nie było już ani jednego pstrąga. Zauważyłem jej cień i odwróciłem się.

Nie widziałem jej od dwóch tygodni, od naszej niezręcznej rozmowy przed kliniką. Była jeszcze piękniejsza niż ją zapamiętałem.

– Kiedy ostatni raz zmieniłeś ubranie? – spytała.

Rok temu zadałem to samo pytanie Myersowi.

– Powinieneś się ogolić. Za dużo pijesz. Wyglądasz okropnie.

Napiłem się wina i wrzuciłem ramionami.

– Wiesz, co odpowiedział pijak, gdy ktoś zwrócił mu uwagę, że ma zaczerwienione oczy? „Wydaje ci się, że źle wyglądają? Powinieneś je zobaczyć z mojej strony”.

– Dobrze, że przynajmniej stać cię jeszcze na żarty.

– Coś mi się zdaje, że sam jestem żartem.

– Na pewno nie. – Usiadła koło mnie. – Zaczynasz być swoim przyjacielem. Czemu nie wyjedziesz?

– Kusi mnie to.

– To dobrze. – Dotknęła mojej dłoni.

– Clarisse?

– Tak?

– Odpowiesz mi jeszcze na kilka pytań?

Przyjrzała mi się uważnie.

– Dlaczego?

– Jeśli otrzymam właściwe odpowiedzi, może wyjadę.

Skinęła powoli głową.

W hotelu pokazałem jej stos reprodukcji. Byłem o krok od powiedzenia o ukrytych twarzach, ale jej zafrasowana mina powstrzymała mnie. Clarisse i bez tego uważała, że depresja odebrała mi trzeźwość umysłu.

– Po południu chodzę w miejsca, które malował Van Dorn. – Przerzuciłem reprodukcje. – Sad, pole, staw, skała. I tak dalej.

– Tak, poznaję te miejsca. Widziałam je wszystkie.

– Miałem nadzieję, że jeśli je zobaczę, zrozumieję, co się przydarzyło mojemu przyjacielowi. Mówiłaś, że on też tam chodził. Wszystkie znajdują

się w promieniu pięciu kilometrów od wioski, niektóre nawet bliżej. Bez trudu je znalazłem. Oprócz jednego.

Nie spytała, którego. Tylko potarła dłonią ramię.

Z pokoju Van Dorna zabrałem wszystkie rzeczy Myersa, także jego dwa nieudane pejzaże. Wyjąłem je teraz spod łóżka.

– Oto obrazy mojego przyjaciela. Nie był malarzem, to widać. Są toporne, ale najwyraźniej przedstawiają to samo miejsce.

Postawiłem obok reprodukcję dzieła Van Dorna.

– To miejsce. Cyprysowy zagajnik na dnie małego, skalistego wąwozu. Tego jednego miejsca nie udało mi się odnaleźć. Pytałem ludzi z wioski. Twierdzą, że nie wiedzą, gdzie to jest. A ty wiesz, Clarisse? Powiesz mi? Musi być ważne, skoro mój przyjaciel próbował je namalować aż dwa razy.

Clarisse przesunęła paznokciem po nadgarstku.

– Przykro mi.

– Słucham?

– Nie mogę ci pomóc.

– Nie umiesz czy nie chcesz? Dlatego, że nie wiesz, gdzie znajduje się to miejsce, czy dlatego, że wiesz i nie chcesz mi powiedzieć?

– Nie mogę ci pomóc.

– Co jest nie tak z tą wioską, Clarisse? Dlaczego wszyscy starają się coś przede mną ukryć?

– Zrobiłam, co mogłam. – Potrząsnęła głową, wstała i podeszła do drzwi. Odwróciła się i spojrzała na mnie smutno. – Czasami lepiej coś zostawić w spokoju. Czasem są powody, żeby zachować coś w tajemnicy.

Patrzyłem, jak odchodzi korytarzem.

– Clarisse...

Odwróciła się i wypowiedziała jedno słowo:

– Północ.

Rozpłakała się.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Będę się modlić za twoją duszę.

Weszła na schody i po chwili zniknęła mi z oczu.

Po raz pierwszy ogarnął mnie lęk.

Pięć minut później wyszedłem z hotelu. Podczas moich spacerów śladami Van Dorna wybierałem zawsze najłatwiejsze trasy: na wschód, zachód i południe. Ilekroć pytałem mieszkańców wsi o odległe, porośnięte drzewami wzgórza na północy, tłumaczyli mi, że nie ma tam nic ciekawego, a zwłaszcza związanego z Van Dornem. A cyprysy w wąwozie? – pytałem. Na tych wzgórzach nie ma żadnych cyprysów, tylko oliwki, słyszałem w odpowiedzi. Ale teraz znałem prawdę.

Wioska La Verge leży na południowym krańcu długiej doliny otoczonej od wschodu i zachodu wysokimi skałami. Wynająłem samochód. Przycisnąłem

pedał gazu i zostawiając za sobą chmurę pyłu ruszyłem na północ. Wzgórza rosły w oczach. Drzewa, które widziałem z wioski, rzeczywiście były oliwkami. Lecz skały o barwie ołowiu wyglądały dokładnie tak samo jak na obrazach Van Dorna. Przyspieszyłem drogą wijącą się wśród wzgórz. Na szczycie jednego z nich znalazłem odrobinę miejsca na zaparkowanie wozu i czym prędzej wysiadłem. W którą stronę się udać? Pod wpływem impulsu ruszyłem w lewo.

Okazało się, że moja decyzja nie była całkiem przypadkowa. Zbocza wzgórz miały w sobie niesamowitą, dramatyczną estetykę. Rzuciała się w oczy jakaś dzikość krajobrazu, poczucie głębi, substancjalności. Tak jak w dziełach Van Dorna.

Coś pchało mnie przed siebie. Dotarłem do wzgórz kwadrans po piątej. Czas jakby dziwnie się zagęścił. Zegarek pokazywał dziesięć po siódmej. Słońce płonęło karmazynowo, zniżając się nad szczytami wzgórz. Pozwoliłem krajobrazowi prowadzić się w moich poszukiwaniach. Grzbiety i parowy układały się w labirynt, za każdym załomem skały ukazywała się przeszkoda lub niewielka przełęcz, wskazując mi drogę. Miałem poczucie, że jestem... Tak, to właściwe słowo: sterowany. Okrażyłem występ skalny i zbiegłem po stoku; nie zwracałem uwagi na ciernie rozdzierające mi spodnie i krew na dłoniach. Znalazłem się na krawędzi skalnego wąwozu, na którego dnie wśród ostrych głazów rosły cyprysy.

Zbocze było strome. Ześlizgiwałem się po ostach, nie dbając o ich ostre ukłucia. Głazy prowadziły mnie w dół. Wbrew złym przecuciom za wszelką cenę pragnąłem dostać się na dno parowu.

Ten skalny kocioł pełen głazów i cyprysów, ten cierniowy komin widziałem nie tylko na obrazie Van Dorna, lecz także na nieudolnych płótnach Myersa. Dlaczego to miejsce wywarło na nich tak przemożny wpływ?

Odpowiedź przyszła prędzej niż się spodziewałem. Usłyszałem ją, zanim zobaczyłem, choć słowo to nie oddaje tego, co poczułem. Dźwięk był tak niski i tak wysoki, że niemal poza granicą słyszalności. W pierwszej chwili pomyślałem, że stanąłem w pobliżu gniazda szerszeni. W nieruchomym powietrzu wypełniającym parów wyczułem delikatną wibrację. To było jak swędzenie skóry tuż koło bębenków usznych. Odgłos składał się z wielu identycznych dźwięków, które zlewały się jak bzyczenie owadów. Jednak ton tego dźwięku był o wiele wyższy. Przypominał chór zawodzących rozpaczliwie głosów.

Marszcząc brwi, zrobiłem kolejny krok w stronę cyprysów. Swędzenie skóry wewnątrz ucha stało się tak nieznośne, że sięgnąłem rękami do skroni. Zbliżyłem się do drzew. Nagle zobaczyłem to wyraźnie. Zdjęło mnie przerażenie. Cofnąłem się, ale było już za późno. Spośród drzew jak błyskawica strzeliło ku mnie coś; było tak małe, że ledwie dostrzegalne.

Trafiło mnie w prawe oko. Ból był tak straszliwy, jak gdyby ktoś przebił rozgrzaną igłą moją siatkówkę i sięgnął nią aż do mózgu. Zakryłem oko prawą dłonią i zawyłem przeraźliwie.



Cofałem się dalej, a ból narastał, jakby lada chwila miał rozsadzić mi czaszkę. Kolana ugięły się przede mną. Osunąłem się na zbocze i straciłem przytomność.

Było po północy, gdy dojechałem do wioski. Oko już mnie nie bolało, ale moje przerażenie wzrosło. Jeszcze nie całkiem przytomny po omdleniu w wąwozie, wszedłem do kliniki i spytałem, gdzie mieszka Clarisse. Skłamałem, że mnie do siebie zaprosiła. Nieco rozespana salowa zmarszczyła brwi, ale podała adres. Wsiadłem w samochód i pojechałem do wioski.

W mieszkaniu Clarisse paliło się światło. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie otworzył. Zapukałem mocniej. W oknie poruszył się cień. Zatoczyłem się do środka, gdy tylko otwarto drzwi. Clarisse stała przede mną w samym szlafroku; kobieta siedząca na łóżku w sypialni zasłoniła piersi prześcieradłem i zerwała się, żeby zamknąć drzwi.

– Co to ma znaczyć? – zawołała Clarisse. – Nie zapraszałam cię!... Jak śmiesz...

– Nie mam czasu wyjaśniać – wykrztusiłem. – Boję się. Potrzebuję twojej pomocy.

Clarisse zacisnęła szlafrok.

– Coś mnie ukąsiło, chyba zostałem zarażony jakąś chorobą. Pomóż mi. Daj mi jakieś antybiotyki, jakąś szczepionkę. Cokolwiek. Może to jakiś wirus albo grzyb. Może działa jak bakteria.

– Co się stało?

– Nie mamy czasu. Mogłem poprosić o pomoc w szpitalu, ale oni by nie zrozumieli. Potraktowaliby mnie tak samo jak Myersa, uznaliby, że majaczę. Ty musisz mnie tam zaprowadzić. Musisz przekonać lekarzy, żeby wstrzyknęli mi każdy lek, który może zabić to, co mnie zainfekowało.

Panika w moim głosie przekonała ją.

– Tylko się ubiorę.

W drodze do szpitala opowiedziałem Clarisse, co się stało. Natychmiast zadzwoniła do lekarza. W oczekiwaniu na niego zdezynfekowała mi oko i dała jakiś środek przeciw bólowi głowy, który dręczył mnie coraz bardziej. Zaspiany lekarz ocknął się na widok mojego wyrazu twarzy. Zgodnie z przewidywaniami zareagował tak, jakby miał do czynienia z pacjentem w głębokiej depresji. Krzyknąłem, żeby przestał się wygłupiać i nafaszerował mnie antybiotykami. Clarisse sprawdziła, czy nie daje mi środka uspokajającego. Wstrzyknął mi wszelkie możliwe kombinacje leków. Połknąłbym choćby strychninę, gdybym miał pewność, że pozbędę się tego, co tkwi w mojej głowie.

W cyprysowym zagajniku ujrzałem maleńkie twarze z szeroko rozwartymi ustami i wijące się drobne ciała, takie same jak na obrazach Van Dorna. Teraz już wiem, że Van Dorn nie przesycił obrazu rzeczywistości swoimi szalonymi wizjami. Okazało się, że jednak nie był impresjonistą. W każdym razie nie był nim, kiedy malował „Cyprisy w skalnym wąwozie”. Jestem pewien, że „Cyprisy” były pierwszym obrazem namalowanym po tym, jak jego mózg uległ infekcji. On malował dokładnie to, co zobaczył podczas jednego ze swoich spacerów. Później, gdy infekcja się rozszerzyła, widział maleńkie twarze i ciała wszędzie, niczym obraz nałożony na wszystko, co go otaczało. W tym sensie także nie był impresjonistą. Otwarte usta i skręcone z bólu ciała były we wszystkim, na co spozrzał. Van Dorn malował więc swoją rzeczywistość. Można powiedzieć, że jego malarstwo było realistyczne.

Wiem o tym jak nikt inny, wierzcie mi. Lekarstwa nie pomogły. Mój umysł jest tak samo zainfekowany jak Van Dorna... czy Myersa. Zastanawiałem się, dlaczego Van Dorn nie przeraził się, kiedy został ukąszony, dlaczego nie popędził do szpitala i nie zwrócił się do lekarza. Doszedłem do wniosku, że tak rozpaczliwie pragnął wizji, która ożywiłaby jego obrazy, że z radością przyjął cierpienie. A Myers tak bardzo chciał zrozumieć Van Dorna, że gdy spotkał go to samo, zaryzykował, aby lepiej utożsamić się z malarzem. Później zrozumiał, że popełnił błąd, lecz było już za późno.

Pomarańczowy to cierpienie, niebieski to obłęd. Teraz wiem, jak dużo w tym prawdy. To, co zagnieździło się w moim mózgu, zmieniło moją percepcję barw. Pomarańczowy i niebieski coraz bardziej przesłaniają inne kolory. Nie mam wyboru. Poza nimi widzę niewiele więcej. Moje obrazy wprost kipią tymi barwami.

Moje obrazy. Rozwiązałem jeszcze jedną tajemnicę. Zawsze mnie fascynowało, jak to możliwe, że Van Dorn w nagłym przypływie twórczej energii namalował trzydzieści osiem arcydzieł w ciągu roku. Teraz znam odpowiedź. Twarze z otwartymi ustami i skłębione ciała, pomarańczowa barwa cierpienia i niebieska obłędu – wszystko to wiruje w mojej głowie i powoduje tak potworne bóle, że chwytalem się wszystkiego, aby je stłumić, wyrzucić z siebie. Próbowalem kodeiny, demerolu i morfiny. Wszystko pomagało, lecz tylko na jakiś czas. Wtedy rozumiałem, co zauważył Van Dorn, a później Myers. Malowanie choroby do pewnego stopnia łagodzi jej objawy. Na chwilę. Malujesz więcej, z jeszcze większą determinacją. Jesteś gotów na wszystko, byleby tylko uśmierzyć ból. Ale Myers nie był artystą. Choroba nie znajdowała ujścia, dlatego osiągnęła ostatnie stadium w ciągu kilku tygodni, podczas gdy u Van Dorna trwało to rok.

Ja jednak jestem artystą... W każdym razie tak mi się zdawało. Miałem warsztat, lecz brakowało mi wizji. Teraz, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, znalazłem wizję. Z początku malowałem tylko cyprisy i ich straszną tajemnicę. Osiągnąłem to, czego należało się spodziewać: imitację oryginału

Van Dorna. Lecz ja nie zamierzam cierpieć na próżno. Dobrze pamiętam pejzaże Środkowego Zachodu, które malowałem w akademii. Krajobraz Iowa z jego ciemną glebą. Chciałem uchwycić wilgotność i zapach tej ziemi. Wtedy nie udało mi się wyjść poza naśladownictwo Wyetha. Teraz jest inaczej. Moje nowe obrazy – razem dwadzieścia – nie są powtórkami z Van Dorna. To moja własna twórczość, niepowtarzalna. Łączy w sobie chorobę z moimi doświadczeniami. Siłą pamięci przywołuję obraz rzeki płynącej przez Iowa City. Jest niebieska. Pod wielkim niebem, tuż za granicami miasta, zaczynają się pola kukurydzy i ciągną się aż po horyzont. Pomarańczowe. Maluję moją niewinność, moją młodość. Pod nimi kryje się ostateczne odkrycie. Brzydota czyhająca w bezmiarze piękna. Przerazenie zawładnęło moim mózgiem.

Clarisse wreszcie opowiedziała mi miejscową legendę. W średniowieczu, kiedy założono La Verge, z nieba strzelił meteor i rozproszył mrok nocy. Uderzył we wzgórze na północ od wioski. Buchnęły płomienie, które strawiły drzewa. Było późno, niewielu wieśniaków widziało całe zdarzenie. Miejsce upadku meteorytu znajdowało się zbyt daleko, by świadkowie ruszyli do niego jeszcze tej samej nocy. Nazajutrz rano dym się rozproszył, drzewa dopaliły. Śmiałkowie próbowali odnaleźć meteoryt, ale nie było wtedy dróg, więc poszukiwanie w labiryncie wzgórz i wąwozów nie należało do łatwych. Większość się zniechęciła, kilku błędziło dalej. Ci, którzy dotarli do celu, wrócili później do wioski bredząc o bólu głowy i maleńkich twarzach z szeroko otwartymi ustami. Kijami kreślili na piasku niepokojące wizerunki i w końcu wykiwali sobie oczy. Według legendy, podobne przypadki samookaleczeń zdarzały się, ilekroć ktoś wrócił z wycieczki do krateru. Jakaś nieznaną siłą brała ich w posiadanie. Wzgórze stały się tabu. Żaden z mieszkańców wsi nie ośmielił się odtąd zapuścić do miejsca, w którym różdżka Pana Boga dotknęła ziemi. Poetycka metafora upadku meteorytu. La Verge.

Nie chcę wysnuwać wniosku, że meteoryt przyniósł jakieś zarazki, które rozpleniły się w kraterze. Według mnie, był on przyczyną, a nie skutkiem. Widziałem skalną studnię w cyprysowym gaju, z której wylatywała chmara maleńkich twarzy i ciał przypominających owady. Jak one wyły! Przywierały do liści cyprysów, ciskały się w rozpacz z powrotem, a w ich miejsce pojawiały się zastępy innych rozdartych bólem dusz.

Właśnie, dusz. Bo meteoryt był tylko przyczyną. Myślę, że jego uderzenie otworzyło bramy piekła. Maleńkie, krzyczące z rozpacz twarzy to potępieńcy. Ja też jestem potępiiony. Jakiś szalony grzesznik, rozpaczliwie pragnący uciec z tego ostatniego więzienia, które nazywamy piekłem, wskoczył w moje oko i przebił się do mózgu, bramy duszy. Mojej duszy. Dręczy ją cierpienie. Maluję, żeby je zmniejszyć.

Mówię. To też pomaga. Clarisse zapisuje moje słowa, a jej kochanka masuje mi ramiona.

Moje obrazy są olśniewające. Kiedyś zostanę uznany za geniusza. Zawsze o tym marzyłem.

Oto cena, jaką płacę.

Bóle głowy są coraz gorsze. Pomarańczowy staje się coraz intensywniejszy, niebieski coraz bardziej natarczywy.

Staram się. Nakazuję sobie być silniejszym od Myersa, który przetrwał tylko kilka tygodni. Van Dorn żył rok. Może geniusz oznacza wytrzymałość.

Ból pulsuje w mojej głowie. Wydaje się, że w każdej chwili może rozsadzić mi czaszkę. Twarze z otwartymi ustami mnożą się bez końca.

Ból! Muszę być silny. Jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden obraz.

Ostry koniec pędzla kusi. Przeciąć tętniący wrzód cierpienia i strachu, upoić się ulgą. Ale muszę wytrzymać.

Na stoliku tuż obok, na wyciągnięcie ręki, leżą nożyce.

Jeszcze nie dzisiaj. I nie jutro.

Przeżyję Van Dorna.

# Długie, zielone włosy grobów

*Po śmierci Matta w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku załamane się. Obraz jego cierpienia dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, osłabił tę część mojego mózgu, która kontroluje stres. Cokolwiek próbowałem robić – spacerować, oglądać telewizję, czytać, jeść – moje ciało pozostawało w stanie ciągłego napięcia. Raz po raz dostawałem ataków paniki. Jedyne, co mogłem robić, to leżeć na plecach i gapić się w sufit.*

*Stopniowo, dzięki miłości rodziny i przyjaciół, zacząłem wychodzić z ciemności. Jednak między publikacją Bractwa Nocy i Mgły w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym i Piątej profesji w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym upłynęły trzy lata, co daje wyobrażenie o głębokości mojej depresji. Osobliwa technika narracyjna następnego opowiadania jest odzwierciedleniem mojego stanu psychicznego. Każdy, kto chodził na zajęcia z literatury, wie, że są trzy główne rodzaje narratorów: w pierwszej osobie, w trzeciej osobie oraz narrator wszechwiedzący. Każdy z nich ma swoje zalety i wady. Ale jest też czwarty, prawie nigdy nie wykorzystywany ze względu na swoje ograniczenia: narrator w drugiej osobie. Autor, zamiast mówić jako „ja”, „on” lub „ona”, mówi jako „ty”. Niekonwencjonalne i ryzykowne, ale dlaczego nie spróbować? – pomyślałem. Chociaż raz. Żeby złamać tabu. Wbrew kolejnej konwencji postanowiłem pisać w czasie teraźniejszym. Miałem w tym jednak pewien cel. W końcu sposób, w jaki opowiada się historię, musi mieć związek z jej tematem. Bohater mojego opowiadania jest tak wstrząśnięty tym, co przeżył, że niejako odrywa się od swojej osoby i myśli o sobie jako „ty”. Dręczące go dawne wydarzenia rozgrywają się wciąż na nowo w jego udręczonym umyśle w czasie teraźniejszym. Opowiadanie Długie, zielo-*

ne włosy grobów otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Twórców Literatury Grozy za najlepszą nowelę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Mimo ulewy znów poszedłeś na cmentarz, nie zwracając uwagi na porywy zimnej jesiennej wichury targające przygięty parasol i na mokre bezbarwne liście, które przyklejają się do twoich przemoczonych spodni.

Dwa groby. Drzysz, przez łzy spoglądając na świeżo usypane kopce. Nie ma nagrobków i nie będzie przez najbliższy rok. Ale wyobrażasz sobie wygląd napisów: daty urodzenia różne, a daty śmierci – mój Boże – takie same. Szymon i Ester Weinbergowie. Twoi rodzice. Bezgłośnie powtarzasz modlitwy, które rabin Goldstein wypowiedział na pogrzebie. Nie mogąc wytrzymać dłużej, brniesz do mokrego samochodu, rzucasz parasol na siedzenie pasażera i przyciskasz guzik ogrzewania. Próbujesz opanować drżenie rąk, falującą od bólu pierś i serce rozrywane żalem.

Z oczami napuchniętymi od łez dojeżdżasz jakoś do domu rodziców. Dworek nad jeziorem Michigan na północ od Chicago, pozbawiony teraz mieszkańców, sprawia wrażenie nawiedzonego. Przechodzisz przez olbrzymi westybul i otwierasz drzwi gabinetu o ścianach wykładanych dębową boazerią. Jedna zastawiona jest książkami, a druga fotografiami twojego ojca z lokalnymi i państwowymi dygnitarzami, nawet z prezydentem. Siadasz przy masywnym biurku, żeby dokończyć porządkowanie papierów ojca wydobytych z sejfów. W drzwiach staje twoja żona z filiżanką kawy w dłoni. Opiera się o ścianę i marszczy czoło. Nie może zrozumieć, dlaczego po raz kolejny posłuchałeś głosu każącego ci wrócić na cmentarz.

– Dlaczego?

Podnosisz głowę znad dokumentów.

– Czy to nie jest oczywiste? Czuję potrzebę bycia z nimi.

– Nie to mam na myśli – mówi Rebeka. Jest wysoka, ma czterdzieści dziewięć lat, ciemne włosy, szczupłą twarz i zamyślane oczy. – Tak dużo pracujesz. Dokumenty, spotkania, telefony. Czy nie możesz trochę odpocząć? Wyglądasz okropnie.

– A jak mam wyglądać? Klatka piersiowa mojego ojca została zmiążdżona, głowa matki... Pijany drań, który wjechał na ich samochód, wyszedł z wypadku z kilkoma zadrapaniami.

– Nie to miałam na myśli – powtarza Rebeka. Drżącymi dłońmi podnosi filiżankę do ust. – Ja ci współczuję, a nie oskarżam. Masz prawo źle wyglądać. To straszne stracić kogoś z rodziców, a tym bardziej oboje, i to w takich potwornych okolicznościach... Ale to, co robisz, ulegając temu dziwnemu przymusowi... Boję się, że wpędzisz się w depresję. Nie zadreńczaj się. Twój ojciec wyznaczył kompetentnego prawnika, który ma się zająć posia-

dłością. Pozwól mu wykonać swoją pracę. Jesteś doskonałym adwokatem, ale nie możesz teraz brać wszystkiego na swoje barki. Na Boga, Jakubie... a jeśli nie na Boga, to dla mnie... odpocznij trochę.

Wzdychasz. Wiesz, że żona chce dla ciebie jak najlepiej. Ale ona nie rozumie: musisz się czymś zająć, zagubić w drobiazgach, żeby ogrom twojego żalu nie pozbawił cię rozumu.

– Prawie już skończyłem – odpowiadasz. – Jeszcze tylko parę dokumentów z sejfów. Potem obiecuję odpocząć. Może wezmę kąpiel... O Boże, nadal nie mogę uwierzyć... Tak bardzo mi ich brakuje... Należ mi whisky. Czuję, że muszę oszukać nerwy.

– Zaraz ci przyniosę.

Gdy Rebeka zbliża się do barku, zerkasz na następny dokument: wyblakłą kopię twojego aktu urodzenia. Potrząsaszą głową.

– Stary trzymał wszystko. Co za biurokrata – mówisz z gorzką czułością. – Dlatego tak trudno się w tym połapać. Nie sposób powiedzieć, co jest ważne, co ma wartość tylko sentymentalną, a co...

Spoglądasz na następny dokument, prawie go odkładasz; marszczysz brwi, zerkasz jeszcze raz.

– O Boże. – Nie możesz złapać tchu.

– Jakubie? – Rebeka odwraca się, odkłada butelkę i biegnie w twoją stronę. – Co się stało? Twoja twarz jest szara jak...

Nie możesz oderwać wzroku do dokumentu. Czujesz się tak, jakbyś dostał potężny cios w pierś. Rebeka przykuca obok ciebie, dotyka twojej twarzy. Przełykasz ślinę.

– Ja...

– Co, Jakubie? Powiedz. Co się stało?

– Zaszła jakaś pomyłka. – Wskazujesz dokument.

Rebeka czyta spiesznie.

– Nie rozumiem. Tyle tu prawniczego żargonu. Jakaś kobieta zgodziła się oddać dwoje dzieci do adopcji. Czy o to chodzi?

– Tak. – Z trudem wydobywasz słowa. – Spójrz na datę.

– Piętnasty sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego.

– Tydzień przed moimi urodzinami. Ten sam rok.

– No to co? Zbieg okoliczności. Twój ojciec zajmował się różnymi sprawami, prawdopodobnie także adopcjami.

– Ale nie trzymałby takiego dokumentu wśród swoich prywatnych papierów w sejfie. Spójrz, gdzie to zostało spisane przez notariusza.

– W Redwood Point w Kalifornii.

– A teraz porównaj z moim aktem urodzenia...

– Redwood Point w Kalifornii.

– Nadal uważasz, że to zbieg okoliczności?

– Nie może być inaczej. Jakubie, bardzo dużo przeszedłeś, ale na ten stres nie musisz się narażać. Przecież wiesz, że nie zostałeś adoptowany.

– Wiem? Skąd?

– To jest...

Przerywasz jej niecierpliwym gestem.

– Takie rzeczy uważa się za oczywiste – mówi Rebeka.

– Dlaczego?

– Ponieważ rodzice powiedzieliby ci o tym.

– Dlaczego? Jeśli nie musieli tego robić, po co mieliby ryzykować narażanie mnie na wstrząs? Czy nie woleliby zostawić tej sprawy w spokoju?

– Jakubie, ponosi cię wyobraźnia.

– Być może. – Wstajesz i niepewnym krokiem zbliżasz się do barku; koczysz nalewanie drinka. – Być może.

Mocny drink parzy w gardło.

– Ale nie będę tego wiedział na pewno, prawda? Jeśli nie dowiem się, dlaczego ojciec trzymał dokumenty adopcyjne w swoim prywatnym sejfie i jak to się stało, że urodziłem się tydzień później w tym samym miejscu, w którym ta kobieta podpisała zgodę.

– I co z tego wynika? – Rebeka pociera dłonią czoło. – Nie rozumiesz? Przecież to niczego nie zmienia! Twój rodzice kochali cię, a ty ich. Przypuśćmy, wbrew wszystkiemu przypuśćmy, że podejrzewasz się sprawdzi. Czy twój żal zmniejszy się przez to? Kochaliście się przez całe życie i nic tego nie przekreśli.

– Ale może zmienić, i to bardzo dużo.

– Dokończ drinka. Jest piątek. Jeszcze zdążymy pójść do bożnicy. Jeśli kiedykolwiek potrzebowałeś skupienia ducha, to właśnie teraz.

Niecierpliwie wypijasz jedną trzecią whisky.

– Spójrz jeszcze raz na dokument adopcyjny. Ta kobieta zgodziła się oddać dwoje dzieci. Jeśli zostałem adoptowany, oznacza to, że mam brata bliźniaka albo siostrę.

– To dla ciebie obcy człowiek. Jakubie, bycie bratem lub siostrą to coś więcej niż pochodzenie biologiczne.

Resztką whisky rozgrzewa ci żołądek.

– Popatrz jeszcze raz. Na dole jest nazwisko tej kobiety.

– Mary Duncan.

– Szkotka?

– A więc? – pyta Rebeka.

– Mam iść do bożnicy? Zastanów się. Czy słyszałaś, żeby jakiś Szkot... Może ja w ogóle nie urodziłem się Żydem?

Rysy twarzy twojego wujka tężeją.

– Adoptowany? Skąd ci to przyszło do głowy?...



Siadasz koło niego na kanapie w pokoju stołowym i opowiadasz o znalezionych dokumentach.

Ściąga brwi. Potrząsa głową.

– To zbieg okoliczności.

– Tak twierdzi moja żona.

– A więc posłuchaj jej. I posłuchaj mnie. Jakubie, twój ojciec i ja byliśmy ze sobą związani tak blisko, jak tylko bracia być mogą. Nie mieliśmy przed sobą żadnych sekretów. Żaden z nas nigdy nie podjął żadnej ważnej decyzji nie poradziwszy się wpierw drugiego. Kiedy Szymon – niech spoczywa w spokoju – postanowił ożenić się z twoją matką, rozmawiał o tym ze mną na długo przedtem, zanim powiedział rodzicom. Uwierź mi, zaufaj: gdyby on i Ester planowali zaadoptować dziecko, ja na pewno bym o tym wiedział.

Oddychasz głęboko. Chcesz uwierzyć, ale...

– A więc dlaczego?...

– Powiedz mi, Jakubie.

– Możemy udawać, że te dokumenty przez przypadek znalazły się obok siebie w sejfie moich rodziców. Możemy udawać, że nie mają ze sobą żadnego związku. Ale dlaczego? O ile mi wiadomo, ojciec zawsze mieszkał w Chicago. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz muszę zapytać: czemu nie urodziłem się tutaj, tylko w Kalifornii?

Wuj skupia się z wysiłkiem. Wreszcie wzrusza ramionami.

– To było tak dawno. – Zerka przez okulary na twoją metrykę urodzenia. – Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy rok. Tyle lat. Niewiele pamiętam. Zamyśla się na chwilę.

– Twoi rodzice bardzo chcieli mieć dzieci. To pamiętam. Ale mimo że bardzo się starali... W każdym razie po pewnym czasie opadła ich rezygnacja. I nagle pewnego dnia twój ojciec wpadł do mnie do biura, rozpromieniony. Kazał mi wziąć sobie wolne, bo chce, żebyśmy uczcili coś bardzo ważnego. Twoja matka zaszła w ciążę.

Ból wykrzywia ci twarz na myśl o rodzicach. Powstrzymujesz łzy.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego urodziłem się w Kalifornii.

– Zaraz do tego wrócę. – Wuj drapie się po brodzie pociętej grubymi zmarszczkami. – Tak, zaczynam sobie przypominać... Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. Najgorsze lata depresji minęły, ale sytuacja nie była jeszcze dobra. Twój ojciec powiedział, że kiedy urodzi się dziecko, będzie musiał więcej zarabiać. Uważał, że w Kalifornii, w Los Angeles, są lepsze możliwości. Próbowałem go od tego odwieść. Za rok Chicago wyjdzie z kryzysu, mówiłem. Poza tym będziesz musiał starać się o pozwolenie na uprawianie zawodu adwokata w Los Angeles. Oczywiście, miałem rację. Chicago niebawem rzeczywiście wyszło z kryzysu. No i okazało się, że twoim rodzicom nie podoba się w Los Angeles, więc po sześciu czy siedmiu miesiącach wrócili, tuż po twoich narodzinach.

- Ale to nadal...
- Co?
- Los Angeles to nie Redwood Point. Nigdy nie słyszałem o takiej miejscowości. Co robili tam moi rodzice?
- To żadna tajemnica. – Wuj unosi białe brwi. – Redwood Point było nadmorskim kurortem. W sierpniu w Los Angeles panował straszny upał. Gdy zbliżyła się data rozwiązania, twój ojciec postanowił, że przeniosą się w jakieś chłodniejsze, przyjemniejsze miejsce, gdzie Ester łatwiej będzie oddychać. Wzięli więc krótkie wakacje i tam właśnie się urodziłeś.
- Tak, to całkiem logiczne – mówisz. – Nic w tym tajemniczego. Ale dlaczego ojciec trzymał dokument adopcyjny tamtej kobiety?
- Wuj unosi w geście rezygnacji dłonie upstrzone plamami wątrobowymi.
- Aj waj... Z tego co wiem, podczas pobytu w Redwood Point trafiło mu się jakieś zlecenie. Wziął tę pracę, żeby zapłacić za opiekę w szpitalu. Później, kiedy wrócili do Chicago, te dokumenty mogły się zaplatać między osobiste papiery. Po prostu wszystko, co było związane z Redwood Point, trafiło przypadkowo w jedno miejsce.
- I nigdy nie zauważył pomyłki, choć tyle razy zaglądał do sejfu? Trudno mi w to uwierzyć...
- Jakubie, Jakubie. W zeszłym miesiącu zajrzałem do mojego sejfu i znalazłem obligacje, o których całkiem zapomniałem. Takie rzeczy się zdarzają.
- Mój ojciec był najbardziej skrupulatną osobą, jaką znam.
- Bóg wie, jak bardzo go kochałem i jak mi go brakuje. – Wuj zagryza pobladałą dolną wargę. Oddycha z wysiłkiem, hamując emocje. – Ale nie był doskonały, a życie nie pozwala się uporządkować. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak ten dokument trafił do prywatnych dokumentów twój ojca. Ale co do jednego mam pewność: jesteś naturalnym dzieckiem Szymona i Ester. Nie zostałeś adoptowany.
- Kiwasz głową, wpatrując się w podłogę.
- Dziękuję ci.
- Nie musisz. Idź do domu, odpocznij i przestań tak dużo myśleć. To, co się stało z Szymonem i Ester, wstrząsnęło nami wszystkimi. Długo będzie nam ich brakować.
- Tak – mówisz. – Długo.
- A Rebeka? Jak ona...
- Tak samo jak ja. Ciągłe nie może uwierzyć, że nie żyją.
- Wuj ściska twoją dłoń chudymi palcami.
- Nie widziałem żadnego z was od pogrzebu. Rodzina musi się teraz trzymać razem. Może zjemy razem placek miodowy w Rosz ha Szana?
- Chciałbym, wujku, ale nie mogę. Wyjeżdżam z miasta.
- Dokąd się wybierasz?
- Do Redwood Point.

Największym lotniskiem w pobliżu celu twojej podróży jest San Francisco. Wynajmujesz samochód i jedziesz wzdłuż wybrzeża na południe, mijając po drodze Carmel i Big Sur. Zajęty myślami, ledwo dostrzegasz niezwyklej krajobraz: targane wiatrem cyprysy, postrzępione nadmorskie klify, białe bałwany rozbijające się o brzeg. Pytasz sam siebie, dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś do Redwood Point, nie przedstawiłeś się jako prawnik z Chicago i nie poprosiłeś o informację? Dlaczego nie mogłeś oprzeć się potrzebie przyjechania do tego miasteczka, tak małego, że nie znalazłeś go w swoim atlasie? Musiałeś pojechać do biblioteki w Chicago i poprosić o wielką mapę Kalifornii. Co cię tu w ogóle przygnało? Zarówno żona, jak i wuj radzili ci dać temu spokój. Nie jesteś adoptowanym dzieckiem, a nawet gdybyś był, to co by to zmieniło?

Jednak pytania nie dają ci spokoju. Po pierwsze, możesz mieć brata bliźniaka lub siostrę bliźniaczkę, a teraz, gdy straciłeś rodziców, czujesz potrzebę wypełnienia pustki, choćby poprzez odnalezienie rodzeństwa, którego istnienia nie podejrzewałeś. Po drugie, dotknął cię kryzys wieku średniego, ale innego rodzaju niż ten, który przechodzi większość mężczyzn. Przeżyłeś tyle lat i być może nawet nie znałeś swoich naturalnych rodziców, więc utraciłeś poczucie tożsamości. Tak, kochałeś tych rodziców, których znałeś, ale rozpaczliwa niepewność pcha cię do tego, żeby poznać prawdę, obojętne jaka ona jest. Albo przekonasz się, że nie byłeś adoptowanym dzieckiem, albo będziesz musiał pogodzić się z tym faktem. Ból po utracie obojga rodziców w połączeniu z tą niepewnością jest nie do zniesienia. Trzeci, najważniejszy powód jest taki, że chcesz się dowiedzieć, czy... Tak, spędziłeś całe życie jako Żyd, zostałeś obrzezany, przestrzegałeś przykazań i świąt, chodziłeś w piątek do bożnicy... Chcesz więc wiedzieć, czy urodziłeś się gojem. Powtarzasz sobie, że bycie Żydem nie ma nic wspólnego z rasą i genami, że to kwestia kultury i religii. Ale w głębi serca zawsze czułeś dumę z tego, że jesteś prawdziwym Żydem. Teraz twoja tożsamość jest zagrożona. Kim jestem? – pytasz.

Naciskasz mocniej pedały gazu i zastanawiasz się, dlaczego się nie zgodziłeś, żeby żona przyjechała tu razem z tobą. Czemu uparłeś się, żeby być sam?

Bo tak chciałem, i już, odpowiadasz sobie z ponurą determinacją.  
Bo nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie powstrzymał.

Autostrada pnie się po nadmorskich klifach. Na zboczach poskręcane jodły wczepiają się w cieniutką warstewkę gleby i walczą o życie. Na zniszczonym przez wodę i wiatr znaku nagle ukazuje się napis REDWOOD POINT. Równie niespodziewanie po prawej stronie w oddali wyrasta miasteczko. Już z daleka widać, że budynki są zniszczone i nie pomalowane.

Rozsiadły się wokół zatoczki w centrum z zapadającym się molo. Piękne są tu tylko refleksy popołudniowego słońca na białych grzywach fal.

Redwood Point. I to ma być ten słynny kurort? Tak w każdym razie mówił o nim wuj. Może w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, ale nie teraz. Zjeżdżasz z autostrady przyciskając hamulec. Wąska wyboista droga wiję się między karłowatymi cyprysami do nędznej miejsciny, gdzie zgodnie z metryką urodzenia po raz pierwszy ujrzałeś świat. Mijas nędzny drewniany hotelik. Na grzbiecie wzgórza dostrzegasz osmalone resztki drugiego hotelu i w myślach przyznajesz rację wujowi i żonie. Ta długa, męcząca podróż była niepotrzebna. Tyle lat. Przyjechałeś do cienia miejscowości, która kiedyś może była słynna. Nie znajdziesz tutaj odpowiedzi na swoje pytania.

Piaszczysta droga wyrównuje się; wzdłuż szeregu rozpadających się domów prowadzi do szkieletu mola. Zatrzymujesz się koło jakiejś rudery, wysiadasz i wdychasz słone oceaniczne powietrze. Jakiś starzec rozsiadł się na krześle, które stoi na ostatnich bezpiecznych deskach mola. Pod wpływem impulsu podchodzisz bliżej. Żwir i muszle chrzęszczą pod twoimi stopami.

– Przepraszam.

Starzec siedzi tyłem do ciebie, wpatrując się w ocean.

W twoje nozdra uderza odór martwych ryb rozkładających się na brzegu.

– Przepraszam – powtarzasz.

Starzec odwraca się powoli, powodowany ciekawością lub niechęcią.

Zadajesz mu pytanie, które przyszło ci do głowy, gdy zjeżdżałeś do miasteczka.

– Dlaczego ta miejscowość nazywa się Redwood Point? Przecież tu na południu sekwoje nie rosną.

– Patrzy pan na nie.

– Chyba nie rozumiem...

Starzec wskazuje szczątki mola.

– Deski są zrobione z sekwoi – wyjaśnia pociągając łyk piwa z puski. – Kiedyś było piękne. Tak dumnie wbijało się w zatokę. Redwood Point.

– Czy jest tu szpital?

– Pan chory?

– Pytam z ciekawości.

– Najbliższy szpital jest sześćdziesiąt kilometrów stąd.

– A lekarz?

– Był kiedyś. Czemu pan zadaje tyle pytań?

– Już powiedziałem. Z ciekawości. A może jest tu sąd?

– Czy to wygląda na siedzibę władz hrabstwa? Kiedyś to miasto coś znaczyło, ale teraz... – Starzec ciska puszkę w kierunku kosza, ale chybia. – Niech to szlag.

– A może... jest tu posterunek policji?

– Jasne. Szeryf Kitrick. – Stary zanosi się kaszlem. – Akurat jest tu potrzebny. Nic się nie dzieje. Szeryf nie ma nawet zastępcy.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– O, to łatwe. O tej porze będzie siedział w barze „Redwood”.

– Gdzie to jest?

– Za panem. Trzeba skręcić w lewo. To jedyny budynek, który jako tako wygląda.

Bar stoi przy popękanej drodze biegnącej ponad plażą. Świeże deski z drewna sekwoi na jego ścianach sprawiają, że sąsiednie budynki wydają się jeszcze gorzej. Wchodzisz drzwiami z namalowaną kotwicą. Wnętrze przypomina sklep żeglarski lub kajutę trawlera. W kącie stoją tyczki rybackie, a na ścianie wisi sieć z niewielkimi pływakami. Na półce koło wypolerowanego steru wiszącego nad barem rozstawiono rozmaite instrumenty nawigacyjne: sekstant, kompas i inne, których nie znasz. Wyglądają na stare, choć ich metal lśni. Przy topornych prostokątnych stołach stoją kapitańskie krzesła.

Słyszysz głosy i kierujesz wzrok w ich stronę. Przy stoliku w rogu siedzi pięciu mężczyzn i gra w karty. Światło lampy z trudem przebija się przez obłok papierosowego dymu wiszący nad ich głowami. Jeden z nich – około pięćdziesiątki, z szeroką klatką piersiową i różową cerą – ma na sobie policyjny mundur. Z uwagą ogląda swoje karty.

Jego towarzysz zwraca głowę w stronę baru.

– Jeszcze jedno piwo, Ray. A ty, Hank?

– Dopiero za dziesięć piąta. Jeszcze jestem na służbie – odpowiada policjant. – Ful.

– Dla mnie wystarczy.

– Ja mam tylko sekvens.

Gracze rzucają karty na stół.

Policjant zbiera ćwierćdolarówki.

– Ja rozdaję.

Zerka w twoją stronę, tasując karty.

Barman stawia piwo na stole i spogląda na ciebie.

– Co będzie?

– Woda sodowa. Chciałbym porozmawiać z szeryfem Kitrickiem.

Policjant wbija w ciebie wzrok.

– Coś pilnego?

– Raczej nie. – Wzruszasz ramionami. – Chodzi o sprawę sprzed wielu lat. Może poczekać jeszcze trochę.

Policjant marszczy brwi.

– Tylko skończymy to rozdanie.

– Oczywiście.

Płacisz za drinka i pociągasz łyk. Na ścianie po przeciwnej stronie dostrzegasz dziesiątki zdjęć, pożółkłych, pogiętych, wyblakłych. Ale nawet patrząc z tej odległości domyślasz się, co przedstawiają. Zbliżasz się, z trudem opanowując dreszcz.

Redwood Point. Na fotografiach uwieczniono kurort w najlepszych czasach, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Na gładkiej drodze połyskują w słońcu nowiutkie automobile. Plaża roi się od ludzi ubranych w staroświeckie kostiumy kąpielowe. Na pięknym długim moło rozsiedli się wędkarze. Żaglówki kołyszą się na wodach zatoki. Piesi przechadzają się po chodniku, spoglądając na wystawy sklepów lub w stronę oceanu. Niektórzy jedzą hot-dogi i cukrową watę. Wszyscy dobrze ubrani, budynki czyste, zadbane. Czas wielkiego kryzysu. Jednak nie wszyscy stracili pracę, a ci, którym powodziło się dobrze, tutaj szukali schronienia przed upałem i brudem miasta. Wspomniały hotel z przestronnym gankiem, na którym goście popijają mrożone napoje, to z pewnością rudera przy drodze. Inny duży budynek z wieżyczkami, kryty wiktoriańskimi gontami, przypomina zgliszcza, które dostrzegłeś na szczyście wzgórza. Duchy. Potrząsasz głową. Większość ludzi na tych zdjęciach już od dawna nie żyje; budynki też umarły, tylko jeszcze się nie przewróciły. Cóż za marnotrawstwo. Co się tutaj stało? Dlaczego czas tak okrutnie obszedł się z tym miasteczkiem?

– Kiedyś było naprawdę ładne – odzywa się szorstki głos z tyłu.

Odwracasz się. Szeryf stoi koło ciebie ze szklanką piwa.

– Już po piątej. Jestem po służbie – wyjaśnia. – Dziękuję, że pozwolił nam pan dokończyć grę. Czym mogę służyć? Powiedział pan, że to rzecz sprzed wielu lat.

– Tak. Z czasów, kiedy zrobiono te zdjęcia.

– Aha.

– Czy możemy gdzieś porozmawiać? To raczej osobista sprawa.

– Moje biuro jest po sąsiedzku.

Wnętrze posterunku pachnie pleśnią; z sufitu w kącie zwisa pajęczyna. Mijaszą ławkę w poczekalni, przechodzisz przez trzeszczącą bramkę i stajesz naprzeciwko trzech biurek, z których dwa są puste i zakurzone. Jest telefon, ale nie widać krótkofalówki. Szafka na akta, kalendarz na ścianie. Taki duży posterunek... Pewnie kiedyś pracowało tu kilku policjantów. Wyczuwasz, że od lat nic się tu nie dzieje. Niemal słyhać echa dawnych rozmów.

Szeryf wskazuje drewniane krzeselko.

– Mówi pan, sprawa sprzed lat?

Siadasz.

– Z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego.

– To rzeczywiście kawał czasu.

– Ja się tu urodziłem. – Wahasz się. – Moi rodzice zmarli trzy tygodnie temu...

– Ja straciłem ojca w zeszłym roku. Współczuję panu.

Kiwasz głową, bierzesz oddech i próbujesz uporządkować myśli.

– Przeglądając jego dokumenty, natrafiłem na... Krótko mówiąc, istnieje możliwość, że zostałem adoptowany.

Szeryf skupia przygląda ci się z uwagą.

– Ale to tylko możliwość. Gdyby jednak rzeczywiście tak było, nazwisko mojej matki brzmiałoby Mary Duncan. Przyjechałem tutaj, ponieważ... Pomyślałem, że zachowały się jakieś dokumenty.

– Jakie dokumenty?

– Na metryce urodzenia podano czas i miejsce mojego urodzenia, a także nazwiska moich rodziców. Szymon i Ester Weinberg.

– To żydowskie nazwisko.

Nieruchomiejesz.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Skomentowałem tylko to, co pan powiedział.

Namyślasz się chwilę.

– Metryka, którą otrzymują rodzice, jest skróconą kopią tej, która znajduje się w sądzie hrabstwa.

– Sąd jest czterdzieści mil stąd, w Cape Verde.

– Dopiero tutaj się o tym dowiedziałem. Wydawało mi się jednak, że będzie tu szpital, w którym znajdę dane dotyczące mojego urodzenia.

– Nie ma u nas szpitala. I nigdy nie było.

– Tego też się dowiedziałem. Ale w kurorcie cieszącym się w latach trzydziestych taką popularnością musiało być chociaż pogotowie.

– Klinika. Ojciec kiedyś o niej wspominał. Została zamknięta w latach czterdziestych.

– Czy wie pan, co się stało z jej archiwami?

Szeryf unosi ramiona.

– Spakowali i wysłali gdzieś. Na pewno nie ma ich tutaj. Znam każdy zakątek tego miasteczka i wiem, że nie ma tu żadnych archiwów. Ale nie bardzo rozumiem, jak mogłyby one panu pomóc.

– W karcie musiało być podane nazwisko mojej matki. Jestem prawnikiem i wiem, że...

Szeryf marszczy brwi.

– ...w przypadku adopcji sąd nanosi poprawki na metrykę, umieszczając na niej nazwiska rodziców adoptujących jako naturalnych. Ale oryginalna metryka z nazwiskami naturalnych rodziców nie ulega zniszczeniu. Zapieczętowane są ją i umieszcza w osobnej części archiwów.

– Wydaje mi się, że powinien pan pojechać do sądu hrabstwa i odszukać ten dokument.

– Rzecz w tym, że nawet jako adwokat musiałbym złożyć podanie, którego rozpatrzenie ciągnie się miesiącami... I wcale nie jest pewne, że otrzymałbym zgodę na otwarcie akt. Z aktami szpitalnymi sprawa jest prostsza. Wystarczyłoby znaleźć jakiego wyrozumiałego lekarza, który... – Ta myśl sprawia, że twoje serce zaczyna bić prędeej. – Czy zna pan nazwiska lekarzy, którzy tu praktykowali? Może oni mogliby mi pomóc?

– Nie było tu żadnego lekarza od lat. W razie choroby wsiadamy w samochód i jedziemy do najbliższego miasta. Nie chcę pana zniechęcać, panie...

– Weinberg.

– Tak. Weinberg. Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. To stara historia. Zdaje mi się, że traci pan czas. Kto by pamiętał, nawet jeśli taka osoba żyje. Bóg jeden wie, gdzie mogą być archiwa, o których pan mówił.

– W takim razie będę musiał wybrać trudniejszą drogę. – Wstajesz. – Pojadę do sądu. Dzięki za pomoc.

– Chyba niezbyt panu pomogłem. Panie Weinberg...

– Tak?

– Czasem lepiej jest zostawić przeszłość w spokoju.

– Bardzo bym chciał, ale nie mogę.

Cape Verde okazuje się przyjemnym miasteczkiem z dwudziestoma tysiącami ludności i architekturą w hiszpańskim stylu: dachy kryte czerwoną dachówką, łukowate wejścia i szare ściany. Czujesz się tu lepiej niż w Redwood Point, ale tylko do chwili, gdy z sąsiedniego pokoju w hotelu dobiega cię płacz dziecka. Po przespanej połowie nocy dzwonicz do Rebeki i zapewniasz ją, że wszystko jest w porządku, ale odmawiasz powrotu do domu. Dowiadujesz się drogi od recepcjonisty i jedziesz prosto do budynku sądu, który wygląda jak hiszpańska misja. Docierasz tam tuż po dziewiątej.

Archiwa znajdują się na zapleczu na drugim piętrze. Młody rudowłosy mężczyzna za kontuarem nie zastanawia się długo.

– Metryki urodzenia? Z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego? Oczywiście.

Akta są dostępne dla wszystkich, więc nie musisz wyjaśniać, dlaczego chcesz zobaczyć swoje.



Po dziesięciu minutach urzędnik wraca z okazałą zakurzoną księgą. Nie ma tu biurka, więc stajesz przy kontuarze. Młody mężczyzna wraca do pracy, a ty wertujesz stronicę księgi.

Zapisy są pogrupowane według okręgów hrabstwa. Zaczynasz czytać uważniej, gdy dochodzisz do Redwood Point. Szukasz nie tylko wzmianki o swoim urodzeniu, ale nazwiska Mary Duncan. W sierpniu urodziło się dwadzieścioro dzieci. Przez moment dziwisz się, że w tak małej miejscowości urodziło się ich aż tyle. Zaraz jednak przypominasz sobie, że w sierpniu kurort odwiedzało najwięcej ludzi i być może były wśród nich pary, które postanowiły, że dziecko powinno się narodzić nad oceanem, a nie w miejskim zaduchu. Tak postąpili twoi rodzice, jeśli wierzyć wujowi.

Odnotowujesz nazwiska matek i ojców. Miriam i Dawid Meyer. Ruth i Henry Begelman. Gail i Jeffrey Markowitz. Z biciem serca zauważasz swoją metrykę z nazwiskami rodziców: Ester i Szymon Weinbergowie. Ale to, jak dobrze wiesz, o niczym nie świadczy. Zerkasz na dół strony. Placówka: klinika w Redwood Point. Poświadczył: Jonathan Adams, lekarz medycyny. Asystent: June Engle, pielęgniarka. Dochodzisz do wniosku, że Adams prawdopodobnie zajmował się twoją matką. Jego nazwisko widnieje na każdej metryce wydanej w Redwood Point.

Nigdzie jednak nie znajdujesz nazwiska Mary Duncan. Przeglądasz zapisy z września, na wypadek gdyby rozwiązanie się opóźniło. Żadnej wzmianki o Mary Duncan. Może podpisała zgodę na adopcję w pierwszych miesiącach ciąży. Przeglądasz zapisy z całego roku. Na próżno.

Prosisz urzędnika o metryki urodzenia z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Nie robi żadnych trudności. Kiedy docierasz do kwietnia, a potem maja, i nadal nie znajdujesz wzmianki o Mary Duncan, marszczysz czoło. Nawet gdyby już w pierwszym miesiącu wiedziała, że jest w ciąży, i nawet gdyby jej ciąża trwała dziesięć miesięcy zamiast dziewięciu, i tak powinien zostać jakiś jej ślad w tych aktach. Co się stało? Czyżby zmieniła zdanie i ukryła się gdzieś, żeby urodzić dwoje dzieci, które przyrzekła oddać? Może jakiś kompetentny prawnik wyjaśnił jej, że pisemne zobowiązanie, choćby wyglądało nie wiem jak oficjalnie, zgodnie z prawem do niczego jej nie zmusza? A może?...

– Poproszę akty zgonów z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego i dziewiątego roku.

Tym razem młody urzędnik zdradza oznaki zniecierpliwienia. Przynosi jednak żądane akta, w których nie znajdujesz żadnej wzmianki o śmierci Mary Duncan przy porodzie.

– Dziękuję – mówisz do młodego człowieka chowając notatnik. – Bardzo mi pan pomógł.

Mężczyzna uśmiecha się, zadowolony, że nie musi szukać niczego więcej.

- Jeszcze tylko jedno.
- Ramiona archiwisty wyraźnie opadają.
- Chodzi mi o metrykę urodzenia Jakuba Weinberga. – Wskazujesz stronę w otwartej księdze.
- Tak?
- Są tutaj nazwiska Ester i Szymona Weinbergów jako rodziców. Istnieje jednak możliwość, że Jakub został adoptowany. Jeśli tak było, musi istnieć druga metryka z nazwiskiem biologicznej matki. Chciałbym ją zobaczyć...
- Oryginalne metryki adoptowanych dzieci nie są przeznaczone do wglądu.
- Jestem adwokatem i...
- Także dla adwokatów. Jeśli jest pan prawnikiem, powinien pan to wiedzieć.
- Tak, ale...
- Proszę się zwrócić do sędziego i uzyskać nakaz. Chętnie udostępnię panu akta. Ale tylko w tym przypadku. To są zapieczętowane dokumenty i pokazując je panu straciłbym pracę. Przepisy są surowe.
- Oczywiście. Rozumiem.

Wydział obsługi ludności także znajduje się w sądzie w Cape Verde. Czekasz w holu na drugim piętrze na urzędniczkę zajmującą się sprawami adopcji. Nazywa się Becky Hughes. Podaje ci rękę i prowadzi do swojego gabinetu. Blondynka w wieku około trzydziestu lat, dobrze ubrana, z niewielką nadwagą. Na pierwszy rzut oka widać, że jest inteligentna i z zaangażowaniem wykonuje swoją pracę.

- Urzędnik postąpił dokładnie tak, jak powinien – mówi Becky.
- Chyba nie wyglądasz na przekonanego.
- Zasady udostępniania oryginalnych metryk w przypadku adopcji są mądrze opracowane, panie mecenasie.
- Mądra jest też inna zasada: jeśli coś jest dla ciebie ważne, musisz próbować, bo inaczej nic nie zyskasz.
- Ważne? – Becky stuka palcami w blat biurka. – Jeśli chodzi o adopcję, nic nie jest równie ważne jak zachowanie anonimowości biologicznej matki.
- Zerka w stronę automatu do kawy.
- Napije się pan?
- Potrząsasz głową.
- Moje nerwy i tak są dość napięte.
- Bezkofeinowa.
- W takim razie chętnie, czemu nie? Czarną poproszę.

Urzędniczka napełnia dwie filiżanki, stawia na biurku i siada naprzeciwko ciebie.

– Kiedy kobieta oddaje swoje dziecko, często dręczą ją z tego wyrzuty sumienia... Na przykład nie jest mężatką, a pochodzi ze środowiska, gdzie obowiązują surowe zasady religijne; ma siedemnaście lat i nie jest w stanie zapewnić dziecku utrzymania, może już ma za dużo dzieci... Tak czy inaczej, jeśli kobieta decyduje się urodzić dziecko i oddać je komuś zamiast przeprowadzić aborcję, targają nią tak silne emocje, że jej zdrowie psychiczne wymaga odcięcia się od przeszłości. Musi uwierzyć, że to dziecko jest bardzo, bardzo daleko. Zmaga się ze swoim życiem. Moim zdaniem to okrutne, jeśli prawnik, syn albo córka próbują ją odnaleźć po latach i przypomnieć, że...

– Rozumiem – wtrącasz. – Ale w tym przypadku matka prawdopodobnie już nie żyje.

Palce Becky nieruchomieją.

– Proszę mówić, panie mecenasie.

– Nie przychodzę w imieniu mojego klienta. A właściwie tak, tylko że klientem jestem...

Wskazujesz na siebie.

– Pan?

– Chyba powinienem coś wyjaśnić... – Opowiadasz o pijanym kierowcy, o śmierci mężczyzny i kobiety, o których myślałeś z czułością jako o swoich rodzicach.

– I chce pan wiedzieć, czy naprawdę nimi byli?

– Chcę też wiedzieć, czy mam brata bliźniaka lub siostrę bliźniaczkę, której nie poznałem. I jeszcze... – Omal nie dodajesz, że chcesz wiedzieć, czy urodziłem się Żydem.

– Proszę wybaczyć, panie mecenasie, ale jest pan głupcem.

– Tak twierdzi moja żona i wujek, nie mówiąc o policjancie w Redwood Point.

– W Redwood Point?

– To mała miejscowość sześćdziesiąt kilometrów stąd.

– Sześćdziesiąt czy sześć tysięcy, to nie stanowi najmniejszej różnicy.

Czy Ester i Szymon kochali pana?

– Uwielbiali mnie. – Oczy znów zaczynają piec cię z żalu.

– Wobec tego są pańskimi rodzicami. Panie mecenasie, ja zostałam adoptowana. Ale moi przybrani rodzice traktowali mnie strasznie. Dlatego tutaj pracuję: żeby dopilnować, aby inne adoptowane dzieci nie trafiały do domów, gdzie będą musiały cierpieć. Ale nie chcę też narażać na cierpienie matek. Jeśli kobieta jest na tyle rozsądna, aby wiedzieć, że nie może wychować dziecka i oddaje je do adopcji, moim zdaniem zasługuje na medal. I na to, żeby ją chronić.

– Rozumiem. Ale ja nie chcę poznać mojej matki. Zresztą ona pewnie i tak nie żyje. Chcę tylko... Po prostu muszę się dowiedzieć, czy zostałem adoptowany. To wszystko.

Becky przygląda ci się uważnie, kiwa głową i wystukuje trzycyfrowy numer na telefonie.

– Archiwa? Charley? Jak się masz? Był u ciebie przed chwilą adwokat, który chciał obejrzeć akta adopcji. Tak, dobrze zrobiłeś. Posłuchaj. Chcę tylko, żebyś sprawdził, czy istnieje druga metryka z jego nazwiskiem. Nie złamiesz w ten sposób przepisów.

Becky podaje datę, miejsce i nazwiska, które jej podyktowałeś. Minuty wloką się jak godziny. Wreszcie telefon dzwoni. Becky prostuje się.

– I co znalazłeś? Dziękuję. – Odkłada słuchawkę. – Nie ma zapieczętowanej metryki. Może się pan uspokoić, mecenasie. Nie został pan adoptowany. Proszę wrócić do żony.

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Adopcja nie została przeprowadzona za pośrednictwem agencji, lecz była prywatną transakcją między naturalną matką i parą poszukującą dziecka. Coś w rodzaju szarego rynku.

– Tak, ale nawet wtedy miejscowe władze muszą uznać adopcję. I przekazanie dziecka musi zostać odnotowane. A w pańskim przypadku nie ma śladu takiej transakcji. – Becky wygląda na zaniepokojoną. – Muszę coś wyjaśnić. Obecnie dzieci do adopcji jest niewiele z powodu kontroli urodzeń i legalności aborcji. Ale nawet teraz poszukiwane są niemal wyłącznie dzieci rasy białej. Nikt nie chce murzyńskiego dziecka, ani kreolskiego, ani żółtego. Bardzo niewielu rodziców z tych grup etnicznych decyduje się na adopcję, a jeszcze mniej białych chce dzieci obcych ras. Pięćdziesiąt lat temu sytuacja była znacznie gorsza. Mnóstwo białych kobiet zachodziło w ciążę przypadkowo i chciało oddać dziecko... Panie mecenasie, może pana urażę, ale muszę to powiedzieć.

– Nie tak łatwo mnie obrazić.

– Pańskie nazwisko brzmi Weinberg. To żydowskie nazwisko. W latach trzydziestych, tak samo jak teraz, większość rodziców pragnących adoptować dziecko pochodziła z rodzin protestanckich i chcieli dzieci od matek tego samego wyznania. Gdyby pan został oddany do adopcji, nawet na szarym rynku, raczej nie znalazłaby się para szukająca żydowskiego dziecka. Możliwości byłyby tak niewielkie, że pańskiej matce pozostałby...

– Czarny rynek? – kończysz z drzeniem policzka.

– Sprzedaż dziecka, która jest pogwałceniem zakazu niewolnictwa. Ale to się zdarza, a prawnicy i lekarze organizujący takie transakcje zarabiają fortuny na zdesperowanych parach, które nie mogą znaleźć dziecka w inny sposób.

- A jeśli moja matka była Szkotką?
- Becky mruga oczami.
- Sugeruje pan...
- Żydowskie małżeństwa. – Marszczysz brwi, przypominając sobie nazwiska z księgi. – Meyer, Begelman, Markowitz, Weinberg. To wszystko Żydzi.
- Zropaczeni, bo nigdzie indziej nie znaleźli żydowskiej matki gotowej oddać swoje dziecko do adopcji, i w końcu decydujący się zaadoptować...
- Goja. Musieli zorganizować wszystko tak, żeby nikt z krewnych się nie dowiedział.

Przypominasz sobie, że to spekulacje. Nic cię nie łączy z Mary Duncan poza tym, że podpisała zgodę na adopcję w tym samym mieście i czasie, w którym się urodziłeś. Wątpliwy dowód, łagodnie mówiąc. Nigdy nie ośmieliłbyś się wykorzystać go w sądzie. Nawet obecność na metrykach z Redwood Point z sierpnia tamtego roku tak wielu żydowskich nazwisk da się łatwo i logicznie wytłumaczyć: kurort mógł starać się o przyciągnięcie żydowskiej klienteli, na przykład zapewniając koszerne posiłki. Może była też synagoga.

Ale logika nie jest w stanie rozwiązać dręczących cię wątpliwości. Nie wiesz, skąd bierze się nieprzyjemny skurcz w twoim żołądku, ale jesteś pewien, że coś w tym wszystkim nie gra. Spacerujesz nerwowo po hotelowym pokoju, zastanawiając się, co robić dalej. Wrócić do Redwood Point i zadać szeryfowi więcej pytań? Jakich pytań? Zareaguje tak samo jak Becky Hughes. Wszystko to domysły, panie Weinberg. Nie ma pan żadnych konkretnych dowodów.

Nagle doznajesz olśnienia. Nazwisko, które znalazłeś w aktach. Doktor Jonathan Adams. Lekarz, który złożył podpis nie tylko na twojej metryce, ale na metrykach wszystkich dzieci urodzonych w Redwood Point. Twój zapal szybko jednak stygnie. To było tak dawno. Lekarz zapewne nie żyje od wielu lat. Twój puls przyspiesza. Umarł? Niekoniecznie. Szymon i Ester żyli jeszcze trzy tygodnie temu. Starasz się skupić, zmagając się z zalem. Doktor Adams mógł być w wieku Szymona i Ester. Jest szansa...

Tylko jak go znaleźć? Klinika w Redwood Point została zamknięta w latach czterdziestych. Doktor Adams mógł się przeprowadzić do jakiegokolwiek innego miasta. Sięgasz do telefonu. W zeszłym roku prowadziłeś sprawę przeciwko okuliście uzależnionemu od narkotyków, którego zaniedbanie omal nie doprowadziło do śmierci pacjenta. Spędziłeś wiele godzin na rozmowach w Amerykańskim Stowarzyszeniu Medycznym. W notesie, który zawsze trzymasz w walizeczce, odnajdujesz numer telefonu stowarzyszenia i dzwonisz do biura w Chicago. Doktor Jonathan Adams? Głęboki męski głos po drugiej stronie znamionuje człowieka, który chce okazać swoją kompetencję. Słyszysz stukanie w klawiaturę komputera.

– Doktor Adams? Przykro mi, ale... Chwileczkę, jest tu doktor Jonathan Adams junior. Ginekolog położnik. Mieszka w San Francisco. Jego służbowy numer telefonu...

Zapisujesz pospiesznie i równie szybko wybierasz numer na swoim telefonie. Tak jak prawnicy często chcą, żeby ich dzieci wybrały ten sam zawód, tak samo lekarze często namawiają do tego swoje dzieci, i często nadają synom swoje imiona. Być może ten lekarz nie jest synem tego, który podpisał twoją metrykę, ale musisz to sprawdzić. Położnik.

Słuchawkę podnosi sekretarka.

– Poproszę doktora Adamsa.

– Pan doktor jest z pacjentką. Czy chce pan, żeby oddzwonił?

– Jak najbardziej. Oto mój numer. – Dyktujesz. – Ale może zgodzi się porozmawiać ze mną od razu. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o jego ojca. O klinikę w Redwood Point.

Sekretarka wpada w zmiśnienie.

– Nie mogę przerywać panu doktorowi rozmowy z pacjentką.

– Proszę to zrobić. Ręczę, że zrozumie.

– Jeśli jest pan...

– Pewny? Tak, całkowicie.

– Chwileczkę.

Trzydzieści sekund później słyszysz męski głos zdradzający napięcie.

– Doktor Adams. O co chodzi?

– Mówiłem już pańskiej sekretarce. Chodzi o pańskiego ojca. Klinika w Redwood Point.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego... O Boże.

Głośne stuknięcie i cisza. Odkładasz słuchawkę i kiwasz powoli głową.

Spędzasz popołudnie sprawdzając drugi ślad: próbujesz dowiedzieć się, co się stało z June Engle, pielęgniarką, która podpisywała metryki urodzenia w Redwood Point. Jeśli nie umarła, to z pewnością jest emerytką. Jednak nawet po odejściu na emeryturę pielęgniarki utrzymują kontakty zawodowe, należą do stowarzyszeń i prenumerują czasopisma branżowe. Telefonujesz do różnych związków, ale nie udaje ci się trafić na ślad June Engle.

Dochodzi siódma. W przerwie między telefonami zamówiłeś kolację do pokoju, ale wędzony łosoś leży na talerzu nietknięty. Straciłeś apetyt. Dzwonisz do informacji w San Francisco i dowiadujesz się numeru telefonu domowego doktora Adamsa.

Słyszysz zmęczony kobiecy głos.

– Chwileczkę. Chyba właśnie przyszedł.

Kurczowo ściskasz słuchawkę.

Po chwili słyszysz znajomy już, lekko zdyszany głos.

– Doktor Adams, słucham.  
– To jeszcze raz ja. Zadzwoiłem do pana gabinetu. Pytałem o klinikę w Redwood Point.

– Ty sukinsynu...

– Proszę nie odkładać słuchawki. Proszę tylko odpowiedzieć na moje pytania i dam panu spokój.

– Prawo chroni mnie przed molestowaniem.

– Znam się na tym. Mam praktykę adwokacką w Chicago.

– Więc nie ma pan pozwolenia na prowadzenie działalności w Kalifornii. Nie może mnie pan zastraszyć...

– Doktorze, dlaczego reaguje pan tak nerwowo? Chcę tylko porozmawiać o klinice.

– Nie muszę z panem rozmawiać.

– Jeśli pan odmówi, zacznę podejrzewać, że coś pan ukrywa.

Słyszysz, jak tamten przełyka ślinę.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Mój ojciec zmarł dziesięć lat temu.

Czy nie może pan zostawić przeszłości w spokoju?

– Nie mogę, bo to moja przeszłość. Pański ojciec złożył podpis na mojej metryce urodzenia właśnie w Redwood Point w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Chcę się dowiedzieć paru rzeczy.

Doktor waha się przez chwilę.

– Na przykład?

– Adopcji na czarnym rynku. – Słyszysz szybki oddech lekarza. – Zdaje mi się, że pański ojciec podał niewłaściwą informację na mojej metryce. Myślę, że nie zapisał nazwiska biologicznej matki, tylko nazwiska pary, która mnie adoptowała. Dlatego nie istnieje druga, opieczętowana metryka z nazwiskiem mojej matki. Adopcja nie została prawnie usankcjonowana, dlatego nie było potrzeby zmiany nazwisk na metryce wydanej przez sąd.

– O Boże.

– Nie myślę się?

– Skąd mam wiedzieć? Byłem dzieckiem, kiedy ojciec zamknął klinikę i wyprowadził się z Redwood Point na początku lat czterdziestych. Jeśli został pan nielegalnie adoptowany, nie miało to nic wspólnego ze mną.

– Otóż to. A ponieważ pański ojciec już nie żyje, nie może być ścigany przez prawo. Poza tym sprawa uległa przedawnieniu i nikogo nie obchodzi. Tylko mnie. Doktorze, reaguje pan nerwowo na moje pytania, a to oznacza, że coś pan wie. To oczywiste, że nie może pan odpowiadać za to, co robił pański ojciec. Dlaczego więc nie chce mi pan powiedzieć tego, co wie?

– Ze względu na pamięć ojca – odpowiada doktor szorstkim głosem.

– Ach tak, chodzi o jego reputację. Moim celem nie jest wywołanie skandalu i rujnowanie kogokolwiek, żywego czy umarłego. Chcę tylko poznać

prawdę. O mnie. Kim była moja matka? Czy mam brata lub siostrę? Czy zostałem adoptowany?

– Tyle pieniędzy.

– Słucham? – Ściskasz mocniej słuchawkę.

– Po zamknięciu kliniki w Redwood Point ojciec miał mnóstwo pieniędzy. Byłem tylko dzieckiem, ale nawet ja rozumiałem, że nie mógł zarobić fortuny przyjmując dzieci w nadmorskim kurorcie. A było tych dzieci tak dużo. Pamiętam, że co rano chodził do żłobka. Potem ten żłobek spłonął. Ojciec zamknął klinikę, kupił pałacyk w San Francisco i nigdy więcej nie pracował.

– Żłobek?

– Budynek na wzgórzu za miastem. Taki duży, z kominami, kryty gontem.

– W stylu wiktoriańskim?

– Tak. Właśnie tam mieszkaly ciężarne kobiety.

Wstrząsa cię dreszcz.

– Ojciec nazywał ten budynek żłobkiem. Zawsze się przy tym uśmiechał. Czemu pan się na niego uwziął? – pyta lekarz. – On tylko przyjmował dzieci. I robił to dobrze. A jeśli ktoś płacił mu grube pieniądze za umieszczanie fałszywych informacji na metrykach, czego nie jestem pewien...

– To właśnie podejrzewam.

– Tak, ja też to podejrzewałem – przyznaje doktor. – Ale nie mogę niczego udowodnić, i nawet nie pytałem. To wszystko była wina Guntherów! Oni prowadzili żłobek! A zresztą, jeśli dzieci trafiły do kochających rodziców, jeśli ci znaleźli dzieci, których tak bardzo pragnęli, to co w tym złego? Czy komuś stała się krzywda? Proszę zostawić przeszłość w spokoju!

Milczysz przez chwilę.

– Dziękuję, doktorze. Doceniam pańską szczerość. Jeszcze tylko jedno pytanie.

– Słucham. Chcę to już mieć za sobą.

– Guntherowie. Ci, którzy prowadzili żłobek.

– Małżeństwo. Nie pamiętam imion.

– Czy wie pan, co się z nimi stało?

– Po tym, jak spalił się żłobek? Bóg raczy wiedzieć.

– A June Engle, pielęgniarka, która asystowała pańskiemu ojcu?

– Miało być tylko jedno pytanie. – Doktor oddycha ciężko. – Nieważne, odpowiem, jeśli obieca pan zostawić mnie w spokoju. June Engle urodziła się i wychowała w Redwood Point. Kiedy się wyprowadzaliśmy, powiedziała, że zostaje. Może nadal tam mieszka.

– Jeśli jeszcze żyje.

Odkładasz słuchawkę.



Tak samo jak poprzedniej nocy, w pokoju obok płacze dziecko. Chodzisz w tę i z powrotem, dzwonisz do Rebeki. Mówisz, że dobrze się czujesz, ale nie wiesz, kiedy wrócisz do domu. Odkładasz słuchawkę i próbujesz usnąć. Rano zrywasz się niespokojnie ze snu.

Niebo jest szare i ponure jak twoje myśli. Wymeldowujesz się z hotelu i idziesz prosto do biblioteki publicznej w Cape Verde. Po godzinie poszukiwań wsiadasz do samochodu i jedziesz do Redwood Point. Niebo zaciąga chmurami.

Z autostrady miasteczko wygląda jeszcze bardziej ponuro. Wyboistą drogą dojeżdżasz do ruin hotelu i parkujesz wynajęty samochód. Przedzierając się przez chwasty klejące się do nogawek obchodzisz wspaniałą niegdyś ganek hotelu, znajdujesz popękane schody wiodące w górę stoku i wspinasz się na puste wzgórze nad miastem.

Puste z wyjątkiem zwęglonych bali i osmalonych sadzą ścian wiktoriańskiego budynku, który doktor Adams nazwał żłobkiem. Na dźwięk tego słowa mroźne igły przeszzywają ci serce. Ciemne chmury wiszą coraz niżej. W obronnym geście przed porywami chłodnego wiatru oplatasz się ramionami. Żłobek. A w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym... Dowiedziałeś się o tym ze starych gazet zarejestrowanych na mikrofilmie w bibliotece w Cape Verde... spłonęło tam trzystaście kobiet... ich ciała zwęgliły się całkowicie... w ogromnym pożarze, którego przyczyny władzom nigdy nie udało się ustalić.

Trzystaście kobiet. Wyłącznie kobiet. Chce ci się wyć z rozpacz. Czy były w ciąży? Czy znajdowały się tam również... W martwych ścianach słyszysz ich wołanie o pomoc, okrzyki przerażenia i niewyobrażalnego bólu. Cofasz się, jakbyś został odepchnięty. Z trudem panując nad drżącymi nogami stąpasz niepewnie po chwiejących się kamiennych płytach. Brniesz przez mokre chwasty obok ruin hotelu i opierasz się wreszcie o maskę samochodu. Z trudem powstrzymujesz się, żeby nie zwymiotować. Pocisz się mimo przenikliwie zimnego wiatru.

Żłobek.

Wielki Boże.

Bar „Redwood” nie zmienił się od twojej ostatniej wizyty. Szeryf Kitrick znów gra z kolegami w karty przy stoliku w kącie sali. Dym z papierosów unosi się nad ich głowami. Kelner stoi za barem z lewej strony, stare instrumenty nawigacyjne błyszczą na półce za jego plecami. Ty jednak nie możesz się oprzeć sile, która pcha cię do fotografii na ścianie po prawej stronie.

Tym razem nie możesz ich już oglądać z tą samą beztroską, co za pierwszym razem. Widzisz pożółkły wizerunek żłobka z wieżyczkami i dachem z gontów. Zwracasz uwagę na szczegóły, które wtedy pominąłeś jako nie-

istotne. Na trawniku sąsiadującym z ogródkiem kwiatowym dostrzegasz małe sylwetki kilku kobiet siedzących tyłem do ściany... żłobka.

Każda z nich – Boże, jakie one młode! – trzyma na kolanach dziecko. Uśmiechają się słodko. Czy pozują? Czy ktoś je do tego zmusił?

Może któraś z nich jest twoją matką? Może to ty jesteś jednym z tych niemowląt? Mary Duncan, jaka rozpacz zmusiła cię do tego uśmiechu?

Z tyłu dobiega cię szorstki głos szeryfa.

– W tych czasach niewielu turystów zagląda do nas po raz drugi.

– Tak. Nie mogę się napatrzeć na Redwood Point. – Odwracasz się. Szeryf trzyma szklanę piwa, choć nie minęła jeszcze piąta. – Można by powiedzieć, że to miasto nie daje mi spokoju.

Kitrick pociąga łyk piwa.

– Coś mi się zdaje, że nie znalazł pan w sądzie tego, czego szukał.

– Dowiedziałem się nadspodziewanie dużo – odpowiadasz drżącym głosem. – Woli pan porozmawiać tutaj czy na posterunku?

– To zależy, o czym chce pan mówić.

– O Guntherach.

Znów przechodzisz przez skrzypiącą drewnianą bramkę.

Szeryf siada za swoim biurkiem. Jego twarz jest bardziej rumiana niż dwa dni temu.

– Guntherowie. Hmm. Nie słyszałem tego nazwiska od lat. O czym konkretnie chce pan rozmawiać?

– Oto jest pytanie, prawda? Może sam mi pan powie?

Kitrick wzrusza ramionami.

– Właściwie nie ma o czym. Nie pamiętam ich. Byłem bardzo mały, kiedy... Wszystkiego, co wiem, dowiedziałem się później, a nie jest tego dużo. Mąż i żona, prowadzili razem dom wypoczynkowy.

– Żłobek.

Szeryf marszczy czoło.

– Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś go tak nazywał. Co to miałoby znaczyć?

– Guntherowie wynajmowali pokoje młodym kobietom. Ciężarnym kobietom. Kiedy dzieci przychodziły na świat, Guntherowie sprzedawali je zrozpaczonemu żydowskiemu parom, które nie mogły mieć potomstwa. Czarny rynek adopcyjny.

Kitrick prostuje się powoli.

– Czarny rynek. Kto panu naopowiadał takich...

Opierasz dłoń na biurku i pochylasz się.

– W tamtych czasach biura adopcyjne nie chciały oddawać dzieci Żydom. Więc Guntherowie się tym zajęli. Oni i lekarz przyjmujący dzieci zaro-

bili fortunę. Ale zdaje mi się, że to nie wszystko. Mam okropne przeczucie, że kryje się w tym coś jeszcze strasniejszego, chociaż nie wiem, co to może być. Wiem tylko tyle, że trzynaście kobiet – prawdopodobnie ciężarnych – zginęło w pożarze, który pochłonął żłobek w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

– A tak, słyszałem o tym pożarze. Nawet pamiętam jak przez mgłę płomienie tamtej nocy, mimo że ledwie raczkowałem. Całe miasto było widać jak w dzień. To straszne, że te kobiety zginęły w taki sposób.

– Tak. – Przelykasz ślinę. – Straszne. A potem Guntherowie wyjechali. Lekarz także. Dlaczego?

Szeryf wzrusza ramionami.

– Pozostaje nam tylko zgadywać... Może nie chcieli odbudowywać hotelu. Może uznali, że pora na zmianę.

– Nie, zdaje mi się, że wyjechali, ponieważ pożar wybuchł w listopadzie i władze zaczęły się interesować, co te kobiety – wyłącznie kobiety – robiły w domu wypoczynkowym po sezonie. Coś mi mówi, że Guntherowie i lekarz wyjechali, żeby utrudnić władzom dochodzenie prawdy. Chcieli zniechęcić policję do śledztwa, które mogłoby doprowadzić do postawienia ich przed sądem.

– Może pan myśleć, co chce. Nie da się niczego udowodnić. Jedno mogę panu powiedzieć: jako młody chłopak słyszałem czasem, jak starsi rozmawiali o Guntherach. To byli podobno bardzo mili i hojni ludzie. Redwood Point było kiedyś popularnym kurortem, ale tylko w czasie sezonu turystycznego. Przez resztę roku wtedy, w czasie kryzysu, miasto przymierałoby głodem, gdyby nie dom wypoczynkowy. Tam był ruch przez okrągły rok, a Guntherowie wydawali mnóstwo pieniędzy. Mieli tylu gości, którzy musieli coś jeść; Guntherowie zaopatrywali się tutaj i zatrudniali ludzi z miasteczka, kucharzy, pokojówki; kobietom zlecali pranie i prasowanie, a mężczyźni wynajmowali do pilnowania terenu i napraw. To miasto zawdzięczało Guntherom bardzo dużo, a kiedy wyjechali, wszystko zeszło na psy. Redwood Point nie mogło się utrzymać tylko z turystów. Kupcy nie zarabiali, sklepy wyglądały coraz gorzej, a wraz z nimi całe miasteczko. Turyści przestali przyjeżdżać... I to był koniec. Kiedyś to miasto istniało dzięki Guntherom, i nie znajdzie pan nikogo, kto powie o nich złe słowo.

– No właśnie. I to nie daje mi spokoju.

– Nie rozumiem.

– Do domu wypoczynkowego przyjeżdżało tyle ciężarnych kobiet. Przez cały rok. W latach trzydziestych i na początku czterdziestych też. Nawet gdyby mieszkańcy miasteczka nie pracowali u Guntherów, i tak musieli zauważyć, że z tym hotelem jest coś nie tak. Oni wiedzieli, co się tam dzieje. Małżeństwa przyjeżdżały samotne, a wyjeżdżały z dziećmi. Całe miasto, łącznie z szefem policji, wiedziało dobrze, że Guntherowie handlują dziećmi.

– Dostyc tego. – Szeryf Kitrick wstaje. Oczy błyszczą mu z wściekłości. – Szefem policji był wtedy mój ojciec. Nie pozwolę tak o nim mówić.

Unosisz dłoń w geście odrazy.

– To wszystko nie mogłoby się udać, gdyby szeryf nie przymykał oczu. Guntherowie pewnie go opłacali. Pożar wszystko zniszczył, bo zwrócił uwagę obcych. Przyjechała komisja strażacka, lekarska, może policja stanowa. Kiedy zaczęli zadawać pytania o żłobek, Guntherowie i lekarz zniknęli z miasta.

– Nie będę słuchał, jak obraża pan mojego ojca! Łapówki? Mój ojciec nigdy...

– Jasne, był podporą lokalnej społeczności. Tak jak wszyscy.

– Wynoś się pan!

– Zrobię to, ale musi mi pan coś powiedzieć. June Engle. Czy jeszcze żyje? Mieszka tutaj?

– Nigdy o niej nie słyszałem – warczy Kitrick.

– Jasne.

Szeryf stoi w drzwiach posterunku i odprowadza cię złym spojrzeniem. Wsiadasz do samochodu, jedziesz wyboistą ulicą, zawracasz i mijasz go. Szeryf patrzy, jakby chciał zabić cię wzrokiem. W lusterku wstecznym widzisz jego profil. Zwalniasz i odbijasz w lewo, jak gdybyś skręcał na drogę wyjazdową z miasteczka. Zerkasz ostrożnie w lusterko i spostrzegasz szeryfa zmierzającego pospiesznie do baru. Skręciwszy w lewo, zatrzymujesz się za rogiem.

Chmury są jeszcze cięższe, gęściejsze, niższe. Wiatr wieje coraz mocniej. Widzisz pojedyncze krople deszczu rozbijające się o szybę. Wsiadasz z wozu, zapinasz marynarkę i mrużąc oczy zerkasz w stronę szkieletu mola. Starzec, którego spotkałeś tam przedwczoraj, już nie siedzi na rozklekotanym krzeselku. Jednak wchodząc w zakręt kątem oka spostrzegłeś jakiś ruch za szybą szopy. Zbliżasz się do rudery, której drzwi wychodzą na spieniony ocean. Podnosisz rękę, żeby zapukać, lecz w tym momencie drzwi otwierają się z głośnym skrzypieniem. Staruszek ubrany w postrzępiony sweter patrzy na ciebie, przekrzywiając głowę. W kąciu jego ust zwisa skręt.

Sięgasz do portfela.

– Rozmawialiśmy przedwczoraj, pamięta pan?

– Tak.

Wyjmujesz banknot studolarowy. Nabiegłe krwią oczy starego rozszerzają się. Na stole w głębi szopy widzisz długi rząd pustych butelek.

– Chce pan łatwo zarobić parę dolarów?

– To zależy.

– June Engle.

- I co?
- Słyszał pan o niej?
- No.
- Czy ona jeszcze żyje?
- Tak.
- Tu w mieście?
- Tak.
- Gdzie ją mogę znaleźć?
- O tej porze?

To, czego dowiadujesz się od starca, sprawia, że trzęsą ci się dłonie, gdy wręczasz mu pieniądze. Drżąc, i to bynajmniej nie z zimna, wracasz do samochodu. Wybierasz okrężną drogę do wskazanego miejsca, na wypadek gdyby szeryfowi przyszło do głowy wyrzucić z baru.

– W synagodze – mówi starzec. – Kiedyś tam była synagoga... Tak to się chyba nazywa, nie?

Pojedyncze krople powoli przechodzą w mżawkę. Mimo włączonego ogrzewania wewnątrz samochodu przenika chłodna wilgoć. Na przeciwnym krańcu miasteczka docierasz do parterowego budynku o płaskim dachu. Ściany z desek z drewna sekwoi spaczyły się i popękały. Okna zabite są spróchniałą sklejką. Chwasty sięgają na wysokość pasa. Z bijącym sercem wysiadasz z samochodu i nie dbając o siekający deszcz, wąską ścieżką w gąszczu zarośli podchodzisz do drzwi. Płyta sklejkki wisząca na jednym zawiasie omal nie opada, gdy wchodzisz.

Stoisz w niewielkim holu. Pod stopami skrzypi piasek, który wdarł się z zewnątrz. Jakieś zwierzę uwiło sobie legowisko w kącie, z sufitu zwisają pajęczyny. Ostra woń pleśni bije w nozdrza. Hebrajskie litery na ścianach wyblakły tak, że nie sposób ich odczytać. Jednak najbardziej rzuca ci się w oczy ścieżka w piasku prowadząca do wejścia do bożnicy.

Czujesz nagość swojej głowy; instynktownie rozglądasz się za jarmułką. Ale po tylu latach nie została tu ani jedna. Wyjmujesz z kieszeni chusteczkę, kładziesz na głowie, otwierasz drzwi do świątyni i stajesz jak sparaliżowany.

Bożnica – a właściwie to, co z niej zostało – jest całkowicie ogołocona ze sprzętów. Wnęka, w której niegdyś spoczywała Tora, została pozbawiona zasłony. Klęczy tam stara, chuda kobieta z chustką zawiązaną na głowie. Mruczy coś do siebie po cichu, poruszając uniesionymi przed twarzą dłońmi, jakby coś w nich trzymała.

Wreszcie zmuszasz się do wykonania ruchu. Posuwasz się wolno, zatrzymujesz koło klęczącej staruszki i ze zdumieniem spostrzegasz, że ściska w rękach różaniec. Po jej policzkach spływają łzy. Choć stoisz tak blisko, musisz wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć, co mówi.

- ...i zbaw nas ode złego. Amen.
- June Engle?

Kobieta porusza paciorkami różańca. Nie odpowiada.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, błogosławiony owoc żywota twój... ..

– June, nazywam się Jakub Weinberg.

– Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej... ..

– June, chcę z tobą porozmawiać o doktorze Adamsie. O klinice.

Palce starej kobiety zaciskają się mocniej na różańcu. Odwraca powoli głowę i mruga załzawionymi oczami.

– O klinice?

– Tak. O Guntherach i żłobku.

– Boże, zmiłuj się nade mną. I nad nimi. – Blade palce kobiety zaczynają drżeć.

– June, zemdlejesz, jeśli będziesz dłużej tak klęczeć. Pomogę ci wstać. – Dotykasz ramienia jakby pozbawionego ciała i delikatnie unosisz ją na nogi. Chwieje się. Obejmujesz ją w pół. – Żłobek. Dlatego tu jesteś, June? Odprawiasz pokutę?

– Trzydzieści srebrników.

– Tak. Chyba rozumiem. Doktor Adams i Guntherowie zarobili dużo pieniędzy. Dobrze ci płacili?

– Trzydzieści srebrników.

– Opowiedz mi o żłobku, June. Na pewno poczujesz się lepiej.

– Bluszcz, róża, wrzos i irys.

Wzdrygasz się na myśl, że kobieta postradała zmysły. Zdaje się, że słowo żłobek skojarzyło się jej ze szkółką kwiatową. Ale ona wie, że żłobek nie miał nic wspólnego z roślinami, lecz z dziećmi niezamężnych kobiet. Powinna wiedzieć, chyba że podeszły wiek i wyrzuty sumienia odebrały jej rozum i pamięć. Wydaje się, że tok jej myśli nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

– Fiołek, lilia, stokrotka i paprotka – mamrocze.

Twoja pierś ściska się, gdy uświadamiasz sobie, że te słowa mogą być... ..

– Czy to są imiona, June? Czy chcesz mi powiedzieć, że kobiety w żłobku przybierały sobie imiona kwiatów?

– To Orval Gunther je wybierał. One były bezimienne. – June zaczyna łkać. – Nikt nie wiedział, kim naprawdę są. W ten sposób mogły ukryć swoją hańbę, ochronić tożsamość.

– Jak dowiadywały się o żłobku?

– Z ogłoszeń. – June przyciska pomarszczone kostki dłoni do oczu. – W wielkomiejskich gazetach. W ogłoszeniach matrymonialnych.

– W ogłoszeniach? Ależ to musiało być bardzo ryzykowne. Policja mogła zacząć coś podejrzewać.

– Ale nie Orwała. On nigdy nie ryzykował. Był sprytny, tak bardzo sprytny. Obiecywał samotnym ciężarnym kobietom schronienie w domu wypoczynkowym. „Czujesz się osamotniona? Potrzebujesz fachowej opieki, żeby

twoje dziecko mogło przyjść na świat w spokojnej i dyskretnej atmosferze? U nas nikt nie będzie ci zadawał pytań. Zapewnimy ci całkowite bezpieczeństwo. Pozwól nam pomóc sobie w potrzebie”. Mój Boże, one dobrze rozumiały, o co chodzi w tym ogłoszeniu. Zjeżdżały ich do nas setki.

Czujesz, jak ciało June drży. Jej łyzy przeciekają przez rękaw marynarki, zimne jak deszcz siekający o dach.

– Czy te kobiety dostawały jakieś pieniądze za dzieci, które oddawały obcym ludziom?

– Dostawały? Ależ skąd. One płaciły. – June sztywnieje. Odpycha cię z niespodziewaną mocą, jakby nagle przybyło jej sił. – Orwał, ten przeklęty drań... Kazał im płacić za pokój i wyżywienie! Pięćset dolarów!

Kolana June miękna.

Podtrzymujesz ją.

– Pięćset dolarów? A małżeństwa, które odbierały dzieci? Ile Guntherowie brali od nich?

– Czasem nawet dziesięć tysięcy dolarów.

Tym razem twoje ramię zaczyna drżeć. Dziesięć tysięcy? W czasie wielkiego kryzysu? Setki dolarów od ciężarnych kobiet? Doktor Adams nie przesadzał. Guntherowie rzeczywiście zarobili fortunę.

– Żona Orwała była jeszcze gorsza od niego. Ewa! Prawdziwy potwór! Dla niej liczyły się tylko pieniądze... Ani ciężarne kobiety, ani dzieci. Tylko pieniądze.

– Jeśli wiedziałaś, że oni są potworami... June, dlaczego im pomagałaś? Kobieta ścisła różaniec.

– Trzydzieści srebrników. Święta Mario, Matko Boża... Bluszcz, róża, wrzos, irys. Fiołek, lilia, stokrotka i paprotka.

Zmuszasz ją, żeby na ciebie spojrziała.

– Tak jak ci powiedziałem, nazywam się Jakub Weinberg. Ale być może... Wydaje mi się, że moja matka mogła się nazywać Mary Duncan i że urodziła mnie tutaj. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Czy pamiętasz kobietę, która...

June szlocha.

– Mary Duncan? Jeśli mieszkała u Guntherów, nie posługiwała się prawdziwym nazwiskiem. Tyle kobiet! Ona mogła być Orchideą albo Bratkiem. Nie można tego sprawdzić.

– Urodziła bliźnięta. Zobowiązała się oddać oboje. Czy pamiętasz jakąś kobietę, która...

– Bliźnięta? Kilka kobiet urodziło bliźniaki. Guntherowie, niech ich piekło pochłonie, skakali z radości. Dwadzieścia tysięcy zamiast dziesięciu.

– Ale moi rodzice – to słowo więźnie ci w gardle – wzięli tylko mnie. Czy często się zdarzało, aby adoptujący rodzice rozdzielali bliźnięta?

– Pieniądze! – woła June. – Wszystko zależało od tego, ile pieniędzy miała para poszukująca dziecka. Czasami dochodziło do rozdzielenia bliźniąt. I nikt nie wiedział, gdzie trafiło drugie dziecko.

– Czy zostały jakieś zapisy?

– Guntherowie byli sprytni. Nigdy nie trzymali żadnej kartoteki. Z obawy przed policją... Potem był pożar... Nawet gdyby istniały jakieś akta, sekretne akta, na pewno by się spaliły...

Opadają ci ramiona. Bardzo chcesz poznać odpowiedzi na swoje pytania, ale uświadamiasz sobie, że to ślepa uliczka.

Nagle June przypomina sobie coś i wypowiada cicho jakieś słowa. To, co słyszysz, sprawia, że dławi cię w gardle.

– Co mówiłaś? June, powtórz, proszę cię.

– Trzydzieści srebrników. Tak drogo zapłaciłam. Siedmioro dzieci, które urodziły się martwe.

– Twoich dzieci?

– Myślałam, że za pieniądze płacone mi przez Guntherów ja i mój mąż będziemy mogli wychować nasze dzieci w luksusie, dać im wszystko co najlepsze, wysłać na akademię medyczną... To, co robiłam dla Guntherów, ściągnęło klątwę na moje łono. Stałam się jak ugor. Rodziłam martwe dzieci. To była moja pokuta. Musiałam cierpieć, tak jak...

– Matki, które oddały swoje dzieci i później żałowały?

– Nie! Tak jak...

To, co słyszysz w następnej chwili, przyprawia cię o mdłości. „Czarny rynek adopcyjny, powiedziałeś do szeryfa. Ale zdaje mi się, że to nie wszystko. Mam okropne przeczucie, że kryje się w tym coś jeszcze strasniejszego, chociaż nie wiem, co to może być”.

Teraz dowiedziałeś się, co to było i ta wiedza sprawia, że zaczynasz łkać z żalu i wściekłości.

– Pokaż mi, June. Zabierz mnie tam. Jestem pewien, że to cię wybawi. – Przywołujesz wszystko, co wiesz o katolicyzmie. – Musisz się wyspowiadać, a wtedy twoje sumienie zazna spokoju.

– Ja nigdy nie zaznam spokoju.

– Mylisz się, June. Chowałaś w sobie tę tajemnicę tak długo. Ona niszczyła cię od środka. Musisz wypuścić z siebie tę truciznę. Po tylu latach modlitw w synagodze na pewno zostałaś wysłuchana. Dość już wycierpiałaś. Potrzebujesz odpuszczenia grzechów.

– Myślisz, że jeśli tam pójde...

– Pomodlisz się ostatni raz. Błagam cię. Pokaż mi. Twoje męczarnie wreszcie się skończą.

– Tak długo! Nie byłam tam od...

– Tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego? Otóż to, June. Nadszedł czas. Wreszcie nadszedł czas.



W zacinającym deszczu i zimnym wietrze wyprowadzasz June z synagogi. Wnętrze samochodu jest ciepłe i bezpieczne. Jest w tobie tyle gniewu, że nie jedziesz okrężną drogą. Nie obchodzi cię, czy szeryf Kitrick wyjrzy z baru. Nawet chcesz, żeby cię zauważył. Skręcasz w lewo drogą prowadzącą za miasto. Wjeżdżasz na autostradę i pytasz June o dalsze wskazówki.

– To było tak dawno... Tak, teraz w lewo. – Pół mili dalej drżącym głosem mówi: – A teraz w prawo. Tą błotnistą drogą. Dasz radę?

– Wjechać po tym błocie na górę? Jeśli będę musiał, wysiądę i popchnę samochód. A jeśli i to nic nie da, pójdziemy pieszo. Bóg mi świadkiem, zaniósę cię. Choćbym miał się czołgać.

Ale wóz z napędem na przednią oś pokonuje błoto. Na szczycie koła łapią przyczepność, samochód zarzuca i staje. Za oknem, w siekącym deszczu rozpościera się łąka. Rośnie tu bujna trawa, mimo że to początek października. To tym bardziej przerażające. Znasz straszny sekret tej łąki. Nagle przypominasz sobie wers poematu, którego uczyłeś się w czasach niewinnej młodości. *Pieśń o sobie* Walta Whitmana.

*Dziecię uniosło ku mnie zieloną darń w dłoniach.*

*Spytało, czym jest trawa?*

*Cóż miałem odrzec dziecku?*

*Przecież wiem nie więcej niż ono.*

*Myślę, że trawa to sztandar mej duszy...*

Wydostajesz się z samochodu i ślizgając się w błocie, obchodzisz maskę, żeby pomóc wysiąść June. Ciemne jak ołów chmury przelewają się nad łąką.

– Czy to było tutaj? Mów! Czy to jest to miejsce?

– Tak. Nie słyszysz ich zawodzenia? Czy nie słyszysz, jak cierpią?

*...sztandar mojej duszy z zielonego włókna nadziei utkany.*

*Chusteczka Pana Boga.*

*Albo dziecko poczęte z roślinnego żywiołu.*

– June! – krzyczysz. Deszcz siecze cię po twarzy. – Powiedz mi, na Boga!

*...wszechobecny hieroglif,*

*Pnący się ku górze w domenach małych i wielkich,*

*Wyrastający zarówno wśród Czarnych i Białych...*

– Mów, June!

– Nie czujesz? Czy nie czujesz strachu?

– Tak, June. – Opadasz na kolana i gładzisz źdźbła trawy. – Czuję.

*I teraz zda mi się, że patrzę na cudne,  
Nie tknięte nożycami,  
zielone włosy grobów.*

– Ile ich było, June?

Pochylasz się, prawie dotykając twarzą trawy.

– Dwieście, może więcej. Tyle lat, tyle dzieci. – Słyszysz szlochanie June. – W końcu przestałam liczyć.

– Ale dlaczego? – Podnosisz rękę, jakbyś groził kroplom deszczu. – Dlaczego musiały umrzeć?

– Niektóre były chore, zdeformowane. Jeśli Guntherowie uznali, że nie uda się ich sprzedać...

– Zabijali je? Dusili?

– Głodzili na śmierć. Ten płacz. – Ciałem June wstrząsa nagły dreszcz. – Biedne, głodne, cierpiące maleństwa. Niektóre umierały nawet trzy dni. Ich płacz słyszę w snach. Ciągłe go słyszę.

June zbliża się do ciebie.

– Z początku Guntherowie zabierali ciała na łódź i wrzucali do morza. Ale jedno wypłynęło, i gdyby nie szeryf, który był przekupiony... – Głos June załamuje się. – Postanowili znaleźć bezpieczniejszy sposób pozbywania się ciał dzieci. Przywozili je tutaj i grzebali owinięte w papierowe torby, worki na kartofle i pudełka po maśle.

– Pudełka po maśle?

– Niektóre z noworodków były wcześniakami. – June z łkaniem opada na kolana obok ciebie. – Takie maleńkie.

– Dwieście?

Wiatr wpycha ci słowa z powrotem w gardło. Nagle uświadamiasz sobie, że jeśli twoja matka była Szkotką, Guntherowie mogli uznać, że za mało przypominasz Żyda i pogrzebać cię tutaj... Drzysz.

A brat lub siostra? Twój bliźniak? Czy leży pod trawą, którą ściskasz?

– Dwieście! – wyjesz na cały głos.

Mimo zawrota głowy słyszysz silnik samochodu wspinającego się z wysiłkiem po błotnistej drodze. Policyjny wóz ukazuje się na szczycie wzgórza i zatrzymuje z poślizgiem.

Kitrick mocnym ruchem otwiera drzwi, wysiada i rusza w twoją stronę.

– Mówiłem ci, żebyś zostawił przeszłość w spokoju.

Wstajesz i uderzasz go w zęby tak mocno, że upada na grząską ziemię.

– Wiedziałaś, ty sukinsynu! Wiedziałaś cały czas!

Szeryf ociera krew z ust i z wściekłością sięga po broń.

– Tak, zabij mnie! – Rozkładasz szeroko ramiona. – Ale June to widzi, więc będziesz musiał zabić także ją! Dwa morderstwa więcej nie mają znaczenia, co? To nic w porównaniu z kilkoma setkami dzieci!

– Nie miałem z tym nic wspólnego...  
– Z zabijaniem dzieci? Ty nie, ale twój ojciec miał!  
– On nie brał w tym udziału!  
– Pozwalał na to! Brał pieniądze od Guntherów i przymykał oczy!  
A więc brał udział! Ponosi taką samą winę jak Guntherowie! Całe to cholerne miasteczko jest winne! – Odwracasz się, zmagając się z wichurą. W siekącym deszczu nie widać miasta. – Wy przeklęte bydłaki! Wszyscy o tym wiedzieliście i pozwalaliście na to! Nic nie zrobiliście, żeby powstrzymać morderstwa! Dlatego to miasto upadło! Bóg rzucił na was klątwę! Parzywe bękarty!

Nagle uświadamiasz sobie straszliwą ironię zawartą w tym słowie. Przecież te wszystkie zamordowane dzieci były bękartami. Upadasz na trawę, na zielone włosy grobów. Rozkładasz ramiona, wtulasz się w bujne, mokre źdźbła.

– Biedne, bezbronne dzieci!  
– Nic nie możesz udowodnić – warczy Kitrick. – Nie masz żadnych dowodów, tylko domysły. Po pięćdziesięciu latach nic nie zostało z ich ciał. Już dawno się rozłożyły i zamieniły w...

– Trawę – jęczysz przez łzy. – W taką piękną trawę.

– Lekarz, który je przyjmował, już nie żyje. Guntherowie też umarli. Ojciec miał ich na oku. Przed śmiercią cierpieli, jeśli to zadowoli twoje poczucie sprawiedliwości. Orval umarł na raka żołądka, a Ewa zapłała się na śmierć.

– A teraz smażą się w piekle – mruczy June.

– Wychowano mnie jako... jestem Żydem – jęczysz i nagle dociera do ciebie znaczenie tych słów. Bez względu na to, kto wydał cię na świat, jesteś Żydem. Całkowicie, bez reszty. – Nie wierzę w piekło. Ale chciałbym... Boże, jak bardzo bym chciał...

– Jedynym świadkiem jest ta staruszka, katoliczka, która co dzień po południu chodzi się modlić w synagodze. Wariatka. Jesteś prawnikiem, więc wiesz, że w sądzie nikt nie potraktuje poważnie jej zeznania. To przeszłość, Weinberg. Wszystko skończyło się pięćdziesiąt lat temu.

– Nie! Nigdy się nie skończyło! Trawa nadal rośnie! – Czujesz chłód mokrej ziemi. Obejmujesz swojego brata lub siostrę. Nagle uświadamiasz sobie, że wszystkie te dzieci są twoimi braćmi i siostrami. – Niech Bóg ma je w swej opiece!

*Umierać jest inaczej niż wszystkim się zdaje, i szczęśliwiej.*

– Szczęśliwiej? – Obejmujesz ramionami trawę. – Whitman, ty durniu... Zgroza! Zgroza!

Zdaje ci się, że słyszysz płacz dzieci w mokrej ziemi. Unosisz twarz, wystawiasz ją naprzeciw szalejącej burzy. Połykając krople deszczu, odma-

wiasz modlitwę. Opłakujesz Mary Duncan, Szymona i Ester Weinbergów, swojego brata lub siostrę, wszystkie te dzieci.

I siebie.

– I zbaw nas od złego – szepcze June. – Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

# Sanktuarium

*To niesamowite, jak długo czasami trwa, zanim obrazy utrwalone w pamięci staną się gotowe do wykorzystania jako materiał literacki. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, tuż po skończeniu studiów na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, pojechaliśmy z przyjacielem do jego domu koło Pittsburgha. Pewnego popołudnia w sierpniu wybraliśmy się do domku, który przyjaciele ojca mojego kolegi wybudowali w górach. Był tam maleńki staw do pływania, miejsce na rożen i... sanktuarium. Nigdy nie zapomniałem jego wnętrza. Stało mi przed oczyma jak żywe, i wreszcie, po dwudziestu dwóch latach napisałem o nim opowiadanie. Tematem jest ponownie żal po stracie ukochanych osób. Po śmierci Matta podejmowałem go wiele razy. Utwór otrzymał nominację Stowarzyszenia Twórców Literatury Grozy do tytułu najlepszej noweli tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.*

**G**rady siedział w mauzoleum, gdy pisk pagera zakłócił jego cichy monolog.

Mauzoleum było jasne i przestronne; lśniące marmurowe płyty przykrywały nisze z trumnami. Koło głównego wejścia znajdowały się wysokie okna, a obok nich wnęki z szybami, przez które można było popatrzeć na brązowe urny z prochami zmarłych bliskich. Plastikowe brązowe litery tworzące nazwiska osób oraz daty ich urodzenia i śmierci przyklejone były do płyt ze szkła. Grady spoglądał przez łyzy na dwie takie płyty i urny stojące za nimi.

Wybrał kremację dla żony i dziesięcioletniego syna, ponieważ i tak spełnił już częściowo w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, ale

również dlatego, że nie mógł znieść myśli o tym, że ciała jego ukochanej żony i synka będą się rozkładać w trumnie w grobowcu, albo co gorsza na cmentarzu, pod ziemią, w wilgoci i zimnie... choć resztką jego świadomości mówiła, że nie ma to najmniejszego znaczenia dla żony i syna, którzy już nie czują.

Dla niego miało to znaczenie, tak samo jak poniedziałkowy rytuał przyjeżdżania do mauzoleum, siadania na ławeczce naprzeciwko urn i opowiadania Helenie i Jasiowi o tym, co wydarzyło się od zeszłego poniedziałku, o modlitwach za ich szczęście i o tym, że bardzo za nimi tęskni.

Nie żyli od roku, a to ponoć długi okres, ale on nadal nie mógł uwierzyć, że ten czas minął tak szybko. Jego ból był tak samo wielki jak wtedy, gdy dowiedział się o ich śmierci, a pustka, którą czuł w środku, równie dotkliwa. Znajomi z początku okazywali zrozumienie, ale po trzech miesiącach – a tym bardziej po sześciu – większość zaczęła zdradzać maskowane zniecierpliwienie i życzliwie napomykać o potrzebie zostawienia przeszłości za sobą, przystosowania się i odbudowania życia. Grady zaczął więc ukrywać to, co czuje, i udawać, że przyjmuje ich rady; presja otoczenia sprawiła, że ciężar, który dźwigał, stał się jeszcze większy. Uświadomił sobie, że ktoś, kto nie doświadczył tego co on, nie może zrozumieć, że trzy miesiące, sześć albo dwanaście nic nie znaczą.

Jego cotygodniowe odwiedziny w mauzoleum stały się więc sekretem, starannie ukrytym wśród zwykłych zajęć. Czasem przywoził żonie i synowi kwiaty, a czasem jakiś przedmiot charakterystyczny dla danego okresu: dynię w Halloween, styropianową śnieżną kulę zimą albo świeży liść klonu na wiosnę. Tym razem, tuż po weekendzie ze świętem czwartego lipca, przyniósł miniaturową flagę i drżącym głosem opowiedział Helenie i Johnowi o sztucznych ogniach, które zawsze tak lubili oglądać siedząc w parku nad rzeką i zając się hotdogi.

– Te wybuchające rakiety były olśniewające – mówił cicho Grady. – Aż trudno opisać kolory...

Pisk pagera przy pasku przerwał mu w pół słowa. Grady zmarszczył brwi.

Pager był jedną z wielu nowinek technicznych wprowadzonych przez Grady'ego do oddziału policji, którym kierował. Funkcjonariusze często opuszczają samochody po wezwaniach, albo choćby po to, żeby napić się kawy. Oddalają się wtedy od radia i nie mają kontaktu z centralą.

Grady otarł łzy, wyprostował ramiona, pożegnał się z żoną i synem i niechętnie wyszedł z mauzoleum, zamykając za sobą drzwi na klucz. To było ważne. Należało chronić Helenę i Johna, ich prochy, a dozorca mauzoleum błysnął pomysłowością i każdemu krewnemu leżących tu zmarłych wręczył klucz, dzięki czemu tylko właściwe osoby miały wstęp do środka.

Było jasne, gorące i wilgotne popołudnie, bardzo podobne do tego sprzed roku, gdy Grady przybył tu w towarzystwie przyjaciół i księdza, aby zostawić drogocenne urny. Potrząsnął głową, żeby zdławić smutek, zbliżył się do czarno-białego wozu i przez otwarte okno sięgnął ręką do środka po mikrofon.

– Grady. O co chodzi? – powiedział zwalniając guzik mikrofonu.

Napięcie w głosie Diny zaskoczyło go.

– Ważne wezwanie.

Grady zmarszczył czoło.

– Ruszam. Będę za pięć minut.

Taki komunikat oznaczał, że to, co miała do przekazania Dina, było bardzo ważne – tak ważne, że wolała nie ryzykować podsłuchania przez jakiegoś cywila szperającego na policyjnej częstotliwości. Grady zaparkował koło stacji benzynowej naprzeciwko cmentarza, wszedł do budki obok automatu z lodem, wrzucił monetę i wystukał numer.

– Policja w Bosworth – odezwała się Dina.

– To ja, Grady. Co jest tak ważne, że...

– Nie mam dobrych wieści.

– Nigdy ich nie masz, kiedy wywołujesz mnie przez pager. Co się stało?

– Jeden osiem siedem i dziesięć pięćdziesiąt sześć.

Grady wzdrygnął się. Taka kombinacja oznaczała morderstwo i samobójstwo.

– Zgadłaś. Nie podoba mi się.

– Mam jeszcze gorszą wiadomość. Przystępstwo popełniono poza naszym terenem. Zajmuje się nim policja stanowa, ale chcą, żeby pan tam pojechał.

– Nie rozumiem. Czemu mówisz, że to gorsza wiadomość, skoro morderstwo wydarzyło się poza naszym terenem?

– Szeffie, ja...

– Mów.

– Nie chcę.

– Powiedz, Dina.

– Zna pan ofiary.

Grady wstrzymał oddech. Ścisnął mocniej słuchawkę.

– Kto?

– Brian i Betsy Roth.

O Jezu, pomyślał Grady. Brian i Betsy byli ostatnimi przyjaciółmi, na których mógł liczyć po tym, jak wszyscy inni odwrócili się od niego z powodu jego przedłużającej się żałoby.

Któraś z tych osób zabiła drugą?

A potem popełniła samobójstwo?

Grady poczuł przyspieszony puls.

- Kto kogo?...
- Brian – odpowiedziała dyspozytorka chrapliwym głosem. – Z półautomatycznego pistoletu kalibru czterdzieści pięć.  
O mój Boże, pomyślał Grady.

Niejasne wskazówki, jakie otrzymał Grady, zawiodły go nie do domu Briana i Betsy, jak się spodziewał, lecz w góry na zachód od miasta. Góry Pensylwanii: niskie, porośnięte gęstym lasem, o zaokrąglonych wierzchołkach. Kamieniste szlaki między nimi wiodły do ukrytych parowów i jarów. Grady nie wiedziałby, którą drogą pojechać, gdyby nie samochód policyjny blokujący jedną z dróg. Policjant z drogówki o kwadratowej szczęce rzucił papierosa, przydeptał obcasem i zwięzonymi oczami spojrzął na Grady'ego.

– Szukam porucznika Crane'a – powiedział Grady.

Funkcjonariusz wyprostował się, słysząc nazwisko Grady'ego.

– Porucznik czeka na pana.

Ze sprawnością zaskakującą jak na tak wysokiego mężczyznę policjant wycofał samochód z drogi, pozwalając Grady'emu wjechać na wąską dróżkę.

Gałęzie drzew szurały o okna samochodu. Tuż przed wejściem w pierwszy ostry zakręt Grady zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że wysoki funkcjonariusz ponownie zablokował wjazd.

Droga skręcała w lewo, pnąc się jednocześnie w górę. Gałęzie ocierały się teraz nie tylko o bok, ale i dach wozu. W gęstym, pełnym cieni lesie Grady poczuł się jak osaczony.

Brian zastrzelił Betsy?

A potem siebie?

Nie, to niemożliwe!

Dlaczego?

Tak bardzo potrzebowałam tych dwojga.

Zależało mi na nich...

Kochałam ich!

Po co właściwie tam pojechali? Co robili w tych lasach?

Droga wyrównała się i wyprostowała. Grady znalazł się nagle na zalanej słońcem polanie między dwiema górami. Za otwartą bramą w płocie z drutu otwierała się rozległa posiadłość z kilkoma różnej wielkości budynkami z szarych pustaków po prawej stronie oraz zagłębieniem na rożen i basenem po lewej.

Grady zaparkował za trzema policyjnymi samochodami, karetką pogotowia, niebieskim wozem koronera i czerwonym dżipem cherokee, który należał do Briana i Betsy. Kilku funkcjonariuszy policji stanowej wraz z dwoma



sanitariuszami i tęgim mężczyzną w szarym garniturze stało obok siebie koło basenu, tyłem do Grady’ego. Słyszając trzaśnięcie drzwi samochodu jeden z policjantów odwrócił się, przyjrzał Grady’emu, zerknął jeszcze raz na basen i z poważną miną ruszył w stronę nowo przybyłego.

Porucznik Crane. Wiek około czterdziestu pięciu lat, wysoki. Wydatny nos i kości policzkowe. Dobrze zbudowany, bez nadwagi. Grady przypominał sobie, że lekarz Crane’a polecił mu zrzucić parę kilogramów. Krótkie, jasne, przeredzone włosy. Grady współpracował od czasu do czasu z Crane’em, kiedy sprawcę przestępstwa popełnionego na terenie któregoś z nich chwytano na terenie drugiego.

– Cześć, Ben.

– Cześć, Jeff.

– Czy dyspozytorka cię uprzedziła? – spytał z niepokojem Crane.

Grady skinął ponuro głową.

– Brian zastrzelił Betsy, a potem siebie. Dlaczego, do cholery, on to...

– Mamy nadzieję, że ty nam to powiesz.

Grady zadrzał mimo woli.

– A skąd miałbym wiedzieć?

– Przyjaźniłeś się z Rothami. Aż się boję właśnie ciebie o to prosić...

Czy mógłbyś?...

– Obejrzeć ciała?

– Tak. – Crane zmarszczył czoło. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jeff, moja żona i syn nie żyją, ale ja nadal jestem policjantem. Zrobię co trzeba, mimo że Brian i Betsy byli moimi przyjaciółmi. Jestem gotów.

– Tak myślałem.

– W takim razie dlaczego pytasz?

– Bo masz związek z tą sprawą.

– Co takiego?

– Zacznijmy od początku – powiedział Crane. – Obejrzyj ciała, a ja ci potem pokażę, co znajdowało się na ręczce czterdziestki piątki, którą trzymał twój przyjaciel. Później porozmawiamy.

Odór rozkładu uderzył Grady’ego w nozdrza. Basen otaczał płot sięgający na wysokość pasa. Grady podążył za Crane’em; po chwili stanęli na pasie betonu otaczającym basen. Jeden z policjantów robił zdjęcia czegoś, co leżało na betonie, a grubas w szarym garniturze wydawał mu polecenia. Policjanci rozstąpili się na widok przybyłych. Grady zobaczył ciała.

Zebrało mu się na mdłości. Jego przyjaciele leżeli twarzami na betonie przed składanymi drewnianymi krzesłami, głowami w stronę basenu. A właściwie tym, co zostało z ich głów. Pociski z czterdziestki piątki zrobiły swoje. Kule weszły za

prawym uchem Betsy i Briana; w tych miejscach utworzyły się grube skrzepy krwi. Po przeciwnej stronie głów, nad brwiami koło potylicy, ziały dziury, przez które krew, mózg, kości i włosy wyleciały i rozprysły się na beton. Nad płamą unosił się obrzydliwy rój much. Pistolet leżał obok prawej ręki Briana.

– Dobrze się czujesz? – Crane dotknął ramienia Grady’ego.

Grady przełknął ślinę.

– Dam sobie radę.

Był szefem policji w Bosworth od dziesięciu lat, ale widział niewiele ofiar postrzałów. Było to w końcu tylko średniej wielkości miasto i nie zdarzało się tu wiele zbrodni. Większość wypadków śmiertelnych to były wypadki drogowe. Ta myśl przypominała Grady’emu o okolicznościach śmierci żony i syna. Ogarnął go żal. Teraz stracił ostatnich przyjaciół.

– Zwłoki zaczęły się już rozkładać – wykrztusił. – Nawet w takim upale nie zdążyłyby tak spuchnąć... To nie mogło stać się dzisiaj.

Crane skinął głową.

– Doszliśmy do wniosku, że zginęli wczoraj.

– Będę wiedział na pewno po wykonaniu autopsji – wtrącił korpulentny mężczyzna w szarym garniturze.

Był to miejscowy patolog. Ruchem ręki powstrzymał policjanta robiącego zdjęcia.

– To wystarczy. – Odwrócił się do asystentów. – Możecie ich zabrać. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu – dodał zwracając się do Crane’a.

Policjant wzruszył ramionami po chwili zastanowienia.

– Chyba zrobiliśmy już, co trzeba.

Grady usłyszał dźwięk suwaka worka do przewożenia ciał. Zerknął na połyskującą błękitną wodę w basenie, żeby nie myśleć o tym, co się dzieje. Ucieszył się, kiedy usłyszał głos Crane’a.

– Brian i Betsy mieli wrócić do domu wczoraj wieczorem. Kiedy siostra Briana zadzwoniła do nich i nikt nie odebrał, pomyślała, że zmienili plany i postanowili zostać tu na noc. Rano zadzwoniła ponownie. Znow nikt nie podniósł słuchawki. Gdy okazało się, że Brian nie otworzył restauracji, zaczęła się niepokoić. Tu nie ma telefonu, więc przyjechała...

– Znalazła ciała – wtrącił Grady – i zadzwoniła do ciebie.

Crane potwierdził skinieniem głowy. Asystenci koronera z wysiłkiem umieścili wypchany wór na wózku i zaczęli pchać w stronę ambulansu.

Grady opanował się siłą woli.

– Wygląda na to, że oboje siedzieli na krzeselkach twarzą do basenu. Siła uderzenia pocisków rzuciła ich na beton.

– Tak też pomyśleliśmy – zgodził się Crane.

– To by sugerowało, że się nie kłócili, a jeśli nawet, to nie tak gwałtownie, żeby Brian zastrzelił Betsy, a potem siebie, gdy dotarło do niego, co zro-

bił. – Coś ścisnęło Grady’ego za gardło. – Ludzie zazwyczaj stoją, krzyżąc na siebie. A tutaj wszystko wskazuje na to, że oboje siedzieli i podziwiali widoki. Potem Brian przyniósł pistolet, chyba że miał go wcześniej przy sobie. Ale dlaczego? Dlaczego postanowił ją zastrzelić? I dlaczego Betsy tak po prostu siedziała, jeśli założymy, że wiedziała o pistolecie?

– On to zaplanował.

– Pewnie, bo inaczej nie miałby ze sobą broni.

– To nie jedyna wskazówka. – Crane wskazał w dół. – Spójrz na pistolet.

Grady podążył wzrokiem za jego ręką, omijając czarne plamy na krawędzi basenu i białe linie, którymi policjanci obrysowali sylwetki ciał. Przyjrzał się uważnie broni.

– Tak – westchnął. – Rozumiem.

Suwadło pistoletu był maksymalnie wycofane, sięgając aż za kurek. Mogło zatrzymać się w tej pozycji tylko wówczas, gdy magazynek w ręczce był pusty.

– Brian nie załadował całego magazynka. Włożył tylko dwa naboje.

– Jeden dla Betsy, jeden dla siebie – dodał Crane. – Co można z tego wywnioskować?

– Brian dokładnie wszystko obmyślił. On podchodził do broni z szacunkiem. Nie załadował całego magazynka, bo wiedział, że pistolet odbezpieczy się automatycznie po drugim wystrzale, którym chciał zabić siebie, i wypadnie mu z ręki. Nie chciał, żeby osoba, która podniesie broń, zraniła się lub zastrzeliła przez przypadek. Chciał to zrobić ostrożnie.

Grady potrząsnął głową. Ostrożnie. Co za słowo w tych okolicznościach. Ale Brian myślał właśnie w taki sposób. Zawsze martwił się, że zwierzę, do którego strzelił, może zostać tylko zranione, uciec do lasu i męczyć się przez wiele godzin albo dni, nim wreszcie umrze. Dlatego można powiedzieć, że postarał się zabić swoją żonę i siebie zachowując ostrożność. Oba pociski trafiły w miękkie miejsce nad uchem. Prosto w mózg. Natychmiastowa, bezbolesna śmierć. Przynajmniej teoretycznie. Tylko ofiara wie, czy taka śmierć jest rzeczywiście bezbolesna, a ona nie może o tym opowiedzieć.

Grady zmarszczył czoło tak mocno, że aż poczuł ból. Musiał pomasażać sobie skronie. Myślał o pociskach, które roztrzaskały czaszki Betsy, a potem Briana. Zerknął na Crane’a.

– Zazwyczaj motywem takich zbrodni są problemy małżeńskie. Zazdrość. Jeden z partnerów ma romans. Ale o ile mi wiadomo, Brian i Betsy byli sobie wierni.

– Możesz być pewny, że to sprawdzę – powiedział Crane.

– Ja też. Przychodzi mi do głowy jeszcze tylko jeden motyw. Śmiertelna choroba Betsy, którą trzymali w tajemnicy, żeby nie martwić przyjaciół. Kiedy stan Betsy się pogorszył tak, że nie mogła dłużej znieść bólu, Brian za

zgodą żony skrócił jej cierpienie, a potem zabił się, bo nie mógł znieść życia bez niej...

– To też sprawdzę podczas autopsji – odezwał się koroner.

– A ja porozmawiam z jej lekarzem – powiedział zdecydowanie Crane.

– Powiedziałeś, że ja mam z tym jakiś związek i że Brian ścisnął coś w dłoni. Co to było?

Crane zmieszał się.

– Chyba nie da się tego zrobić inaczej. Muszę ci pokazać. Brian zostawił list.

– Miałem o to zapytać. Chcę wiedzieć.

Crane wyciągnął z kieszeni koszuli plastikową torebkę ze skrawkiem papieru.

– Jeśli Brian zostawił wiadomość, to nie ma wątpliwości – mruknął Grady. – Dokładnie wszystko zaplanował, a sposób załadowania broni to potwierdza.

Zadrzał.

– Być może obmyślił wszystko razem z... Mam okropne przecucie, że Betsy się zgodziła.

– Mnie też przyszła do głowy taka myśl – powiedział Crane – ale pewnie nigdy nie dowiemy się na pewno. Wokół kolby pistoletu owinięta była ta kartka. Kiedy broń wypadła mu z ręki, kartka została mu w palcach.

Grady odczytał treść i zadrzał.

Kartka zapisana była drukowanymi literami.

**POWIEDZCIE BENOWI GRADY'EMU. SPROWADŹCIE GO TUTAJ.**

Tylko tyle.

I aż tyle.

– Sprowadzić mnie? Po co?

– Dlatego powiedziałem ci, że musimy pogadać. – Crane zagryzł wargę. – Odejdźmy stąd. Przespacerujmy się trochę.

Oddalili się od basenu, przechodząc pas żwiru koło zagłębienia z różnym i dwoma stołami. Zbliżyli się do największego z szarych budynków, długości dziesięciu metrów i szerokości około pięciu. Z jego ściany z trzema zakurzonymi oknami wystawał metalowy komin.

– Sprowadźcie go tutaj – powiedział Crane. – To może znaczyć wiele różnych rzeczy. Żebyś obejrzał ciała albo teren. Nie znałem zbyt dobrze Briana, ale zdaje mi się, że nie należał do ludzi okrutnych. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego chciał, żebyś zobaczył to, co sam zrobił. Zaczynam się zastanawiać, czy...

Grady odgadł pytanie.

– Nigdy tutaj nie byłem. Nawet nie wiedziałem o istnieniu tej działki. Ledwo trafiłem, chociaż zostawiłeś mi wskazówki w biurze.

– A przecież byliście blisko ze sobą związani.

– Dopiero od roku. Poznałem ich na spotkaniu Wspólnoty Żalu.

– Co to takiego?

– Stowarzyszenie rodziców, którzy stracili swoje dzieci. Założenie jest takie, że tylko rodzic w żałobie może zrozumieć, co przechodzi podobna osoba. Rodzice zbierają się raz w miesiącu. Na początku każdy opowiada, jak dziecko zmarło. Jest tam zawsze jakiś psychiatra lub inny specjalista, który podpowiada, jak radzić sobie z bólem. Później zaczyna się swobodna rozmowa. Rodzice cierpiący stratę najdłużej starają się pomóc tym, którzy nadal nie mogą uwierzyć w to, co się stało. Jeśli komuś się zdaje, że dłużej nie zniesie żalu, dostaje numery telefonów innych uczestników. Ludzie starają się powstrzymać cię od wpadania w rozpacz. Przypominają o dbaniu o zdrowie, przestrzegają przed sięganiem po alkohol, pozostawianiem przez cały dzień w łóżku, popadaniem w obżarstwo. Radzą, jak zachować sprawność, wyjść do ludzi, na spacer, popracować społecznie.

Crane potarł się po karku.

– Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– Tak?

– Poszedłem na pogrzeb twojej żony i syna, raz do ciebie zajrzałem. Ale potem... Nie wiedziałem co mówić, powtarzałem sobie, że nie powinienem ci zwracać głowy. Wyobrażałem sobie, że wolisz być sam.

Grady wzruszył ramionami.

– To typowa reakcja. Nie musisz się tłumaczyć. Jeśli sam nie stracisz żony i dziecka, nigdy nie zrozumiesz tego bólu.

– Modłę się do Boga, żebym nie musiał czegoś takiego przeżyć.

– Przyłączam się do twoich modlitw.

Dotarli do budynku.

– Technicy zdjęli już odciski.

Crane otworzył drzwi; Grady zajrzał do środka. Wzdłuż ścian leżały posłania ze śpiworami; były tu też dwa długie drewniane stoły, ławy, szafki i piecyk na drewno.

– Wygląda na to, że oprócz Briana i Betsy zaglądało tu więcej ludzi – zauważył Crane. – Kto to mógł być?

– Mówiłem ci już, że nigdy tutaj nie byłem.

Crane zamknął drzwi i poprowadził do sąsiedniego, mniejszego budynku.

We wnętrzu znajdowała się kuchenka na drewno. W szafkach ściennych stały puszki i pudełka z żywnością, a także garnki, rondle, miski, talerze i sztućce.

– Wydaje mi się, że rożen był przygotowany na lato, a to wszystko miało służyć gościom w deszczowe dni, jesienią albo nawet zimą.

Grady skinął głową.

– W tamtym budynku było dwanaście prycz. Zauważyłem płaszcze przeciwdeszczowe i zimowe kurtki na kołkach. Kimkolwiek byli ci ludzie, przyjeżdżali tu często. Przez cały rok. Co w tym dziwnego? Piękne miejsce na letnią wycieczkę za miasto. Jesienią mogło służyć jako obóz łowiecki. Brian, Betsy i ich znajomi pewnie urządzali tu przyjęcia w weekendy, nawet zimą, jeśli śnieg nie zasypał drogi dojazdowej.

– Tak, piękne miejsce. – Crane zamknął drzwi kuchni i wskazał ostatni, najmniejszy budynek. – Tylko ten jeden był zamknięty. Brian miał klucz na kółku razem z kluczykami od samochodu. Znalazłem go w kieszeni jego spodni.

Kiedy Crane otworzył drzwi, Grady mimo woli zmarszczył czoło.

Podłogi w tamtych budynkach zrobione były z desek, tylko miejsca, gdzie stały piecyki, wyłożono ceglami. Tu posadzka tworzyła gładką szarą płytę. Ściany pokrywała dębowa boazeria. Zamiast piecyka był ładny kamienny kominek z drewnianym gzymsem, z dwiema amerykańskimi flagami po bokach, nad którymi w równym szeregu stały oprawione fotografie ośmiorga uśmiechniętych dzieci i nastolatków obojga płci. Ich wiek wahał się od sześciu do dziewiętnastu lat; jeden z chłopców – blondyn z aparatem na zębach i niepewnym uśmiechem – przypominał nieco syna Grady'ego.

Przed szeregiem zdjęć stała kościelna ławka, a na gzymsie bieleły się świeczniki... Grady zauważył, że dwie śliczne, uśmiechnięte, piegowate, rudowłose dziewczynki w wieku kilkunastu lat są niemal identyczne. Zbliżył się. Bliźniaczki. Spostrzegł też, że najstarsi chłopcy na zdjęciach mieli krótko obcięte włosy i nosili wojskowe mundury.

– Co o tym sądzisz? – spytał Crane.

– Wygląda prawie jak kaplica... – Grady poczuł jakiś ciężar na pierśsiach. – Nie widać żadnych obiektów religijnych, a jednak. Coś w rodzaju sanktuarium. Widziałem już te bliźniaczki. A właściwie ich zdjęcia. Brian i Betsy nosili je zawsze w portfelach i pokazali kilka razy przy kolacji. Mieli też większe oprawione fotografie na ścianie w saloniku. To są ich córki. Zginęły dziesięć lat temu, kiedy kolejka w wesołym miasteczku koło Pittsburgha wyleciała z torów. Brian i Betsy nigdy sobie nie wybaczyli, że pozwolili dziewczynom na tę przejażdżkę. Poczucie winy. Ono także doskwiera rodzicom, którzy stracili dzieci. Potworne poczucie winy.

Grady podszedł jeszcze bliżej do zdjęć. Skupił wzrok na dziesięcioletnim jasnowłosym chłopcu, który tak bardzo przypominał jego syna. Podobieństwo nie było łudzące, ale mimo to widok dziecka sprawił Grady'emu ból.

Poczucie winy. Co by było, gdyby nie pracował tak długo tego wieczoru? Gdyby był w domu i Helena z Johnem nie wybrałaby się do kina i na pizzę?

Pijany kierowca nie staranowałby ich i żyliby do dzisiaj. To wszystko moja wina, bo zachciało mi się przejrzeć raporty, które równie dobrze mogłyby poczekać do rana. Ale ja musiałem pokazać sumienność i w ten sposób przyczyniłem się do śmierci żony i syna. Grady skrzywił się i odwrócił, żeby Crane tego nie zauważył. Zapłakał w duszy z nieznośnego bólu.

Crane powiedział coś, ale Grady nie usłyszał.

– Ben?

Grady nie odrywał wzroku od zdjęcia.

– Co?

– Poznajesz którąś z tych twarzy?

– Nie.

– Mam przeczucie, że one są uporządkowane według jakiejś zasady.

– Jakiej?

– Skoro córki Rothów zginęły, to może wszystkie te dzieci nie żyją?

Grady odwrócił się raptownie.

– Co się stało?

– Plusk wody. Ktoś wpadł do basenu.

– Plusk? Nic nie słyszałem...

Światło poraziło Grady'ego w oczy, gdy wyszli z budynku. Zerknął w stronę grupy policjantów stojących koło basenu. Koroner wsiadał do swojego samochodu. Ambulans już odjeżdżał.

Jednak woda w basenie nie falowała, a jeśli ktoś do niej wpadł, policjanci nie zwrócili na to uwagi. Rozmawiali między sobą.

– Nie słyszałem żadnego plusku – powiedział Crane. – Sam zobacz. Nikt nie wpadł do wody.

Grady potrząsnął głową.

– Mógłbym przysiąc.

Zdezorientowany, odpowiedział jeszcze na parę pytań Crane'a i godzinę później odjechał. Było parę minut po piątej. Crane i jego ludzie zamykali budynki i zabezpieczali miejsce zbrodni żółtą taśmą.

Grady ciągle nie mógł wyjść z szoku. Drżał. Wracając krętą górską drogą do Bosworth skontaktował się przez radio z komendą. Podwładni musieli wiedzieć, gdzie jest.

Jechał teraz do domu siostry Briana. Dzięki spotkaniom Wspólnoty Żalu dowiedział się, że trzeba zrobić wszystko, aby pocieszyć tych, którzy stracili bliskich. Współczucie to największa z cnót.

Zatrzymał się przed domem Idy Roth, skromną przyczepą stojącą w szeregu podobnych na przedmieściach Bosworth. Zapukał w metalowe drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Pewnie pojechała do firmy pogrzebowej i na cmen-

tarz. Podwójny pogrzeb. Ida miała teraz na głowie straszne obowiązki. Na pewno jest w szoku. Szkoda, że nie przyjechałem w porę, żeby ją pocieszyć, pomyślał Grady.

Drzwi sąsiedniej przyczepty otworzyły się i wyszła z nich jakaś kobieta. Grady ze zdumieniem dowiedział się, dokąd pojechała Ida. Podziękował za informację, zignorował pytania wścibskiej sąsiadki i wszedł do samochodu.

Po pięciu minutach stanął w drzwiach tawerny Briana i Betsy. Ida Roth stała za barem koło kasy i z surową miną udzielała wskazówek kelnerce.

Klienci, przeważnie robotnicy z fabryki, którzy regularnie wpadali tu na piwo po pracy, popatrzyli z uwagą na mundur Grady'ego. Zawsze przychodził tu w cywilnym ubraniu. Z ich wzroku mógł wyczytać, że zjawienie się tu w tym stroju czyni jego wizytę bardzo oficjalną i że wiedzą o śmierci Briana i Betsy.

Grady zdjął czapkę i zauważył, że szafa gra za głośno.

– A w ogóle komu przyszło do głowy wybrać akurat tę piosenkę po tym, co się stało? – spytał. Z głośnika dobiegały dźwięki utworu Roya Orbisona „Only the Lonely”.

Spojrzał na szczupłą, zdecydowaną twarz Idy.

Jedyna siostra Briana miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na sześćdziesiąt; częściowo dlatego, że miała całkiem siwe włosy, które zaczesywała do tyłu, co nadawało jej twarzy surowy wyraz i podkreślało zmarszczki wokół oczu, a częściowo dlatego, że z powodu nerwowego usposobienia miała zapadnięte policzki. Na domiar złego zaciśnięte wargi sprawiały wrażenie, że jest wiecznie nadąsana.

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczął Grady. – Oczywiście, masz prawo rozpłakać. W pierwszym odruchu ludzie myślą: „Nic nie rozumiesz, więc wynoś się i zostaw mnie w spokoju”. Ale rok temu, po śmierci mojej żony i synka przeżywałem to samo co ty teraz. Ja naprawdę wiem, co czujesz, i nie są to puste słowa. Z całego serca współczuję ci z powodu tego, co się stało.

Ida szybkim ruchem zwróciła głowę w stronę kelnerki.

– Przy piątym stoliku czekają na piwo – rzuciła ze złością, nie odrywając ręki od kasy. – Współczujesz mi? Coś ci powiem. Brian odciął się ode mnie po śmierci dziewczynek. Odwiedzaliśmy się, spędzaliśmy razem czas, ale wszystko się między nami zmieniło. Przez ostatnie dziesięć lat żyliśmy tak, jakbyśmy nie byli bratem i siostrą. Jakby wyrósł między nami mur. Czulałam się jak obca osoba. Staralam się okazać mu uczucie. Z mojego punktu widzenia coś w Brianie umarło dawno temu. To, co zrobił Betsy i sobie, było złe, ale może nic lepszego nie mógł zrobić.



– Nie rozumiem. – Grady pochylił się nad barem, starając się nie zwracać uwagi na smutną piosenkę Roya Orbisona i natarczywe spojrzenia robotników.

– To żadna tajemnica. Ty wiesz i całe miasto wie. Mąż rozwiódł się ze mną osiem lat temu. Kilka razy poroniłam, więc nie mieliśmy dzieci. Szybko się postarzałam. Jakże ja nienawidzę tej młodej sekretarki, z którą uciekłam. Sędzia i chciwi adwokaci zostawili mi rozklekotaną przyczepe, w której trzęsę się z zimna. Przykro ci? A ja powiem, że mimo żalu nie jest mi przykro. Brian miał wszystko, a ja nic! Kiedy zaczął mnie ignorować... To, że się zastrzelił, to była najlepsza rzecz, jaką dla mnie zrobił. Teraz knajpa jest moja. Nareszcie coś mam.

Grady patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ida, nie mówisz tego poważnie.

– A właśnie że tak! Brian traktował mnie jak wyrzutka. To ja zarobiłam na tę budę i ona mnie się należy. Kiedy otworzą testament... Jeśli jest sprawiedliwość na tym świecie... Brian mi przyrzekł. Mimo że tak się od siebie oddaliliśmy, obiecał, że o mnie zadba. Ta gospoda jest moja. Na pewno masz ochotę się napić.

– Dzięki, Ida. Chciałbym, ale nie mogę. Jestem na służbie. – Grady spuścił wzrok. – Może innym razem.

– Nie będzie lepszej okazji. To jest szczęśliwa godzina. Jeśli nie możesz się cieszyć, napij się ze smutku. Możesz wypić za nich. Dwa drinki w cenie jednego.

– Nie mogę pić w mundurze. Ale pamiętaj, że ci współczuję.

Ida nie słyszała, zajęta wydawaniem poleceń kelnerce.

Grady podniósł czapkę i wstał. Zawodowy instynkt nie pozwolił mu odejść w ten sposób.

– Ida...

– Nie widzisz, że jestem zajęta?

– Przepraszam, ale potrzebuję pewnej informacji. To miejsce, gdzie wydarzyła się tragedia... Co o nim wiesz?

– Nie za dużo.

– Ale na pewno coś wiesz. Trafiłaś tam przecież.

– Byłam na tej działce. Raz. Ale czułam się tak opuszczona i niechciana... Specjalnie zapamiętałam, jak tam dojechać.

– Nie bardzo rozumiem. Dlaczego uważałaś, że jesteś niechciana?

– Ta działka była... – Ida zmarszczyła czoło. – Jego ucieczką. Murem, którym odgradzał się od świata. Pamiętam, kiedy ją kupił. Dziewczynki zginęły pięć miesięcy wcześniej. Zaczęła się jesień, sezon łowiecki. Przyjaciele Briana starali się jakoś go rozerwać. „Chodź, zapolujemy na króliki, gęsi, mówili. Nie możesz tak siedzieć ciągle w domu”. Niemal siłą wyciąg-

nęli go z sypialni. – Nie odrywając lewej ręki od kasy, prawą wskazała sufit. Brian i Betsy mieszkali nad gospodą. A Brian nie miał na nic siły... Gdyby nie ja, ten lokal poszedłby w diabły. Zwlókł się z łóżka i pojechał z nimi. Kiedy wrócił nazajutrz, był zupełnie innym człowiekiem. Tryskał energią. Powiedział, że znalazł kawałek ziemi i chce go kupić. O mało nie dostał kręcka na tym punkcie. Ciągłe opowiadał o działce w górach. Uwziął się, że musi ją mieć.

Ida wydała kelnerce kolejne polecenie, po czym zwróciła wzrok na Grady'ego.

– Brian wpadł w depresję, jak mi się zdaje. Powiedziałam mu, że nie stać go na kupno tej działki, ale nie chciał mnie słuchać. Uparł się i już. Mimo moich ostrzeżeń, wykorzystał tę knajpę jako zastaw, tak to się chyba nazywa. Udało mu się wziąć kredyt w banku, odszukać właściciela i kupić ten przekłety kawałek ziemi. Wtedy zaczął się ode mnie odsuwać.

Wkrótce potem dowiedziałam się – nie od niego, tylko od klientów – że zamierza zbudować tam duży basen, rozeń i postawić jakieś budynki... Rok później, kiedy wszystko było już gotowe, zaprosił mnie tam na huczne otwarcie.

Przyznaję, że działka zrobiła na mnie wrażenie. Pomyślałam, że Brian próbuje poradzić sobie jakoś ze stratą córek, zacząć życie od nowa. Ale po kolacji, którą zjedliśmy z Betsy i moim, jak się miało wkrótce okazać, pieprzonym byłym mężem, Brian wziął mnie na bok. Pokazał na las, basen, budynki... Pamiętam jego głos, ściszony, taki jak głos ludzi rozmawiających podczas mszy w kościele.

Spytał, czy czuję się w tym miejscu bliżej jego zmarłych dzieci. Rozejrzałam się. Próbowałam zrozumieć, co ma na myśli. W końcu powiedziałam, że nic nie czuję. Przyznałam, że jest ładnie. Przypomniałam o ryzyku, które podjął zaciągając kredyt. Ale jeśli chodziło mu o miejsce, które pomoże przezwyciężyć żal, to postąpił słusznie. „A czy czułaś coś w pobliżu basenu?”, spytał. Odpowiedziałam, że nie rozumiem, o czym mówi. Pamiętałam, że dziewczynki lubiły pływać, i tyle. Na tym rozmowa się zakończyła. Więcej nie zaprosił mnie na działkę. Właśnie wtedy zaczęła otwierać się między nami przepaść. Nie miało znaczenia, że ratuję mu tyłek zajmując się gospodą, tak jak zajmuję się nią teraz.

Grady wiedział, że wyczerpał cierpliwość Idy. Postanowił zaryzykować jeszcze jedno pytanie.

– Czy wiesz, kto był właścicielem tej działki? Dlaczego Brian poczuł nagle ochotę, żeby ją kupić?

– Równie dobrze możesz pytać, kto wygra jutro na loterii. Nic mi nie powiedział. A ja ci mówię, że nie mam czasu. Nie chcę być niegrzeczna, ale mam klientów. To pora największego ruchu. Wszyscy głodnieją, kiedy ogła-

szam, że przez godzinę można zamawiać na koszt firmy. Muszę sprawdzić, czy w kuchni wszystko gotowe.

– Jasne. Przepraszam, że zabrałem ci czas. Chciałem tylko... Przykro mi, Ida. Przyszedłem powiedzieć, że ci współczuję.

Ida odwróciła się do kelnerki.

– Pieczeń z cebulą do ósmego stolika.

Grady wstał i wyszedł z gospody, odprowadzany spojrzzeniami robotników. Gdy wahadłowe drzwi zamknęły się za nim, usłyszał wzmagający się szmer głosów. Z szafy grającej dobiegały dźwięki kolejnej piosenki. Tym razem był to utwór Buddy Holly'ego „I Guess It Doesn't Matter Anymore”.

Wywołał komendę i zawiadomił dyżurną, że jedzie do domu. Za oknami samochodu w karmazynowych promieniach zachodzącego słońca przesuwały się drzewa. Grady patrzył na nie w zadumie, zbliżając się do domu, w którym kiedyś mieszkał z żoną i synem.

Ten dom go prześladował.

Grady często zastanawiał się, czy go nie sprzedać i nie uwolnić się w ten sposób od wspomnień. Nie zdobył się jednak na to, żeby pozbyć się rzeczy Heleny i Johna, ich ubrań, pamiątkowych kubków zbieranych przez żonę, gier wideo, od których syn był prawie uzależniony. Więc domu też nie sprzedał. Wspomnienia były torturą, ale nie mógł bez nich żyć.

Jednocześnie dom przysparzał Grady'emu zmartwień, bo wydawał się pusty, a poza tym nie dbał o niego po śmierci Heleny i Johna; nie sadił wiosną kwiatów i nie sprzątał tak jak żona, więc wewnątrz stało się szare i zakurzone.

Wchodząc do kuchni wiedział, dokąd skieruje kroki. Robił to codziennie od tego wieczoru, kiedy stracił rodzinę. Podszedł do szafki, nalał pół szklanki whisky, dodał wody i lodu i wypił w trzech haustach.

Zamknął oczy i odetchnął. Teraz lepiej. Członkowie Wspólnoty w Żalu zwracali szczególną uwagę na to, żeby nie szukać pocieszenia w butelce. Brian i Betsy powtarzali to wiele razy. Grady zauważył, że w domach na działce nie było żadnego alkoholu, nawet piwa. Jakakolwiek była przyczyna morderstwa i samobójstwa, pijaństwo nie wchodziło w grę.

Grady udawał, że postępuje zgodnie z radami członków Wspólnoty w Żalu. Ale nocą, gdy staczał się na dno smutku, coraz częściej szukał zapomnienia w bourbonie. Tylko że whisky tak naprawdę nie dawała zapomnienia. Ona je tylko zaciemniała, stępiała ostrze bólu i pozwalała zasnąć. Kiedy czuł, że język zaczyna mu się plątać, włączał automatyczną sekretarkę, a gdy dzwonił telefon, zawsze potrafił zebrać się w sobie i wypowiedzieć kilka wyćwiczonych słów. Jeśli zachodziła potrzeba, mamrotał, że

jest chory i wyznaczał kogoś na zastępstwo. Tylko wtedy Grady łamał zasady profesjonalizmu. Wiedział jednak, że nie umie sobie poradzić z domem i bał się, że którejś nocy popełni błąd i zdradzi swoją nieudolność także w innych sprawach.

Jednak w tej chwili ten lęk zszedł na dalszy plan. Grady poddał się smutkowi. Szybko nalał drugą szklankę, tym razem dodając mniej wody i lodu. Wypił. Brian i Betsy. Helena i John. Nie.

Oparł się o blat i zaszlochał. Żał ścisnął mu gardło; ramiona zatrzęsły się.

Nagle zadzwonił telefon. Grady podniósł głowę i spojrzął na aparat wiszący na ścianie koło tylnego wyjścia.

Jeszcze jeden dzwonek.

Grady nie zdążył jeszcze włączyć automatycznej sekretarki. Czuł się okropnie. Nie miał ochoty odbierać telefonu. Brian i Betsy. Helena i John. Chciał tylko, żeby zostawiono go w spokoju i nie przerywano żałości. Ale to mógł być ważny telefon z komendy.

Otarł łzy, wyprostował się i po chwili zastanowienie podjął decyzję. Whisky jeszcze nie zaczęła działać. Wiedział, że będzie mógł mówić normalnie. Lepiej odebrać ten telefon, póki jeszcze może.

Drżącą ręką podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Ben? Mówi Jeff Crane. Przepraszam, że cię niepokoję o tej porze, ale to ważne. Dzwoniłem na komendę i powiedzieli mi, że jesteś w domu.

– Coś ważnego? Mów.

– Mam parę nazwisk. Powiedz, czy ci coś mówią. Jennigs, Matson, Randall, Langley, Beck.

Grady skupił uwagę.

– Z niczym mi się nie kojarzą. Nie znam żadnego z tych ludzi. A w każdym razie nie pamiętam, że bym znał.

– Nie dziwię się. Oni... nie mieszkali w Bosworth. Wszyscy pochodzili z sąsiednich miast leżących na zachód, w stronę Pittsburgha.

– Więc dlaczego są ważne? Nie rozumiem.

– Wszyscy ci ludzie zginęli w zeszły czwartek.

– Co?

– Po oględzinach działki Briana wróciliśmy do siebie. Rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło. Nagle jeden z moich ludzi, który nie był z nami na działce, zwrócił uwagę na nazwisko Briana i Betsy. Powiedział, że słyszał je w zeszły czwartek. To był jeden z najtragiczniejszych wypadków drogowych, z jakimi miał do czynienia. Zginęło dziesięcioro pasażerów minivana. Kierowca półciężarówki stracił kontrolę nad kierownicą, kiedy złapał gumę, i wjechał na jadący z przeciwka samochód. Po oględzinach okazało się, że wszyst-

kie ofiary jechały na obchody święta czwartego lipca, które miały się odbyć w górach. Na działce. Właśnie dlatego chciałem z tobą mówić. Ci ludzie wybierali się na działkę Briana i Betsy Rothów.

Grady ścisnął słuchawkę, aż zbielała mu skóra.

– I wszyscy zginęli?

– Spotkali się w jednym miejscu, zostawili samochody i wsiedli do vana.

Jeszcze jeden przekłety wypadek samochodowy! Taki sam jak ten, w którym zginęli Helena i John.

– Zacząłem więc dzwonić do znajomych ofiar. Dowiedziałem się, że Betsy i Brian jeździli po różnych miejscowościach. Chodzili na spotkania ludzi w żałobie nie tylko w Bosworth. Pamiętasz, jak na działce pytałem cię o zdjęcia w tym najmniejszym budynku, który nazwałeś sanktuarium? Przyszło mi do głowy, że skoro jest tam fotografia zmarłych córek Briana i Betsy, to i pozostałe zdjęcia mogą przedstawiać zmarłe dzieci.

– Pamiętam.

– Miałem rację. Każda z par, które zginęły w wypadku, oplakiwała stratę dziecka. Nie pomyliłeś się. To naprawdę było sanktuarium. Krewni opowiadali, że to właśnie rodzice umieszczali zdjęcia dzieci nad kominkiem. Zapalali świece, modlili się...

– Co za koszmar.

– Wiesz o koszmarach więcej niż jestem sobie w stanie wyobrazić. Dwanaście małżeństw, prywatny klub żałobny. Może dlatego Brian zrobił to, co zrobił. Może zastrzelił Betsy i siebie, bo nie mógł dłużej znieść żalu.

– Może.

– Dwaj najstarsi chłopcy w mundurach wojskowych zginęli w Wietnamie. Wiele lat temu.

To może trwać bez końca, pomyślał Grady.

– Najważniejsze, że mamy wyjaśnienie całej sprawy – powiedział Crane. – Brian i Betsy przygotowywali się spotkanie z całym gronem swoich przyjaciół. Ale stało się inaczej. Weekend zamienił się w dni smutku i żałoby... Kiedy zostali tylko we dwoje, Brian uznał, że dłużej nie wytrzyma. Za dużo żalu, o wiele za dużo. Więc zabił żonę. Wygląda na to, że Betsy się zgodziła. A potem...

– Zastrzelił się – dokończył Grady.

– Czy to brzmi sensownie?

– Wszystko na to wskazuje. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

– Rozumiem, że ciężko ci o tym mówić.

– Dam sobie radę. Dobrze zrobiłeś dzwoniąc do mnie, Jeff. Nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, ale twoja teoria trzyma się kupy. Przynajmniej będę mógł spać spokojnie. Dzięki. – Grady'emu chciało się wyc.

- Pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć.
  - Jasne.
  - Jeśli dowiem się czegoś więcej, zadzwonię.
  - Dobra. Fajnie.
  - Ben?
  - Co?
  - Nie chcę drugi raz powtarzać błędu. Jeśli będziesz chciał z kimś pogadać, zadzwoń.
  - Jasne. Zadzwonię na pewno.
  - Mówię poważnie.
  - Oczywiście. Ja też. Jeśli będę chciał pogadać, zadzwonię.
  - To chciałem usłyszeć.
- Grady odwiesił słuchawkę, odepchnął się od ściany i ruszył przed siebie. Prosto do butelki bourbona.

Nazajutrz rano Grady obudził się o czwartej, zakaszlał i zwlókł się z łóżka. Alkohol pomagał mu usnąć, ale gdy jego działanie słabło, szybko odzyskiwał przytomność. Za szybko. Nie miał jeszcze siły mierzyć się ze swoją egzystencją. Głowa pękała od pulsującego bólu, kolana się uginały. Dobrnął do łazienki, połknął kilka aspiryn i popił wodą nabraną w dłoń. Dopiero wtedy zauważył, że jest w mundurze. Upadł na łóżko, zanim zdążył się rozebrać.

**POWIEDZCIE BENOWI GRADY'EMU. SPROWADŹCIE GO TUTAJ.** Dziwaczna wiadomość wryła się w jego świadomość, gdy nad basenem odebrał wzrok od zwłok przyjaciół i przeczytał kartkę, którą podał mu Crane. Powiedźcie Benowi Grady'emu. Sprowadźcie go tutaj.

Dlaczego? – zastanawiał się Grady. Wszystko, co powiedział wieczorem Jeff – o śmierci pasażerów minivana, przyczynie depresji Briana – miało sens. Brian znalazł się u kresu wytrzymałości. Jedno tylko nie pasuje do tej teorii: napisana przez Briana wiadomość, żeby mnie sprowadzono i żeby zobaczyć ich ciała.

Myśli kłębiły się w skołatanej głowie Grady'ego. Dysząc ciężko, pochylił się nad umywalką, odkręcił zimną wodę i spryskał twarz. Zwlókł się na dół do kuchni, osunął na krzesło i zapalił światło, które momentalnie poraziło go w oczy. Alka-Seltzer, pomyślał. Potrzebuję...

Skierował wzrok na stos kopert i katalogów na stole. Wróciwszy wczoraj do domu, machinalnie wyjął pocztę ze skrzynki, szukając w kieszeni klucza. Cisnął papiery na stół, myśląc tylko o tym, żeby otworzyć butelkę. Teraz, oparłszy łokcie na stole, wpatrywał się w list zaadresowany do siebie, jeden z niewielu, jakie otrzymał po śmierci Heleny i Johna. Krewni żony przestali wtedy pisać.

Adres – Benjamin Grady, Cypress Street 112, Bosworth, stan Pensylwania – został nakreślony czarnym atramentem. Adresu zwrotnego nie było.

Ale Grady rozpoznał charakter pisma. Widział go wiele razy na kartkach, które dostawał nie tylko tuż po śmierci Heleny i Johna, ale jeszcze długo potem. Wyrazy współczucia i otuchy.

To był list od Briana. Na kopercie widniała data sprzed czterech dni. Piątek.

Grady rozdarł kopertę.

„Drogi Benie”, przeczytał. Po koszmarze pijackiego snu czekał go kolejny. Grady zadrżał, czytając wiadomość od tego wspaniałego, wielkodusznego przyjaciela, którego już nie było.

*Drogi Benie!*

*Kiedy weźmiesz do ręki ten list, Betsy i mnie nie będzie już wśród żywych. Serdecznie żałuję, że to, co zamierzam zrobić, zaszokuje Cię i zasmuci. Nie wiem, co będzie gorsze: początkowy szok czy długotrwały smutek. Jedno i drugie jest trudne do zniesienia, i chcę Cię za to przeprosić.*

*Jeśli nasze ciała zostaną znalezione, zanim przeczytasz ten list... Jeśli kartka, którą zamierzam napisać i włożyć do ręki przed naciśnięciem spustu, nie spełni swojej roli... Jeśli coś się nie uda i nie dotrzesz tutaj... Chcę, żebyś tu trafił. Nie po to, aby oglądać powłoki naszych dusz. Nie po to, aby zasmucić się widokiem naszych nędznych szczątków, ale po to, aby zobaczyć to miejsce. Ono jest szczególne, Ben. Ono koi ból.*

*Nie mogę Ci wyjaśnić, w jaki sposób. To znaczy nie chcę tego robić. Sam się przekonasz. Gdybym rozbudził Twoje nadzieje i nie spełnił ich, czułbyś się winny i niegodny, a ja za nic w świecie nie chcę pomnażać Twojego cierpienia.*

*Jednak trzeba wziąć pod uwagę taką możliwość. Być może okażesz się niepodatny na wpływ tego miejsca. Nie potrafię tego przewidzieć. Coś takiego zdarzyło się z moją siostrą. I nie tylko z nią. Wybierałem więc starannie. Moi przyjaciele zmarli w czwartek byli nielicznymi, którzy odczuli jego dobroczynną moc.*

*A teraz oni nie żyją, a ja i Betsy nie chcemy być znów sami. To za dużo, o wiele za dużo. Obserwowałem Cię, Ben. Coraz bardziej się o Ciebie martwię. Podejrzewam, że upijasz się co noc, żeby zasnąć. Wiem, że cierpisz tak samo jak Betsy i ja. Nam jednak udało się znaleźć pocieszenie, a Ty chyba nie miałeś tyle szczęścia.*

*Zamierzałem Cię tutaj przywieźć niebawem. Wydaje mi się, że jesteś gotów. Myślę, że odczujesz siłę tego miejsca, że zaznasz tutaj radości i ukojenia. Zostawiłem więc policji kartkę z prośbą, żeby Cię sprowadzili. A teraz, gdy – jak przypuszczam – zobaczyłeś je, pojedę do miasta nadać ten list i odwieźć mojego prawnika.*

*Mam zamiar zmodyfikować mój testament. Moim ostatnim aktem współczucia będzie podarowanie Ci tej działki. Wierzę, że zapewni ona spokój Twojej duszy. Zrozumiesz, co mam na myśli, jeśli okażesz się tak wrażliwy, jak podejrzewam.*

*Wybacz, że sprawiam Ci ból naszą śmiercią. Ona jest konieczna. Musisz uwierzyć mi na słowo. My jej oczekujemy z niecierpliwością. To, co zrobisz, nie wynika z rozpacz.*

*Kocham Cię, Ben. Wiem, że to brzmi dziwnie. Kocham Cię, bo dotknęło nas to samo nieszczęście. Bo jesteś dobrym i przyzwoitym człowiekiem. I cierpiącym. Może mój dar ukoji Twój ból. Kiedy będziesz czytał ten list, Betsy i ja będziemy wolni od bólu. Ale w naszej ostatniej godzinie modlimy się za Ciebie. Życzymy Ci ukojenia. Niech Bóg Ci pobłogosławi, przyjacielu. Bądź zdrow.*

Brian

Betsy podpisała się pod Brianem.

Grady jęknął. Jego łzy polały się na kartkę papieru, na podpisy ukochanych przyjaciół.

Jeff Crane coraz mocniej marszczył czoło, czytając list. Przeczytał go raz i drugi. W końcu wyprostował się na krześle i odetchnął.

Grady siedział naprzeciwko z zafrasowaną miną.

– O mój Boże – jęknął Crane.

– Przepraszam, że cię zbudziłem – powiedział Grady. – Czekałem tak długo, jak mogłem, i zadzwoniłem dopiero po świcie. Myślałem, że będziesz już na nogach. Chciałem mieć pewność, że złapię cię, zanim wyjedziesz z komendy gdzieś w teren. Zdawało mi się, że będziesz chciał zobaczyć ten list od razu.

Crane zdziwił się.

– Oczywiście. Jasne, że tak. Kiedy powiedziałem „ładny początek dnia”, to nie miałem na myśli siebie, tylko ciebie. Współczułem ci. Boże drogi, dziwię się, że czekałeś tak długo. Na twoim miejscu zadzwoniłbym do przyjaciela... a mam nadzieję, że za takiego mnie uważasz... natychmiast.

Grady zatrzęsł się.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Crane wstał i sięgnął do automatu. – Napij się jeszcze kawy.

Napełnił kubek Grady'ego.

– Dzięki, Jeff. – Drżącą dłonią ujął kubek. – Co sądzisz o liście?

Crane zastanowił się.

– Po pierwsze, podpis Betsy świadczy o tym, że zgodziła się na plan Briana. Nie było to więc morderstwo i samobójstwo, tylko podwójne samobójstwo. Betsy po prostu potrzebowała jego pomocy.



– Chryste.

– Po drugie, list nie wszystko tłumaczy. Brian pisze, że musiał zostawić na działce kartkę z wezwaniem dla ciebie, lecz nie wyjaśnia, dlaczego. Mówi, że chce, żebyś ją zobaczył. A przecież gdybyś się dowiedział, że zapisał ci ziemię w testamencie, i tak byś tam pojechał. Nie było potrzeby ściągać cię, żebyś oglądał ciała.

– Chyba że... Załóżmy, że odmówiłbym oglądania zwłok Betsy i Briana. A gdybym postanowił sprzedać działkę, nawet jej nie obejrzawszy? Prawdę mówiąc, ja nie chcę tej działki. Brian mógł się tego obawiać, więc zostawił kartkę dla pewności.

Crane wzruszył ramionami.

– Możliwe. Pisze, że chce, żebyś zobaczył działkę, bo ona jest... – Crane wyszukał odpowiedni fragment listu. – „Szczególna, bo koi ból”. Ale nie wyjaśnia, w jaki sposób. Mówi, że boi się rozbudzić twoje nadzieje, które mogłyby się nie spełnić.

– Myślałem o tym przez całą drogę, jadąc tutaj – powiedział Grady przez ściśnięte gardło. – Nie ulega wątpliwości, że Brian, Betsy i tych dziesięcioro ludzi, którzy zginęli w wypadku, uważało działkę za rodzaj schronienia przed światem. Urokliwe miejsce, gdzie mogli sobie nawzajem udzielać wsparcia. Może Brian odgadywał, że jeśli będzie zachwalał działkę w liście za bardzo, spotka mnie rozczarowanie, kiedy okaże się, że towarzystwo innych ludzi znaczyło więcej niż samo miejsce. A jednak ta działka jest niezwykła. Naprawdę piękna. Więc postanowił mi ją podarować. Być może miał poczucie winy, że nie zaprosił mnie do grona najbliższych przyjaciół. Może liczył na to, że utworzę swoją grupę. Kto wie? Wpadł w depresję. Nie panował nad myślami.

– Więc co zamierzasz z tym zrobić?

– Z czym?

– Z działką. Powiedziałaś, że jej nie chcesz. Naprawdę czujesz taki wstręt, że sprzedasz ten kawałek ziemi, nawet go nie oglądając?

Grady spuścił wzrok. Milczał przez chwilę.

– Nie wiem. Gdyby podarował mi na przykład zegarek, to czy wyrzuciłbym go, żeby zapomnieć? Może zachowałbym prezent jako pamiątkę?

Dwa dni później na cmentarzu Ida Roth pomogła Grady’emu dokonać wyboru. Zrobiła to nieświadomie.

Grady miał nadzieję, że będzie niósł trumnę, ale Ida nie poprosiła go o to. Próbował skontaktować się z nią w domu i w gospodzie, ale nigdzie nie mógł jej zastać. Pocąc się w porannym słońcu, przypomniał sobie upał, który panował rok temu, gdy przyszedł na ten sam cmentarz, niosąc do mauzoleum

urny z prochami żony i syna. Gdy zamierzał się odwrócić od trumien i pójść do samochodu, poczuł za sobą obecność jakiejś rozgniewanej osoby. Nie wiedział, kto to może być, jednak czuł niemal dotykającą złość. Znieruchomiał.

– Ty bydlaku – warknęła Ida.

Grady odwrócił się. Ida wbijała w niego wzrok. Próbował zbliżyć się do niej przed i po pogrzebie, ale unikała go. Przy grobie starał się nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale kobieta uparcie odwracała głowę.

A teraz patrzyła mu prosto w oczy.

– Drań.

Z włosami związanymi z tyłu jej chuda twarz jeszcze bardziej przypominała czaszkę.

Grady skrzywił się.

– Dlaczego tak mówisz, Ida? Nie zrobiłem nic przeciw tobie. Brakuje mi Betsy i Briana. Przyszedłem ich pożegnać. Dlaczego...

– Daruj sobie te gierki! Już ty dobrze wiesz!

– O czym ty mówisz?

– O działce! Pełnomocnik Briana powiedział mi o testamencie! Nie dość, że mój cholerny braciszek pogrzyżył się w litości nad sobą i puścił knajpę w cholerę. Mało tego, że po tym, jak strzelił sobie w łeb, ledwie udaje mi się obronić przed wierzycielami. I czego się dowiaduję? Gospoda, którą ja odziedziczyłam, jest pod hipoteką, a twoja działka została całkowicie splecona! Nie wiem, w jaki sposób wystrychnąłeś go na dudka. Nie mogę sobie wyobrazić, jak posłużyłeś się zmarłą żoną i dzieckiem, żeby wydebić od niego działkę. Ale możesz być pewien, że zaciągnę cię do sądu, choćbym miała zdechnąć. – Brian przysięgał, że się mną zajmie! Bóg mi świadkiem, już ja dopilnuję, żeby dotrzymał słowa. Tobie nic się od niego nie należy! Nie było cię przy nim po śmierci jego córek, nie trzymałeś go wtedy za rękę. Zjawileś się w jego życiu później. Więc zapamiętaj sobie, dostanę tę działkę, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Najchętniej kazałabym zburzyć te obrzydliwe szopy, zakopać basen i posypać wszystko solą. Ale diabelnie potrzebuję pieniędzy, więc unieważnię testament i sprzedam teren! Zdobędę to, co mi się należy, a ty nie dostaniesz nic!

Grady poczuł, że oblewa go fala gorąca. Ida oskarżyła go o wykorzystanie rozpaczy po zmarłej żonie i synu do zmanipulowania Briana i przekonania go, żeby zapisał mu działkę w testamencie. Zatrząsł się ze złości.

– Dobrze, Ida, zrób to, jeśli chcesz. Spróbuj. Ale powiem ci coś, o czym nie wiesz. Aż do tej chwili zamierzałem zrzec się działki i przekazać ją tobie. Myślałem, że ona ci się należy. Popełniłaś błąd... Nie powinnaś była wspominać o... W każdym razie, zmieniłem zdanie. Ta działka jest moja. Nie chciałem jej, ale teraz chcę. Tobie na złość. Za to, że obraziłaś moją żonę i syna,

będziesz gnić w piekle. I prędzej ja tam zgniję, niż ty postawisz stopę na tej polanie.

Grady zdarł żółtą taśmę z napisem MIEJSCE ZBRODNI. WSTĘP WZBRONIONY. POLICJA. Kluczem, który dostał od Crane'a, otworzył zamek, pchnął bramę i z pełną goryczy stanowczością wkroczył na teren działki.

Na przełęczy panowała głucha, nieprzyjemna cisza. Otarł pot z czoła i z tępą determinacją przeszedł przez bramę. Zmierzał w stronę basenu, na którego betonowym obrzeżu policja znalazła ciała Briana i Betsy. Kilka much bzycało jeszcze nad śladami krwi, kości i mózgu. Grady przelknął wzbierającą w gardle żółć i wyprostował się zdecydowanie.

Dobrze, posprzątam to wszystko, poradzę sobie ze wspomnieniami. Zatrzymam dar Briana.

Ta suka go nie dostanie.

Grady zostawił za plecami białe zarysy ciał na betonie, minął rozeń i skierował się ku szarym budynkom. Gdzieś w jego głowie kołatała świadomość, że powtarza trasę, którą porucznik Crane prowadził go od budynku do budynku. Zajrzał do wnętrza pierwszego, rzucił okiem na kuchnię i zbliżył się do najmniejszego, który podczas pierwszej wizyty określił mianem sanktuarium.

Wisząca w powietrzu cisza wdzierała się w uszy. Kroki powinny odbić się echem od kamiennej posadzki. Ta jednak zdawała się pochłaniać dźwięki, podobnie jak dębowa boazeria na ścianach. Niepewnie przyjrzał się kościelnej ławce przed kominkiem. Przeniósł wzrok na zdjęcia ośmiu uśmiechniętych, od dawna nie żyjących dzieci stojące na gzymisie między amerykańskimi flagami i świecznikami. Kolana drżały pod nim, gdy się do nich zbliżał. Dotknął czule zdjęć bliźniaczych córek Betsy i Briana.

Takie piękne.

Tak pełne życia.

Tak wcześnie go pozbawione.

Niech Bóg ma je w swojej opiece.

Wreszcie odważył się spojrzeć na budzącą bolesne wspomnienia fotografię dziesięcioletniego chłopca w okularach, uśmiechającego się wstydliwie z powodu aparatu korekcyjnego na zębach. Ten malec tak bardzo przypominał Grady'emu jego ukochanego syna.

Tak jak za pierwszym razem, gdy tu był, usłyszał nagły plusk. Pamiętał to bardzo dokładnie. Skoczył do wyjścia, tak samo jak wtedy.

Dźwięk doszedł od strony basenu. Grady był o tym wtedy absolutnie przekonany, dopóki nie zbliżył się do policjantów i zobaczył, że nikt nie wpadł do wody. A jednak słyszał plusk zupełnie wyraźnie.

Tak samo jak teraz. Ale tym razem było inaczej, bo kiedy Grady wybiegł z cieniściego wnętrza sanktuarium na zalaną słońcem polanę, wzdrygnął się na widok osiemnasto- lub dziewiętnastoletniego chłopca, muskularnego, z krótko obciętymi włosami, w okularach pływackich i wąskich kąpielówkach, który silnymi ruchami pokonywał długość niewielkiego basenu; woda marszczyła się pod uderzeniami jego umięśnionych ramion. Płynął z niesamowitą prędkością.

Grady zachwiał się. Jak to możliwe, do licha ciężkiego? Nie słyszał podjeżdżającego samochodu. Nie wyobrażał sobie, żeby chłopak pokonał całą drogę z miasta pieszo, przebrał się w kąpielówki i wskoczył do wody, jeśli nie czuł się tutaj u siebie albo spodziewał się, że nikogo nie zastanie.

Ale chłopak musiał zobaczyć mój samochód przed bramą, pomyślał Grady. Dlaczego nie krzyknął, żeby zwrócić moją uwagę, jeśli przyszedł w znane sobie miejsce? Dlaczego nie zawrócił, jeśli miejsce było dla niego obce? Koło basenu nie było widać ubrań. Gdzie się przebrał? I co on tu robi, na miłość boską?

Grady przemógł zdziwienie i podbiegł do basenu.

– Hej! – zawołał. – Co ty wyrabiasz? Nie masz prawa tu przebywać! To mój teren! Wychodź z basenu i wynoś się...

Głos Grady'ego załamał się. Młody mężczyzna nadal młócił powierzchnię wody nogami i ramionami. Odbił się od brzegu i płynął w drugą stronę.

Grady krzyknął jeszcze głośniej:

– Przestań pływać i odpowiedz mi! Jestem policjantem, do cholery! Wszedłeś na teren cudzej posiadłości! Wyłaź z wody, bo!...

Ale pływak nie przejmował się. Jak gdyby nigdy nic odepchnął się od brzegu i zaczął sunąć po wodzie w drugą stronę. Wyglądał jak olimpijczyk zmierzający po złoty medal.

– Ostrzegam cię po raz ostatni! W tej chwili wychodź z wody! – wrzasnął Grady łamiącym się głosem. – Daję ci pół minuty! Później wzywam pomoc! Wyciągniemy cię stamtąd i...

Chłopak ciął wodę, nie zwracając najmniejszej uwagi na krzyki.

Grady krzyczał tak głośno, że wprowadził się w stan hiperwentylacji. Sięgnął do drewnianego krzesła i usiadł. Jego pierś unosiła się w głębokim, szybkim oddechu. Zakręciło mu się w głowie. Z trudem utrzymując równowagę, próbował skupić wzrok na wspaniałym pływaku.

Mijały sekundy i minuty. Czas jakby się wydłużył i zastygł w bezruchu. Wreszcie siły zaczęły opuszczać pływającego chłopca. Po raz ostatni pokonał długość basenu, chwycił za krawędź i dysząc ciężko wygramolił się na brzeg. Wyprostował się zdecydowanym ruchem i ociekając wodą ruszył w stronę Grady'ego.

– A więc w końcu udało mi się zwrócić twoją uwagę? – spytał Grady unosząc się z trudem z krzeselka. – Może mi wreszcie powiesz, co tu, do cholery, robisz?

Pływak zbliżył się, jakby nie widząc rozgniewanego mężczyzny na swojej drodze.

Grady rozprostował zaciśniętą dłoń i wyciągnął do ramienia intruza.

Ale jego ręka przeniknęła przez ciało pływaka. Zadrzał.

Chłopak tymczasem przeszedł przez Grady'ego, który poczuł subtelny powiew wiatru. Zimnego wiatru. Kiedy Grady odwracał się, patrząc jak tamten wynurza się najpierw z jego boku, a potem piersi, poczuł, jakby został przez coś wzięty w posiadanie, pochłonięty i porzucony.

– Hej! – krzyknął.

Nagle ociekające wodą, sprężyste ciało chłopaka, jego krótko ostrzyżona głowa, wszystko się roz płynęło. Gorące, wilgotne powietrze zafalowało i po chwili było znów nieruchome. Pływak zniknął.

Grady poczuł pustkę w płucach. Z trudem łapał oddech. Wyciągnął rękę w stronę drewnianego krzesła. Ale gdy tylko na nie opadł, jego umysł zaprotestował, jakby się broniąc.

To niemożliwe! – krzyczało coś w środku.

Grady popatrzył na beton.

Mokre ślady pływaka znikły bez śladu.

Grady przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo na krześle. Wreszcie zebrał się w sobie i wstał.

Nie znał tego chłopaka.

A mimo to był dziwnie znajomy.

Nie.

Grady poczuł, że wstrząsa nim dreszcz. Pot ściekał mu po czole. Jakaś nie znosząca sprzeciwu siła pchała go do najmniejszego budynku.

Wkroczył w pełną zadumy ciszę sanktuarium, minął kościelną ławkę i położył dłonie na gzymsie. Skierował wzrok na fotografię po prawej stronie.

Młodzieniec w wojskowym mundurze.

Który według słów Crane'a zginął w Wietnamie.

Ten sam, który energicznie pływał w basenie, a później z chłodnym powiewem przesunął się przez ciało Grady'ego i zniknął.

Butelka spoczywająca w szafce czekała. Niepewnymi rękami Grady nalał drinka, przełknął, skrzywił się i zatrzęsł. Nie pamiętał drogi powrotnej z działki w górach do Bosworth.

Tracę rozum, pomyślał pochylając butelkę nad szklanką.

Ale tym razem nie było mu dane skorzystać w pełni ze sprawdzonego środka znieczulającego.

Zadzwoił telefon.

Podniósł słuchawkę.

– Halo – powiedział. Jego głos zdawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka.

– A więc wróciłeś wreszcie do domu, draniu – odezwała się Ida. – Chcę ci powiedzieć, że adwokat zgadza się ze mną. Mój brat nie był w pełni władz umysłowych. Testament jest nieważny.

– Ida, nie jestem w nastroju do kłótni. Niech sędzia zadecyduje.

– Masz cholerną rację. Zobaczymy się w sądzie!

– Tracisz czas. Nie poddam się bez walki.

– Ale ja będę walczyć bardziej twardo. Nie dam ci szans!

Grady odwiesił słuchawkę.

Telefon znów zadzwonił.

Co ona sobie myśli...

Grady porwał słuchawkę.

– Ida, mam tego dość! Nie dzwoń do mnie więcej! Od tej pory niech twój adwokat kontaktuje się z moim!

– Ben? – spytał męski głos.

– Jeff? O Boże, przepraszam! Myślałem, że to...

– Nie czujesz się chyba najlepiej.

Grady zadrżał.

– Żebyś wiedział.

– Dzwonię, bo pomyślałem... Może potrzebujesz z kimś pogadać? Mogę ci jakoś pomóc?

Grady oparł się o ścianę.

– Nie, ale dzięki. Dobrze wiedzieć, że ktoś o tobie myśli. Chyba sobie poradzę. Ale zaczekaj...

– Powiedz.

– Kiedy dzwoniłeś przedwczoraj, powiedziałeś mi o wypadku drogowym, w którym zginęli przyjaciele Briana i Betsy...

Crane odetchnął głęboko.

– Pamiętam.

– Zapomniałem zapisać nazwisk ofiar, byłem zbyt wstrząśnięty. Kim oni byli?

– Po co ci one?...

– Nie mogę teraz wyjaśnić.

Crane zawahał się.

– Chwileczkę. – Rozległ się szelest przewracanych kartek. – Jennigs, Matson, Randall, Langley, Beck.

– Potrzebuję ich adresy i numery telefonów.

Crane podał informacje.

- Nie rozumiem, po co ci to wszystko.
  - Którzy rodzice stracili dzieci w Wietnamie?
  - Langley i Beck. Ale co chcesz...
  - Dzięki. Zadzwoń później.
  - Martwię się o ciebie, Ben.
- Grady odłożył słuchawkę.

Langley i Beck.

Grady popatrzył na numery telefonów. Obie pary mieszkały w miasteczkach między Bosworth i Pittsburgiem. Wybrał numer Langleyów.

Nikt nie odebrał.

Grady nie zdziwił się. Langleyowie mieli już swoje lata, skoro ich syn zginął w Wietnamie, więc pozostałe dzieci – jeśli są – mają ponad trzydzieści albo nawet czterdzieści lat i dawno się wyprowadziły. W tym domu nikt już pewnie nie mieszka.

Grady wybrał kolejny numer z listy, a potem jeszcze jeden. Cisza.

Potańczał czoło.

Nagle po drugiej stronie rozległ się męski głos.

– Tak?

– Nazywam się Benjamin Grady. Jestem szefem policji w Bosworth. To sześćdziesiąt kilometrów na wschód od...

– Wiem, gdzie leży Bosworth. O co chodzi? Jeśli chce pan rozmawiać o wypadku, to na razie nie czuję się na siłach. Wybrał pan nieodpowiedni moment. Próbuje z żoną uporządkować ich rzeczy, załatwić sprawy majątkowe.

– Nie chodzi o wypadek.

– A więc o co?

– O pańskiego brata.

– O Boże, tylko niech mi pan nie mówi, że coś się stało Bobowi!

– Ależ nie. Miałem na myśli tego brata, który zginął w Wietnamie.

– Jerry'ego? Nie rozumiem, dlaczego po tylu latach...

– Czy pański brat dobrze pływał? Czy trenował pływanie?

– Nie myślałem o tym... – Mężczyzna przełknął ślinę. – Trener w liceum mówił, że Jerry ma szansę zostać mistrzem. Brat ćwiczył codziennie. Co najmniej trzy godziny. Być może pojechałby na olimpiadę.

Grady poczuł chłód, jak wtedy, gdy pływak przeniknął przez jego ciało koło basenu.

– Jak pan się nazywa? – spytał mężczyzna. – Grady? Twierdzi pan, że jest szefem policji w... Co to ma być? Jakiś makabryczny żart?

– Nie. Gdybym mógł jakoś inaczej... Przepraszam za kłopot. To było dla mnie ważne. Dziękuję.

Mimo że słońce już wzeszło, Grady musiał włączyć reflektory, żeby przejechać wyboistą, krętą drogą wiodącą do działki przez las. Gdy dotarł na szczyt, spojrzął na dziwną mgłę unoszącą się z basenu. Słabe promienie słońca wydobywały z mroku jodły i klony wokół działki, ale ona sama była całkowicie spowita obłokiem mgły. Snopy światła z reflektorów odbijały się od jej powierzchni.

Grady wysiadł z wozu i o mało nie wpadł na ogrodzenie. Otworzył zamek i pchnął bramę. Panowała przejmująca cisza, tak jak wczoraj; gdy wstał na żwirową ścieżkę, chrzęst pod butami prawie go przeraził. Zimna para przekleiła się do ubrania i skropiła na skórze.

Powiniennem wsiąść do samochodu i wrócić do miasta, pomyślał. To jakieś szaleństwo. Co ja tutaj robię?

Zaczął żałować, że nie przywiózł latarki. W miarę jak zbliżał się do środka działki, mgła stawała się coraz gęściejsza. To było aż nienaturalne. Zbyt gęsta, zbyt...

Uważaj, powiedział do siebie w myślach. Wyobraźnia zaczyna cię ponosić. Nic w tym dziwnego, że mgła unosi się o świcie nad basenem. Zmiana temperatury, to wszystko...

Zawahał się, gdy dotarło do niego, że posuwając się po omacku, może kręcić się w kółko. Zrobił jeszcze jeden krok i wpadł na wysoki do pasa drewniany płotek otaczający basen.

Wzdrygnął się. Za płotem przesunął się jakiś cień. Mgła zawirowała i po chwili znieruchomiła, gdy cień zniknął.

Grady cofnął się, słysząc plusk i odgłos uderzeń silnych ramion o wodę. Znieruchomił, targany sprzecznymi impulsami.

Chciał wskoczyć za ogrodzenie i stanąć twarzą w twarz z tym człowiekiem.

Ale bał się, że pływak przeniknie przez niego tak jak wczoraj.

Mógł krzyknąć i spytać, co tamten tutaj robi.

Ale zrobił to wczoraj i nic nie wskórał. Poza tym obawiał się, że jego wołanie zamieni się w krzyk przerażenia.

Odwrócić się i odnaleźć jakoś drogę do samochodu.

Ale...

Znowu usłyszał plusk. Druga osoba wskoczyła do basenu. Grady patrzył ze zdumieniem, jak następny cień – dwa cienie! – przesuwały się za płotem. Chyba kobieta i dziecko.

Obrócił się i krzyknął, gdy kolejny cień wynurzył się z mgły:

– Nie!

Następne trzy postacie – dwie kobiety i dziewczynka – zbliżały się od strony kuchni. Grady odskoczył i stanął twarzą w twarz z następnym cieniem,



który szedł od sanktuarium. Nie zdążył się zatrzymać. Jego ciało złało się z nadchodzącą postacią. Poczuł chłód i mimo gęstej mgły zdołał rozpoznać twarz Briana Rotha.

Grady zamrugał. Coś przesuwano się po jego czole. Po chwili zauważył, że to mucha. Machnął ręką i otworzył oczy. Leżał na plecach, rozciągnięty na żwirze koło basenu. Słońce stało wysoko na niebie.

Gdy już trochę oprzytomniał, usiadł i rozejrzał się wokół, spodziewając się ujrzeć duchy.

Ale zobaczył tylko pograżoną w ciszy leśną działkę.

Zerknął na zegarek. Dochodziło południe. Chryste Panie, leżę tu od...

Brian!

Nie, to niemożliwe! Nie mogłem go widzieć!

Grady pozbierał się i podniósł na nogi. Pociemniało mu przed oczami, ale po chwili widział już normalnie. Skóra była teraz lepka od potu, nie od chłodnej rosy. Mundur przykleił się do ciała. Wyprostował się i rozejrzał po pustym terenie.

Postradałem zmysły.

To musi być depresja.

Popatrzył na samochód. Na komendzie na pewno zachodzą w głowę, gdzie się podział szef. Na pewno próbowali się skontaktować. Co ważniejsze, musi wymyślić jakiś istotny powód, dla którego nie stawiał się w pracy i nie odpowiadał na telefony. Nie może się zdradzić z tym, że stracił kontrolę nad sobą.

Podszedł do wozu i sięgnął po radio, gdy nagle usłyszał samochód wspinający się po wyboistej drodze. Zesztywniał. Obejrzał się. Z samochodu wysiadł Jeff Crane, rozejrzał się z surową miną i ruszył w stronę Grady'ego.

– Cześć, Ben.

– Cześć, Jeff.

Powitanie zabrzmiało jakoś niezręcznie.

– Wielu ludzi się o ciebie martwi – powiedział Crane.

– Ciężka sprawa. Właśnie miałem...

– Spójrz na swój mundur. Coś ty robił, spałeś w rowie?

– To trudno wyjaśnić.

– Jasne. Ale spróbuj.

– Jak się domyśliłeś, że tu będę?

Crane przyjrzał się uważnie koledze.

– Drogą eliminacji. Wydało mi się to logiczne.

– Dlaczego akurat ty mnie szukasz?  
– Operatorka nie mogła cię złapać, więc w końcu się zaniepokoiła i zawiadomiła wszystkich twoich znajomych. Powtórzę to, co powiedziałem. Wielu ludzi się o ciebie martwi, Ben. Czemu nie stawieś się w pracy?  
– Prawda jest taka...  
– Otóż to. Prawda dobrze nam zrobi.  
– Ja...  
– Tak? No, mów. Tylko prawdę.  
– Straciłem przytomność.  
– Z listu Briana wynika, że dużo ostatnio piłeś. Nie on jeden to zauważył. Ile razy do ciebie dzwoniłem, twój głos był...  
– Dzisiaj rano to nie było z powodu alkoholu. Przyjechałem tu wcześniej, przed pracą, żeby się rozejrzeć i zastanowić, czy zatrzymam tę działkę. No i wtedy ni stąd, ni zowąd straciłem przytomność. Koło basenu.

Grady wskazał miejsce.

I musiał zebrać całą siłę woli, żeby nie krzyknąć. Wokół basenu kłębił się tłum ludzi: sześcioro dzieci łącznie z bliźniaczkami Briana, dwóch młodych mężczyzn zabitych w Wietnamie, Brian i Betsy oraz dziesięciu dorosłych, których nie znał.

To pewnie te pięć małżeństw, które zginęły w czwartkowym wypadku, pomyślał Grady. Poczul zimny dreszcz na plecach.

Ludzie krzatali się wokół rożna, jedli, rozmawiali, śmiali się, a mimo to panowała kompletna cisza. Z ich ust nie wydostawał się żaden dźwięk.

Grady poczuł, że policzki mu zeszytywniały. Zadrzał. Ledwie powstrzymał się od szlochu.

Powinienem sobie pogratulować, pomyślał. Widzę duchy, a myślę i mówię całkiem przytomnie.

Crane spojrzal w stronę basenu, ale nie widać było po nim, żeby zauważył coś niezwykłego.

Grady znieruchomiał.

– Jeff, czy widzisz coś szczególnego?

– To znaczy co?

Grady ze zdziwieniem spostrzegł, że niemal słowo w słowo powtarza pytania, które Brian zadał Idzie podczas jej wizyty na działce.

– Czy czujesz coś szczególnego, niezwykłego, co przypomina ci... Co zbliża cię do Briana i Betsy?

– Raczej nie. – Crane zmarszczył brwi. – Pamiętam, że znaleźliśmy tu ich ciała.

– Nie widzisz niczego w pobliżu basenu?

– Tam leżały zwłoki. – Crane przeciągnął dłonią po krótkich jasnych włosach. – Poza tym nic tam nie widzę.

- ...potrzebuję pomocy, Jeff.
- Dlatego właśnie tu jestem. Pamiętasz, ile razy proponowałem ci pomoc? Powiedz, czego potrzebujesz.
- Muszę wymyślić powód, dlaczego nie zgłaszałem się na wezwania, i to taki, żeby moi ludzie uwierzyli. I żeby nie patrzyli na mnie dziwnie.
- Na przykład awaria nadajnika? Albo nagły wyjazd na wezwanie, o którym ich zawiadomiłeś, i nie dotarło?
- Dokładnie.
- Przykro mi, Ben, ale nie mogę tego zrobić. Mogę ci pomóc tylko w ten sposób, że powiem im prawdę.
- I twierdzisz, że jesteś moim przyjacielem.
- Właśnie tak.
- Jaki to przyjaciel, który...
- Dobry. Lepszy niż ci się wydaje. Ben, oszukujesz się. Utrzymujesz, że twoje problemy nie mają wpływu na twoją pracę. Mylisz się. Nie chodzi tylko o alkohol. Jesteś na skraju załamania nerwowego. Jesteś bez przerwy roztrągniony, nie umiesz się skupić. Wszyscy to widzą. Posłuchaj mojej rady. Weź sobie miesiąc urlopu. Zgłoś się do jakiejś poradni. Odstaw butelkę, pogódź się z rzeczywistością. Twoja żona i syn nie żyją. Musisz zrobić wszystko, żeby się pogodzić ze stratą. Musisz odnaleźć spókój ducha.
- Miesiąc urlopu? Ale praca jest wszystkim, co mi pozostało!
- Mówię ci to jako przyjaciel. Jak będziesz postępować dalej w ten sposób, stracisz nawet pracę. Niewiele brakuje, żeby cię zwolnili.
- Co? – Grady nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. To wydawało się prawie tak samo niemożliwe, jak nieme przyjęcie koła basenu, którego Crane nie mógł zobaczyć. – Chryste, tylko nie to!
- Ale jeśli pójdziesz za moją radą... Ben, nie patrz na basen, patrz na mnie. No właśnie. Teraz lepiej. Jeśli mnie posłuchasz, zrobię wszystko, żeby twoi podwładni i rada miasta zrozumieli, ile przeszedłeś. Spójrz prawdzie w oczy. Jesteś wyczerpany, wypalony. Potrzebujesz odpoczynku. Nie się czego wstydić. Ludzie to rozumieją, jeżeli nie będziesz próbował ukrywać swojego stanu, tylko postarasz się sobie pomóc. Mogę przyrzec, że ich do tego przekonam. Byłeś piekielnie dobrym policjantem i możesz nim być znowu. Jeśli zrobisz to, o co cię proszę, przysięgam, że wykorzystam wszystkie swoje wpływy, żebyś nie stracił pracy.
- Dziękuję, Jeff. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Spróbuję. Słowo. Postaram się ze wszystkich sił.

Grady siedział w mauzoleum, przez załamane oczy spoglądając na urny z prochami ukochanej żony i synka.

– Źle ze mną – wykrztusił. – Mam przywidzenia. Za dużo piję, mogę stracić pracę. A jeśli chodzi o rozum... No cóż, straciłem go już dawno. Gdybyście nie zginęli. Gdybym nie został wtedy dłużej w pracy. Gdybyście nie wybrali się do kina. Gdyby ten pijak nie wpadł na was. Gdyby... To moja wina, tylko moja. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo za wami tęsknię. Oddałbym wszystko, żeby was odzyskać, żebyście byli szczęśliwi tak jak rok temu, zanim...

Grady zignorował piszczenie pagera.

– Heleno, nie mogę znieść tej pustki w domu. John, kiedy dotykam twoich ubrań w szafie, kiedy je wącham, pęka mi serce. Potrzebuję was tak bardzo...

Pager nie przestawał piszczeć. Grady zdjął go, rzucił na podłogę i przydeptał obcasem. Rozległ się przyjemny trzask.

I zapadła cisza.

Teraz lepiej.

Grady zamrugał.

– Nasze życie było doskonałe. Ale bez was... Kocham was. Tak bardzo pragnę mieć was przy sobie. Oddałbym wszystko, żebyśmy znów mogli być razem.

Zabrakło mu słów. Siedział i łkał, wpatrując się w imiona żony i syna, daty ich śmierci, wyobrażając sobie ich prochy w urnach.

Ta myśl docierała do niego powoli, jakby z trudem wynurzała się z ciemności. Wydostała się z jego udreżonej podświadomości i zamieniła w wewnętrzny głos powtarzający zdania z dziwnego listu Briana:

*Coraz bardziej się o Ciebie martwię. Zamierzałem Cię tutaj przywieźć niebawem. Wydaje mi się, że jesteś gotów. Myślę, że odczujesz siłę tego miejsca, że zaznasz tutaj radości i ukojenia. Moim ostatnim aktem współczucia będzie podarowanie Ci tej działki. Wierzę, że zapewni ona spokój Twojej duszy. Zrozumiesz, co mam na myśli, jeśli okażesz się tak wrażliwy, jak podejrzewam.*

Grady skinął głową, wstał, otarł łzy, dotknął ustami palców, położył je na szybie zasłaniającej urny i wyszedł z mauzoleum, starannie zamykając za sobą drzwi.

Teren działki znowu spowijała chmura, choć tym razem była to chmura kurzu spod kół samochodu Grady'ego. Zatrzymał wóz, poczekał, aż tuman opadnie, i nie zdziwił się na widok Briana i Betsy, ich córek-bliźniaczek, pozostałych dzieci, dwóch młodych mężczyzn, którzy zginęli w Wietnamie i pięciu par, ofiar wypadku.

Spodziewał się ich wszystkich zobaczyć i był wdzięczny, że jego nadzieja się spełniła. Niektórzy pływali w basenie, inni siedzieli na drewnianych krzesłkach koło wody. Jeszcze inni piekli coś na rożnie.

Rozmawiali, śmiali się i tym razem, nawet z tej odległości, Grady słyszał nie tylko plusk wody, ale wesoły gwar ich głosów, a nawet skwierczenie tłuszczu kapiącego na węgiel w palenisku.

To go zastanowiło. Czemu przedtem słyszał plusk wody pod ramionami młodego pływaka, ale nie rozmowy ludzi, których widział rano? Crane, rzecz jasna, ani nie widział, ani nie słyszał.

Teraz Grady rozumiał. Potrzebna była do tego wrażliwość, która nie przychodziła od razu. Jak to nazwał Brian w liście? Trzeba być podatnym. Za każdym razem stawali się bardziej realni, aż wreszcie...

Grady sięgnął po papierową torebkę i wysiadł z samochodu. Otworzył bramę i wszedł.

– Cześć, Brian. Jak się masz, Betsy?

Nie odpowiedzieli.

Ale kiedyś odpowiedzą, pomyślał Grady. Muszę tylko wyostrzyć wrażliwość.

Wybrał puste krzesło koło basenu i usiadł, prostując nogi. Był wieczór. Słońce prawie skryło się za górami. Działka tonęła w kojącej karmazynowej poświacie. Młody mężczyzna, którego spotkał na samym początku, potencjalny mistrz olimpijski ciągle pływał w basenie. Mężczyzna i kobieta, oboje z siwymi włosami, radośnie go dopingowali.

Grady zwrócił się do Briana i Betsy, którzy stali koło rożna.

– Jak się macie? Miło was widzieć.

Tym razem spojrzeli w jego stronę.

A więc wszystko jest kwestią wrażliwości, pomyślał Grady.

– Cześć, Ben. Cieszę się, że przyszedłeś.

– Ja też.

Grady wyjął z torebki butelkę bourbona. Odkręcił, rozejrzał się za szklaną; nie było żadnej w pobliżu, więc wzruszył ramionami i przyłożył butelkę do ust. Przechylił głowę. Czuł, jak w karku rozplywa się napięcie skumulowane przez cały ten rok. Po upalnym dniu chłód wieczoru sprawiał tym większą przyjemność. Grady znów podniósł butelkę i przelknął alkohol, mrużąc oczy z zadowolenia.

Wrażliwość. Oto cały sekret. Muszę wyrobić w sobie wrażliwość.

Popijał, uśmiechał się i rozglądał, ale cud, dla którego tu przyjechał, nie nastąpił. Z coraz większym trudem zachowywał spokój. Gdzie są Helena i John? Przecież powinni tu być.

Muszą być!

Pociągnął z butelki.

– Hej, Brian?

– Tak, Ben?

– Gdzie jest moja żona i syn?

- Obawiam się, że nie mogą tu jeszcze przyjść – odparł Brian.
- Dlaczego?
- Musisz coś najpierw zrobić.
- Nie rozumiem.
- Zastanów się.
- Nie wiem, co masz na myśli. Pomóż mi, Brian.
- Pomyśl o sanktuarium.

Wszystko stało się jasne.

- Dziękuję ci.

Grady odstawił butelkę, wstał i ruszył w stronę sanktuarium. W środku paliły się świece. Ominął ławkę i z uwagą przyjrzał się zdjęciom nieżyjących dzieci nad kominkiem, które ustawili tam zrozpaczeni rodzice.

Czy o to chodzi? Czy tylko tyle muszę zrobić?

Wyjął z kieszeni portfel, a z niego zdjęcia Heleny i Johna. Delikatnie uwolnił je z plastikowych oprawek, pocałował i umieścił na gzymsie.

Czy to już? Serce waliło mu w piersi jak młot.

Ale Brian i Betsy nie mają tu swoich zdjęć. Tak samo jak małżeństwa, które zginęły w wypadku.

Może jeśli przebywa się tu wystarczająco długo, nie potrzeba fotografii.

Ale dzieci nigdy tutaj nie były. Zginęły, zanim Brian wznosił sanktuarium. Dla nich zdjęcia były konieczne, tak jak były konieczne dla...

Z bijącym sercem Grady odwrócił się, wybiegł z sanktuarium i pobiegł do basenu. Bał się potwornie, że jego samotność jednak się nie skończy. Ale Helena i John czekali już na niego. Straszliwy ból ścisnął mu pierś. Helena wyciągnęła ramiona, a mały John podskakiwał z radości.

Grady rzucił się ku nim.

Wyciągnął ręce.

Objął oboje.

Ale jego ramiona przeszły przez ich postacie.

- Nie! Muszę was dotknąć!

Nagle zrozumiał. Muszę dać im czas. Jeszcze trochę i będę mógł ich dotknąć. Odwrócił się.

- Kocham cię, Ben – powiedziała Helena.

Grady płakał.

- Tato, tęskniłem za tobą – powiedział John.

– Ja też was kocham. Tęskniłem za wami tak bardzo... – Głos mu się załamał. Zaczął szlochać. – Cieszę się...

Wyciągnął ręce i tym razem poczuł, jak gdyby przechodziły przez obłok. Wrażenie było subtelne, ale wyraźne. To się działo naprawdę. Jeszcze trochę...

Kolana ugięły się pod nim.

– Lepiej usiądź, kochanie – powiedziała Helena.

Grady skinął głową.

– Masz rację. Straszne było to napięcie. Odpocznę sobie trochę.

Kiedy tak szli we trójkę do basenu, Brian, Betsy i inni na ich widok kiwali z aprobatą głowami.

– Tato, czy mogę się pobawić z dziećmi w basenie?

– Oczywiście. Możesz robić wszystko, co chcesz, synku. My z mamą popatrzemy.

Grady opadł na krzesło. Helena usiadła z boku i pogładziła go po ramieniu. Wrażenie było jeszcze wyraźniejsze. Już niedługo będę mógł ją objąć.

Usłyszał głos Betsy.

– Ben, masz ochotę na stek?

– Na razie dziękuję. Nie jestem głodny. Może później.

– Wystarczy, że powiesz.

– Dziękuję ci, Betsy:

– Może następny drink poprawi ci apetyt.

– Na pewno.

Grady podniósł butelkę do ust. Dotknięcie Heleny było coraz wyraźniejsze. John wskoczył do wody.

– Razem – powiedziała Helena.

– Tak. Nareszcie.

To był najcudowniejszy wieczór w jego życiu. Dotknięcie Heleny stało się rzeczywiste. Grady mógł ją wreszcie objąć, uścisnąć i pocałować. Potem wziął w ramiona Johna.

Był tylko jeden problem. Przed przyjazdem na działkę Grady odwiedził kilka miejsc w Bosworth. Zajrzał do sklepu monopolowego, a potem do sądu, żeby dowiedzieć się, od kogo Brian kupił ziemię. Chciał dowiedzieć się od poprzedniego właściciela, czy zauważył na tym terenie coś niezwykłego, czy wiąże się z nim jakaś legenda. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś wytłumaczenie tego cudu.

Ale pierwszy właściciel dawno się wyprowadził.

Grady odwiedził kilku myśliwych, znajomych Briana. Liczył na to, że któryś z nich opowie mu, co się stało z Brianem tego dnia, kiedy po raz pierwszy przyjechali polować na tym terenie. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Brian nagle zapalał chęcią zakupu tej działki.

Ale żaden z nich nawet nie pamiętał tego popołudnia.

Na koniec Grady zajrzał do swojego adwokata. Pełnomocnik Idy Roth już się z nim skontaktował. Ida postawiła sobie za cel podważenie testamentu i odebranie działki. Grady z przerażeniem dowiedział się, że Brian rzeczywiście nie był w pełni władz umysłowych, skoro zmienił testament, planując samobójstwo. Nawet adwokat Briana przyznał, że Grady nie ma szans, by zatrzymać działkę.

Więc kiedy tak siedział koło żony i syna, obserwując ludzi spacerujących koło basenu w niesamowitym świetle księżyca, nie mógł przestać myśleć o tym, że po raz drugi nie zniesie rozstania z ukochanymi.

Ale co mógł zrobić?

Przytulił Helenę i Johna.

– Pewnie macie ochotę pójść na spacer.

– Zostaniemy – powiedziała Helena. – Przy nas będziesz spokojniejszy.

– Jesteś pewna?

– Nie chcę zostawiać cię samego.

Grady pocałował ją, napił się i wyjął rewolwer.

Teraz rozumiał, dlaczego Brian i Betsy dokonali takiego wyboru. Musieli czuć straszliwą samotność, widząc swoje córki, a potem zmarłych znajomych. Byli obok nich, ale nie z nimi.

Odbezpieczył broń. Resztką jego świadomości mówiła mu, że żona i syn nie istnieją naprawdę. Inni też. To tylko gra wyobraźni.

Może tak, a może nie.

Ale nawet jeśli to tylko sztuczki wyobraźni, Ida zabierze mi działkę i już nigdy nie zobacze Heleny i Johna. Nawet jeżeli żyją tylko w mojej głowie.

Co za straszny wybór.

Trzeba się zastanowić.

Grady siedział obok żony i syna z pistoletem w jednej dłoni i butelką w drugiej. Alkohol go usypiał. Widma błędy powoli. Wkrótce będzie musiał podjąć decyzję. Jaką? Co okaże się cięższe? Co najpierw wypadnie mu z dłoni: butelka czy rewolwer?





## Posłowie

Tym znaczącym pytaniem kończy się mój zbiór. *Krople* powstały w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, a *Sanktuarium* dwadzieścia lat później. To duża część mojego życia, w czasie której wydarzyło się wiele ważnych rzeczy. W roku publikacji ostatniej noweli podjąłem kolejną ważną decyzję, którą była przeprowadzka z Iowa City, gdzie mieszkałem od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, do Santa Fe w stanie Nowy Meksyk. Nastąpiła ona latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

Decyzję tę podjęliśmy z żoną nagle, po obejrzeniu w telewizji programu poświęconego charakterystycznej architekturze Santa Fe. To miasto, przesycone atmosferą świętej wiary, wydało nam się tak malownicze na tle otaczających je gór, że postanowiliśmy spędzić tam weekend. Było to w moje czterdzieste dziewiąte urodziny. Właśnie skończyłem pisanie długiej powieści zatytułowanej *Falszywa tożsamość*. Potrzebowałem odpoczynku. Mistyczna atmosfera gór i pustynnej wyżyny zrobiła na nas olbrzymie wrażenie. Po trzech dniach zaczęliśmy szukać domu, który można kupić. Znaleźliśmy go czwartego dnia i wróciliśmy do Iowa City, żeby poczynić przygotowania. Trzy miesiące później już mieszkaliśmy w Santa Fe.

Przeprowadzka nie znaczyła, że zmieniliśmy nasz stosunek do Iowa City. Przeżyłem wspaniałe lata na tamtejszym uniwersytecie, zawarłem przyjaźnie na całe życie. Wychowaliśmy tam z żoną córkę i syna. To szczególne miejsce, w którym zaznaliśmy wiele szczęścia. Ale także straciliśmy syna. Czasem trzeba uwolnić się od ulic i budynków, które przywołują bolesne wspomnienia.

Czasami pisarz musi się też na nowo określić przed rozpoczęciem trzeciego aktu, jak to ujęła moja żona. W naszym nowym domu z szarej cegły na

wysokości dwóch tysięcy metrów, w otoczeniu dzikich kwiatów i pinii porastających góry, na tej ziemi, zwanej przez tutejszych ludzi zaczarowaną ziemią tańczącego słońca, zacząłem patrzeć na świat inaczej. Wszystko to z pewnością wywarło wpływ na moją twórczość – nie tylko w ten sposób, że zmieniłem scenerię moich utworów.

Zmiana była głębsza. Bohater *Ostrego cięcia*, powieści napisanej po przeprowadzce, jest byłym oficerem wywiadu. Przyjeżdża do Santa Fe, żeby zapomnieć o przeszłości i odnaleźć siebie. Wystarczy zamienić „byłego oficera” na „byłego nauczyciela uniwersytetu” i staje się oczywiste, że pisałem o sobie samym. Od śmierci Matta w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku aż do przeprowadzki do Santa Fe latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego napisałem więcej utworów o żalu niż zamieściłem w tym zbiorze. W Santa Fe spod mojej ręki wyszła jeszcze tylko jedna taka powieść, zatytułowana *Desperackie kroki*. Jej bohater, pisarz, którego syn zmarł na raka, wpada w pułapkę spisku. Uchodzi z życiem i w końcu udaje mu się pogodzić ze stratą dziecka. Znowu pisałem o sobie.

Chociaż ten zbiór nie zawiera wszystkich moich opowiadań, jest w pewnym sensie kompletny. Daje obraz procesu zmian mojej wyobraźni aż do zamknięcia aktu drugiego, czyli wyjazdu po dwudziestu dwóch latach z Iowa City. Rozpoczął się akt trzeci. Przygotuję następny zbiór, w którym podzielę się z czytelnikami kolejną porcją swoich doświadczeń. Ale okazało się, że nie jestem przygotowany na dawkę wspomnień, które przywołały zawarte tu opowiadania. Utwory powstałe w odstępach wielu lat nabrały nowego wyrazu, gdy przeczytałem je w ciągu kilku dni. Uderzyło mnie zwłaszcza spostrzeżenie, że tak wiele z nich opowiada o zagrożeniach czyhających na rodzinę bohatera. Philip Klass nauczył mnie traktować pisarstwo jako rodzaj autoanalizy psychologicznej. „Pisz o tym, czego najbardziej się boisz”, rzekł. Pewnego dnia moje najgorsze obawy zmieniły się w rzeczywistość.

Wciąż jednak mam potrzebę snucia opowieści, a to znaczy, że są jeszcze inne lęki, którym muszę dać wyraz. Fretka ugania się po mojej głowie, a ja ciągle za nią podążam.

Pozwólcie, że coś wam opowiem.

## Spis treści

Przedmowa .....	7
Krople .....	13
Wspólnik .....	21
Czarny wieczór .....	31
Niewidzialny śmiech .....	37
Maszyna .....	42
Pułapka na nieostrożnych .....	67
Lecz za plecami zawsze słyszę... ..	71
Burza .....	87
Za te i wszystkie inne grzechy .....	103
Czarne na białym i całe czerwone .....	115
Trele-Morele .....	128
Droga do Damaszku .....	153
Martwy idol .....	158
Pomarańczowy to cierpienie, niebieski to obłąd .....	185
Długie, zielone włosy grobów .....	216
Sanktuarium .....	248
Posłowie .....	285